

Tytuł oryginału Victims

prolog

Zapomniała zamknąć drzwi po stronie pasażera. Pomimo pulsującego bólu głowy Anna Grace robiła to co zwykle. Wsunęła kluczyk do zamka, przekręciła o pół obrotu, sprawdziła klamkę drzwi, po czym upuściła kluczyki na dno torby przewieszanej przez ramię. W prawym ręku miała klucze do domu. Klucz do mieszkania trzymała między kciukiem i palcem wskazującym.

Wyczuła go, jeszcze zanim go usłyszała i ujrzała: wilgotną masę o mocnym zapachu, olbrzymią i nieokreśloną. Osaczał ją, napierał na nią bez dotykania rękoma, samą swoją obecnością, przyciskając ją do ciepłej blachy samochodu. Odwróciła się, by stawić mu czoło, by stawić czoło potokowi niezrozumiałych słów skierowanych do niej. Mówił, szeptał, napierając na nią z dziką natarczywością.

- Co? O co chodzi? Co pan...

Jego głos zmienił się w warczenie, kiedy chwycił jej ramię. Odruchowo podniosła rękę, by osłonić twarz.

- Pieniądze? Chcesz pieniędzy? Masz, weź to...

Walnął ją prosto w twarz, ale nie odczuła tego jako

uderzenia... Było to doznanie czegoś wyraźnie ostrego i rozdzierającego. Potem jej ręka odczuła ten dziwny ból, tak ostry i intensywny, biegnący poprzez dłoń wzdłuż przedramienia.

Pchnęła go, oderwała się od samochodu, uwalniając się od przytrzymującej ją dłoni, dłoni zadającej ciosy. Za-

machnęła się torbą, z dzikością, poczuła jego reakcję, usłyszała jego ryk, jak wrzeszczy na nią, wściekły, że oddała mu cios.

- O mój Boże, pomóż mi, pomóż, niech mi ktoś pomoże, proszę, on mnie zabije...

Jego dłoń, mocna, niebywale mocna, zacisnęła się na jej szyi, kiedy tak na nią napierał. Mówił do niej... pochwyciła jedno słowo, zdanie.

- Nie, nie. To pomyłka. Nie znam pana, błagam, popełnia pan...

Nastąpiła seria pchnięć, każde tępe, dziwnie bezbolesne. A mimo to wiedziała, że dźga ją ostrym nożem o długim ostrzu, jego ramię unosiło się i opadało, zadając nowe i niewyobrażalne rany.

Krzyczała tak głośno, jak tylko mogła. To go powstrzyma. Hałas go przestraszy. Znajdowali się pośrodku jasno oświetlonej ulicy. Wołała do wszystkich ludzi we wszystkich oknach domów.

Wołała do nich z dna kanionu, który tworzyły kamienice.

Słyszeli ją. Widzieli ją, jak patrzę. Przyciskała ciężką wilgoć pokrywającą jej twarz, wiedząc, że to krew, że on rozrywa jej ciało każdym nowym ciosem. Zaczęła odczuwać wewnątrz dziwną pustkę. Jak skorupa. Coraz bardziej pusta, coraz lżejsza i lżejsza, unosząca się, rozpływająca.

Robił tyle samo' hałasu co i ona. Jego wrzaski wściekłości zmagaly się z jej okrzykami bólu i przerażenia. Aż nagle, w jednej zadziwiająco cichej chwili cofnął się i jego ręce zwisły beczynnienie.

Opuścił głowę, utkwiał w niej wzrok i patrzył, jakby zastanawiając się, co ma dalej robić.

W tej ciszy trwającej ułamek sekundy Anna Grace poczuła, jak z jakichś zasobów jej energii życiowej wyrzywa się krzyk agonii. Było to jej ostatnie wołanie o pomoc, i było porażające.

Zamarł nasłuchując, rozejrzał się dokoła, jakby po raz pierwszy świadom tego, gdzie się znajdują - pośrodku do-

Widzą wszystko.

Odwrócił się i zaczął biec, zniknął.

Jej krzyki były teraz coraz słabsze, coraz łagodniejsze, ale nadal słyszalne w bezruchu nocy.

Uniosła twarz i spojrzała dokoła, stwierdzając, że budynki migocą i rozmywają się. Przesunęła się ostrożnie w stronę latarni. To był jej najbliższy cel, i osiągnęła go. Oparła się o nią i cicho płacząc poczuła, że jej ciało osuwa się powoli, ostrożnie, by w końcu przybrać pozycję siedzącą.

Podciągnęła kolana, poczuła, jak głowa odchyła się jej do tyłu i usłyszała ostatnie ciche, żalodne wołanie - zwierzęcia wydającego ostatnie tchnienie rozpacz i smutku.

Potem Anna Grace poczuła, jak jej głowa pochyła się w przód, i zdążyła jeszcze pomyśleć, jak wiele traci krwi. Dobrze byłoby, żeby ktoś założył jej opaskę, i to szybko...

Anna Grace była pielęgniarką, więc zrozumiała, że jej ostatnia myśl dotyczyła czynności medycznych, niezbędnych, by uratować jej życie.

I

Gdyby Mike Stein poczekał do rana z wyjazdem ze swego domu nad morzem w Bridgehampton, nigdy by nie zaangażował się w tę sprawę. Dołączyłby po prostu nazwisko Anny Grace do listy innych nagłych zgonów w mieście Nowy Jork, zamieszczanej w prawym dolnym rogu prowadzonej przez niego rubryki, która dwa razy w tygodniu ukazywała się na łamach „The New York Post”. A szczegóły tej śmierci znane byłyby jedynie policjantom patrolującym owej nocy Queens.

Dla Steina Queens była dzielnicą, przez którą przejeżdżał w drodze na Long Island, lub którą pośpiesznie mijał siedząc w taksówce zdążającej na lotnisko. Była mu równie nieznana jak Brooklyn, choć nie aż tak obca jak Sta-

7

i

ten Island. Bronx czasów jego dzieciństwa pozostał jedynie w krainie wspomnień; przez te wszystkie lata był palony, plądrowany i systematycznie niszczone aż do niepo-znania. Czasami w swoim felietonie wybierał się na smutną nostalgiczną wycieczkę, opisując, jak dorastał w Bronxie w latach trzydziestych. Była to już prawie historia starożytna.

Nowy Jork to Manhattan, a Manhattan to dom, i Stein był zadowolony, że na Grand Central Parkway jest taki mały ruch. Dotrze do swego mieszkania za nie więcej niż dwadzieścia lub dwadzieścia pięć minut. Jego była żona, Julie, dała mu tydzień na rozwiązanie całej sprawy. To jego wina. Adwokat mówił mu już dziesięć lat temu, gdy kupował dom nad morzem na nazwisko ich obojga: „Jeśli chcesz zrobić prezent swojej smarkatej pannie młodej, kup jej biżuterię, samochód lub nowe ubrania. Ale nie udział w domu. To bardzo poważna sprawa, ten gest dobrej woli pewnego dnia może obrócić się przeciwko tobie”.

I nadszedł ten dzień. Julie, która właśnie przekroczyła trzydziestkę, a była młodsza od niego o dwadzieścia lat, przyjechała z Kalifornii. Wyglądała dokładnie jak ktoś z Zachodniego Wybrzeża: szczupła, ale mocnej budowy ciała, z długimi blond włosami, opalona, pozbawiona jakichkolwiek zmarszczek, nawet tych najbardziej typowych, zmarszczek mimicznych wokół ust.

Czuje się staro z powodu swego nowego kochanka, wyznała mu. Jest od niej młodszy o cztery lata. Mike był w stanie ją zrozumieć. Przynajmniej teoretycznie.

Ma więc dwa wyjścia, oświadczyła mu. Po pierwsze, wystawić dom na sprzedaż. Zrobiła już wstępny wywiad. Mogliby zażądać trzystu tysięcy. Dostaną pewnie dwieście pięćdziesiąt. Jest też i drugie wyjście, może ją spłacić. Będzie wobec niego bardziej niż fair. Za sto tysięcy dolarów dom może przejść na jego własność. Co powinno było stać się dawno temu. Nie chciał wystawiać domu na sprzedaż. Było to jedyne miejsce, które naprawdę kochał. To tam właśnie jeździł, kiedy czuł, że inaczej zwariuje.

Julie zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego nie stać go na wysupłanie tych stu tysięcy dolarów. Zgarnął kupę forsy za swoją książkę o wojnie koreańskiej. Dochody z samego tylko filmu osiągnęły sześciocyfrowe sumy, nie mówiąc już o zakupie praw autorskich przez klub czytelników i wydawnictwa książek kieszonkowych. A pieniądze, które zainkasował kilka lat temu, gdy dostał nagrodę Pulitzera za tę historię o morderstwie - czy o czym tam -w Wietnamie? Czyż nie zarobił

mnóstwo forsy na tej książce?

I tak, i nie, odpowiedział. Książkę o wojnie koreańskiej napisał już dawno temu. Zgoda, zarobił wtedy dużo. Ale i dużo wydawał. Zanim poznał Julie, miał już czworo dzieci na utrzymaniu. A co do nagrody Pulitzera - przyniosła mu więcej prestiżu niż gotówki. Ukazała się w złym momencie; nikt nie chciał czytać makabrycznej historii o młodym żołnierzu amerykańskim zamordowanym przez innych Amerykanów, którzy oficjalnie podali, że zginął na wojnie.

Czyżby doprawdy sądziła, że on pisuje dwa felietony tygodniowo, ponieważ uwielbia babrać się w powolnym i nieodwracalnym rozkładzie życia mieszkańców Nowego Jorku? Owszem, współpracuje z ponad setką innych gazet. Zgoda, czytała go także w Los Angeles. Ale to, co zarabia, wystarcza mu jedynie na pokrycie bieżących wydatków. Właśnie dlatego od czasu do czasu godzi się na cykl wykładów: dla pieniędzy. I niech nie zapomina, że mają oboje dziewięcioletniego syna, dobrze? I że Mike musi opłacać jęgo szkołę, poza wielu innymi świadczeniami.

A teraz Julie, którą poślubił w reakcji na swoją czterdziestkę, ma nowego faceta. Ten facet zakłada własną wytwórnię i Julie chciałyby wejść z nim w spółkę. Sto tysięcy za dom nad morzem wystarczy na początek.

Tak jakby nie mogła mu tego darować, wspomniała od niechcena o jego zbliżających się urodzinach. Pięćdziesiątka, Mike. No, no!

Ale to, o czym Julie naprawdę chciała porozmawiać, o czym mówiła bez przerwy, to były pieniądze. Dlaczego nie został w L.A., gdy był jeszcze na fali? Czyż nie zdawał sobie sprawy, ile dokoła niego przepływa forsy?

Dwudniowy pobyt w Bridgehampton skończył się tak, jak się zaczął, i teraz Mike musiał znaleźć sposób na zdobycie tych stu tysięcy dolarów, by odkupić od niej to, co i tak należało do niego. Nie docierały do niego żadne dźwięki ani metaliczny szum informacji płynący z kanału radiowego wykorzystywanego przez policję. Stanowiły dla niego tło muzyczne, którego nie słyszał, podobnie jak dzieciaki łączące dookoła w słuchawkach przylepionych do głów stają się nieświadome dźwięków wdzierających się do ich mózgow. Był to zupełny przypadek, że na dwie mile przed zjazdem z Grand Central Parkway w stronę Forest Hills ziewnął i postanowił nie myśleć więcej o Julie, pieniądzech, Hamp-tonach, Hollywood, o młodych producentach, którzy sprawiają, że jego była smarkata panna młoda czuje się staro, „bo cóż, do cholery, on ma z tym wszystkim wspólnego?

„Na Barclay Street w dzielnicy Forest Hills, między Aleją Sześćdziesiątą Dziewiątą a Sześćdziesiątą Ósmą, kobieta na chodniku najwyraźniej poraniona, jak podano, cała we krwi...” Kiedy tylko złapał pierwsze słowa, informacja oczyściła się ze wszystkich zakłóceń. Kiedyś zastanawiał się, jak gliniarze są w stanie zrozumieć którąkolwiek z informacji do nich skierowanych, ale widocznie odbywało się to podświadomie. Jeśli bowiem była przeznaczona dla ciebie, odbierałeś ją, a ta informacja była skierowana do niego. W efekcie Mike» skreślił w prawo i zjechał wiaduktem, który prowadził do Sześćdziesiątej Dziewiątej Alei.

Wiedział, dokąd jedzie, ale nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Wiele lat temu chodził na mecze rozgrywane na stadionie tenisowym w Forest Hills i było to mniej więcej w pobliżu miejsca podanego przez radio. Stały tu niegdyś niskie budynki poprzedzielane pustymi działkami, ale tak

10
było ponad dwadzieścia lat temu. Jazda przez dzielnicę Queens przypominała dryfowanie po nieznanym, trudnym do wyobrażenia mieście. Queens Boulevard wyglądał jak porządna kopia Trzeciej Alei. Sprawiał wrażenie nowo powstałego miasta, jakby wszystkie budynki wzniesiono zaledwie w miesięcznych odstępach.

Pamiętał, dość niejasno, że po obu stronach ośmio- czy dziesięciopasmowego Queens Boulevard stały sześciopię-trowe kamienice, oddzielone od siebie olbrzymimi placami, które wypełniały używane samochody. Wtedy, wiele lat temu przyszło mu na myśl, że sporo cennych gruntów czeka tu na zagospodarowanie. Dzisiaj stały tu budynki dwudziesto- i trzydziestopiętrowe. Te sześciopiętrowe zrównano z ziemią, a wolne działki zabudowano - i przez chwilę Mike nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Żadnych punktów erientacyjnych, do momentu, gdy zauważył Continental Avenue: wjazd do prawdziwej, starej dzielnicy Forest Hills Gardens.

Minął ciągi sklepów stłoczonych po obu stronach ulicy, aż dotarł do tunelu pod torami kolei na

Long Island: i wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Tak jakby wjechał w nadal istniejącą przeszłość: był tam placyk wybrukowany kocimi łbami, przy którym mieściła się gospoda Forest Hills Inn.

Zatrzymał się na chwilę — wszystko wyglądało dokładnie, jak to sobie zapamiętał. Sklepionymi w formie łuku przejściami można było dostać się na spokojne uliczki, przy których stały duże zamożnie wyglądające domy. Miejsce to zachowało się jakby w innym wymiarze czasu. Panował tu spokój, intensywna cisza, a staroświeckie latarnie wzdłuż prywatnych uliczek świeciły jaśniej, niż to zapamiętał. Napisy ostrzegały, że nie wolno parkować w Forest Hill Gardens; samochody łamiące zakaz zostaną odholowane.

Na co drugiej prywatnej latarni wisiała porządna metalowa tabliczka: TĘ DZIELNICĘ PATROLUJĄ SŁUŻBY OCHRONY ORAZ SPECJALNIE TRESOWANE PSY. Nail

pis pozbawiał to miejsce atmosfery jakby przeniesionej z filmów Disneya; były to już na pewno dzisiejsze czasy

Skręcił w prawo w Barclay Street, która biegła nieprzerwanie wzdłuż opustoszałych, otoczonych płotem kortów tenisowych, ciągnących się po lewej stronie. Po prawej teren podnosił się trochę w kierunku ogrodzonego nasypu linii kolejowej. Barclay Street ciągnęła się na prawo od elitarniej, prywatnej Forest Hills Gardens. Skręcając w lewo, wpadała w Sześćdziesiątą Dziewiątą Aleję, a na prawo biegła dalej jako Barclay Street, przecinając tę zwyczajną dzielnicę Forest Hills, która wyglądała tak, jak ją zapamiętał.

Po obu stronach Barclay Street stały sześciopiętrowe domy sprzed drugiej wojny światowej, z frontonami w stylu elżbietańskim. Jedno wejście naprzeciw drugiego. Porządnie utrzymane małe trawniki, niskie, starannie przycięte żywopłoty, czyste chodniki. Była to staroświecka enklawa, zamieszkała przez klasę średnią. Czas jakby przysiadł tu na kole fortuny obrotu tymi nieruchomościami, o których ktoś na razie zapomniał.

Mike Stein powoli mijał gromadzący się tłum, szybko rejestrując obraz sytuacji. Na miejscu znajdował się tylko jeden wóz patrolowy, choć noc wypełniały te straszliwe, to opadające, to znowu rosnące, zawodzące dźwięki syren zbliżających się wozów policyjnych, które przypominały mu filmy o nazistach. Zaparkował i wolnym krokiem ruszył w kierunku, z którego przyjechał.

Stanął za plecami tłoczących się ludzi, uważnie przyglądając się miejscu zdarzenia, w którego centrum znajdowało się drobne zakrwawione ciało w pozycji siedzącej, oparte w śmiertelnej pozycji o podstawę ulicznej latarni. Kobięca postać jaśniała w pomarańczowym blasku latarni, której światło miało przedłużyć dzień i tym samym zniechęcać do popełniania przestępstw na ulicach.

Mike rzucił okiem na ciało, po czym skoncentrował uwagę na zebranym tłumie.

Nie była to typowa sceneria typowego zabójstwa, jakie

pis pozbawiał to miejsce atmosfery jakby przeniesionej z filmów Disneya; były to już na pewno dzisiejsze czasy.

Skręcił w prawo w Barclay Street, która biegła nieprzerwanie wzdłuż opustoszałych, otoczonych płotem kortów tenisowych, ciągnących się po lewej stronie. Po prawej teren podnosił się trochę w kierunku ogrodzonego nasypu linii kolejowej. Barclay Street ciągnęła się na prawo od elitarniej, prywatnej Forest Hills Gardens. Skręcając w lewo, wpadała w Sześćdziesiątą Dziewiątą Aleję, a na prawo biegła dalej jako Barclay Street, przecinając tę zwyczajną dzielnicę Forest Hills, która wyglądała tak, jak ją zapamiętał.

Po obu stronach Barclay Street stały sześciopiętrowe domy sprzed drugiej wojny światowej, z frontonami w stylu elżbietańskim. Jedno wejście naprzeciw drugiego. Porządnie utrzymane małe trawniki, niskie, starannie przycięte żywopłoty, czyste chodniki. Była to staroświecka enklawa, zamieszkała przez klasę średnią. Czas jakby przysiadł tu na kole fortuny obrotu tymi nieruchomościami, o których ktoś na razie zapomniał.

Mike Stein powoli mijał gromadzący się tłum, szybko rejestrując obraz sytuacji. Na miejscu znajdował się tylko jeden wóz patrolowy, choć noc wypełniały te straszliwe, to opadające, to znowu rosnące, zawodzące dźwięki syren zbliżających się wozów policyjnych, które przypominały mu filmy o nazistach. Zaparkował i wolnym krokiem ruszył w kierunku, z którego przyjechał.

Stanął za plecami tłoczących się ludzi, uważnie przyglądając się miejscu zdarzenia, w którego centrum znajdowało się drobne zakrwawione ciało w pozycji siedzącej, oparte w śmiertelnej pozycji o podstawę ulicznej latarni. Kobięca postać jaśniała w pomarańczowym blasku latarni, której światło miało przedłużyć dzień i tym samym zniechęcać do popełniania przestępstw na ulicach. Mike rzucił okiem na ciało, po czym skoncentrował uwagę na zebranym tłumie.

Nie była to typowa sceneria typowego zabójstwa, jakie

i J

12

- I *

popełniane są co noc w Nowym Jorku. I nie z powodu ofiary. W tłumie widać było same białe twarze - to właśnie odróżniało tę sytuację od typowej. Scenerią przestępstw popełnianych na ulicach miast jest zazwyczaj koloru ciemnobrązowego.

Brakowało tu także dzieci. Była to dzielnica zamieszкана przez białą klasę średnią. Dzieci nie przebywają tu na ulicy do późna, nawet w letnią noc. Nie stają się więc przypadkowymi świadkami aktów przemocy. Kilkoro zaledwie stało na obrzeżu tłumy, mocno trzymany przez rodziców za ręce i czym prędzej odesłanych do domu, gdy tylko przed rodzicami stanął problem wytłumaczenia im obecności zakrwawionych zwłok leżących na chodniku.

Inne też były odgłosy tej ulicy. Zamiast uciążliwego i ciągłego hałasu noszonych w Harlemie na ramieniu radio-piagnetofonów, podniesionych głosów, wulgarnych śmiechów i pohukiwań, sporadycznych krzyków, odbijających się echem niby okrutna imitacja bólu, panowała tu niemal namacalna cisza. Dobiegające z domów przytłumione, odległe dźwięki odbiorników telewizyjnych i radiowych oraz szum urządzeń klimatyzacyjnych tworzyły wyciszone tło dla nadjeżdżających wozów policyjnych. Niemal zupełną ciszę przeszyły odgłosy nagle wyłączanych silników, otwieranych i zatraskiwanych drzwi.

A w górze słyhać było odrzutowce - tak zaskakująco blisko, że prawie można by ich dotknąć - na które mieszkańcy Barclay Street nie zwracali uwagi. Nad ich głowami przebiegał korytarz powietrzny dla samolotów lądujących na lotniskach Kennedy'ego i La Guardia. Był to dla tych ludzi odgłos normalny, do którego przywykli, podobnie jak do przytłumionego dudnienia pociągów jadących na Long Island, których wibrację wyczuwało się przez podeszwy butów.

Uwagę Mike'a Steina zwrócił policjant pilnujący ciała. Logicznie rzecz biorąc, musiał mieć skończone przynajmniej dwadzieścia jeden lat, ale wyglądał na nie więcej niż dwanaście - gładkie policzki, jasnożółte włosy, gęste

13

popełniane są co noc w Nowym Jorku. I nie z powodu ofiary. W tłumie widać było same białe twarze - to właśnie odróżniało tę sytuację od typowej. Scenerią przestępstw popełnianych na ulicach miast jest zazwyczaj koloru ciemnobrązowego.

Brakowało tu także dzieci. Była to dzielnica zamieszкана przez białą klasę średnią. Dzieci nie przebywają tu na ulicy do późna, nawet w letnią noc. Nie stają się więc przypadkowymi świadkami aktów przemocy. Kilkoro zaledwie stało na obrzeżu tłumy, mocno trzymany przez rodziców za ręce i czym prędzej odesłanych do domu, gdy tylko przed rodzicami stanął problem wytłumaczenia im obecności zakrwawionych zwłok leżących na chodniku.

Inne też były odgłosy tej ulicy. Zamiast uciążliwego i ciągłego hałasu noszonych w Harlemie na ramieniu radiomagnetofonów, podniesionych głosów, wulgarnych śmiechów i pohukiwań, sporadycznych krzyków, odbijających się echem niby okrutna imitacja bólu, panowała tu niemal namacalna cisza. Dobiegające z domów przytłumione, odległe dźwięki odbiorników telewizyjnych i radiowych oraz szum urządzeń klimatyzacyjnych tworzyły wyciszone tło dla nadjeżdżających wozów policyjnych. Niemal zupełną ciszę przeszyły odgłosy nagle wyłączanych silników, otwieranych i zatraskiwanych drzwi.

A w górze słyhać było odrzutowce - tak zaskakująco blisko, że prawie można by ich dotknąć - na które mieszkańcy Barclay Street nie zwracali uwagi. Nad ich głowami przebiegał korytarz powietrzny dla samolotów lądujących na lotniskach Kennedy'ego i La Guardia. Był to dla tych ludzi odgłos normalny, do którego przywykli, podobnie jak do przytłumionego dudnienia pociągów

jadących na Long Island, których wibrację wyczuwało się przez podeszwy butów.

Uwagę Mike'a Steina zwrócił policjant pilnujący ciała. Logicznie rzecz biorąc, musiał mieć skończone przynajmniej dwadzieścia jeden lat, ale wyglądał na nie więcej niż dwanaście - gładkie policzki, jasnożółte włosy, gęste jasne rzęsy, którymi nerwowo mrugał, ciągle przesuwając językiem po wyschniętych wargach, lekko trzęsące się ręce. Starał się zachować spokój. Stał tak wysoki i wyprostowany, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo jego szczupłe, mierzące sześć stóp ciało nie pasuje do munduru policjanta. Mimo to dobrze wywiązywał się ze swego zadania, które polegało na utrzymywaniu ludzi z dala od zwłok. Na moment stracił swój pozorny spokój, kiedy na miejscu zbrodni pojawiło się dwóch innych oficerów policji, bardziej pewnych siebie i powierzonych im zadań. I wtedy ten młody gliniarz dał wyraz temu, co naprawdę myśli. Wątpliwe jednak, czy w ogóle zdawał sobie sprawę, że coś powiedział. A powiedział: „Dzięki Bdgu! Jak to dobrze, że już jesteście!” Była to głośno wypowiedziana myśl i Steinowi wydało się mało prawdopodobne, żeby ktoś jeszcze ją usłyszał. Wydano polecenie i zebrany tłum wykonał, co mu kazano: cofnął się, zostawiając nieco wolnego miejsca. Jakby dając ofierze trochę powietrza, szansę na zaczerpnięcie oddechu. Następnie tłum wykonał to, czego można się było spodziewać: pochylił się do przodu, by sprawdzić efekt. Nie było żadnego efektu. Młoda kobieta bez wątpienia nie żyła.

Był to tłum sąsiadów i Stein z łatwością poruszał się między nimi, udając, że jest jednym z nich. Wyglądał dokładnie jak ktoś, kogo widuje się codziennie wyprowadzającego psa, czekającego na windę, sprawdzającego, czy przyszła poczta, niosącego torbę z zakupami. Można go było wziąć za sąsiada mieszkającego na tym samym piętrze, którego spotyka się od czasu do czasu, może nawet mu się kłania, ale którego tak naprawdę nigdy się nie zauważa. Tacy właśnie są sąsiedzi: mgliście znajome twarze lub sylwetki, ludzie, których się widuje, ale rzadko kiedy zna. Ludzie, z którymi nigdy się nie rozmawia, poza wyjątkowymi sytuacjami: kiedy zdarzy się jakiś wypadek albo awaria prądu, kiedy jeden samochód zderzy się z drugim pośrodku ulicy, kiedy winda utknie między piętrami

14

lub gdy nadjedzie karetka i ofiarę ataku serca wyniosą sprawnie profesjonaliści, którzy zajmują się podobnymi sprawami, czy też w przypadku śmierci starszej pani, która zwykła przesiadywać w oknie mieszkania na parterze. Niektóre starsze panie i kilku emerytów wiedziało więcej, niżby się mogło wydawać. Potrafili do twarzy przypisać nazwiska i określić powiązania rodzinne: rozpoznawali żonatyh synów i zameżne córki, studentów, którzy odpadli ze studiów lub je ukończyli, wiedzieli coś na temat utraty pracy lub jej zmiany. I tu też znajdowali się ci starsi ludzie. Nie zbliżali się zanadto. Trzymając się razem, czekali i obserwowali.

- Kim ona jest? Wydaje się jakby znajoma.
- Myślałem, że to, no wie pani, ta dziewczyna, która...
- Tak, mnie też tak się zdawało, ale teraz.,
- Kiedy krzyknęła...
- Pan też to słyszał?

Pytanie było skierowane do Mike'a Steina, który wzruszył jedynie ramionami i ruchem ręki wskazał gdzieś za siebie, że niby mieszka na drugim końcu ulicy.

- Nawet po drugiej stronie ulicy było słyhać - pewien mężczyzna mówił do swojej żony, a ona zacisnęła usta i kiwała głową. - Najpierw myśleliśmy, że to pies. No wie pan, potracony przez samochód.

Tak. Na początku tak to właśnie brzmiało. Zgadzano się co do tego .dźwięku: wysoki, daleko rozchodzący się głos rannego zwierzęcia, który to unosił się w górę, to opadał w dół kanionu Barclay Street. Dźwięk powtarzający się uporczywie, jak się wydawało. Informację tę najpierw podali i potwierdzili mieszkańcy jednej strony ulicy, a potem drugiej.

- Wyłączyliśmy głos w telewizorze, myśląc, że to jakieś zakłócenia, falami radiowymi, wie pan, to CB radio, które czasami odbiera telewizor.

Tak to właśnie brzmiało. Przynajmniej na początku.

Stein spojrzał w stronę martwego ciała. Młoda kobieta pewnie żyła jeszcze, zanim zsunęła się po

latarni i umar-

15

ła opierając się o nią. Wiele osób mogło to potwierdzić. Słyszeli jej wołanie.

- Myślałem, że jest pijana, wie pan, albo zamroczona narkotykiem, kiedy się tak zataczała. Teraz znowu tłum przyznał, że się zataczała. Obserwowali na żywo to, co czasami widzieli oczyma wyobraźni.

- Szła jakaś taka przygarbiona...

- Ale niezupełnie. Odchyliła głowę do tyłu i...

Demonstrujący to młody, człowiek wywołał głosy aprobaty i dezaprobaty.

- Jak wydała ostatni krzyk, to dopiero wtedy odchyliła głowę i...

- Nie, to było zanim upadła.

Tłum składał się z naocznych świadków i panowała w nim atmosfera odprężenia, nieomal ulgi; ludzie powoli wyrzucali z siebie informacje, których chcieli się pozbyć, zrzucali ciężar, porównując wrażenia z ostatnich chwil życia martwej dziewczyny.

Nie oznakowany samochód policyjny zatrzymał się obok kilku wozów patrolowych. Kierowcą był bez wątplenia oficer policji. Złota odznaka przypięta do klapy marynarki dawała mu pełnię władzy na miejscu zbrodni. Zresztą samym sposobem zachowania wzbudzał posłuch. Przywołał do siebie umundurowanych "policjantów. Odwrócił się plecami do tłumu, powiedział coś niskim, spokojnym, dudniącym głosem, a potem podniósł rękę i pstryknął palcami. Był wyższy od pozostałych policjantów, za wyjątkiem młodego blondyna, od którego był jednak cięższy o jakieś pięćdziesiąt funtów.

- Torres - rozkazał - podejdź tam i rzuć okiem. I niczego nie dotykaj.

Wysoka, szczupła młoda kobieta skinęła głową; jej twarz pozostawała w cieniu, gdy poprawiała odznakę detektywa zawieszoną na szyi na łańcuszku. Przypięła plastikową kartę identyfikacyjną do kołnierzyka lekkiej lnianej sukienki, sprawdzając, czy nie ściera materiału. Poruszała się tak szybko, tak sprawnie, że zebrani ludzie

16

m

zauważyli zaledwie błysnięcie zlewających się miedziano-czerwono—złotych kolorów jej sukienki. Pracowała metodycznie, ignorując wszystko, co nie dotyczyło wyznaczonego zadania.

Zjawili się także ludzie z brygady zabezpieczającej miejsce zbrodni, szybko wyciągnęli z

furgonetki drewniane barierki z papierowymi nalepkami: MIEJSCE ZBRODNI. NIE

PRZEKRACZAĆ LINII. Obserwujący tłum odsunął się do tyłu, tłocząc się jeszcze bardziej, gdy tymczasem oni prędko i sprawnie ustawiali barierki.

- Kim jest ta dziewczyna? Ta dziewczyna, kim ona jest?

- Może siostrą? *

- Nie, teraz jeszcze nie dopuściliby siostry blisko ciała, prawda? Spójrz. Ma na szyi policyjną odznakę.

- Patrzcie państwo. Taka chuda ta dziewczyna, a jest policjantką.

Była drobnej budowy i poruszała się ostrożnie w pobliżu zwłok. Nie dótykając niczego, czyniła spostrzeżenia, opisując pozycję ciała. Każdy zauważony szczegół. Obok zwłok znajdowała się torba na ramię, duża, płócienna, podobna do toreb lotniczych. Jej zawartość rozsypała się, a rzeczy leżały tam, gdzie prawdopodobnie upadły. Uwagę dziewczyny zwróciła portmonetka, najwyraźniej wypchana banknotami, saszetka z kosmetykami, pudełko pełne tabletek, a także mała, zapieczętowana brązowa koperta. Tb na razie tyle, jeśli chodzi o zawartość torby; niczego nie wolno dotykać ani badać, dopóki ludzie z wydziału zabójstw nie wyrażą na to zgody.

- Myślałam, że to siostra tej Hiszpanki. Jest trochę do niej podobna.

- Wszystkie wyglądają tak samo.

Mike Stein rejestrował te uwagi; stanowiły materiał wyjściowy do dalszych dociekań. Obserwował uważnie policjantkę, kiedy tak stała i rozglądała się w tłumie, który teraz na niej skoncentrował całą swą uwagę.

W pomarańczowej poświacie latarni twarz Mirandy

Torres połykiwała ciemnym, ciepłym kolorem brązowego cynamonu, z mocnym podkładem czerwieni. Jej wystające kości policzkowe odbijały światło, podkreślając wklęsłość policzków. Piękna linia jej szczęki była czysta i zwarta. Oczy miała duże, ciemne, brwi czarne, a kąciki ust unosiły się lekko w górę, jakby w uśmiechu. Krótко obcięte włosy, po chłopięcemu opadały jej na skronie i czoło jedwabistymi kosmykami. Stała i rozglądała się w tłumie, a jej twarz nie wyrażała zupełnie nic. Równie dobrze mogłaby właśnie patrzeć w pustą przestrzeń, jednak zdradzało ją lekkie ściągnięcie kącików ust. Ten spokojny wyraz twarzy, pozorne opanowanie, skrywały twardość, która musiała ją wiele kosztować. Była tak wysoka i szczupła, że aż prawie krucha, było też coś dumnego w sposobie trzymania głowy, wysoko, z lekka pochylonej, pleców, zupełnie prostych, i ciała, symetrycznie wypośrodkowane-go, jak u tancerki.

Przyjechali ludzie z wydziału zabójstw. Stein odróżniłby ich w każdych okolicznościach. Byli ponurzy, choć wcale nie przerażeni. Podchodzili do ofiary morderstwa przygotowani na każde okrucieństwo i w najgłębszych zakamarkach swych umysłów odnotowywali perwersyjną niestosowność, jaka towarzyszy każdej śmierci, coś, z czego potem mogliby się pośmiać. Czarny humor; łaska odkupienia. Bez względu na to, co się stało, zawsze było coś śmiesznego w kondycji ludzkiej. Na 'ogół jednak ludzie ci wykazywali dużą ostrożność, zachowując swoje dowcipy, powiedzonka i' obserwacje dla siebie.

Miejsce zbrodni poszerzyło się znacznie, kiedy technicy rozeszli się dokoła w poszukiwaniu broni lub innych dowodów rzeczowych. Kredą obrysowano wszystkie plamy krwi, prowadzące na drugą stronę ulicy. Specjaliści od zabójstw naradzali się między sobą, punktowali, mierzyli, pobierali próbki krwi z każdej plamy, robiąc zdjęcia pod każdym kątem, by odtworzyć drogę i zachowanie mordercy-

Ludzie z tłumu mieli dość dużo do powiedzenia, więc

detektywi podchodzili do nich, zagadywali i otaczając rozmówcę ramieniem, pozwalali się prowadzić wzdłuż zaparkowanych samochodów. Potrząsali głową, robili notatki, zadawali pytania i słuchali, podczas gdy świadkowie zdarzenia przypominali sobie różne szczegóły lub coś wyjaśniali. Pewien mężczyzna pokazał samochód, który mógł należeć do ofiary. Poszedł właśnie do okna, by pomachać na do widzenia swemu znajomemu i stał tam jeszcze przez chwilę, a wtedy zobaczył, jak żółta toyota zatrzymała się w miejscu, które dopiero co zwolnił jego znajomy. Na pewno tak było. Jakaś dziewczyna, kobieta, wysiadła, zamknęła samochód i przeszła na drugą stronę ulicy, ale nie, on już dłużej jej nie obserwował, poszedł wziąć prysznic, a więc nic nie widział ani nie słyszał aż do chwili, gdy powstał cały ten hałas i zaczęły wyc te syreny policyjne, wtedy ubrał się i zszedł na dół, i wówczas przyszło mu na myśl, że ta kobieta, która zaparkowała samochód, być może, a raczej na pewno jest tą kobietą, którą zamordowano. Myśli pan? Może.

Może. Detektyw poszedł sprawdzić, kto jest właścicielem toyoty, przedtem ustawiając przy niej na straży umundurowanego policjanta.

Do martwej kobiety podszedł mały siwiejący mężczyzna w ciemnym garniturze, z czarną torbą lekarską. Wszyscy wiedzieli, kim jest - oglądali to już poprzednio w kinie, w telewizji. Musiał być lekarzem sądowym i na pewno nim był. Przywitał się z kilkoma policjantami z wydziału zabójstw, nim w ogóle spojrzał na ofiarę, w końcu jednak zwrócił wzrok w jej stronę.

- Masz już wszystko, co potrzeba, Ed? - zapytał fotografa robiącego zdjęcia miejsca zbrodni.

— Daj mi jeszcze dwie minuty.

Fotograf krążył dokoła, celował, błyskał fleszem, robił zdjęcia pod każdym możliwym kątem.

Wydawało się, że na próżno traci czas; pod każdym kątem dziewczyna i tak była martwa.

W końcu przyszła kolej na lekarza sądowego, ale ludzie z sąsiedztwa nie mogli dojrzeć, na czym polega jego praca, ponieważ dookoła stali detektywi zasłaniając im widok.

Stein wycofał się i zmieszał ponownie ze starszymi ludźmi. Nie zależało im aż tak bardzo, by usłyszeć każde słowo i odnotować przybycie każdej nowej osoby. Śmierć spoczywała tam pod latarnią uliczną i dotknęła pewną młodą kobietę. Stali w pewnym oddaleniu od swych sąsiadów.

- Czy myśli pan, że to ta Hiszpanka? - jakaś kobieta zapytała swego sąsiada, a on jedynie wzrdszył ramionami: Nie wiem. Czy w ogóle ktoś to wie?
- Gdzie mieszka ta Hiszpanka? - spytał cicho Mike zwracając się w stronę budynku i badając go wzrokiem.
- Nie, nie - powiedziała kobieta. - To tam, w pierwszym bloku.
- Nie tylko ta jedna dziewczyna, ale, zdaje się, obie siostry tam mieszkają.
- To stewardesy, tym się chyba zajmują.
- Trzecia dziewczyna, najmłodsza siostra, chodzi do szkoły. Z nią jest najwięcej kłopotu, sprowadza chłopaków i głośno nastawia muzykę. Jej siostrkę, stewardesa, przyjeżdża i wyjeżdża, bez hałasu.

Stein usłyszał szmer, wspólny wyraz zdziwienia i szoku. Obrócił się i obserwował, jak lekarz rozprostowuje ciało zastygłe w pozycji siedzącej. W blasku rozstawionych świateł odkryto przed zebraniem tłumem całą krwawą realność tej gwałtownej śmierci, z której ci ludzie dotychczas nie zdawali sobie sprawy. Wyglądało to jednak inaczej niż na filmie czy w telewizji.

Na obu policzkach kobiety widać było długie i szerokie cięcia. Jej piersi i ramiona były tak zakrwawione, że w pierwszej chwili trudno było stwierdzić, czy zadano jej jeszcze inne rany. Nie zabrało to jednak lekarzowi wiele czasu, wkrótce zakończył pracę i spakował swoje rzeczy.

Stein przechadzał się wśród mieszkańców Barclay

20

Street, zatrzymując się, przysłuchując rozmowom. Przestali, przynajmniej na razie, porównywać między sobą to, co widzieli i słyszeli.

Podszedł teraz bliżej ciała, tak blisko, jak pozwalały na to barierki policyjne, a potem jeszcze bliżej. Przez chwilę słuchał, jak jeden z detektywów przekazuje koledze informacje, które należy włączyć do wstępnego raportu: żadnych widocznych śladów gwałtu lub obrażeń na tle seksualnym; żadnych śladów kradzieży - nie ruszona portmonetka i karta kredytowa; ofiara trzymała w dłoni klucz do mieszkania.

Pozostali detektywi przemierzali ulicę, skupiając teraz uwagę na ludziach, którzy patrzyli w oczekiwaniu, że może jeszcze coś się wydarzyć. Policjanci bardzo sprawnie wykonywali swoje zadanie, starając się nie spłoszyć zebranych. Krążyli między nimi, rozmawiali, zadając pytania bardzo taktownie, rozważnie, świadomi, kim są ci ludzie: przedstawicielami klasy średniej z Barclay Street w dzielnicy Forest Hills, którzy dotąd nie widzieli nic podobnego, nigdy.

Policjanci, oczywiście, mieli pełniejszy obraz sytuacji. Stein stał, spokojnie obserwując, słuchając i rejestrując ich zdziwienie oraz dokładnie kontrolowaną reakcję na fakt, że ci ludzie śledzili kolejne fazy tego przestępstwa: obserwowali i słyszeli, i widzieli wszystko od początku do końca.

Prawdopodobnie przez blisko dwadzieścia minut.

Rozejrzał się dokoła, zatrzymując wzrok na młodym blondynie, oficerze policji, który gorliwie przyglądał się pracy detektywów i służb technicznych. Podszedł do młodego policjanta z pewnością i władztwem właściwym starszemu rangą oficerowi.

- Pierwsi znaleźliście się na miejscu? - zapytał.
- Tak jest. To znaczy, ja i mój kolega. Otrzymaliśmy zgłoszenie o jedenastej trzydzieści lub jedenastej trzydzieści jeden. Mam to zapisane w notatkach, proszę pana.
- A kto zadzwonił? Czy to było zgłoszenie pod 911, czy jak?

21

Policjant rozejrzał się ostrożnie dokoła, pochylił w stronę Steina i wyznał:

- Widzi pan tego kierowcę autobusu? Niech pan raczej posłucha, co on ma do powiedzenia.
- Lepiej wy mi powiedzcie.
- Tak jest. A więc podobno... no więc ci wszyscy ludzie mówią mi, że widzieli tę dziewczynę, i tego faceta mocującego się z nią, walącego ją po głowie, wrzeszczącego i tak dalej, i niektórzy z

nich widzieli, jak dźgał ją nożem, a potem widzieli, jak daje nogę, i wszyscy to obserwowali, no i...

* \

- Do rzeczy.

- I nikt nie zadzwonił pod 911. Wszyscy ci ludzie, no, niektórzy z nich albo większość, oni wszyscy przyglądali się temu i wszyscy mogą powiedzieć, co się działo od samego początku, ale... nikt nie zadzwonił. Nikt... nic nie zrobił.

- A kierowca autobusu?

- On tak. Zakończył swój kurs na Metropolitan Avenue i kiedy skręcił w Barclay Street, zauważył ją, tak mówi, jak siedziała, oparta o latarnię, i wyglądało na to, że jest martwa. No to zatrzymał autobus, wysiadł i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Powiedział, że sądząc po ilości krwi, domyślił się, że musiała tam być już od dawna - widać było, że nie żyje. I nikt nic nie zrobił. Tylko patrzyli z okien. I wtedy on zaczął wrzeszczeć i w ogóle, i zmusił kogoś, żeby zadzwonił pod 911.

- Ile było telefonów?

Policjant spojrzał z zakłopotaniem.

- Nieważne. W porządku. Dziękuję wam.

Stein odwrócił się i znowu zaczął przechadzać się w milczeniu. Obserwował detektywów pracujących wśród tłumu: przyjacielskich, swobodnych, pomocnych. Wiedzieli już wszystko. Starali się zebrać jak najwięcej świadków, by odtworzyć pełny scenariusz, od początku do końca, bo zdawali sobie sprawę, że wszystkie potrzebne informacje są dostępne. Świadcami całego zdarzenia byli miłośnicy

22

filmu i znawcy telewizji, którzy potrafili przewidzieć niemal każdy krok i dopiero teraz zaskoczyło ich, że to wszystko stało się naprawdę.

Mike starał się nie przyglądać z bliska ich twarzom, bo zaczął dostrzegać w nich to, czego nie chciał zobaczyć. Chciał zachować spokojny dystans do tego w końcu najzwyklejszego ulicznego przestępstwa. Na podstawie tego, co usłyszał, jego tłem mogła być sprzeczka kochanków.

Popelniono je bowiem wcale nie ukradkiem, lecz na środku ulicy, w świetle ulicznych latarni i na oczach świadków. To właśnie zabarwiało je wielkimi emocjami.

A jednak nie było* to zwyczajne zdarzenie. O ile samo zabójstwo nie było czymś niezwykłym, to fakt, że w tym momencie wszędzie dokoła stało tylu jego świadków, wymieniając spostrzeżenia, odsłaniając przed detektywami scenariusz- tego, co się zdarzyło, minuta po minucie, był bardziej niż niezwykły. Świadkowie zbrodni, z którymi miał dotychczas do czynienia, zazwyczaj albo milczeli, albo mówili: „Ja nic nie wiem, człowieku. Nawet tu nie mieszkam, tylko patrzę, jak wszyscy inni. Nie mam z tym nic wspólnego, do cholery”.

Gorliwość mieszkańców Barclay Street wywołała w nim przelotne 'uczucie bezradności. Na chwilę odwrócił się od nich, starając się oczyścić swój umysł, wstrzymać się z osądem, ale nie był w stanie zahamować przepływu znanego mu, choć od dawna uśpionego prądu, który wyostrzył jego intelekt ładując go nową energią. Coś strasznego działo się na tej ulicy, wśród tych ludzi, czego jedynym widocznym świadectwem było martwe ciało w świetle latarni. Mike'em Steinem wstrząsnęło silne uczucie oburzenia. W ciągu tych wszystkich lat uodpornił się, obserwując okropności, jakie ludzie wyrządzali sobie nawzajem, stracił wrażliwość z powodu tuzinkowości zbrodni, pozbawionej wszelkiego znaczenia i wagi. Przenikający go prąd wyostrzył i poszerzył jego punkt widzenia. W tej chwili popełniano tu o wiele większą zbrodnię, kiedy ci wszyscy porządni ludzie tak opowiadali o tym, jak patrzy-

23

li. I patrzyli. I czekali, gdy tymczasem ta dziewczyna leżała konając.

Obrócił się twarzą w stronę domu stojącego dokładnie na wprost latarni i jego uwagę przykuł uporczywy stukot urządzenia klimatyzacyjnego, które umieszczone było na podpórce na zewnątrz

środkowego okna mieszkania znajdującego się tuż nad ulicą.

Był to dźwięk starego urządzenia, które wyłączono; odgłos, który w cichą noc staje się nie do zniesienia, głośny i jednostajny. Zauważył poruszenie za przezroczystymi białymi firankami, jakąś dziwną zjawę: osobę stojącą, obserwującą, nasłuchującą, opierającą się o framugę okienną, prawie niewidoczną. Jedyne wyteżając wzrok zdołał zauważyć, że ta obserwująca wszystko osoba jest owinięta w bandaże. Wydawało się, że ma zabandażowaną całą twarz.

Kiedy zmrużył oczy i podszedł bliżej, osoba ta zniknęła, jakby wyparowała, i przez chwilę zastanawiał się, czy może wymyślił to sobie.

Poczuł się nieswojo, nie wiedzieć czemu.

W pobliżu autobusu powstało zamieszanie. Najwyraźniej zjawił się przełożony kierowcy, co dało temu drugiemu okazję do wyrażenia opinii na temat mieszkańców Barclay Street. Jak dotąd zachowywał się bardzo spokojnie, rozmawiając wyłącznie z detektywami.

- Wiesz, jacy to są tu ludzie, Jimmy? Powiem ci. Stali w oknach i patrzyli, jak ta dziewczyna kona na ulicy, na ich oczach, i żaden z nich nie podszedł do telefonu i nie zadzwonił." Nikt nie zadzwonił pod 911 i nie starał się pomóc tej małej. I co ty na to, no?

Przełożony starał się go uspokoić, kierując go w stronę autobusu, ale kierowca jakby się dopiero rozgrzał.

Zaczął używać takich słów, o których wiedział, że obrażą tych ludzi; podważył ich dobre mniemanie o sobie. Kilka osób w tłumie zawołało, że nie ma racji, że powinien się zamknąć i wracać do domu.

- Zasłużyliście sobie na to, co tu się stało! - wyrza-

24

m +

skiwał do nich dziko. - Wy wszyscy... nie pilnujecie swoich własnych córek! Co z was za ludzie?

- Nie, niech pan tak nie mówi - powiedział miękko jakiś starszy mężczyzna. - Nie wiedzieliśmy, że ta dziewczyna...

Wokół kierowcy rozlegały się ciche protesty i wyjaśnienia. Nic nie rozumiał, źle to wszystko odebrał, przecież wcale tak nie było.

- Tak właśnie było, wy dranie, wy wszyscy staliście w oknach i gapiliście się na nią, i nikt palcem nie kiwnął. Pozwoliliście jej umrzeć, wy skurwiele, wy wszyscy!

Starszy mężczyzna objął ramieniem swoją żonę i obrócił ją do tyłu. Jak na jedną noc, to zobaczyli i usłyszeli już wystarczająco dużo. Nie muszą wysłuchiwać wrzasków i obelg tego szalonego człowieka.

Barczysty facet w szarej bluzie dresowej i obciętych džinsach, z twarzą spoconą i czerwoną ze złości, przepchnął się przez tłum i stanął przed kierowcą. Stali tak naprzeciw siebie, pierś w pierś, oko w oko.

- Hej, ty krzykaczu, czego tu tak wrzeszczysz, co? To ty nic nie zrobiłeś, tylko pojechałeś dalej, mijając tę dziewczynę za pierwszym razem, więc uważaj, co pleciesz, ty gnojku. Znalazł się taki, co nam będzie mówił, co mamy robić! Jezu!

Kierowca autobusu wyrwał się z uścisku przełożonego i wysunął do przodu brodę. Oczy mu błyszczały, zacisnął pięści.

- Ja nic nie zrobiłem?! Ja? Ja nic nie zrobiłem? Przecie to ja padłem na kolana, żeby pomóc temu dzieciakowi, i kazałem wam wezwać gliny. Dalej by tak leżała, gdybym się nie zatrzymał i...

- Wcale się nie zatrzymałeś za pierwszym razem, kolego - powiedział ten duży facet.

Odwrócił się do swych sąsiadów: - Nie zatrzymał się za pierwszym razem. Przejechał obok niej, na chwilę zatrzymał się przy znaku i wziął zakręt. - Zwrócił się ponownie w stronę kierowcy: - Skończyłeś najpierw tę swoją cholerną trasę, więc nie pieprz, że to ty jej pomogłeś.

25

f

- Co? Co takiego? - Kierowca znowu obrócił się do swego przełożonego, pozwalając, by ten przytrzymał go za ramię, przejął kontrolę, powstrzymał go.

- Ja to też widziałem - powiedział nie wiadomo do kogo niski, okrągły, siwy mężczyzna

stojący obok Mike'a Steina.

- Tak właśnie zrobił.
- Tak. Widziałem.
- Taa.

Pozostałe osoby z tłumu oglądały nie tylko napad i konanie. Obserwowały także, jak kierowca autobusu kończy swoją trasę nie zatrzymując się, a dopiero po jakimś czasie wraca i wysiada z autobusu. Kiedy było już za późno.

Wszystkie te uwagi, oskarżenia, relacje były zapisywane, skrzętnie odnotowywane w celu dalszego zbadania, nie tylko przez Steina, ale i przez wszystkich detektywów w cywilnych ubraniach, którzy krążyli przez cały czas wśród tłumu.

Kierowca, potrząsając głową, rozżalony - i bądź tu uczciwy, to jeszcze kopa w dupę dostaniesz - pozwolił swemu przełożonemu poprowadzić się w stronę autobusu. Miał już dość tych ludzi. Cóż można im powiedzieć, tym ludziom, którzy pozwolili umrzeć dziewczynie w taki sposób?

Nie udzielając jej pomocy.

- Wie pan, kim moim zdaniem może być ta dziewczyna? - starsza kobieta zwróciła się do Mike'a. - Zna pan tę kobietę, panią Hynes, która mieszka na parterze? To może być jej córka, jest pielęgniarką. Kiedy pani Schroeder powiedziała mi, ona jest podobna do tej Hiszpanki z ostatniego piętra, pomyślałam sobie, że wcale nie. Mnie się wydała podobna, kiedy tam tak siedziała... mój wzrok nie jest już taki dobry, ale pamiętam tę dziewczynę... do córki pani Hynes, pielęgniarki. Myśli pan, że to może być ona? Mam nadzieję, że nie.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedział Mike.

26

- Mam nadzieję, że nie - powtórzyła kobieta. Wzięła męża pod ramię mówiąc: - Już chyba pora, już chyba pora, żebyśmy poszli do domu. To straszne. Na pewno nie zmrużysz teraz oka całą noc, przejęty tą okropną historią. Nigdzie dziś nie jest bezpiecznie, nigdzie.

Działając pod wpływem impulsu, pod wpływem niezgłębionej intuicji, którą zawdzięczał latom doświadczenia, Mike skierował kroki w stronę wejścia do budynku pod numerem 68-35. Wszedł do przedsionka i natychmiast zauważył, jak czyste jest to pomieszczenie. Błyszczała prostokątna mosiężna tabliczka z przyciskami dzwonek do mieszkań. Podłoga była wyszorowana i pozbawiona zapachu brudnych szmat. Przeczytał nazwiska lokatorów. «

Mieszkanie 1-A, pani Hynes.

Wszedł na zewnątrz i przestudiował układ mieszkań, zgadując: będzie to, był tego pewien, mieszkanie z oknami wychodzącymi wprost na latarnię, pod którą leżała martwa dziewczyna, teraz przykryta jasnym kocem. To mieszkanie ze stukającym, wyłączonym urządzeniem klimatyzacyjnym; mieszkanie ze zjawą wyglądającą spoza przeźroczyстых firanek.

Kiedy przybyło jeszcze więcej detektywów, którzy kręcili się między świadkami, zapisując ich nazwiska, adresy, numery telefonów i informacje, mężczyzna z wydziału zabójstw dał znak: zakończył pracę przy zwłokach. Zsunął przykrycie, lekko zarzucone na głowę martwej kobiety.

- Czy ktoś ją zna? - zapytał, pozwalając kilku ciekawskim spojrzeć na zakrwawioną twarz. Współpracownik Mirandy Torres przeglądał uważnie zawartość portmonetki ofiary. Stein przekroczył linię koła i stanął obok Torres. Nikt nie zaprotestował.

- Czy ktoś zna kobietę o nazwisku Anna Grace?

Nikt nie znał.

Adres wskazywał dzielnicę Little Neck; wysłano tam kilku policjantów, aby powiadomili jej męża. Przeczytał informację podaną „na wypadek gdyby”:

27

mąż, William; zatrudniona w szpitalu Św. Jana. Ta dziewczyna to pielęgniarka? Czy ktoś ją może zna?

Inna kartka: podobne informacje.

Anna Hynes Grace... czy ktoś ją zna?

Stein szybko rozejrzał się wokoło. Starsza kobieta i jej mąż już sobie poszli. Wyglądało na to, że ta

informacja nikomu nic nie mówi.

Szybkim ruchem Mike Stein ujął ramię Mirandy Torres. Obróciła się do niego, zdziwiona.

- Proszę ze mną, pani oficer. Chodzi o identyfikację ofiary.

Mówił do niej takim tonem, jaki spodziewała się usłyszeć, do jakiego była przyzwyczajona, tonem wyższych rangą oficerów policji. Ruszyła za nim nie zadając pytań. Był to rozkaz nie podlegający dyskusji. Musiała prawie biec, żeby za nim nadążyć. Najwyraźniej dokładnie wiedział, dokąd idzie i co ma zamiar zrobić.

Nie mogła mu się zbyt dokładnie przyjrzeć w słabym świetle przedsiionka. Nie rozpoznała go, ale wcale jej nie zdziwiło, kiedy zwrócił się do niej po nazwisku. Nad odznaką detektywa miała przecież przypiętą kartę identyfikacyjną. Była trochę zaskoczona, gdy z portfela wyjął plastikową kartę kredytową i użył jej do otwarcia zamkniętych drzwi, które prowadziły na korytarz. Zauważył jej zdziwienie i wzruszył ramionami.

- Słuchajcie - powiedział. - Jest tam kobieta, która was potrzebuje. Najważniejsze, żebyście się tam teraz znaleźli, okay?

Cofnął się o krok, żeby ją przepuścić, po czym trzymając dłoń na jej ramieniu, skierował ją do mieszkania 1-A. Odetchnął głęboko, po czym nacisnął dzwonek. Wydał długi, przytłumiony dźwięk. Kiedy dzwonek ucichł, zaległa cisza, a po chwili dał się słyszeć przeciągły jęk: głos zranionej zwierzyny. Miranda Torres spojrzała zaniepokojona na Steina, który w napięciu obserwował drzwi.

- No, pani Hynes - powiedział miękko. - Proszę otworzyć.

28

Usłyszeli odgłos opadającego łańcucha, odsuwanej zasuwki i drzwi otworzyły się ukazując długi, słabo oświetlony korytarz.

W progu stała kobieta ze zwieszonymi rękoma, w ciemnych okularach na zabandażowanej twarzy. Mike Stein jeszcze raz wymówił jej nazwisko.

Kobieta potrząsnęła głową, a jej głos przypominał szepczący i bolesny dźwięk, gdy powiedziała błagalnie:

- O nie. Nie, nie. Nie mówcie mi tego. Proszę. Proszę, nie!

Wysunęła rękę, chwytając ramię Mirandy Torres i mówiąc przeraźliwym szeptem:

- Myślałam, że to ta Hiszpanka!

II

Bill Grace wpatrywał się w dwóch umundurowanych policjantów stojących w drzwiach.

- Tak, jestem Bill Grace, panie oficerze, o co chodzi?

- Otóż, panie Grace... czy możemy wejść? Strasznie dziś gorąco. ,

- Tak, no pewnie. Wchodźcie, podkreśliłem klimatyzację. Może piwko lub coś w tym rodzaju?

Kiedy obaj odmówili, Bill Grace gestem ręki wskazał kanapę. Bardzo starał się nie dopuścić ich do głosu. Cokolwiek mieli mu do powiedzenia, i tak nie chciał o tym słyszeć. Uświadomił sobie, że przez cały czas mówi miękko, niskim głosem, a słowa potykają się jedno o drugie, jakby próbował stworzyć wokół siebie parawan, by się ochronić przed tym, co mu chcieli powiedzieć.

- Ja też pracuję dla miasta. Straż pożarna. Jestem ratownikiem. Kiedyś nazywaliśmy się strażakami, ale dziś już tak się nie da. Teraz, gdy mamy ruch wyzwolenia kobiet, ruch równych szans dla wszystkich i podobne rzeczy.

Nagle zamilkł. Wyszło mu w ustach; nie mógł prze-

tknąć śliny. Czuł przyspieszone bicie serca. Zauważył, że młodszy gliniarz zerka na starszego.

Przeżywał już podobną sytuację Bóg wie ile razy. Posłaniec ze złymi wieściami: Panie Jones, przykro mi bardzo, ale pańska żona nie przeżyła. Zaczadzenie. Jeśli to może być dla pana jakąś pociechą, to odeszła bardzo prędko, jakby pograżając się we śnie. A co do dzieci, to, panie Jones — Jezu, ten kawałek był naprawdę trudny. Na popiół. Spalone. I jakże to można wyrazić łagodniej? Cokolwiek ci faceci chcą mu wcisnąć, on i tak tego nie kupi. Wykluczone.

- Przykro nam, panie Grace, ale zdarzył się straszny wypadek.

Młody policjant, dla którego było to pierwsze tego rodzaju doświadczenie, załapał już, w czym

rzecz: zaczynasz powoli i spokojnie. Wypadek; szczegółów i tak dowiedzą się za chwilę.

- Pańska żona Anna, panie Grace. Nie żyje i musi pan pojechać z nami, by zidentyfikować ciało. Znaleziono ją w Forest Hills.

Ratownik potrzęsął głową i odetchnął z ulgą.

Popelniono błąd. Jezu, co za pomyłka!

- Słuchajcie, moja żona jest pielęgniarką. Ma właśnie ■ dyżur w szpitalu Św. Jana w Elmhurst, nocny dyżur. Zaraz to wam, do diabła, udowodnię.

Sięgnął po słuchawkę, wykręcił numer i zaczął mówić:

- Tak, dobry wieczór, panno Parson. Tu Bill Grace. W porządku. Czy mogę na chwilę prosić Annie? Ważna sprawa.

Wiedział, że jej tam nie ma. Ale musiał spróbować dla porządku. Wiedział, że tacy faceci jak oni nie popełniają tego rodzaju pomyłek, tak jak i on ich nie popełnia.

Bardzo wyraźnie wymawiając słowa, zapytał:

- Więc o której wyszła?

Spostrzegł zatroskany wyraz twarzy młodego policjanta: może jednak się pomylili. Twarz starszego gliniarza była obojętna i spokojna.

30

Spojrzał na zegarek.

- Wyszła około jedenastej? Dwie godziny temu? Dziękuję. Nie, nie. Nic się nie stało. Nic.

Odłożył słuchawkę, odwrócił się i zapytał:

- No to co macie mi do powiedzenia?

Przez całą drogę z Little Neck do Forest Hills Bill Grace nie przestawał mówić. O swojej pracy, o ryzyku, na jakie są narażeni, i ilu ludzi uratowali. Stawał jakby w jednym szeregu z policjantami. Byli po tej samej stronie. To nie oni byli ofiarami.

Nagle zaczął opowiadać o swojej żonie.

- Panna Parson, jej przełożona, powiedziała, że Annie rozboleła głowa. Rany, ostatnio często jej się to zdarzało, migreny są naprawdę straszne, sami wiecie. Ale ona coś na nie bierze i to pomaga. Ona by nie pojechała do Forest Hills, bo jej matka wyjechała na Florydę. Moja teściowa jest tam w odwiedzinach u swojej matki, która mieszka w ośrodku dla emerytów na Florydzie... Mówił aż do chwili, gdy wysiedli z samochodu i poprowadzono go przez tłum na miejsce oznaczone jako miejsce zbrodni. Ktoś odkrył twarz Anny Grace.

Bill' Grace ukląkł.

- Hej, mała, o co tu chodzi? Co się tu stało?

Objął ją, a wtedy zsunął się z niej koc. Trzymał ją bardzo mocno, przeczesując palcami jej długie, ciemne włosy. W końcu poczuł na ramieniu mocny uścisk dłoni. Spojrzał w górę ze zdziwieniem, zmieszany.

- Panie Grace - powiedział miękko detektyw - przepraszam, ale nie zadałem jeszcze panu oficjalnie tego pytania. Czy rozpoznaje pan w tej kobiecie swoją żonę?

Bill odwrócił się od niej i wtedy dopiero zdał sobie sprawę, że jest cała zakrwawiona. Jej twarz, ramiona i ubranie były pokryte krwią.

- Annie? - zawołał łagodnie. - Annie? To nie może być Annie. Mój Boże, Chryste, Annie, co się stało?

Detektyw skinął głową w stronę ludzi z noszami: w porządku, została zidentyfikowana.

31

- No, panie Grace. No, Bill - ktoś zwrócił się do niego poufale. - Wejdźmy do środka, do mieszkania pańskiej teściowej, i zobaczmy, co da się zrobić, okay? Wszystko będzie dobrze - powiedział bez sensu mężczyzna, bo nic już nie będzie dobrze, ale Bill uznał to za rzecz, jaką zwykło się mówić, więc skinął 'głową, zostawił ciało i odszedł z detektywem.

W mieszkaniu Mary Hynes znajdowało się wiele osób. Bill rozejrzał się w poszukiwaniu teściowej

i zobaczył ją stojącą w drzwiach do kuchni. Podobna była do filmowego niewidzialnego człowieka. Zakrawało to na jakiś żart - jej twarz była ukryta za bandażami, a ona nagle odwróciła się gwałtownie i wpadła do swej sypialni, trzaskając drzwiami.

Usłyszał jej łkanie.

Przyjął wówczas do wiadomości, że naprawdę wydarzyło się coś strasznego i nieodwracalnego.

Zaczął wypytywać obcych ludzi, znajdujących się w pokoju:

- Kto im to zrobił? Kto je tak zranił?

Zawołał:

- Mary, kto ci wyrządził krzywdę? Kto skrzywdził Annie? Mary, na litość boską! »

Otworzył drzwi do jej sypialni i aż nie mógł uwierzyć, tak drobna mu się wydała. Leżała na łóżku odwrócona do niego plecami, podciągnęła kolana trzymając w dłoniach zabandażowaną twarz.

- Och, Mary - powiedział do niej. Jego głos był chropawy, tak jakby wszedł do pokoju wypełnionego dymem papierosowym. W ustach czuł smak popiołu. - Mary, mój Boże, co oni ci takiego zrobili? Jak... co...

Wszystko było takie dziwne. Bez sensu. Annie, tam na zewnątrz, cała we krwi; Mary, tu w środku, cała w bandażach. Jakby wszystko rozegrało się bez jakiegokolwiek chronologii. Niczym w koszmarze, wypadki krzyżowały się, wymykały i zlewały ze sobą.

Zaskoczyła go jej nieustępliwość. Wydawało się, że jego

32

dłonie napotyka ją kamień, kiedy próbował obrócić ją do siebie.

- Mary, proszę, mamó, powiedz mi, co się stało, proszę!

Spod bandaży doszedł cichy przytłumiony dźwięk, głos kogoś zakneblowanego, zduszony i bolesny. Ktoś odciągnął Billa Grace na bok. Był to lekarz. Widać ktoś posłał po lekarza.

- Ona cierpi, mój synu. Pozwól, że teraz ja się nią zajmę.

- Ale co się stało? Nie rozumiem. Kto jej to zrobił? Dlaczego jest obandażowana? Co się stało? To wszystko nie ma sensu.

Zwrócił się do znajomej mu twarzy, sąsiadki zaprzyjaźnionej z jego teściową:

- Pani Ferris? Co się stało Mary?

- Billy, chodź do drugiego pokoju. Proszę, chodź.

Poszedł z nią, skupiony na niej tak bardzo, że pozostałe osoby kręcące się po salonie Mary Hynes wydawały się jedynie tłem.

- Powiedziała nam, że jedzie na Florydę. Dlaczego jest tutaj, pani Ferris? Kto im to zrobił, Annie i Mary?

- Billy, Mary nie chciała, żebyście o tym wiedzieli. Ona...

- Wiedzieli? Co wiedzieli? No co?

- Zrobiła sobie taką... operację plastyczną wczoraj rano.

- Operację plastyczną?

Powtórzył dokładnie jej słowa, fonetycznie, tak jakby nigdy dotąd ich nie słyszał. Nie miały dla niego sensu.

Sąsiadka mówiła dalej:

- Miała zamiar pojechać na Florydę w przyszłym tygodniu, a po jej powrocie do domu zobaczylibyście, jak świetnie wygląda. Wypoczęta. Miała wam nic o tym nie mówić. Poddała się tej operacji wczoraj rano. Dlatego jest zabandażowana.

- Ale... a... Annie? Ktoś skrzywdził moją żonę, tam, tam na zewnątrz, naprzeciwko mieszkania Mary.

33

Podszedł gwałtownie do okna, rozsunał przezroczyste firanki, podniósł wążutkie listewki żaluzji. Ludzie stojący na chodniku obrócili się i spoglądali na niego.

- Tam. Dokładnie tam. To przecież bez sensu. Skąd Annie się tu wzięła? Czy wiedziała, że Mary jest w domu? Czy Mary widziała... przez okno... Czy...

Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że widzi twarz swego brata, właśnie tam, na chodniku, w tłumie, a chwilę potem czas, wirujący jak szalony według niepojętego porządku, sprawił, że brat znalazł się w pokoju obok niego, obejmując go ramionami, przytrzymując go. Zaciśnął mocno powieki. Wiedział, że to pomyłka. Znajdował się na miejscu pożaru; pokój był wypalony, zwęglony i czarny, ze zwłokami nie znanych mu osób. Jedyne, czego potrzebował, to łyk lub dwa tlenu, a wszystko będzie dobrze.

Ale nikt jakby nie zdawał sobie z tego sprawy i po raz pierwszy w życiu Bill Grace stracił przytomność.

III

Kapitan William O'Connor, dowódca brygady detektywów z 112. komisariatu policji, tarł oczy. Była dziesiąta rano, a on pełnił służbę od chwili, gdy wezwano go na miejsce zbrodni o pierwszej w nocy. Czuł się raźnie i rześko, bolały go jedynie oczy. Z powodu nowych szkieł. Źle widział w nich i równie źle widział bez nich. Wysunął górną szufladę biurka i znalazł swoje stare, porysowane okulary. Były nieostre, ale za to wygodne, no i przyzwyczaił się do nich.

Detektyw James Dunphy przyniósł mu kubek kawy i postawił go delikatnie na bibularzu.

O'Connor ostrożnie wypił łyk, uśmiechnął się i powiedział:

- Widzisz, praca z dziewczyną ma swoje dobre strony. Ta twoja mała kobietka zaparzyła nam świeżej kawy, co?

34

Zartował. W dzisiejszych czasach każdy musi uważać mówiąc, co kobiety powinny, a czego nie powinny robić w pokoju brygady. Nikt nawet nie śmiał zasugerować, że mogłyby mieć swój wkład w parzenie kawy. Bo komuż, do cholery, chciałoby się wysłuchiwać wrzasków oburzonych prawniczek na temat męskiego szowinizmu?

Dunphy wskazał brodą raport leżący na biurku kapitana.

- Cholera, wdzięczny jestem, że ta dziewczyna lubi pisać na maszynie. I jest w tym dobra. Mojemu bratu Johnowi, z czterdziestego szóstego komisariatu w Bronxie, też przydzielono dziewczynę do współpracy, i pierwsze słowa, jakie ona mówi, pierwsza rzecz, jaką od niej słyszy, to: „Pracowałam jako sekretarka przez pięć lat, kochasiu, i nie będę nic nikomu więcej pisać, chyba że dla siebie samej”.

Byli przyjaciółmi od dwudziestu lat, razem przeszli przez Akademię Policyjną i obserwowali, jak zmienia się nie tylko świat zewnętrzny, ale i ich wydział. Zgadzała się jednak co do tego, nie poświęcając zresztą tej sprawie, dłuższych dyskusji, że Dunphy to prawdziwy szczęściarz. Skoro już miał «współpracować z kobietą, to nie mógł lepiej trafić z tą Mirandą Torres. Była dobra, była twarda, nie sprawiała żadnych kłopotów, nie ukrywała przed nim informacji, rozumiała, na czym polega partnerstwo. Jednym słowem, wydawało się, że Torres to równa dziewczyna.

Otaczała ją jedynie pewna aura tajemniczości, bo nie było wiadomo, kto za nią, do diabła, stoi.

Pracowała w policji już od sześciu lat. Otrzymała dyplom z prawa kryminalnego w John Jay. Prosto z Akademii została skierowana do tajnej policji walczącej z narkotykami we Wschodnim Harlemie i po dwóch latach wykonywania tej pracy otrzymała trzeci stopień. Zgodnie z przepisami. Nie było w tym nic niezwykłego. Ale na dwa tygodnie przed jej przeniesieniem do pracy w 112. komisariacie Miranda Torres otrzymała awans na detektywa drugiego stopnia.

35

ą

Nie było wątpliwości, że wywoła to wrogość wśród nowych kolegów. Jej awans zamykał bowiem komuś innemu z brygady drogę do tego stopnia. Nie chodziło tylko o to, że skorzystała z istniejącej możliwości, ale że jakiś taj-niak utknął przez nią na trzecim stopniu.

Każdy wie, że w dzisiejszych czasach wcale nie trzeba być naprawdę kimś, żeby otrzymać poważne zadanie, uzyskać awans, dostać medal. Ktoś uhonorowany przez wydział podobnymi wyróżnieniami najczęściej miał jedynie służyć za przykład, robić statystykę, by w ten sposób wyjść naprzeciw nie kończącym się żądaniom równych szans i pozytywnych działań na rzecz pokrzywdzonych i pominiętych przez historię.

Według szacunków brygady, Miranda Torres idealnie odpowiadała czyjemuś wyobrażeniu potrójnej

ofiary losu: była bowiem kobietą, przedstawicielką mniejszości hiszpańskojęzycznej i w dodatku ciemnoskórą. Kiedy jednak O'Connor zasięgnął na jej temat informacji, nic się nie zgadzało. Torres nie była działaczką żadnej organizacji, a organizacje nie udzielają poparcia samotnikom.

Organizacje czarnych nie dałyby swego poparcia, bo w jej przypadku ciemna skóra nie była czymś tak bezspornym, przynajmniej na oko. Skórę miała brązową, a wystające kości policzkowe upodabniały ją do amerykańskiej Indianki. Ale urodziła się kobietą. Jeśli kobiety chciały się gdzieś dostać, to same musiały sobie radzić. A ona była Hiszpanką z Puerto Rico. Niech więc tamci się o nią troszczą.

Organizacje zrzeszające mniejszość hiszpańskojęzyczną też jej nie popierały ani nie promowały. Interesował je bowiem głównie awans mężczyzn. Kobiety i tak zabierają mężczyznom pracę. Nie potrzebna im pomoc.

Także i organizacje kobiece nie były uszczęśliwione awansem Mirandy. Niech się o nią troszczy mniejszość hiszpańskojęzyczna lub czarni. Ich idealnym kandydatem byłby ktoś nie wspierany przez żadną inną organizację.

Miranda nie była członkiem Towarzystwa Świętego

36

Imienia ani jakiegokolwiek z innych organizacji religijnych działających wśród pracowników wydziału policji. Dryfowała tak sobie w pojedynkę, z nikim nie związana, w wydziale, którym rządziły nie współpracujące ze sobą organizacje.

Jakkolwiek dyskretne i dogłębne byłoby dochodzenie w jej sprawie, jedyną reakcją na nazwisko Mirandy Torres było: „A któż ją tam wie, do cholery?” Co w języku policyjnym oznacza: „Uwaga. Ona musi mieć powiązania, gdzieś, jakieś, najwyraźniej z kimś o wystarczająco mocnej pozycji i dostatecznie ważnym, by nie tyle pozostawać w cieniu, ile żeby się nie ujawniać. Według oficjalnych danych na temat Torres, zgodnie z tym, co zawierały jej akta, była świetną policjantką do walki z narkotykami, wyróżniającą się w akcji. Mówiono, że kiedyś ona i jej współpracownik wpadli lub omal nie wpadli. Jednakże nie wyjaśniało to, dlaczego została przeniesiona do 112. komisariatu. Krążyła plotka, że jej współpracownik jest alkoholikiem i chwilowo przebywa na odwyku, zanim zostanie ponownie zatrudniony. Jakkolwiek była prawda, Torres zachowywała milczenie na tematy, które wykraczały poza sprawy służbowe.-

Za co, oczywiście, zasługiwała na szacunek. Naturalnie nie przyczyniało jej to popularności wśród facetów w 112. komisariacie policji. Nie podobało im się to, co wiedzieli; a to, o czym nie wiedzieli, nie dawało im spokoju.

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi, Miranda Torres weszła do pokoju i zajęła miejsce obok swego kolegi. Miała tak trzeźwe i uważne spojrzenie, przechylając głowę na bok, jakby spodziewała się usłyszeć coś więcej, niż właśnie mówiono. Była piękna, co powodowało, że kapitan czuł się nieswojo. Zastanawiał się, czy Dunphy czasami o niej rozmyśla: czy miewa fantazje, śniąc o niej na jawie. Wątpił, by go było stać na jakiś ruch: Dunphy był na to za taktowny. Chociaż kto wie?

- Dobry raport - powiedział kapitan do Torres. Czekala uprzejmie. - No, dobrze - zaczął O'Connor - o co więc

37

tu, do diabła, idzie? Ani śladu kradzieży lub jej usiłowania. Żadnych śladów napaści na tle seksualnym, ani nawet jej próby; facet zakrada się i atakuje ją na środku ulicy, w świetle latarni. Nawet nie próbuje się kryć. Wrzeszczy na nią na całe gardło, jakby się kłócili. - Kapitan przekartkował raport, zmrużył oczy, dostosował odległość, żeby dobrze widzieć maszynopis. - Facet wrzeszczał na nią po hiszpańsku?

- Pracujemy właśnie nad tłumaczeniem, panie kapitanie - powiedziała Miranda. - Nikt, z kim rozmawialiśmy, nie rozumie po hiszpańsku, ale wydaje się, przynajmniej na podstawie zapisu fonetycznego, że obrzucał ją obelgami: oszustka, kłamczucha, złodziejka. No i kilka epitetów... o charakterze seksualnym.

Dzięki wrodzonej delikatności Miranda wyczuwała, jak niewygodna jest dla O'Connora jej obecność w brygadzie. Miała w sobie coś z kobiety z wyższych sfer; zakreślając wokół siebie

cienką linię, bez odwoływania się do słów wymagała, by ją akceptowano i szanowano na jej własnych warunkach.

O'Connor skinął głową.

- Może więc mamy do czynienia z kłótnią kochanków. Kto, u diabła, może to wiedzieć. Dziewczyna wie, że jej matka jest na Florydzie, a mimo to jedzie do jej mieszkania ze szpitala, gdzie pracuje, zamiast wracać do domu. Twierdzi, że boli ją głowa i wychodzi z pracy dwie godziny wcześniej. Miała w dłoni klucz do mieszkania matki. Co wskazywałoby na to, iż sądziła, że idzie do pustego mieszkania.

O'Connor spojrział znad zsuwających się okularów, czekając na komentarz. Miranda siedziała z ołówkiem zawieszonym nad notatnikiem.

Odezwał się Dunphy:

- Mogłoby to wskazywać, że miała umówione spotkanie z tym facetem. Ze dwie godziny szczęścia, a potem powrót do domu do mężulka. Nikt i tak by się nie połapał. Istnieje taka możliwość.

38

- Ale czemu ten facet nie poczekał, aż znajdą się w mieszkaniu, jeśli miał zamiar ją zaatakować? Dlaczego, do cholery, działał tak otwarcie?

Nikt z detektywów nie odpowiedział. Czekali, podczas gdy ich kapitan nadal głośno rozmyślał.

- Tymczasem zgadzamy się, że to morderstwo nie ma chyba nic wspólnego z pozostałymi. Ze jest to sprawa między nią a nim, bez względu na to, czykolwiek tam jeszcze, do diabła, może się okazać. Ma to sens, prawda?

- Okoliczności tej zbrodni absolutnie, w najmniejszym nawet stopniu, nie przypominają pozostałych zabójstw - powiedział Dunphy.

- Nic nie wskazuje na podobieństwo - potwierdziła Torres. O'Connor zauważył, że jej uwaga nie miała charakteru ostatecznego.

Pozostałe trzy zabójstwa w Queens były zwyczajnymi morderstwami na tle seksualnym. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy miały tam miejsce trzy napady dokonane późno w nocy przez nie zidentyfikowanego gwałci-ciała-mordercę, który podążał za kobietami idącymi z wyludnionych stacji metra lub przystanków autobusowych, zaciągał je w boczne uliczki lub krzaki, a tam gwałcił i mordował. W nagłówkach gazet nazywano go „Bestią z Queens”. Pierwszą ofiarę znaleziono w Elmhurst pod koniec stycznia. Była to sześćdziesięcioletnia pielęgniarka. Druga napaść miała miejsce w kwietniu w Long Island City: napadnięto na dwudziestojednoletnią robotnicę wracającą do domu. W czerwcu zaś trzecia ofiara, osiem-nastolatka wracająca do domu z wieczornych zajęć w Queens College, została brutalnie pobita i zamordowana o dwie przecznice od swego domu w Queens Village. Między tymi trzema napadami dało się zauważyć wyraźne podobieństwa. Śmierć każdej z ofiar nastąpiła w wyniku przebicia żyły szyjnej. Paskudna robota. Istniały ponadto jeszcze inne powody, by sądzić, że zbrodnię popełniła ta sama osoba.

- Rozmawiałem niedawno z Jaffee z wydziału za-

39

bójstw - powiedział O'Connor. - Uważa, że to zabójstwo należy traktować jako niezależne od tamtych. Cholera, tego by jeszcze brakowało, żebyśmy mieli czwarte z kolei nie rozwiązane morderstwo, tym razem popełnione na ulicach pięknej i bezpiecznej dzielnicy Queens. Przy pomocy ludzi z biura prasowego Jaffee stara się lansować po cichu niezobowiązującą wersję, że było to najprawdopodobniej coś w rodzaju sprzeczki kochanków. Oczywiście, jeśli w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin uda nam się dopaść tego faceta i on przyzna się do wszystkich czterech zabójstw, jako pierwsi ogłosimy, że złapaliśmy Bestię we własnej osobie. W każdym bądź razie z powodów czysto logicznych oddzielamy to morderstwo. Nie łączy się z pozostałymi.

O'Connor zdjął poplamione i porysowane okulary, zamrugał szybko oczyma, a potem przeniósł wzrok na Mirandę Torres. Widział zarys jej sylwetki: siedziała całkowicie bez ruchu, z pochyloną

twarzą, czekając. Włożył z powrotem okulary i przekartkował raport.

- Kie musimy zbytnio się wysilać ze znalezieniem świadków - powiedział. - Ilu mamy ludzi, Jim?

Dunphy przymknął na chwilę oczy. To była jego sprawa - jego i Mirandy - i tym razem współpracowali z wydziałem zabójstw. Dla niego było to pierwsze zabójstwo, jakim miał się zająć po wielu latach. Odkąd przeniesiono go z centrum Brooklynu do Forest Hills jego praca radykalnie zmieniła swój charakter. Musiał znowu wrócić do dawnej formy.

- Brygada składa się z ośmiu osób... dziewięciu, razem z tym, co, no jak on się nazywa, właśnie wrócił z urlopu. Przyjmuje zgłoszenia telefoniczne. No i wydział zabójstw też ma swoich ludzi. Ze sześciu mundurowych przeprowadza rozpoznanie.

- Ten facet miał niezłą widownię - zauważył O'Connor. Dunphy potrząsnął głową z obrzydzeniem. Torres w ogóle nie zareagowała. - Ich zeznania są bardzo podobne. Jedyne niewielkie różnice, wynikające z innego miejsca

40

obserwacji. Rany boskie, tej to dopiero się dostało, co? Jej matce.

Przez chwilę nie wracali do tego tematu. U Dunphy'ego można było wyczuć prawdziwą wrogość. Nadal nie wiedział, w jaki sposób Torres dostała się do matki dziewczyny przed wszystkimi innymi. I to razem z Mike'em Steinem. Jakie, do ciężkiej cholery, były między nimi powiązania?

Niewiele więcej dało się powiedzieć na temat matki, której pod oknami zamordowano własną córkę. Nie twierdziła, że nie widziała, co się wydarzyło: nie wiedziała jedynie, kim jest ofiara.

I nikt nie zadzwonił pod 911. Nikt nic nie zrobił. Tylko obserwowali.

O'Connor przekartkował raport, przesunął szybko palcem po stronie, zatrzymując go pod słowami, których szukał.

- A co to znaczy: „Myślałam, że to ta Hiszpanka”? -zwrócił się do Torres, tak jakby ona to rozumiała i potrafiła wytłumaczyć.

- Wielu innych świadków, oprócz matki, także przypuszczało, że ofiarą jest młoda Hiszpanka mieszkająca na ostatnim piętrze narożnego domu.

- Więc może mamy do czynienia z pomyłką - powiedział O'Connor. Byłby to jakiś punkt wyjścia. - Sprawdzacie tę Hiszpankę?

Odpowiedział Dunphy:

- Mam spotkanie z administratorem budynku. Mniej więcej za godzinę. Torres i ja, Miranda i ja, podzieliliśmy się świadkami. Dwoimy się i troimy. Sam wiesz, żeby mieć jasność, póki jeszcze jasno.

- Taa, nie mam jednak jasności co do jednej sprawy.

O'Connor poszperał w papierach rozłożonych na biurku, wyciągając spod nich kartkę z zapisaną informacją. Spojrzał na nią, po czym pochylił się do przodu.

- Detektywie Torres, czy zna pani Mike'a Steina?

Czytałam to, co napisał. Wczoraj w nocy nie wie-

41

- 'I S vY. I

- - i ' ' • - ■■;

. *

działam, że to on. Zachowywał się jak jakiś wyższy rangą oficer, więc ja... — Przerwała wzruszając ramionami.

- Zachowywał się jak wyższy rangą oficer. Rzeczywiście ma w sobie coś z oficera — przyznał O'Connor. — No więc nie zna go pani?

Dunphy obrócił się w stronę swojej koleżanki. W pytaniu kapitana brzmiało jakby oskarżenie. Współpracował z Torres wystarczająco długo, by zauważyć, jak zeszywniał jej kręgosłup, jak drgnęły jej szczęki, kiedy zacisnęła zęby

- Czy chce mnie pan o coś zapytać, panie kapitanie? O coś konkretnego?

W pokoju zapanowała pełna napięcia cisza, a mężczyźni wymienili między sobą spojrzenia.

Przeważała w nich złość, przytłumiona szacunkiem. Dziewczyna odparowała ciosem, więc albo nie

miała ani odrobiny rozsądku, albo też czuła się tak bardzo kryta, że nie obchodziły ją podobne zagrywki.

- Zadałem pani konkretne pytanie, detektywie Torres.

Dunphy obserwował tę scenę z zainteresowaniem. Mimo ich dwudziestoletniej przyjaźni nigdy nie wkraczał w kompetencje O'Connora. Była między nimi niepisana zasada: szef jest w końcu szefem. W rzeczy samej, Torres wcale nie starała się sprowokować kapitana, mimo że tak to wyglądało. Przestałmy owijać w bawełnę, zdawała się raczej mówić, i niech mi pan zada takie pytanie, jakie chce mi pan zadać. To zaś wymagało odwagi, bez względu na to, kogo akurat udało się jej zapędzić do narożnika.

- Poznałam pana Steina dopiero ubiegłej nocy, kapitanie. Poszłam z nim do mieszkania pani Hynes zakładając, że jest starszym rangą oficerem. Co prawda, nic takiego mi nie powiedział, ale... zachowywał się w specyficzny sposób. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że jest dzien-nikarzem. Dowiedziałam się o tym później, od mojego kolegi.

- Aha. - O'Connor odchylił się do tyłu, przyglądając

42

się jej. - Więc pani nie wie, dlaczego Mike Stein wystąpił z prośbą - korzystając z pewnych kanałów, dzięki czemu prośba staje się czymś więcej niż prośbą - żeby mu panią przydzielić do współpracy? Żeby została pani jego „oficerem łącznikowym” w tej fazie dochodzenia.

Jej zdziwienie było autentyczne. Dunphy, który lubił dziewczynę, przyjął to z zadowoleniem.

- W takim razie ja pani wszystko wytłumaczę. Dokładnie. Najwyraźniej ta sprawa zainteresowała Mike'a Steina. Zamierza napisać o niej kilka artykułów. O świadkach, którzy obserwowali śmierć tej dziewczyny i nie zrobili absolutnie nic, do diabła, żeby jej pomóc. Z jakiegoś powodu uznał, że pani będzie najlepszym łącznikiem. -O'Connor wyciągnął" dłoń w stronę telefonu, klepnął go, po czym powiedział: - Stein wybrał tę sprawę dla siebie. Niewiele może się dostać do prasy. Nikt nie ma dostępu do informacji. On ma pozwolenie, pełną zgodę, na wgląd do raportów dotyczących każdego etapu śledztwa. Łącznie z informacjami wydziału zabójstw, grup technicznych i innych. Chce również, żeby mu pani towarzyszyła, czy też może na odwrót, chce pani towarzyszyć podczas przesłuchań niektórych świadków.

O'Connor obserwował ją przez kilka sekund, po czym zapytał:

- Jaka jestf zatem pani odpowiedź, detektywie Torres?

- Jeżeli takie jest moje zadanie, to takie właśnie jest moje zadanie.

- Mhm - mruknął O'Connor. - Chyba nie muszę pani mówić o potrzebie zachowania ostrożności. Proszę uważać. Mike Stein to niewiadoma. Jednego dnia jest z nami, drugiego dnia nas rozpracowuje. Proszę o tym zawsze pamiętać i postępować, mając to na uwadze.

Cholera, pomyślał O'Connor. Nie lubi, jak jej się rozkazuje. Ale jest wystarczająco bystra, żeby tego nie okazywać.

- Tak jest, panie kapitanie. Będę się miała na baczności z tym panem Steinem.

43

#

się jej. - Więc pani nie wie, dlaczego Mike Stein wystąpił z prośbą - korzystając z pewnych kanałów, dzięki czemu prośba staje się czymś więcej niż prośbą - żeby mu panią przydzielić do współpracy? Żeby została pani jego „oficerem łącznikowym” w tej fazie dochodzenia.

Jej zdziwienie było autentyczne. Dunphy, który lubił dziewczynę, przyjął to z zadowoleniem.

- W takim razie ja pani wszystko wytłumaczę. Dokładnie. Najwyraźniej ta sprawa zainteresowała Mike'a Steina. Zamierza napisać o niej kilka artykułów. O świadkach, którzy obserwowali śmierć tej dziewczyny i nie zrobili absolutnie nic, do diabła, żeby jej pomóc. Z jakiegoś powodu uznał, że pani będzie najlepszym łącznikiem. -O'Connor wyciągnął" dłoń w stronę telefonu, klepnął go, po czym powiedział: - Stein wybrał tę sprawę dla siebie. Niewiele może się dostać do prasy. Nikt nie ma dostępu do informacji. On ma pozwolenie, pełną zgodę, na wgląd do raportów dotyczących każdego etapu śledztwa. Łącznie z informacjami wydziału zabójstw, grup technicznych i innych. Chce również, żeby mu pani towarzyszyła, czy też może na odwrót, chce

pani towarzyszyć podczas przesłuchań niektórych świadków.

O'Connor obserwował ją przez kilka sekund, po czym zapytał:

- Jaka jest' zatem pani odpowiedź, detektywie Torres?
- Jeżeli takie jest moje zadanie, to takie właśnie jest moje zadanie.
- Mhm - mruknął O'Connor. - Chyba nie muszę pani mówić o potrzebie zachowania ostrożności. Proszę uważać. Mike Stein to niewiadoma. Jednego dnia jest z nami, drugiego dnia nas rozpracowuje. Proszę o tym zawsze pamiętać i postępować, mając to na uwadze. Cholera, pomyślał O'Connor. Nie lubi, jak jej się rozkazuje. Ale jest wystarczająco bystra, żeby tego nie okazywać.

- Tak jest, panie kapitanie. Będę się miała na baczności z tym panem Steinem.

43

lv-'

il

l ' m-

Po raz pierwszy O'Connor pojął w pełni, co mu niegdyś powiedział Dunphy: kiedy była napięta, kiedy trzymała sprawy w swoim ręku, zmieniał się jej sposób mówienia. Odnosiło się wrażenie, jakby tłumaczyła czyjeś słowa.

Wręczył jej kartkę z informacją, gdzie ma się spotkać z Mike'em Steinem. Pozostała jej jeszcze godzina, powiedziała więc, że zamierza uporządkować zebrane materiały i przygotować kopie raportów dla Steina.

Gdy wychodziła, O'Connor rzucił jej przelotne spojrzenie; świetna figura, choć trochę za szczupła. Potrząsnął głową i powiedział do Dunphy'ego:

- Twarda sztuka, chłopie, z tej twojej współpracownicy-
- W sam raz dla Steina. Ale co on tam'znowu knuje, do cholery?

O'Connor wzruszył ramionami.

- Cokolwiek by to było, i tak wiemy, kto jest jego przyjacielem.

Niespełna piętnaście lat temu Mike Stein towarzyszył w podróży do Wietnamu Arthurowi Cordovanowi, szefowi wydziału operacyjnego policji. Jedyny syn Cordovana wrócił do domu w trumnie: ofiara wypadku, przejechany przez wojskową ciężarówkę. Był oficerem wywiadu; wcześniej wysłał do ojca wiele listów, w których opisał potężny czarny rynek funkcjonujący za wiedzą, przyzwoleniem i przy współudziale wysokich rangą wojskowych. Wpadł jak śliwka w kompot. Nie miał się do kogo zwrócić ze swymi odkryciami. Odrzucał lukratywne oferty; na groźby reagował posyłając informacje jeszcze wyżej. Został przejechany przez wojskową ciężarówkę. Przypadkiem.

Cordovan skontaktował się wówczas z Mike'em Steinem.

Śledztwo zajęło im wiele tygodni, a jego wyniki zostały opisane przez Mike'a w cyklu artykułów na temat korupcji, łapownictwa i popełnionych zabójstw, za który otrzymał nagrodę Pulitzera. Ujawnił tam nazwiska ludzi, których zdemaskował syn Cordovana. Wspólnie doprowadzili

44

do przesłuchań w Kongresie, wywołując olbrzymi wstrząs, który poruszył hierarchią armii, do kilku rozpraw przed sądem wojennym i kilku wyroków skazujących. Nie udało im się jednak odkryć mordercy syna Cordovana. Istniały podstawy do tego, by sądzić, że on również stał się „ofiara wypadku”.

I chociaż Stein znany był z tego, że zwykł pisać prawdę, tak jak ją widział, i chociaż w kilku ostatnich artykułach dobrał się także do ludzi kierujących wydziałem policji, krytykując metody ich pracy, miał nadal carte blanche dzięki pozycji Cordovana.

W przeszłości napisał także kilka artykułów w obronie oficerów policji, kiedy zarzucano im brutalność w działaniu i kierowanie się uprzedzeniami rasowymi. Znany był z tego, że stawiał sprawy jasno i ograniczał się do przedstawiania samych faktów, pozwalając, by dalej sprawy toczyły się same.

Jim Dunphy wyczuł, że jego stary przyjaciel się odpręża, relaksuje. Teraz już mógł sobie

zażartować, na co nie odważyłby się jeszcze pięć minut temu.

- No, to teraz powiedz mi Bill - zaczął Dunphy - co by było, gdyby tak Torres nie zgodziła się zostać „oficerem łącznikowym” Mike'a Steina? I gdyby tak poszła do tego swego „przyjaciela” kimkolwiek on, u diabła, jest, i powiedziała mu: „No zróbże coś, bo ani myślę współpracować z tym dziennikarzem”? Czy sądzisz, że jej przyjaciel byłby w stanie postawić się Cordovanowi? Kapitan O'Connor zamrugał oczami za zamazanymi szklami okularów. Bywają takie chwile w pracy policji, podobnie jak w życiu, że mądrzej jest zmilczeć i pozostawić sprawę ich własnemu biegowi.

Ale ta sprawa go dręczyła. W jaki sposób, u licha, Miranda Torres z południowego Bronxu pozyskała sobie protektora, który jest tak ważny, że nie można się niczego o nim dowiedzieć?

IV

I

Gdy była małą dziewczynką, matka zwykła jej powtarzać: „Mirando, zawsze mów głosem łagodnym, uprzejmym i przyciszonym. Kiedy rozmawiasz z siostrami w szkole, kiedy zwracasz się do sklepikarza, kiedy rozmawiasz z miłą panią z biblioteki, która pozwala ci zabierać do domu te wszystkie książki. W ten sposób, Mirando, okazujesz im szacunek i udowadniasz, że jesteś grzeczną dziewczynką”.

Matka uważała, że wszyscy ludzie, z którymi Miranda się styka, albo mogą jej coś ofiarować, albo nie: wiedzę, żywność, informacje, możliwości. A to, co się zdarza, nie jest efektem działań samej Mirandy, lecz skutkiem tego, jak ludzie zajmujący ważne stanowiska postrzegają jej działania. Do pewnego stopnia matka miała rację.

Miranda nie potrafiła jednak ostatecznie rozstrzygnąć, czy to dzięki samej sobie i swemu postępowaniu, czy za sprawą nie dającego się zupełnie przewidzieć zrzędzenia losu, ona właśnie, Miranda Torres, po raz pierwszy w życiu znalazła tak potężnego protektora.

Kiedy jeszcze razem pracowali, Miranda Torres nie wiedziała nawet, że jej współpracownik, Kevin Collins, ma brata. Rzadko kiedy rozmawiali o swych rodzinach. On wiedział, że Miranda jest rozwiedziona i że jej syn mieszka z ojcem na Florydzie. Wiedział także, że jest w jej życiu jakiś mężczyzna, z którym ostatnio miewała kłopoty, i że ma małe schludne mieszkanie w Astorii w Queens. Ona z kolei wiedziała, że Kevin jest wdowcem, i ma dorosłe dzieci, zamężne już lub żonate, rozproszone po całym kraju.

Lubiła pracować z Collinsem. Bardzo się różnił od zarozumiałego Irlandczyka, na którego trafiła poprzednio. Stanowili wyjątkowo dobrze zgraną parę do walki z narkotykami. Kevin miał w sobie wiele z aktora. Odgrywał

46

Gdy była małą dziewczynką, matka zwykła jej powtarzać: „Mirando, zawsze mów głosem łagodnym, uprzejmym i przyciszonym. Kiedy rozmawiasz z siostrami w szkole, kiedy zwracasz się do sklepikarza, kiedy rozmawiasz z miłą panią z biblioteki, która pozwala ci zabierać do domu te wszystkie książki. W ten sposób, Mirando, okazujesz im szacunek i udowadniasz, że jesteś grzeczną dziewczynką”.

Matka uważała, że wszyscy ludzie, z którymi Miranda się styka, albo mogą jej coś ofiarować, albo nie: wiedzę, żywność, informacje, możliwości. A to, co się zdarza, nie jest efektem działań samej Mirandy, lecz skutkiem tego, jak ludzie zajmujący ważne stanowiska postrzegają jej działania. Do pewnego stopnia matka miała rację.

Miranda nie potrafiła jednak ostatecznie rozstrzygnąć, czy to dzięki samej sobie i swemu postępowaniu, czy za sprawą nie dającego się zupełnie przewidzieć zrzędzenia losu, ona właśnie, Miranda Torres, po raz pierwszy w życiu znalazła tak potężnego protektora.

Kiedy jeszcze razem pracowali, Miranda Torres nie wiedziała nawet, że jej współpracownik, Kevin Collins, ma brata. Rzadko kiedy rozmawiali o swych rodzinach. On wiedział, że Miranda jest rozwiedziona i że jej syn mieszka z ojcem na Florydzie. Wiedział także, że jest w jej życiu jakiś mężczyzna, z którym ostatnio miewała kłopoty, i że ma małe schludne mieszkanie w Astorii w

Queens. Ona z kolei wiedziała, że Kevin jest wdowcem, i ma dorosłe dzieci, zameżne już lub żonate, rozproszone po całym kraju.

Lubiła pracować z Collinsem. Bardzo się różnił od zarozumiałego Irlandczyka, na którego trafiła poprzednio. Stanowili wyjątkowo dobrze zgraną parę do walki z narkotykami. Kevin miał w sobie wiele z aktora. Odgrywał

najróżniejsze role tak przekonująco, że wydawał się być tym, kogo właśnie przedstawiał.

Bywały chwile, kiedy Miranda czuła się przy Kevinie nieco spięta, trochę zaniepokojona. Zdarzało się, że za bardzo utożsamiał się z odgrywaną rolą; bywał wówczas tak podekscytowany, tak pochłonięty, tak wciągnięty w prowadzoną przez siebie grę, że zapominał o niebezpieczeństwie, o prawdziwym świecie. Miało się wrażenie, jakby przekraczał jakąś niewidzialną linię, cofając się o krok niemal tuż nad skrajem przepaści. Ostatnimi czasy zdarzało się to coraz częściej, ale kiedy spróbowała z nim o tym porozmawiać, zlekceważył to mówiąc, żeby nie traciła luzu i nadal brała udział w prowadzonej grze.

Oczywiście nie była to wcale gra. Wszystko działo się naprawdę, ginęli ludzie. Wystarczył jeden nierozważny ruch, i dzięki Kevinowi znajdowali się czasami o krok od niebezpieczeństwa. O krok, z tym że zawsze w ostatniej chwili udawało mu się wywinąć.

Byli świetnie zgraną parą tajnych agentów. Nawiazywali kontakty, znajomości, zbierali informacje i odpływali. Aranżowali sprawę i dryfowali dalej. Mieli wielkie pole do działania, i dostatecznie często zmieniali swą tożsamość, by osiągnąć wyjątkowo dobre wyniki.

Wkrótce potem Kevin uspokoił się. Z czasem stał się tak spokojny, że aż prawie ociężały.

Początkowo Miranda sądziła, że coś bierze. Było to mało prawdopodobne, ale możliwe. Postawiła więc sprawę jasno. Miała do tego prawo - jej życie spoczywało przecież dosłownie w jego rękach. Nie mogła pracować z kimś, kto ćpa.

Nie. Wszystko w porządku. Ostatnio tylko trochę dołuje. Nic poważnego. Chyba przydałby mu się urlop. Wszystko będzie dobrze.

Wzięli sobie długi wolny weekend. Miranda cały ten czas spędziła samotnie, rozmyślając, starając się podjąć pewne decyzje: znalazła się bowiem na rozdrożu. Od czterech lat była z mężczyzną, którego już nie chciała znać, z

47

którym nie chciała dłużej żyć, i wywołało to w niej uczucie smutku zmieszanego z ulgą.

Pukanie do drzwi było bardzo ciche, prawie jak drapanie. Głos nie wydał jej się znajomy.

- Mirando. Otwórz drzwi. Proszę, Mirando. Potrzebuję pomocy.

Był to Kevin. Nigdy dotychczas nie odwiedził jej w mieszkaniu. Wyglądał strasznie. Ten czterdziestotrzyletni mężczyzna postarzał się o dwadzieścia lat. Patrzył przerażonym wzrokiem.

Musiał widzieć coś okropnego, a jego oczy zdawały się być na stałe w to coś uikwione: jakby ujrzął swoje własne koszmary senne.

- Weź mój rewolwer - powiedział ochryplym głosem, wyciągając z kabury swoją trzydziestkę ósemkę z charakterystycznym zadartym noskiem i podając ją Mirandzie kolbą do przodu. - Weź go. O mały włos. Nawet nie wiem, czemu jestem... Skontaktuj się z Johnny'm... Albo oddaj mi pistolet. Pójdę sobie.... Pójdę. - Był bardzo podniecony, skubał swoje ubranie, potem skórę, jakby to nie stanowiło różnicy.

- Kevin, co brałeś? Powiedz mi, wezwę pomoc. -Otworzyła magazynek i wysypała naboje na podłogę.

Wyciągnął do niej ręce, dłońmi wbił się w jej ramiona.

- Nie. Nic. Nic nie rozumiesz, Mirando. Zaraz. Czeka. Mam! - Wyrzebał skrawek papieru z imieniem „John” i numerem telefonu. — Zadzwoń do Johna. Powiedz mu. Mirando, gdzie ja się mogę schować przed... przed samym sobą?

Rozejrzał się wokoło dzikim wzrokiem, otworzył drzwi do łazienki, zamknął je, znalazł tam szafę. Zaszył się w jej kącie i szepnął:

- Zostanę tutaj. Tu będzie dobrze, prawda?

- Będzie dobrze, Kevin. Będzie dobrze.

Wykręciła numer telefonu i po drugim sygnale odezwał się ostry, spięty i podejrzliwy głos.

Przypominał głos gliniarza.

' - Słucham? Kto mówi?

- Czy to John?

- Tak. A z kim mówię?

Nie bardzo wiedziała, jak przejść do rzeczy. Nie miała pojęcia, z kim rozmawia ani co się dzieje z Kevinem.

- Jestem jego znajomą. Kevina.

- Jest pani znajomą Kevina?

- Tak.

- Chwileczkę.

Usłyszała, że z kimś rozmawia. Mężczyzna, który odebrał telefon, był najwyraźniej czyimś przełożonym. Odesłał kogoś, po czym kontynuował rozmowę.

- Gdzie pani jest?

Znowu się zawahała. Wzięła głęboki oddech.

- Nie znam pana. Ani...

- Rozumiem. Jestem bratem Kevina. Chodzi o Kevina Collinsa, prawda? To w jego sprawie pani dzwoni, tak? Proszę mi powiedzieć, gdzie on teraz jest, a ja tam zaraz przyjadę.

Podawała mu swój adres.

- W jakim jest stanie?

Nie okazał zdziwienia, kiedy mu powiedziała. Miranda odniosła wrażenie, jakby się tego spodziewał lub jakby już kiedyś to przeżył.

- Dobrze. Zaraz, zaraz. Astoria. Gdzie to, u diabła, jest, w Brooklynie? Nie w Queens, prawda? Jak tam dojechać? Od strony East Side.

Zjawił się w jej mieszkaniu w ciągu dwudziestu pięciu minut. Kiedy otworzyła drzwi i spojrzała na niego, odniosła wrażenie, że go rozpoznaje. Wiedziała, że skądś go zna, z telewizji, z filmu, z gazet, skądś.

W końcu wszystko stało się jasne. Głosowała na niego podczas ostatnich wyborów. Brat Kevina był senatorem ze stanu Nowy Jork: John F. Collins.

Przyjechał ze swoim współpracownikiem i obaj zabrali Kevina. Senator powiedział Mirandzie:

- Wróć do pani, jak tylko umieścimy Kevina.

- Umieścicie? Gdzie? O co tu chodzi?

49

- Wszystko potem wytłumaczę. Czy mogę... czy mogę tu później wrócić? Należy się pani wyjaśnienie, a ja chcę pani dokładnie opowiedzieć, co się dzieje z Kevinem.

— Dobrze. Będę czekała.

Kevin Collins cierpiał na psychozę maniakalno-depre-syjną i właśnie przeżywał jej ostry nawrót. Latami funkcjonował bez poważniejszych komplikacji, biorąc leki i przebywając pod opieką psychiatry. Z jakiegoś powodu ostatnio przestał przyjmować lekarstwa. Najpierw przeszedł cykl maniakalny o nietypowym przebiegu, który stopniowo się pogłębiał, przechodząc w stan depresji, jakiej Kevin nie był w stanie opisać. Wymagało to z jego strony desperackiej, wymuszonej mobilizacji energii i wielkiej determinacji, by się zdecydować na przyjscie do Mirandy. Z niewiadomych powodów nie zdobył się jednak na telefon do swego brata. Senator załatwił mu dyskretne leczenie w jednej ze stanowych klinik, a oficjalnie mówiło się, że Kevin ma problemy z piciem i przebywa aktualnie na odwyku.

W wydziale policji ze zrozumieniem i wyrozumiałością podchodzonó do alkoholizmu. Tak to już było. Z trudem natomiast przychodziło tym ludziom przyjąć do wiadomości i zaakceptować fakt, że ktoś może mieć problemy psychiatryczne. Jezus Maria, wyobraź, tylko sobie, że zeznajesz przed sądem jako świadek i jakiś tam adwokat zadaje ci pytanie: „Oficerze, kiedy ostatnio był pan w domu wariatów i z jakiego powodu? A jaka jest opinia pańskiego psychiatry na temat pana obecnego stanu, panie czubek?” Senator powiedział Mirandzie, że on i Kevin mieli jednego ojca i różne matki. Nikt nie wiedział, że detektyw Kevin Collins jest przyrodnim bratem znanego, szanowanego i ambitnego senatora. Taką decyzję podjął Kevin, a John ją uszanował. Ilekroć John

musiał usuwać jakieś przeszkody, by chronić brata, czynił to bardzo zawiłymi kanałami. Nikt nie wiedział o istniejącym między nimi pokrewieństwie.

Odtąd, nikt z wyjątkiem Mirandy.

50

Senator palił jednego papierosa po drugim. Od ledwie wypalonego zapalał następnego. Głęboko zaciągał się dymem, wypuszczając go wysoko w górę, z dala od twarzy. Był przystojnym mężczyzną, jakby staranniej wyrzeźbioną wersją swego brata. Miał w sobie coś teatralnego. Przywykł do tego, że jest pod ciągłą obserwacją, i jego gesty, pauzy w mówieniu, szybki uśmiech i wystudiowana uwaga robiły odpowiednie wrażenie. Był energicznym mężczyzną, ale od czasu do czasu wydawało się, że nagle opuszczają go siły. Poddawał się wówczas zmęczeniu, jakby utracił łatwość przychodzącej umiejętności przybierania pewnej określonej pozy. W małym schludnym mieszkaniu Mirandy, wyczerpany emocjami tej nocy, zdał sobie sprawę, że nie musi niczego udawać przed tą dziewczyną. Zdusił ostatniego papierosa i kiedy na nią spojrzał, Mirandę uderzyło jego podobieństwo do brata. Senator wyglądał jak ktoś zraniony i bezbronny.

- Mirando, jestem pani dłużnikiem. W stu procentach.

Wyczuwając jego obawy, odrzekła:

- Kevin jest moim współpracownikiem i przyjacielem. Nauczyliśmy się sobie ufać i polegać na sobie. A to wiąże się z dyskrecją. Zawsze tak jest: zaufanie i dyskrecja. Bardzo bym chciała, żeby wyzdrowiał i nie cierpiał już tak, jak dziś w nocy. A więc - dodała ostrożnie - uważam tę sprawę za prywatną i całkowicie poufną.

- Mirando, ten numer telefonu, który podała pani mój brat... Jest zastrzeżony. Tylko on z niego korzysta. Jest to bezpośrednie połączenie ze mną. Zainstalowałem specjalne urządzenie, dzięki któremu, ilekroć dzwoni pod ten numer, bez względu na to gdzie jestem, dowiaduję się o tym, po czym odtwarzam nagraną informację i jadę do niego. Aż do dzisiejszej nocy głos Kevina był jedynym, jaki słyszałem na tej linii.

Wyjął z portfela wizytówkę i zapisał numer na odwrocie.

- Chcę, żeby i pani miała ze mną kontakt. Jeśli kiedykolwiek, z jakiegoś powodu poczuje pani, że potrzebuje

51

mojej przyjaźni, proszę zadzwonić pod ten numer. O dowolnej porze, Mirando, w dzień czy w nocy, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Oddzwonię. Jestem bowiem przekonany, że jeśli pani zadzwoni, to w bardzo ważnej sprawie. A ja będę zaszczycony mogąc pani pomóc.

Wzięła od niego wizytówkę i skinęła głową. Wyszło jej w ustach. Nigdy dotąd nie znalazła się w zasięgu działania kogoś tak wpływowego. Nigdy dotąd nie otrzymała takiego daru. Nigdy nie spodziewała się, że coś takiego może się jej przydarzyć - nigdy.

Jego głos, ton, zachowanie nagle się zmieniły. Stał się szorstki, zdawkowy; jakby od niechcenia padały grzeczne słowa, kiedy ją pytał: Jakie są jej ambicje? Jeśliby miała wybór, to jak chciałaby żyć? O ile wie, ma dyplom ukończenia John Jay College. Czy może kiedyś byłaby zainteresowana dalszą nauką?

- Studia prawnicze - powiedziała cicho. Odpowiedź zaskoczyła ją samą. Kryła się w zakamarkach jej umysłu, nigdy dotąd o tym nie mówiła.

- Niezły pomysł, studia prawnicze. Czy coś już pani zrobiła w tej sprawie?

- Nie, jeszcze nie. Na razie nic. Chyba mam na to jeszcze czas.

- No tak. Słusznie. Kiedy jednak, Mirando, zdecyduje się pani złożyć papiery na studia prawnicze, proszę mi dać znać. - Od niechcenia machnął ręką. - Może pani choćby zostawić wiadomość w moim biurze, a ja się z panią skontaktuję. - Podkreślił bardzo wyraźnie różnicę między numerem do biura a swoim prywatnym.

- Panie senatorze — powiedziała ważąc słowa. — Nigdy nie skorzystam z numeru, który mi pan podał, chyba że w jakiejś... bardzo ważnej sprawie. - Przerwała, potrząsając głową. - Nigdy z niego nie skorzystam, ale wiem, że znam ten numer i mogę się nim posłużyć. I to budzi we mnie bardzo szczególne uczucia.

Znowu porzucił swoją oficjalną pozę, kiedy ujął jej dłoń i spojrzał jej prosto w oczy.

52

J

mojej przyjaźni, proszę zadzwonić pod ten numer. O dowolnej porze, Mirando, w dzień czy w nocy, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Oddzwonię. Jestem bowiem przekonany, że jeśli pani zadzwoni, to w bardzo ważnej sprawie. A ja będę zaszczycony mogąc pani pomóc.

Wzięła od niego wizytówkę i skinęła głową. Wyszło jej w ustach. Nigdy dotąd nie znalazła się w zasięgu działania kogoś tak wpływowego. Nigdy dotąd nie otrzymała takiego daru. Nigdy nie spodziewała się, że coś takiego może się jej przydarzyć - nigdy.

Jego głos, ton, zachowanie nagle się zmieniły. Stał się szorstki, zdawkowy; jakby od niechcenia pedałował grzeczne słowa, kiedy ją pytał: Jakie są jej ambicje? Jeśli miałaby wybór, to jak chciałaby żyć? O ile wie, ma dyplom ukończenia John Jay College. Czy może kiedyś byłaby zainteresowana dalszą nauką?

- Studia prawnicze - powiedziała cicho. Odpowiedź zaskoczyła ją samą. Kryła się w zakamarkach jej umysłu, nigdy dotąd o tym nie mówiła.

- Niezły pomysł, studia prawnicze. Czy coś już pani zrobiła w tej sprawie?

- Nie, jeszcze nie. Na razie nic. Chyba mam na to jeszcze czas. •

- No tak. Słusznie. Kiedy jednak, Mirando, zdecyduje się pani złożyć papiery na studia prawnicze, proszę mi dać znać. - Od niechcenia machnął ręką. - Może pani choćby zostawić wiadomość w moim biurze, a ja się z panią skontaktuję. - Podkreślił bardzo wyraźnie różnicę między numerem do biura a swoim prywatnym.

- Panie senatorze - powiedziała ważąc słowa. - Nigdy nie skorzystam z numeru, który mi pan podał, chyba że w jakiejś... bardzo ważnej sprawie. - Przerwała, potrząsając głową. - Nigdy z niego nie skorzystam, ale wiem, że znam ten numer i mogę się nim posłużyć. I to budzi we mnie bardzo szczególne uczucia.

Znowu porzucił swoją oficjalną pozę, kiedy ujął jej dłoń i spojrzał jej prosto w oczy.

- Mirando. Dziękuję. Za życie mego brata. Proszę korzystać z tego numeru, kiedy tylko uzna pani, że to konieczne. Bez żadnych ograniczeń. Obiecuję, że będę do pani dyspozycji, tak jak pani była do dyspozycji mego brata.

Nigdy więcej z nim nie rozmawiała. O czymkolwiek.

W biurze powiedziano jej, że Kevin Collins jest na urlopie zdrowotnym. Po kilku tygodniach dowiedziała się, że złożył wymówienie. Dwadzieścia dwa lata służby to wystarczy. Przeniesiono ją do prac biurowych, które miała wykonywać w oczekiwaniu na nowego współpracownika i przydział nowych zadań.

Jej awans na detektywa drugiego stopnia, choć niewątpliwie zasłużony, został jednak przyjęty z zaskoczeniem. Awansowano ją zgodnie z przyjętą procedurą, razem z innymi pracownikami brygady. Nikt się wobec niej nie zachowywał w jakiś szczególny, wyjątkowy sposób. Wzajemne spięcia, skargi, obrażanie się, intrygi, szeptanie po kątach i gratulacje były tu czymś powszechnym. Wkrótce po ceremonii wręczenia awansu Miranda dostała przeniesienie do dzielnicy Forest Hills. Zamieszkała przez porządnymi obywatelami, była tak bezpiecznym, przyjemnym, czystym i dogodnym terenem działania dla policjanta, jaki tylko można sobie wymarzyć. Miała teraz blisko do domu. Dzięki stałym godzinom pracy mogła zacząć myśleć o dalszej nauce. Wstępny kurs prawa; może w St. John. Otwierały się przed nią całkiem nowe możliwości i nie bardzo wiedziała, co robić. Była zdecydowana i zarazem niezdecydowana. Nie wiedziała, komu ma dziękować i czy w ogóle podziękowania byłyby stosowne. Kilka razy zastanawiała się nad tym oglądając wizytówkę. Wiedziała, że w podobnych sprawach obowiązują pewne zasady postępowania, ale jak dotąd nie została jeszcze w nie wtajemniczona. Zdała się na instynkt. Przyjęła dar losu bez

komentarzy. Na razie.

112. komisariat w Forest Hills nie miał nic wspólnego z jej poprzednią pracą. Zupełnie inny świat: to, co przyjmowano jako oczywiste we Wschodnim Harlemie, w Fo-

53

f,,

1

rest Hills stawało się poważną sprawą. Wyczuwała wśród kolegów atmosferę podniecenia, pobudzenia, przejęcia nowością. Dla nich była to nietypowa sprawa: morderstwo. Nie jeszcze jedno martwe ciało, rutynowe czynności, rutynowe pytania i rutynowe odpowiedzi, rutynowe gierki, spojrzenia bez wyrazu, monotonne zaprzeczenia, wypowiedane szeptem prośby o zawarcie układu. To była dzielnica Forest Hills i większość osób, z którymi pracowała - a przynajmniej młodszy policjanci - mieli niewiele albo wręcz nie mieli żadnych doświadczeń z podobnymi aktami przemocy. Co innego brygada do spraw zabójstw - śmierć to ich chleb powszedni. Natomiast policjanci z jej brygady, nawet ci z wieloletnim stażem pfacy, nie stykali się na co dzień z przemocą.

Miranda posegregowała wszystkie raporty, do których miała dostęp, układając je porządnie w plik. Będą dla pana Mike'a Steina.

Jednocześnie zastanawiała się z roztargnieniem, o co tu właściwie może chodzić.

V

* *

Siedzieli w kawiarni i Miranda dziwiła się, jak Mike Stein może pić gorącą kawę tak wielkimi łykami. Sączyła mrożoną herbatę obserwując go.

Miał mocną, ogorzałą od wiatru twarz z grubymi ciemnymi brwiami nad wyblakłymi niebieskimi oczyma, mocny nos, szerokie usta, które zdawały się prawie uśmiechać, jeśli nie z rozbawienia, to z powodu jakiejś tajemnej wiedzy. Jego gęste włosy, które zapewne przedwcześnie musiały mu posiwieć, opadały w nieładzie na szerokie czoło. Pomimo głębokich zmarszczek było w nim coś chłopięcego, jakiegoś wyczekiwania, potrzeba przygody, odkryć.

Był atrakcyjnym, inteligentnym mężczyzną, i Miranda

54

* m

wiedziała, że musi się mieć przed nim na bacności. I to z wielu powodów.

Przeczytała jego powieść o Korei oraz książkę o morderstwie w Wietnamie, napisaną na podstawie artykułów, za które dostał nagrodę Pulitzera. Jego prace cechowała brutalna szczerłość i otwartość, wzbudzająca zarówno podziw, jak i niepokój. Felietony Steina, ukazujące się dwa razy w tygodniu, a poświęcone przestępności w mieście, były nieprzyjemne i chłodne, z reguły pozbawione emocjonalnego zaangażowania, typowego dla jego wcześniejszych prac. Czasami, jednak występował przeciwko powszechnie przyjętym opiniom, stając się, ku zaskoczeniu wydziału policji, jego zagorzałym obrońcą, albo też atakował go bezlitośnie, tak jak tego po nim oczekiwano. Jeśli tylko sprawa zdołała zainteresować Steina, prostą drogą zmierzał do prawdy, a kiedy ją odkrył, pisał o niej. I to właśnie Mirandzie Torres najbardziej podobało się w jego artykułach.

Czuła się niepewnie w towarzystwie Steina, siedzącego na wprost niej przy stoliku. Podstroila bardzo precyzyjnie swój system obronny. Był przystojnym, czarującym mężczyzną i nie wiedziała, czego od niej chce.

Przynajmniej na razie.

- Jesteś na mnie wściekła, ponieważ wczoraj w nocy sądziłaś, że jestem jakimś ważniakiem z policji?

Nie odpowiedziała. Nieznaczne wzruszenie ramion, to wszystko, na co mógł liczyć. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Była naprawdę piękna. Zauważył to już wczorajszej nocy mimo całego tego zamieszania i okropności. Zanotował to prędko w pamięci, a teraz przez kilka minut starał się znaleźć potwierdzenie tego wrażenia. Jej cynamonowa, nieskazitelnie gładka skóra opinała wystające kości policzkowe i mocny, zdecydowany podbródek. Trzymała głowę lekko przechyloną, w wyzywającej

pozie. Tak mu się przynajmniej wydawało. Na ustach widać było dotknięcie błyszczyka; miała naturalnie czarne włosy i brwi, a także

55

czarne oczy, naprawdę czarne, jak noc. Nawet nie mrugnęła okiem, kiedy jej się tak przyglądał. Patrzyła obojętnie - była przyzwyczajona, że ludzie gapią się na nią. Kilku facetów przy barze rzucało w jej stronę szybkie spojrzenia - ta mała to modelka, aktorka, dziwka? Smukła, wysoka, szczupła, krucha, ale także w jakiś sposób twarda. Było w niej coś mocnego, jakby prosto z ulicy - pewnego rodzaju postawa.

Kelnerka uśmiechnęła się szeroko, podając Steinowi drugą filiżankę kawy, na koszt firmy, po czym rzuciła szybkie nieprzyjemne spojrzenie w stronę Mirandy Torres. Ta zauważyła je, lecz zignorowała.

- Czy twój kapitan O'Connor powiedział ci, że poprosiłem, żebyś przez jakiś czas pracowała dla mnie? Nad tą sprawą?

- A co by pan chciał, żebyśmy robiła?

Co bym chciał: och, Mirando, chciałbym...

- Żebyś mi towarzyszyła podczas niektórych przesłuchań. I żebyś mnie informowała na bieżąco o wszystkich aspektach dochodzenia. Będziemy wymieniać się informacjami. Wszystko zostało ustalone z twoim szefem. Ty mi będziesz przekazywać wszystko, co ustalili wasi ludzie, a ja podzielę się z wami tym, czego sam się dowiem. Ale nic dla prasy. Mam prawo wyłączności, dopóki to będzie możliwe.

- Dobrze. Skoro kapitan wyraził zgodę.

- Tylko tyle? Dobrze? Nie jesteś ciekawa, co mnie zainteresowało w tej sprawie?

- Zakładam, że pan mi to powie. Czy naprawdę chce się pan bawić w dwadzieścia pytań? Jaki to ma sens?

W jej głosie nie słychać było szacunku, który doradzała jej matka. Pobrzmięwało w nim coś z ulicy - był to niski, głęboki głos kogoś, kto wie, co jest grane.

- Muszę cię o coś zapytać. - Stein oparł łokcie na stole i pochylił się w jej stronę, przyglądając się jej z bliska. - Co sądzisz o tym, co się wydarzyło wczorajszej nocy? Nie chodzi mi o zamordowanie tej dziewczyny. To typowa

56

sprawa. Ale o tych ludzi, którzy wszystko obserwowali i nic nie zrobili, co o nich myślisz?

- A więc zaczynamy od moich zeznań, tak, panie Stein? Jak to się mówi... „Czy jest to informacja poufna”? Tak właśnie się to określa?

Czy tak właśnie się to określa? Przez chwilę w jej głosie słychać było z lekka muzyczną, z lekka hiszpańską modulację. Inny rytm; inne doświadczenie.

- Mirando, wszystko, co ja ci powiem lub ty mnie, jest poufne. A więc co ty, osobiście, sądzisz o tych świadkach? Którzy pozwolili tej dziewczynie wykrwawić się na śmierć, nic, do cholery, nie robiąc.

Na chwilę wszystko jakby zastygło, póki nie przerwała milczenia.

- Dlaczego pana to aż tak dziwi? Przecież zna pan życie.

- Zauważyłaś wczoraj w nocy, gdzie jesteśmy, prawda? W sercu Ameryki zamieszkanego przez klasę średnią?

- Panie Stein - odrzekła Miranda Torres. - Zajmowałam się narkotykami w hiszpańskim Harlemie przez wiele lat. Bezpośrednio na ulicy. Tam każdy jest świadkiem wszystkiego. Każdy wie, kto kupuje, kto sprzedaje, kto obraca towarem, kto naciąga i komu się dostanie. I kto to wykona. Jeśli kogoś wykończą, nie jest tajemnicą, kto to zrobił. Wszystko rozgrywa się publicznie, nawet jeśli dzieje się to za zamkniętymi drzwiami lub w ciemnej uliczce. Rozumie pan? Jeśli udaje się nam doprowadzić coś do końca, przyskrzynieć kogoś, zamknąć sprawę, to tylko dzięki jakiemuś porządnemu kapusiowi lub wcale nie porządnemu, ale takiemu, który potrzebuje naszej przysługi. Wszyscy o wszystkim wiedzą, ale nikt nie powie ani słowa. Nieważne, komu się dostanie, reakcja

jest zawsze ta sama: „To nie ja, człowieku, ja nic nie wiem”. Nikt nie pomoże krwawiącemu facetowi lub dziewczynie, która wije się w konwulsjach z powodu niecelnego strzału, bo przecież nikt tego „nie widzi”. „To nie ja, to się wcale nie dzieje, kapujesz?” Postawa prawie jak u hindusów, co?

57

- Jezu - powiedział Stein. Ostatnie słowa Mirandy brzmiały szorstko, jakby zgadzała się z tym wszystkim, o czym mówiła. Jej głos przybrał specyficzny ton, kiedy przytaczała wypowiedzi zasłyszane na ulicy. Na końcu stała się jednak kimś innym, nabrała dystansu, jakby ją bawiła sama obserwacja, bez pełnego zrozumienia i wydawania osądów. - Chciałbym napisać o tobie jeden lub dwa artykuły.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Ale nie może pan. Byłoby to nieetyczne.

- Ach, nieetyczne. Czy bardzo by cię to dręczyło, Mirando? Gdybyś się stała ofiarą nieetycznego postępowania?

- Jestem gotowa poruszyć niebo i ziemię, aby zachować to, co uważam za etyczne i co mnie bezpośrednio dotyczy. Według tych zasad żyję. Pana tak dziwi to, co się wydarzyło wczoraj w nocy. Że nikt nie przyszedł z pomocą tej dziewczynie.

- A ty przyjmujesz to za coś oczywistego. Tamci ludzie to nie ćpuny, handlarze czy ulicznicy z Wschodniego Har-lemu. Nie o przeżycie tu chodzi, kiedy można wykroczyć 911 z własnego mieszkania w Forest Hills. Ryzyko w Harlemie jest namacalne, a przemoc uznaje się za element codziennego życia. Faktem jest, że co dzień ktoś umiera. Ale powiedz mi, co takiego mieli wczoraj do stracenia ci ludzie z Barclay Street, w sercu cywilizowanego Forest Hills, stanowiącego część tajemniczej i wspaniałej dzielnicy Queens?

- Czyż nie jest prawdopodobne, panie Stein, że każda z tych osób, każdy świadek miał coś, jak pan to określa, do stracenia?

- Za cenę życia tej dziewczyny? Cóż to za fatyga wykroczyć 911, przekazać-informację i odwieść słuchawkę? Nikt im przecież nie kazał wychodzić na zewnątrz i szamotać się z tym facetem. Co?

- Nie wiem - przyznała.

- Ale ja chcę wiedzieć. Wiele tu zagadek. Skąd u mnie

to wrażenie, że nawet ciebie czekają tu liczne niespodzianki? Sądziłem, Mirando, że to wszystko wywoła w tobie bardzo silne emocje. Ci wszyscy porządni biali obywatele przyglądający się, jak dziewczyna, taka jak oni, wykrwawia się na śmierć.

Cicho, ale zdecydowanie, ze smutnym przekonaniem w głosie, Miranda Torres odrzekła:

- Bo wszędzie jest Wschodni Harlem, panie Stein.

VI

Sytuacja była niedorzeczna. Miranda, Mike Stein i pani Kirschner siedzieli w pokoju, gapiąc się na groteskowo tłustego pudła. Pudding siedział na różowej aksamitnej poduszce w swoim ulubionym fotelu.

- To jego ulubiony fotel - po raz trzeci poinformowała ich pani Kirschner. Uczesanie szarych, puszystych włosów upodabniało ją do jej psa. Oczywiście miała ciemne, małe, jak koraliki. Jak u Puddinga. Jej głos podobny był do irytującego skamlenia. Zupełnie jak u Puddinga. - Przeżył prawdziwy szok, wierzcie mi - przekonywała ich pani Kirschner. - Bo widzicie, to wszystko moja wina. Nigdy, nigdy nie zapominam o jego spacerku o dziesiątej, ale miałam grype, no i wczoraj wieczorem zasnęłam. Słyszałam, jak mi mówił, że już czas na nas, ale po prostu nie mogłam wstać. Mike Stein skinął głową.

Miranda w milczeniu spojrzała najpierw na psa, potem na panią Kirschner.

- No i zasnęłam. I dlatego wyszłam tak późno na jego wieczorny spacer. - Pochyliła się, przysuwając twarz prawie do mordy psa. Dało się słyszeć złośliwe warczenie. Trudno było jednak powiedzieć, czy pochodziło od psa, czy od pani Kirschner.

- O której godzinie pani wyszła, pani Kirschner?

59

Kobieta obróciła się i spojrzała prosto na Mirandę. Bez względu na to, z kim przyszło jej rozmawiać, obdarzała tę osobę całą swoją uwagą. Nawet psa. Zwłaszcza psa.

- A więc powiedziałabym, że chyba między jedenastą piętnaście a jedenastą dwadzieścia? — Konsultowała przez chwilę tę informację z psem, po czym pokiwała głową. -W każdym bądź razie, przed jedenastą trzydzieści. Coś koło tego. Prawda? - Zdawało się, że pyta psa, który wydał z siebie krótki skowyt.

- I przeszła z nim pani obok tej młodej kobiety, która siedziała oparta o latarnię.

- Ja w ogóle nie widziałam tej dziewczyny, wierzcie mi. Gdybym ją zauważyła, przeszłabym na drugą stronę ulicy. Ale byłam taka rozespana. Grypa naprawdę potrafi ściąć człowieka z nóg. No, nie bądź już zły na mamusię — poinstruowała pudła.

- Pani Kirschner, jest pani jedyną osobą, która podeszła tak blisko do tej młodej kobiety - tłumaczył jej Mike. Pochylił się, wyciągnął rękę do psa i czekał na jego reakcję. Szybko jednak cofnął dłoń, kiedy pudel warknął wykrzywiając mordę w złośliwym grymasie. Pies był co prawda mały, ale jego zęby wydawały się całkiem duże.

- No, no, nie rób mamusi wstydu - powiedziała pani Kirschner. - Wciąż jest na mnie zły Mike uśmiechnął się i skierował mikrofon w stronę psa, starając się przypodobać jego właścicielce.

- Kilka słów dla potomności, Pudding? Chyba nie. Coś nie jesteśmy w humorze, co, pani Kirschner?

To przekonało ją do Mike'a. Opowiedziała mu dokładnie, jak to było: ona, zawstydzona, z poczuciem winy wobec psa, nadal zaspana i oszołomiona przez grypę, poszła z nim aż do końca Barclay Street, w stronę jego ulubionego miejsca na zakręcie, w gąszczu zielska obrastającego płot wzdłuż torów kolejowych.

- Nagle Pudding zatrzymał się, prawda, złotko? A potem ja spostrzegłam tę dziewczynę. Siedziała na chodniku, z opuszczoną głową, opierając się o latarnię. Pomyśla-

Kobieta obróciła się i spojrzała prosto na Mirandę. Bez względu na to, z kim przyszło jej rozmawiać, obdarzała tę osobę całą swoją uwagą. Nawet psa. Zwłaszcza psa.

- A więc powiedziałabym, że chyba między jedenastą piętnaście a jedenastą dwadzieścia? - Konsultowała przez chwilę tę informację z psem, po czym pokiwała głową. -W każdym bądź razie, przed jedenastą trzydzieści. Coś koło tego. Prawda? - Zdawało się, że pyta psa, który wydał z siebie krótki skowyt.

- I przeszła z nim pani obok tej młodej kobiety, która siedziała oparta o latarnię.

- Ja w ogóle nie widziałam tej dziewczyny, wierzcie mi. Gdybym ją zauważyła, przeszłabym na drugą stronę ulicy. Ale byłam taka rozespana. Grypa naprawdę potrafi ściąć człowieka z nóg. No, nie bądź już zły na mamusię -poinstruowała pudła.

- Pani Kirschner, jest pani jedyną osobą, która podeszła tak blisko do tej młodej kobiety - tłumaczył jej Mike. Pochylił się, wyciągnął rękę do psa i czekał na jego reakcję. Szybko jednak cofnął dłoń, kiedy pudel warknął wykrzywiając mordę w złośliwym grymasie. Pies był co prawda mały, ale jego zęby wydawały się całkiem duże.

- No, no, nie rób mamusi wstydu - powiedziała pani Kirschner. - Wciąż jest na mnie zły. Mike uśmiechnął się i skierował mikrofon w stronę psa, starając się przypodobać jego właścicielce.

- Kilka słów dla potomności, Pudding? Chyba nie. Coś nie jesteśmy w humorze, co, pani Kirschner?

To przekonało ją do Mike'a. Opowiedziała mu dokładnie, jak to było: ona, zawstydzona, z poczuciem winy wobec psa, nadal zaspana i oszołomiona przez grypę, poszła z nim aż do końca Barclay Street, w stronę jego ulubionego miejsca na zakręcie, w gąszczu zielska obrastającego płot wzdłuż torów kolejowych.

- Nagle Pudding zatrzymał się, prawda, złotko? A potem ja spostrzegłam tę dziewczynę. Siedziała na chodniku, z opuszczoną głową, opierając się o latarnię. Pomyśla-

60

mm A

łam sobie: „Wstyd. Tak na środku Barclay Street”. Bo widzicie, myślałam, że jest pijana. Naprawdę wyglądała na pijaną.

- Czy wydawała jakieś dźwięki, czy płakała, mówiła coś?

Pani Kirschner zamrużyła na Mirandę, po czym zapytała swego psa:

- Czy tamta pani coś do ciebie mówiła, mój mały? Nie, nie mówiła, prawda? Siedziała tam sobie i przestraszyła mojego kochasia, co?

- W jaki sposób przestraszyła psa, pani Kirschner?

- No, po prostu przez to, że tam była. Wiecie państwo, psy są bardzo mądre. Pudding wiedział o wiele więcej, niż dał po sobie poznać. Prawda, piesku?

Steinowi przemknęła przez głowę szalona myśl, że wszyscy troje czekają, aż pies zacznie dalej ciągnąć opowieść.

- Było tak, że kazałam Puddingowi odejść od tej pani. „Odejdź”, powiedziałam. A bo to wiadomo, do czego zdolny jest ktoś pijany?

- Ona nie była pijana, pani Kirschner.

Kobieta zwróciła się do psa:

- Myśmy o tym nie wiedzieli, prawda? Przynajmniej ja nie wiedziałam. Ale Pudding ma w tych sprawach wyjątkowe wyczucie. Podeszedł do niej bliżej, obwąchał ją kilka razy i zaczął się trząść. Nigdy dotąd w życiu nie widziałam czegoś tak strasznego. Zaczął ujadać i się trząść, nie drżał, proszę zwrócić uwagę, ale cały się trząsnął. Wzięłam go na ręce, a biedne maleństwo było tak przejęte, że mnie całą obsiusiało. Wiem, że to go strasznie wytrąciło z równowagi, bo Pudding to taki miły czyścioszek, prawda, Pudding?

Pies ani na chwilę nie spuszczał oczu z pani Kirschner. Kiedy tylko przestawała mówić, on zaczynał skowyczeć, ale ilekroć wyciągnęła do niego rękę, szczyrzył na nią kły.

- Gdybym nie przespała jego spacerku o dziesiątej, to wszystko by się nie stało, prawda? To znaczy, chyba tam jeszcze nie siedziała o dziesiątej, co?

61

f

I

I

- Co pani sobie wówczas pomyślała? Czy myślała pani, co może być tej młodej kobiecie, kiedy już zdała sobie pani sprawę, że nie jest pijana? - zapytał ją Mike Stein.

- Musiałam się zająć tą biedną, histerycznie trzęsącą się i skowyczącą istotą. Kiedy tylko przyniosłam go na górę, posadziłam go na poduszce i dokładnie obejrzałam. Na przednich łapach miał krew. - Przeszedł ją dreszcz. -Więc go obmyłam w chłodnej wodzie. I starałam się go uspokoić dając mu pierniczek, jeden z jego ulubionych przysmaków. Wyobraźcie sobie, jaki musiał być wystraszony, skoro nie chciał go nawet tknąć!

- Czy zastanawiała się pani, pani Kirschner - spytała Miranda - co się stało tej dziewczynie? Po tym, jak zobaczyła pani krew na łapach psa, czy nie zastanowiło pani, co jej się stało? Dlaczego krwawi?

- Coś pani powiem, miła pani. Pudding i ja to wszystko, co oboje mamy. Siebie nawzajem. Nie wiedziałam, kim jest ta dziewczyna. I nadal nie wiem. Przez cały czas myślałam o swoim małym roztrzęsionym piesku, i zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby go uspokoić.

- Kiedy zobaczyła pani tę dziewczynę, ona konała czy była już martwa?

Pani Kirschner machnęła ręką w stronę Mirandy.

- Niech pani zapyta Puddinga. To on do niej podeszedł. Będzie wiedział więcej na ten temat niż ja.

Znowu siedzieli, troje ludzi gapiących się na tłustego szarego pudła.

- Przecież byli też inni ludzie — powiedziała pani Kirschner. - Widziałam ludzi stojących w oknach. Każdy z nich mógł jej pomóc. A ja jestem jedyną osobą na świecie, która mogła pomóc Puddingowi. Mówicie mi teraz, że waszym zdaniem źle postąpiłam? Przynosząc swego najdroższego przyjaciela tu na górę i starając się go uspokoić? Źle postąpiłam?

- A czy dobrze, pani Kirschner? - zapytał Mike.
- Pan nic nie rozumie, prawda? Myśleliśmy, że ta dziewczyna jest pijana. Co miałam zrobić?

Teraz mi mó-

62
wicie, że była już martwa. Więc co ja właściwie mogłam zrobić?

Po czym wypowiedziała zdanie, na które czekał Mike Stein.

- Jestem odpowiedzialna za mojego psa, a nie za jakąś dziewczynę siedzącą na chodniku, pijaną czy martwą, czy co tam jeszcze.

VII

«

Anna Grace pracowała na oddziale chirurgicznym szpitala Św. Jana. Przed dziesiątą nocne odgłosy odbijały się echem wypełniając długie korytarze nowego skrzydła, które wciąż jeszcze było urządzone. Ściszone telewizory, muzyka rozbrzmiewała jedynie w poszczególnych pokojach, pacjenci drzemali, a pełniące dyżur pielęgniarki mogły się nareszcie zająć papierkową robotą. W pokoju pielęgniarek pracowano w ciszy: sprawdzano karty pacjentów, przygotowywano leki. Od czasu do czasu dało się słyszeć kasznięcie, trzask radioodbiornika przy zmianie jednej stacji na dfugą, zgrzyt gumowanych butów pielęgniarek na wypastowanej podłodze - typowe odgłosy szpitalne. Tak będzie aż do chwili, gdy zjawią się pielęgniarki z następnej zmiany: rześkie, pełne energii, gotowe do pełnienia dyżuru przez najbliższe osiem godzin.

Doktor Filomena Ruggiero była niską, krągłą kobietą, o sztywnych jak drut ciemnych włosach, przyciętych starannie wokół twarzy. Szybkim ruchem głowy potwierdziła, że jest świadoma obecności Mirandy, ale nie przerwała dyktowania danych i informacji nagrywanych na magnetofon. Zdecydowanym, wyraźnym gestem wskazała krzesło, dając do zrozumienia, żeby jeszcze chwilę na nią poczekać, następnie odstawiła na bok magnetofon, papiery z biurka włożyła do teczki, a teczkę wsunęła do otwartej szuflady.

63

- Tak - powiedziała, już gotowa. - Pani detektyw Torres? Miło mi panią poznać. Wstała i przechyliła się ponad biurkiem. Uścisk jej dłoni był mocny, a oczy spoglądały prosto w oczy Mirandy, badając ją, mierząc, sprawdzając. Oceniała ją, w pełni świadoma, że Miranda robi dokładnie to samo.

- Cóż mogę pani powiedzieć? Co chciałaby pani wiedzieć o Annie Grace? Mirandę interesowała przede wszystkim godzina jej przyścia do pracy i wyjścia do domu w środę wieczorem. Powody, dla których nie została do końca dyżuru. Oraz ogólne informacje: jakiego typu kobietą była Anna Grace, czy miała z kimś konflikty, jakichś wrogów'jakieś romanse? Czy istniał jakiś powód, nawet najbardziej nieprawdopodobny, dla którego ktoś mógłby chcieć zrobić jej krzywdę, napaść czy zabić.

W środę 17 sierpnia Anna Grace przysłała na dyżur o dziesiątej wieczorem. Z reguły jej dyżur zaczynał się o północy i trwał do ósmej rano, ale w tym tygodniu Anna Grace dyżurowała o dwie godziny dłużej, wyświadczając przysługę koleżance.

- Mąż jednej z naszych pielęgniarek jest artystą, śpiewa. Dostał właśnie chałturę w Bottom Line - opowiadała obojętnie doktor Ruggiero. - To wielkie wydarzenie; nawet ja o tym wiem. Janice, Janice Young, chciała koniecznie znaleźć się wśród publiczności, więc Anna wzięła za nią dwie ostatnie godziny dyżuru. Pielęgniarki tak robią. To zgrana grupa. Bardzo zgrana. Są bardzo przybite tym, co się stało. Nie, Anna Grace nie miała wrogów. Brzmi to jak banał, tak się zawsze mówi o tych, którzy zmarli. Ale w przypadku Anny Grace to prawda. Była jedyna w swoim rodzaju. Ciepła, kochająca, troskliwa, opiekuńcza...

Doktor Ruggiero przycisnęła oczy palcami, potrząsnęła głową, pociągnęła nosem. Ramiona jej zdrzętały.

- Wyplakano tu wiele łez, odkąd usłyszeliśmy, co się stało. No tak, ale by odpowiedzieć na pani pytanie: nie wiem nic o żadnych wrogach, z nikim żadnych konflik-

64

tów, a co do kochanka, to absolutnie wykluczone. Naprawdę. Ta dziewczyna kochała swojego

strazaka. To wyjątkowa para, detektywie Torres. Nietypowe dzieciaki jak na lata osiemdziesiąte. Zareczyny, ślub kościelny; nie mieszkali razem przed ślubem. Dziewczyna religijna, pełna poświęcenia pielęgniarka, kochana i kochająca młoda żona. Wspaniała córka.

Doktor Ruggiero wstała nagle. Jej palce skubały niespokojnie zatrzaski przy białym zakiecie. Podeszła do okna, odwróciła się plecami do Mirandy, ukryła twarz w dłoniach. Dał się słyszeć pojedynczy szloch, po czym odwróciła się z powrotem. Poruszała się szybko i sprawnie. Oparta rękoma o biurko, czekała na pytania Mirandy.

Kiedy Miranda zapytała, dlaczego w środę wieczór Anna Grace opuściła szpital po niespełna godzinie dyżuru, w lekarce zaszła nagła zmiana. Twarz jej zastygła, zacisnęła usta, oczy jej błyszczały, a w głosie zabrzmiał gniew.

- Gdybym to ja miała nocny dyżur w środę, a nie miałam, bo właśnie rodziła moja córka na Long Island, Anna spędziłaby tę noc tutaj, w szpitalu.

Miranda była zaskoczona. Doktor Ruggiero mówiła prędko, wstrzymując ruchem ręki wszelkie pytania.

- Spędziłaby tę noc w łóżku, na obserwacji. Doktor Ahmed, który mnie zastępował, jest, moim zdaniem, nierozważny. Ciągłe zajmuje się jakimiś swoimi mistycznymi podróżami. Proszę mi wybaczyć. Ale stosunki między nami bardzo źle się układają. Więc niech to pani przyjmie do wiadomości. Ale ten jego brak rozważności, kiedy pozwolił Annie opuścić szpital, wiedząc, że będzie prowadzić samochód, w jej stanie... to uwaga merytoryczna... jest niewybaczalny.

- Przepraszam, ale nie rozumiem. Wiem jedynie, że Anna Grace miała silny ból głowy i poprosiła o zwolnienie z dyżuru. Że zatrzymała się w Forest Hills, gdzie mieszka jej matka, zamiast jechać dalej do Little Neck.

- Tak. Zgadza się. W świetle dostępnych informacji może jestem niesprawiedliwa wobec doktora Ahmeda. Nie

65

wiem. To, co się przytrafiło Annie jest tak straszne, tak pełne ironii. Doktor Ahmed twierdzi, że „tak było jej pisane”. Czyżby? Rozumie to pani?

- Nie. Ani trochę. Dlaczego miałyby się pani tak przejmować jej bólem głowy?

Dr Ruggiero odparowała: ' - Ponieważ ból głowy świadczył o możliwości istnienia czegoś poważniejszego. Ponieważ u Anny Grace pojawiły się pewne objawy: bóle głowy, które stawały się coraz dokuczliwsze, chwilowa utrata czucia w rękach i nogach, sztywnienie szyi, utrata wzroku trwająca zaledwie kilka sekund, po której jednak czuła się rozbita i wytrącona z rytmu. No dobrze, będę wobec niego fair: doktor Ahmed nie znał tych wszystkich objawów, ale jestem pewna, że gdyby tylko poświęcił Annie wystarczająco dużo uwagi, kiedy przyszła do niego w środę wieczorem, gdyby tylko ją zbadał... Nie. To i tak prawdopodobnie niczego by nie zmieniło. Widzi pani, nasz doktor Ahmed nie bardzo się przejmuje amerykańskimi „dziewczynami”. Pewnie sądził, że Anna chce sobie urwać wolną noc. Założę się, że nawet nie próbował jej zbadać. I jeszcze pani powiem, to musiał być bardzo intensywny ból głowy, skoro jedna z naszych pielęgniarek, i to zwłaszcza Anna, poprosiła o zwolnienie po niespełna godzinie dyżuru. To właśnie powinien był wiedzieć.

- Doktor Ruggiero, co panią tak niepokoiło w bólach głowy Anny?

Lekarka uniosła rękę, odwracając dłonie do góry.

- A jaka to teraz różnica? Może on ma rację, ten drań, może rzeczywiście tak było gdzieś zapisane, ale jakież to nędzny los dla Anny. No dobrze, wiedziałam o tych objawach i starałam się ją przekonać, żeby poważniej potraktowała bóle głowy i inne dolegliwości. Chciałam, żeby się poddała tomografii komputerowej. Coś się tam już działo.

- Co spodziewała się pani znaleźć?

Znowu wzruszenie ramion. Jaka to teraz różnica? Jaka różnica? Któż to może wiedzieć?

66

- A właściwie jaka to różnica?

- Jestem ciekawa — przyznała Miranda.

Doktor Ruggiero usiadła z powrotem, spłótła dłonie na płaskim brzuchu, spoglądając w zamyśleniu

na Mirandę.

- To nie jest zwykła ciekawość. Widzę to. Obawiałam się, że to może być guz mózgu. Myślę, że i Anna się tego bała, ale nawet najbardziej inteligentna i wykształcona osoba na świecie czasami nie chce znać prawdy. Może tak, może nie. Jeśli tak, to wtedy albo operacja, albo nie. Zbyt wiele tych „może”, ale tej chwili to wszystko sprowadza się do jednego: i co z tego? Prawda?

- Dlaczego pani zdaniem zatrzymała się w Forset Hills, zamiast jechać prosto do domu?

- Chyba zdała sobie sprawę, że to coś poważnego, bo inaczej pojechałaby do domu w Little Neck. Zamiast się zatrzymywać w Forest Hills. Gdzie jakiś wariat sprowadził całą sprawę do kwestii zgoła akademickiej.

Miranda chciała jeszcze coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Doktor Ruggiero zachęcała ją: - No, proszę. Niech pani pyta.

- Jak to pani określiła, to kwestia czysto akademicka. Ale... pani zdaniem, gdyby dostała się do mieszkania matki... to co się mogło stać?

- Gdyby ten potwór jej nie zaatakował, gdyby bezpiecznie dotarła do mieszkania matki, to niewykluczone, że jeszcze w środę w nocy trzeba by było wezwać lekarza do Anny Grace. Może... mały wybuch w mózgu. Tętniak. Coś złego wisiało na włosku. - Przerwała. - Chyba rzeczywiście każdemu jest pisane... Tylko że mnie akurat nie podoba się ta książka.

VIII

Siedzieli w samochodzie zaparkowanym przy Metropolitan Avenue i Miranda czekała, podczas gdy Mike Stein

67

przejrzał swój notatnik, potem przygotował magnetofon i w końcu rozejrzał się dokoła. Było to dla niego zupełnie nie znane miejsce. Nie bardzo wiedział, gdzie się znajdują. W końcu dostrzegł wyraz jej twarzy.

- Coś was dręczy, detektywie Torres?

- Tak. Chciałabym wyjaśnić jedną sprawę, zanim przejdziemy do następnych.

Zignorowała jego protekcyjny, pobłażliwy uśmiezek.

- Panie Stein, pana nie interesuje, kto zabił tę kobietę. Mam rację? Nie jest to coś, co pana szczególnie interesuje.

- Ani trochę. W każdym razie z mojego punktu widzenia, nie jest to istotne. Dziewczyna nie żyje. Ktoś ją zabił. Tb wciąż się zdarza; co ile minut? Ile takich przypadków na godzinę? Ktoś zapewne byłby w stanie podać nam te liczby. Mnie nie interesuje ani zbrodnia, ani jej ofiara. Mnie interesują świadkowie. '

- Rozumiem. Więc ustalamy jedną sprawę między nami.

Znowu nieznaczny uśmiezek.

- Moim zadaniem - ciągnęła - jest znalezienie odpowiedzi na pytania. Po pierwsze, kto' to zrobił. Po drugie, dlaczego. A znajdując odpowiedzi na te pytania mamy, my, oficerowie policji badający tę sprawę, doprowadzić do ujęcia sprawcy. By następnie przekazać go w ręce „wymiaru sprawiedliwości”. I za to właśnie jestem odpowiedzialna.

- Nie zamierzam w jakikolwiek sposób wtrącać się do śledztwa, jeśli o to ci chodzi. Nie będziemy wchodzić sobie w drogę. Czy to chcieliście wyjaśnić, detektywie Mirando, czy też jesteście ciekawi, dlaczego interesują mnie wyłącznie świadkowie?

Otworzyła drzwi samochodu, ale zanim wysiadła na jaskrawe słońce, zwróciła się znowu w jego stronę.

- Jest wystraszająco dużo spraw, które mnie ciekawią, panie Stein, by nie zawracać sobie głowy motywami pań-

68

* 9 m

skiego postępowania. Cokolwiek pana interesuje w tym zabójstwie, to pańska sprawa. Dopóty, dopóki pańskie zainteresowania nie przeszkadzają mi w wykonywaniu mojej pracy.

I nie czekając na odpowiedź wysiadła z samochodu trzaskając drzwiami.

»

Mike'owi Steinowi podobał się staroświecki charakter Metropolitan Avenue. Wszystkie jednopiętrowe budynki należały do podatników; na parterze znajdowały się różnego rodzaju sklepiki, a na piętrze małe mieszkania. Były tam sklepy z żywnością: spożywczy z chaotycznie rozłożonymi towarami, rybny z dużym wyborem ryb o szklistych oczach, umieszczonych w witrynie na warstwie lodu.

W sąsiedztwie apteki znajdowała się włoska piekarnia. Jej wystawę wypełniały złociste bochenki, długie i wąskie, obok koszyków z bułkami, które z kolei stały koło wielkiej aluminiowej tacy, zapełnionej po brzegi małymi, posypanymi makiem ciasteczkami.

Były tam również warsztaty rzemieślnicze. Warsztat tapicerski z kilkoma belami wypłowiałego materiału w witrynie, zakład szklarski, z napisem w oknie: NAPRAWY I USŁUGI NA ZAMÓWIENIE, warsztat stolarski, skąd dochodziły odgłosy pracujących maszyn.

Starsze panie z plecionymi siatkami w dłoni przechadzały się wzdłuż zalanej słońcem ulicy razem z młodymi kobietami, które pchały przed sobą wózki z pogodnymi dziećmi. Miało się wrażenie, że każde dziecko coś żuje lub ssie. Panowała tu atmosfera beczasowości i zadowolenia. Atmosfera niewinności.

- Czy to naprawdę część Forest Hills? - zapytał Stein Mirandę. - Tu się żyje w jakimś innym wymiarze czasu.

- Tu się właśnie kończy - odpowiedziała Miranda. Wskazała w dół ulicy. - Tam jest Richmond Hill. - Obróciła się. - Glendale jest w tamtym kierunku. Ale ta część należy jeszcze do Forest Hills.

- Ma pewien urok, prawda?

69

Nawet jeśli zauważył, że Miranda nie odniosła podobnego wrażenia, to nic nie powiedział.

- Ciekawe, jak dawno temu właściciele sklepów zainstalowali tu kraty.

Pod koniec dnia ulica będzie przypominać opuszczone więzienie, z tymi wszystkimi stalowymi kratami broniącymi dostępu do sklepów i domów. Kiedy zbliżyli się do apteki, nie byli pewni, czy jest jeszcze otwarta. Krata zabezpieczająca była już opuszczona, a okno i drzwi prawie całkowicie zasłonięte.

Mike zajął do środka, po czym nacisnął dzwonek i czekał, aż rozlegnie się trzask automatu otwierającego zamek.

Do drzwi podszedł mężczyzna w białej marynarce, wychylił głowę, badając sytuację. Przeniósł wzrok z Mike'a na Mirandę i zawahał się, mimo że uprzedzili go telefonicznie o swoim przyjeździe. Miranda Torres pokazała mu swoją odznakę detektywa, którą trzymała w prawym ręku. Aptekarz skinął głową i odblokował zamek, pozwalając im wejść do środka.

- Nigdy nie za wiele ostrożności - wyjaśnił. - Proszę wejść. Tylko skończę wypisywać tę nalepkę. Jedną minutkę, dobrze? *

Mike przyglądał się wysokiemu sufitowi w kolorze cyny, staroświeckim kulistym lampom, drewnianym półkom za kontuarem. Nawet podłoga wyłożona małymi płytkami wydawała się w dobrym stanie. To pomieszczenie musiało mieć z sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. Unosiła się w nim nieokreślona woń, przywołując wspomnienie zapachu, który zapamiętał z czasów, kiedy dostarczał przesyłki do apteki znajdującej się w sąsiedztwie jego domu. Brakowało jedynie syfonu: idealnie dopełniłby obrazu.

- Okay. Będzie gotowe, jak przyjdą.

Aptekarz, Edward Farmer, oparł łokcie na pokrytej szkłem ladzie. Był dużym, mocno zbudowanym mężczyzną, pocącym się trochę w swej sztywno wykrochmalonej marynarce. Spojrzał na magnetofon, który Mike Stein po-

70

stawił obok jego rąk, potem na Mike'a i wzruszył ramionami. W porządku. Nie ma nic przeciwko temu.

- Panie Farmer - zaczęła Miranda. - Mieszka pan przy Barclay Street pod numerem 68-43 w mieszkaniu od frontu, prawda? Czy był pan świadkiem tego, co się wydarzyło wczorajszej nocy?

Mike patrzył na nią z podziwem - bez owijania w bawełnę. Od razu przeszła do rzeczy. Zanim Farmer zdołał odpowiedzieć, rozległ się dzwonek. Aptekarz wyprostował się, obszedł dokoła ladę, podszedł prosto do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Skinął głową stojącej przed wejściem kobiecie, unosząc palec: „Chwileczkę”. Wziął zamówiony lek, zwolnił zamek w drzwiach, przyjął pieniądze za lekarstwo, po czym ponownie zamknął drzwi.

- Świetne, co? - odwrócił się od drzwi. - Czy nie wspaniałe są te wszystkie kraty, drzwi i dzwonki? Dwadzieścia lat temu, kiedy kupowałem tę aptekę, jakże tu było miło. Prawdziwa miejscowa apteka, jak w małym miasteczku. Wszyscy cię znali, ty znałeś wszystkich. Przychodzili tu po porady, szukając uspokojenia, czasami, gdy nie było ich stać na lekarza, potrzebowali uspokojenia. To była także część mojej pracy. W takie dni jak dzisiaj, po południu, kiedy nie było już ruchu, sklepikarze wystawiali na ulicę kuchenne krzesła i zasiadali przed swymi sklepami, wygrzewając się w słońcu i plotkując. Czy wiecie dlaczego kupiłem tę aptekę, w tej części Metropolitan Avenue? Bo to była podróż w czasy dzieciństwa. — Zauważył wyraz twarzy Mike'a. — Mam rację, panie Stein? Zupełnie jak w latach trzydziestych.

- I nadal panuje tu taka atmosfera, panie Farmer.

Twarz pana Farmera była krągła i błyszcząca; wilgotna obwódka ciemnych włosów okalała jego łysą czaszkę. Widać było dziwne wklęśnięcie, biegnące od przodu do tyłu głowy. Powrócił do terażniejszości i stanął znowu za ladą.

- Panie Farmer - wtrąciła Miranda - czy możemy

71

V

v

wrócić do wczorajszej nocy na Barclay Street? Chciałabym, żeby pan opisał to, co pan widział i słyszał.

- Nie - odpowiedział. - Nie. Najpierw chcę wam jeszcze coś opowiedzieć. - Wskazał wklęśnięcie na czaszce, wodząc po nim palcem. - Nie urodziłem się z tym, ma się rozumieć. To mi zrobiła kula. W ciągu ostatnich kilku lat włamywano się tutaj, nie zliczę ile razy. No i dobrze, zabierali te trochę pieniędzy, rozczarowani, że tak niewiele. Zabierali też niektóre lekarstwa, nie ma sprawy. Ale w zeszłym roku, w lutym zeszłego roku napadły na mnie dwa uzbrojone czarne panki. Spojrzał na Mirandę, uniósł w górę brwi, wzruszył ramionami. Nie zareagowała.

- Dwóch cholernych skurwieli. Wzięli pieniądze, trochę leków, ale i to im nie wystarczało. Za mały łup. A więc jeden z nich walnął mnie kolbą prosto w usta. — Otarł usta, po czym uniósł wargę, żeby im pokazać. - Kosztowało mnie fortunę łatanie tego wszystkiego, nie mówiąc już o bólu. Złożyłem więc skargę na komisariacie, no i co od nich słyszę? Dokładnie to samo, co mi mówili wszyscy sąsiedzi z tej ulicy: „Masz szczęście, że ten łajdak cię nie zastrzelił”. Widzicie, trzeba sobie coś znaleźć, za co można być wdzięcznym, i ja też tak powinienem na to patrzeć. Mam być wdzięczny, że mnie nie zastrzelił.

Ale parę dni później jem sobie zupę w barze po drugiej stronie ulicy i widzę tego łajdaka, co na mnie napadł i wybił mi zęby. Je sobie najspokojniej w świecie parówkę z knyszem, jakby nigdy nic. Więc go łapię, a kawał chłopca ze mnie, no nie? Ktoś wzywa policję, przyjeżdżają, aresztują go, potem jedziemy na komisariat i do sądu. I tak całutki boży dzień, cały dzień spędziłem w sądzie - a było to w lutym, ciągle padał deszcz ze śniegiem, rok temu. I z jakim skutkiem? Sąd wyznaczył datę rozprawy i wypuścił go na wolność. Bez kaucji, ot tak. Za słownym poręczeniem. To przecież taki pierwszorzędny obywatel.

Kiedy aptekarz zbliżał się do najbardziej przykrych momentów swego opowiadania, jego głos stawał się cich-

72

szy i niższy. Starał się panować nad sobą, ale mimo to dłonie mu drżały. Z jego ust wydobywały się suche, klekoczące dźwięki.

- Miał wiele na sumieniu, ten facet. Sędzia przejrzał jego akta, odłożył je na bok i puścił skurwiela na wolność. No i potem jedziemy obaj meterem, ten łajdak i ja. Siada naprzeciw mnie,

gapi się i uśmiecha. Wtedy wstaje i mówi: „Słuchaj, ty śmieciu, trzymaj się ode mnie z daleka. Jesteś nędznym łajdakiem i twoje miejsce w rynsztoku”. Ale kiedy tak mówię, niewiele z tego można zrozumieć. - Wskazał palcem na przednie zęby. - A jego to śmieszy, że ja nie mogę normalnie mówić. Śmieje się, a mnie trafia szlag, że oto jesteśmy obaj na wolności i jedziemy sobie meterem. *

Następnego dnia, już następnego dnia, ten skurwiel znowu przychodzi do mojej apteki. Nie miałem jeszcze wtedy stalowych krat; drzwi otwarte, każdy mógł wejść. Nie mówi ani słowa, nic. Tylko celuje do mnie z pistoletu i strzela.

Jakimś trafem kula prześliznęła się po czaszce aptekarza. Sprawca obrócił się na pięcie i poszedł sobie. W szpitalu Farmer powiedział policji, przez kogo został napadnięty. Policja go aresztowała. Ale facet powołał czterech świadków, włącznie z kuratorem z miejskiego ośrodka rehabilitacji riarkomanów. Wszyscy przysięgli, że cały dzień spędził z nimi, ani na chwilę nie schodząc im z oczu.

- Znalazł się na wolności. Znowu był na wolności. Strzelił mi w łeb i nadal łąził wolny. Przeleżałem w łóżku cztery miesiące; musiałem się wszystkiego na nowo uczyć, po tym szoku i... mniejsza z tym. Czy wiecie, co mi potem powiedzieli na policji? To znaczy, bardzo mi współczuli i powiedzieli mi to w bardzo miły sposób, dając taką przyjacielską radę: Mam dwa wyjścia, mówią mi. Albo kupię sobie pistolet i będę strzelał pierwszy, albo sprzedam aptekę (ale kto ją kupi?) i znajdę sobie bezpieczniejsze miej-

73

sce. Tyle tylko że nikt mi nie potrafił wskazać, gdzie jest to bezpieczniejsze miejsce.

Zabrakło mu jednocześnie i słów, i powietrza. Zaczął się dławić i kaszleć, podniósł do góry dłonie. Zniknął za przepierzeniem, na wpół z drewna, na wpół ze szkła, gdzie przygotowywał leki. Po chwili był z powrotem, z kubkiem wody w dłoni.

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

Mike czekał. Miranda, z twarzą jak maska, powiedziała głosem spokojnym i cichym:

- To straszne, panie Farmer. To, co się panu przytrafiło.

- Ej, jeśli przypadkiem - odrzekł - uraziłem was tym, co mówiłem o tym facecie...

Broda Mirandy uniosła się nieznacznie w górę.

- Nie obraził mnie pan. To było straszne doświadczenie. A teraz niech nam pan opowie, co pan widział zeszłej nocy na Barclay Street z okna swego mieszkania.

- Widziałem, co widziałem; zresztą co tam można zobaczyć z trzeciego piętra? Mam zidentyfikować tego mężczyznę? Opisać go? Miał na sobie ubranie jasnego koloru, a sam był ciemny i tyle, to wszystko.

Odpowiedział na każde pytanie. Nie miał zdania co do tego, jakiego rodzaju stosunek, jeśli w ogóle, mógł istnieć między ofiarą a napastnikiem. Nie miał nic ponadto do powiedzenia. Nie okazał się zbyt pomocny.

Miranda Torres stuknęła długopisem w swój notatnik, przerzuciła kartki i postawiła znak przy nazwisku Farmer.

Mike Stein zapytał go wówczas:

- Panie Farmer, dlaczego nie zadzwonił pan pod 911? Dlaczego pan nie zadzwonił choćby wtedy, gdy ten mężczyzna już odszedł?

Aptekarz rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- Po co, panie Stein? I co by to dało?

- Pan dobrze wie, co by to dało, panie Farmer. Pan ma przygotowanie zawodowe, czy pan nie rozumie? Ta

74

dziewczyna zmarła. Wykrwawiła się na śmierć i nikt nie raczył nawet zadzwonić. Jej życie było w pańskich rękach. W rękach was wszystkich, mieszkańców Barclay Street, i nikt z was jej nie pomógł.

- Nie zadzwoniłem na policję z obawy, że może go najpierw złapią, a potem wypuszczą. I może on też przyjdzie do mnie. Dlaczego by nie? Robią, co im się żywnie podoba. To my jesteśmy

więźniami, zamknięci w naszych sklepach, w naszych mieszkaniach. A oni łążą sobie po ulicach, to oni są właścicielami ulic, nie my.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie, panie Farmer. To, co się panu przytrafiło, to jedna sprawa. A ta dziewczyna leżąca na ulicy i wykrwawiająca się na śmierć, to inna sprawa. Co pan zrobił, kiedy już ten mężczyzna ją zostawił?4

Edward Farmer czubkiem palca przesunął wzdłuż blizny, od przodu głowy do tyłu. Wydobył z siebie głębokie, ciężkie westchnienie.

- Wróciłem do łóżka. I zasnąłem. Uznałem to wszystko za nocny koszmar.

IX

Miranda odczuwała pewien niepokój i niepewność w związku z zadaniem, jakie miała teraz wykonać. Robiła to na prośbę Mike'a Steina. Przeprowadzenie wywiadu środowiskowego na temat podejrzanego czy nawet ofiary — to jedna rzecz. Ale zdobywanie informacji na temat matki ofiary mordu, które miałyby być później wykorzystane przez dziennikarza, to co innego. Miranda Torres przedstawiła swe pełnomocnictwa podejrzliwej i małowownej zastępczyni kierowniczką w oddziale nowojorskiego przedsiębiorstwa telefonicznego w Forest Hills.

- Tak, dotarła do nas ta straszna wiadomość o córce

75

ff

pani Hynes, ale obawiam się, detektywie... e... Torres? że nie bardzo rozumiem, o co pani chodzi. Tabliczka ustawiona na biurku informowała, że ta wysoka, szczupła kobieta nazywa się Celia Simpson. Miała bladą, suchą, zgorzkniałą twarz. Zmarszczki między brwiami i opuszczone kąćki ust były raczej spowodowane wyrazem jej twarzy aniżeli upływem lat. Nie była chyba zbyt szczęśliwą kobietą i twardo spoglądała na Mirandę Torres zmrużonymi oczyma. Jakiś intruz, nieproszony gość.

- To bardzo smutne, co się stało. - Z jakiegoś powodu, którego Miranda nigdy nie potrafiła zrozumieć, w obecności pewnego typu ludzi lub też w sytuacjach szczególnie stresujących zmieniał się jej sposób mówienia: upodabniał się do hiszpańskiego. - To, co staramy się robić, co musimy zrobić, niezależnie od tego, jak bardzo może się czasem wydawać nie związane ze sprawą, to zebrać jak najwięcej informacji na temat ofiary. W nadziei, że doprowadzi nas to do sprawcy.

- Ale Mary Hynes nie jest ofiarą - trafnie wytknęła jej pani Simpson. Niełatwo było zbić z tropu tę kobietę.

- Inni detektywi przeprowadzają wywiad na temat córki pani Hynes, jej męża, a także, dalszej rodziny. To wszystko jest mało prawdopodobne, ale nie wolno nam na razie niczego zakładać. Tylu wariatów chodzi po świecie.

O tym pani Simpson wiedziała.

- O tak, mogłabym coś na ten temat powiedzieć. Codziennie jeżdżę metrem. Wystarczy, nie?

- Ponieważ pani Grace, ofiara, została zabita przed domem, w którym znajduje się mieszkanie jej matki, jest więc naturalne, że robimy wywiad na temat jej matki. Czy jest ktoś, kto mógłby żywić jakąś urazę do pani Hynes? Ktoś rozgniewany na nią, wściekły, wszystko jedno, ktoś, kto chciałby ją zranić, robiąc krzywdę jej córce? -Znowu wzruszenie ramion, co mogło znaczyć: „W dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe, prawda?” - A skoro pani Hynes jest tu kierowniczką, jest też pani przełożoną? Tak... no więc, musimy wykluczyć i taką ewentual-

76

ność, że może któryś z pracowników miał jakieś zatargi z panią Hynes... Mało to prawdopodobne, ale na tym polega moja praca. Wyeliminowanie wszelkich ewentualności.

Pani Simpson skinęła głową. Rozejrzała się po małym, oddzielnym szybami pomieszczeniu, i zaczęła się zwierzać, ponieważ Miranda była tak sympatyczna i pełna zrozumienia.

- Przed laty to, o czym pani wspomniała, Boże, o tym się nawet nie mówiło, prawda? Ale dzisiaj... Kiedyś, jak zaczynałam pracować w telefonach, to było po prostu wspaniałe. Od razu po szkole średniej. Jakby się należało do jakiegoś klubu. Wszystkie byłyśmy absolwentkami szkoły prowadzonej przez siostry. Dzięki temu mieli pewność, jakie zatrudniają dziewczęta. Ta praca dawała określony status. Pani Hynes i ja jesteśmy ze starej generacji. Chyba jednak nie mogę

narzekać. Gdyby nie dopuszczali nowych pracowników, żadna z nas nie mogłaby awansować na kierownicze stanowisko. Dawniej jedynie mężczyźni mieli taką szansę.

- W starych dobrych czasach? - odpowiedziała jej cicho Miranda.

Pani Simpson zmarszczyła brwi.

- Może nie miałyśmy takich możliwości jak dzisiaj, ale miałyśmy też coś w zamian. Dzisiaj, naturalnie, przedsiębiorstwo telefoniczne musi być bardziej otwarte i...

- Tak, rozumiem. Podobnie się działo w policji. Najróżniejsi ludzie zaczęli przenikać w nasze szeregi.

Pani Simpson zaczerpnęła głęboko powietrza i miękkim, pełnym ufności głosem powiedziała:

- Widzę, że jest pani inteligentną dziewczyną, nie jedną z tych, które się zatrudnia w myśl zasady równych szans dla wszystkich. Jest pani pewnie bardzo ciężko współpracować... no wie pani, z kim.

Wielkie, czarne oczy Mirandy stały się lodowate, uniosła w górę brwi i odparła spokojnie:

- Nie, niezupełnie. Nie jestem pewna, czy wiem, o kogo pani chodzi.

77

Sm

Pani Simpson zacisnęła szczęki i mocno oplotła ciało rękoma. Te oczy, wpatrzone w jej oczy, zdawały się wypalać w niej dziury na wylot. Krótkie rzęsy pani Simpson trzepotały w górę i w dół, przypominając oszalałe owady próbujące się wydostać z pułapki.

- Sądzę, że zechce pani porozmawiać z Alice Peterson. Jest sekretarką pani Hynes. Znajdzie z nią pani wspólny język.

- Czy ona też jest osobą, której dano równe szanse, jak mnie?

- Tak, w rzeczy samej - odpowiedziała chłodno pani Simpson. - Dostała się tu dzięki polityce zatrudniania „nowych sił”, którą zgodnie z prawem musi prowadzić nasze przedsiębiorstwo. Podobnie było z mężczyznami obsługującymi centralę telefoniczną. I z wielu innymi sprawami. O czym, jestem pewna, pani nie muszę mówić.

Miranda przeszła ją wzrokiem na ułamek sekundy, po czym pożegnała panią Simpson tak zdecydowanie, jakby ta kobieta obróciła się w popiół.

Alice Peterson miała trzydzieści pięć lat; była mocnej budowy ciała, mówiła powoli, była podejrzliwa, niezadowolona. I czarna.

- Mary Hynes jest jedną z najładniejszych, najdroższych, najmilszych kobiet, jakie tylko można spotkać.

Miranda popijała mrożoną herbatę i rozglądała się po kawiarni, patrząc na pracowników korzystających z przerwy na kawę. Niektórzy zatrzymywali się przy ich stoliku, pytając o Mary Hynes.

- Da sobie radę. Mary walczy do końca, niech ją Bóg błogosławi - informowała ich Alice Peterson. Brzmiało to bardziej jak modlitwa niż obietnica. - Nie wiem, dlaczego wypytuje pani o Mary, detektyw Torres. To, co mi pani powiedziała, nie ma sensu, ale chyba pani wie lepiej, co robi.

Miranda milczała.

- Chce się pani dowiedzieć czegoś o Mary Hynes, jaka

78

to kobieta. Niech pani tylko spojrzy na mnie. Tym stąd wydaje się, że takim jak my zrobili wielką łaskę „wpuszczając” nas tutaj. Tutaj. To śmieszne. Większość tych suk na górze wciąż podkreśla z dumą, że są pierwszymi w rodzinie, którym udało się skończyć szkołę średnią. Ja ukończyłam Hunter College i jedynym powodem, dla którego tu jestem, zamiast uczyć, jest ten, że mogłam dostać pracę tylko w Harlemie, a ja stamtąd pochodzę, ale nie w tamtym kierunku zmierzam. Rozumie pani? Na pewno tak. Na początku pracowałam jako maszynistka, czasami wykonując jakieś prace dla Mary Hynes, no i cztery lata temu, kiedy awansowano ją na kierowniczkę,

pierwsze, co zrobiła, pierwsza jej oficjalna decyzja to zatrudnienie mnie jako swojej sekretarki. I muszę pani powiedzieć, że byłam wobec niej okrutna. Bo oto jeszcze jedna „absolwentka szkoły średniej” zatrudnia u siebie dziewczynę po Hunter College.

Miranda uśmiechnęła się. Znała podobne sytuacje. Alice Peterson także się uśmiechnęła.

- Czasami popełnia się wyjątkowo kretyńskie błędy, co? No i ja ją od razu pytam: „Czy mam służyć w tym przedsiębiorstwie jako czarna dziewczyna na pokaz? Czy dadzą pani wówczas święty spokój? I nie będziecie już musieli zatrudniać jako telefonistek dziesięciu innych czarnych dziewczyn, bo wystarczy wskazać na mnie?” - Alice Peterson potrząsnęła głową. - Ojej. Gdyby pani mogła zobaczyć, jak Mary na mnie spojrzała, jakbym jej dała w twarz. Siedziała patrząc na mnie tak, jakby mnie nigdy w życiu nie widziała, i wie pani co? Ta kobieta płakała, łzy płynęły jej po twarzy. Co oczywiście spowodowało, że czułam się wspaniale, widząc, jak bardzo ją zraniłam. Już sam ten fakt mówi za siebie, prawda? W końcu powiedziała mi: „Alice, nie wiem, o czym mówisz. Wystąpiłam o ciebie, ponieważ uważam, że jesteś najlepsza i zawsze odnosiłam wrażenie, że mogę na tobie polegać”. I powiedziała jeszcze: „Myślałam, że będziesz mi mogła pomóc w różnych sprawach”.

79

r

Alice Peterson przygryzła dolną wargę; jej oczy były pełne łez.

- Mary to prawdziwa dama. Pracujemy ze sobą, dla siebie, jak mówi, i jest to prawda, już od czterech lat. Dzięki Mary Hynes mój stosunek do tej pracy się zmienił. I nie znam nikogo na świecie, kto mógłby powiedzieć o niej choćby jedno złe słowo czy też gniewać się na nią za cokolwiek.

Obie kobiety miały wiele wspólnego: obie były wdowami, samotnie wychowującymi dziecko.

- Wyszłam powtórnie za mąż, kiedy mój synek był jeszcze zupełnie mały. Mary nie popełniła tego błędu. Żyła dla swojej córki i dopiero ostatnio... - Alice Peterson przerwała nagle. Zdjęła okulary i zaczęła je przecierać papierową serwetką.

- Czy dlatego poddała się operacji? Operacji plastycznej? Czy poznała ostatnio jakiegoś mężczyznę? - spytała Miranda.

Pani Peterson stała się wroga, jej twarz zrobiła się zacięta; zadarła podbródek.

- I tak nic bym o tym nie wiedziała. A teraz niech mi pani powie, detektywie, dlaczego panią tak bardzo interesuje to wszystko, co dotyczy Mary Hynes? I co to ma wspólnego z tym, co się przydarzyło Annie?

- Nie wiem - odpowiedziała Miranda.

Ciemna, nalana twarz pani Peterson znieruchomiała; kobieta potrząsnęła stanowczo głową. Miranda już nic od niej nie wyciągnie. Mimo to zrobiła jeszcze jedną próbę.

- Kim jest przyjaciel pani Hynes? Czy to z jego powodu zrobiła sobie operację plastyczną?

- Czy ta sprawa jakoś panią dotyczy?

- Nie, wcale. Nie osobiście - przyznała prędko Miranda. Po czym wolniej i bardziej już oficjalnie dodała: - Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa. Muszę zadawać pytania, które na pozór zupełnie się ze sobą nie wiążą. Czasami nawet najbardziej niejasne i odległe poszlaki zaczynają się układać w pewien obraz. - Wzruszyła ra-

80

Alice Peterson przygryzła dolną wargę; jej oczy były pełne łez.

- Mary to prawdziwa dama. Pracujemy ze sobą, dla siebie, jak mówi, i jest to prawda, już od czterech lat. Dzięki Mary Hynes mój stosunek do tej pracy się zmienił. I nie znam nikogo na świecie, kto mógłby powiedzieć o niej choćby jedno złe słowo czy też gniewać się na nią za cokolwiek.

Obie kobiety miały wiele wspólnego: obie były wdowami, samotnie wychowującymi dziecko.

- Wyszłam powtórnie za mąż, kiedy mój synek był jeszcze zupełnie mały. Mary nie popełniła tego błędu. Żyła dla swojej córki i dopiero ostatnio... - Alice Peterson przerwała nagle. Zdjęła okulary i zaczęła je przecierać papierową serwetką.

- Czy dlatego poddała się operacji? Operacji plastycznej? Czy poznała ostatnio jakiegoś

mężczyznę? - spytała Miranda.

Pani Peterson stała się wroga, jej twarz zrobiła się zacięta; zadarła podbródek.

- I tak nic bym o tym nie wiedziała. A teraz niech mi pani powie, detektywie, dlaczego panią tak bardzo interesuje to wszystko, co dotyczy Mary Hynes? I co to ma wspólnego z tym, co się przydarzyło. Annie?

- Nie wiem - odpowiedziała Miranda.

Ciemna, nalana twarz pani Peterson znieruchomiła; kobieta potrząsnęła stanowczo głową. Miranda już nic od niej nie wyciągnie. Mimo to zrobiła jeszcze jedną próbę.

- Kim jest przyjaciel pani Hynes? Czy to z jego powodu zrobiła sobie operację plastyczną?

- Czy ta sprawa jakoś panią dotyczy?

- Nie, wcale. Nie osobiście - przyznała prędko Miranda. Po czym wolniej i bardziej już oficjalnie dodała: - Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa. Muszę zadawać pytania, które na pozór zupełnie się ze sobą nie wiążą. Czasami nawet najbardziej niejasne i odległe poszlaki zaczynają się układać w pewien obraz. - Wzruszyła ra-

80

mionami. - A czasami nie. Bardzo często otrzymuję wiele informacji, które są bez znaczenia. Ale to ja muszę spróbować stworzyć obraz sytuacji. Teraz mnie pani rozumie?

Pani Peterson włożyła z powrotem okulary, przez cały czas nie odrywając wzroku od Mirandy. -

Jeśli potrzebne są pani informacje dotyczące osobistych spraw Mary Hynes, to może pani sama ją o nie zapytać.

- Tak, ma pani pewnie rację - zgodziła się Miranda.

- A więc przepraszam, jeśli potraktowałam panią zbyt ostro. Ale Mary jest moją przyjaciółką, rozumie pani. A... to, co się stało z jej córką, jest okropne. No, już wystarczająco długo tu siedzę. Pora wracać do pracy.

Pani Peterson odsunęła się od stolika, a Miranda wstała wyciągając do niej rękę. Wymieniły mocny uścisk dłoni.

- Dziękuję, pani Peterson. Dziękuję, że poświęciła mi pani czas.

- Tak, tak i... i... to już wszystko.

Miranda obserwowała panią Peterson, jak idzie przez kawiarnię ciężkim, zdecydowanym krokiem. Następnie odłączyła mały mikrofon przypięty do klapy swej torby na ramię i owinęła kabel wokół magnetofonu, zastanawiając się, ile z tego, co dowiedziała się na temat Mary Hynes, ma jakiś związek. Z czymkolwiek.

X

Miranda pobieżnie przejrzała raporty sporządzone przez pracowników jej brygady sprawdzając, czy ona i Stein mają kopie wszystkich dostępnych informacji. Świadkowie potwierdzali wzajemnie swoje zeznania; przedstawiali podobną wersję wydarzeń, tyle że opisaną z ich punktu widzenia. Nic innego, nowego czy bardzo pomocnego na tym etapie sprawy.

Dunphy wyszedł z pokoju kapitana i wręczył jej kartkę papieru.

81

- Oto nazwisko lokatorki mieszkania 6-A przy Barclay Street 10-43. Arabella Vidales, stewardesa pracująca dla linii lotniczych Avianca. Zostawiam ci to... no, chyba że chcesz jechać ze mną do Newark?

Miranda potrząsnęła przecząco głową.

- O nie, dziękuję bardzo.

W Newark popełniono gwałt i morderstwo, a podejrzany przebywał już w areszcie. W tej sprawie nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że od czasu schwytania go poprzedniej nocy facet uparcie wmawiał ludziom z wydziału zabójstw w Newark, że popełnił (Jziesięć innych morderstw w stanach New Jersey i New York.

Łącznie z zabójstwem tej kobiety, pielęgniarki, tej dziewczyny znalezionej w Forest Hills w dzielnicy Queens. Tak, upierał się, tę także załatwił. Tak mu nakazał Bóg. Szczegółów morderstwa

nie pamiętał, poza tym, że to on je popełnił.

Był czarnym mężczyzną o bardzo ciemnym odcieniu skóry, mierzącym sześć stóp i sześć cali, i ubranym w stary kostium do gry w koszykówkę, jeszcze ze szkoły średniej. Wywiad środowiskowy potwierdził, że jest chory umysłowo: przez ostatnie dziesięć lat bezustannie trafiał do różnych szpitali psychiatrycznych. Nie było żadnych wątpliwości, że to on jest sprawcą tego gwałtu i morderstwa, złapano go bowiem zaledwie w chwilę później. Na-, tomiast wiele wątpliwości budziła długa lista innych przestępstw, do których się przyznawał.

Także cztery inne osoby przyznały się do zabójstwa Anny Grace.

Jedną z nich był siedemnastoletni student irański, który wezwał policję do swego mieszkania w miasteczku uniwersyteckim Uniwersytetu Columbia i zrobił im wykład na temat politycznych aspektów zabijania. Dwaj inni to przypadki już chroniczne, więc zabrano ich na przesłuchanie w okręgach Bellevue i Kings. Czwartą osobą był jakiś wariat, który zadzwonił z budki telefonicznej żądając, by podjechała po niego limuzyna i zabrała go do ratu-

82

sza, gdzie przed kamerami telewizyjnymi złożyłby zeznanie w obecności burmistrza.

- Tylko nie myślcie sobie, że burmistrz nie wie więcej, niż mówi — histerycznym głosem informował niewzruszonego sierżanta, odbierającego zgłoszenia na komisariacie w centrum Manhattanu.

- Tak, tak, masz rację, chłopie - przytakiwał sierżant. - Przyjedź tu do nas, a my już załatwimy wszystko z burmistrzem. Na pewno spodoba mu się ten pomysł. Uwielbia wywiady telewizyjne. Rozmówca odwiesił słuchawkę. I już więcej o nim nie słyszano.

- No dobra, Mirando. Jeśli coś będziesz miała, zostaw wiadomość. Będę tu dzwonił co pewien czas. Jak ci idzie ze Steinem? A właściwie to gdzie on jest?

- Pojechał porozmawiać z kierowcą autobusu. To twardy facet. Pan Stein uznał, że kierowcy lepiej się będzie rozmawiało z mężczyzną. Nie sędzę, żeby udało mu się wydobyć z niego coś więcej ponad to, co powiedział przy pierwszym przesłuchaniu. - Spojrzała na Dunphy'ego. - Jim, chyba nie przejmujesz się panem Steinem, co? On tylko pisze cykl artykułów na temat świadków. Poza świadkami nic go więcej nie interesuje.

- Mam jedynie nadzieję, że ich nie spłoszy, w razie gdybyśmy znaleźli tego faceta. Uzyskaliśmy od nich cholernie dobry opis tego, co się wydarzyło. Nie chciałbym, żeby się wszyscy wycofali tylko dlatego, że Mike Stein za mocno ich przycisnął., Zdaniem Mirandy istniało niewielkie prawdopodobieństwo, żeby w ogóle doszło do identyfikacji zabójcy. Jeśli była to przypadkowa zbrodnia - a w tym momencie wszystko na to wskazywało, bo najwyraźniej nic nie łączyło ofiary z zabójcą - to morderca miał nad nimi przewagę. Anna Grace nie znała swego zabójcy, więc możliwości schwytania go były raczej znikome.

83

Początkowo dyrektor do spraw kadrowych w Avianca nie chciał odpowiadać przez telefon na pytania Mirandy.

- Jak pan sobie życzy - odpowiedziała, po czym, już po hiszpańsku, dodała: - Zmusza mnie pan do tego, bym doprowadziła pana do mojego biura. Straci pan w ten sposób czas. Pańscy współpracownicy zaczną plotkować. A skutek i tak będzie ten sam. I tak przekaże mi pan potrzebne informacje. Przesłuchujemy około dwustu osób, które mieszkają przy Barclay Street. Panna Vidales zajmuje mieszkanie, którego okna wychodzą na tę ulicę. Skoro pan nie chce mi podać jej rozkładu lotów teraz przez telefon, proszę przygotować dla mnie tę informację, zanim przyjdę do pańskiego biura. Tyle tylko że nie przyjmę od pana tych informacji na miejscu. Będzie pan musiał mi towarzyszyć do mojego biura. Głupio, co?

Panna Arabella Vidales miała właśnie przerwę w lotach. Dopiero nazajutrz, w sobotę, spodziewano się jej w pracy. O dziewiątej rano. Według informacji, które posiadał dyrektor do spraw kadrowych w Avianca, panna Vidales wraz z kilkoma innymi stewardesami wynajmowała apartament w Parker Towers, w wielkim luksusowym kompleksie mieszkaniowym przy Queens Boulevard w Forest Hills. Nic nie wskazywało na to, żeby wynajmowała mieszkanie przy Barclay Street.

- Jak zatem pani widzi, ma pani złe informacje, detektywie Torres. Z reguły stewardesy

wynajmują wspólnie duże mieszkania w różnych miastach. W zależności od rozkładu lotów korzystają z tych mieszkań na zmianę, tak więc wydaje się, że Arabella Vidales nie wynajmuje jednak mieszkania przy Barclay Street. W przeciwnym » razie mielibyśmy ten adres w naszej kartotece. - Zapadła cisza, po czym mężczyzna ponownie odezwał się, mówiąc głosem o kilka tonów wyższym i podejrzliwym: - Ciekawi mnie bardzo, kim właściwie pani jest. I o co tu w ogóle chodzi?

Miranda nigdy nie pozostawiała w niepewności osób, które udzieliły jej informacji. Bez sensu było zachowanie,

84

jakie obserwowała wśród swych kolegów - nagle ucinanie rozmowy, niech się ktoś dalej sam martwi. Powtórzyła swoje nazwisko oraz numer służbowego telefonu. Uspokoila go. Może okazać się jej jeszcze potrzebny.

- Jak pan widzi, nie ma powodów do niepokoju, prawda? Dziękuję, bardzo mi pan ułatwił pracę. Najwyraźniej zaszła pomyłka i oszczędził mi pan mnóstwo czasu, za co jestem panu wdzięczna. To uspokoiło dyrektora do spraw kadrowych. Stał się uprzejmy i skłonny do zwierzeń. Zaproponował jej ośmiodniową zniżkową wycieczkę do Kolumbii.

Miranda siedziała studiując notatki Dunphy'ego. Według administratora domów przy Barclay Street, dwuletnia umowa o najem, zawarta rok temu, została wystawiona na nazwisko Arabelli Vidales, zatrudnionej w liniach lotniczych Avianca.

Nie miała pojęcia, co może oznaczać ta niezgodność faktów.

Kompleks mieszkalny Parker Towers znajdował się dokładnie naprzeciwko 112. komisariatu policji. Było to ogromne skupisko budynków, o kształcie koła, rozpościerające się wzdłuż Yellowstone Boulevard, w otoczeniu rozległych, dobrze utrzymanych trawników i krzewów, pośród których ustawiono posągi. Na niższych poziomach dwudziestodwupiętrowych budynków mieściły się rozmaite pomieszczenia usługowe: gabinety dentystyczne i lekarskie, z tabliczkami na drzwiach informującymi o przeróżnych specjalnościach, gabinety psychologów, biuro kogoś, kto dyskretnie reklamował się jako „Naomi - konsultantka do spraw mody”. W korytarzu przy wejściu do budynku znajdowały się jaskrawo pomalowane drzwi prowadzące do przedszkola. Miranda usunęła się na bok, kiedy gromadka rozwrzeszczanych, opalonych dzieciaków, wymachujących nad głowami jakimiś konstrukcjami z papieru, dopadła grupy młodych matek. Miranda uśmiechnęła się, czekając, aż się wszystko uspokoi.

85

Podeszła do siedzącego przy biurku pracownika ochrony. Nie mogła się powstrzymać, by nie wytknąć mu, jak bardzo niedokładna jest jego ochrona.

- Dopiero co tu weszłam z grupą młodych matek. Mogłabym być kimkolwiek. Mówię to panu, żeby się pan trochę rozżłościł. Na siebie samego.

Jej krytyczne słowa nie spotkały się z wdzięcznością z jego strony, zanim jednak zdołał to wyrazić, Miranda wyciągnęła w jego kierunku swoją złocistą odznakę.

- W tym budynku mieszka kilka stewardes. Jaki jest numer ich mieszkania?

Mimo że wyglądała jak ktoś, kto rano wstał po całonocnym przyjęciu, Miranda i tak bez trudu rozpoznała w młodej kobiecie stewardesę. Było w niej coś perfekcyjnego: wysoka, szczupła, choć nie pozbawiona zaokrąglenia, o ciele, które powinno przyciągać uwagę pasażerów płci męskiej, nie wzbudzając w nich jednak zbytniego podniecenia, o stylu bycia, który uprzyjemni nawet najbardziej męczący lot. Jej uśmiech był automatyczny. Mirandę zastanowiło, czy ta kobieta w ogóle zdaje sobie sprawę, że się uśmiecha.

- W czym mogłabym pani pomóc? - zapytała. - Kawę, herbatę, poduszkę? - Proszę wejść i usiąść, i przepraszam za ten bałagan. Bawiliśmy się tu... trochę. - Spojrzała w stronę nie domkniętych drzwi i przeprosiła Mirandę na chwilę. - Zaraz wracam. Proszę się rozgościć. Niech pani usiądzie tu, w tym fotelu, nie będzie pani chciała z niego wstać.

Miranda usiadła na brzegu wyprofilowanego fotela pokrytego skórą i rozejrzała się po dużym pokoju. Był umeblowany tak jak apartament w dobrym hotelu: wszystko jak należy, wszystko drogie, wszystko dobrane przez dekoratora przyzwyczajonego do tworzenia wnętrz neutralnych i

przyjemnych. Wnętrz, które się nie narzucają i nie przeszkadzają ich mieszkańcom: wygoda pozbawiona atmosfery domu, nieokreślony styl. Skóry, zamsze i materiały o wyrazistej fakturze, wszystkie wyblakłe i bez kolo-

86

Ef

ru. Jaskrawe poduszki, duże i mięsiste, pokryte jedwabiem i lnem.

Rozległe okno z widokiem na Queens Boulevard było przesłonięte wąskimi żaluzjami pokrytymi materiałem. Ktoś wszedł do tego ogromnego pokoju, zrobił szkic na poczekaniu, natychmiast uzyskał zgodę i, jak za pstryknięciem palcami, pusta przestrzeń przeistoczyła się we wnętrze zaprojektowane w każdym szczególe. Nie było tu widać jakichkolwiek śladów jego mieszkańców. W pokoju wały się resztki z przyjęcia z poprzedniej nocy. Na podstawie tego, co pozostało na stolikach, na błyszczącym blacie baru i w części jadalnej, pokoju, Miranda wywnioskowała, że było to przyjęcie w stylu typowym dla linii lotniczych. Pozostała kolekcja małych buteleczek po szkockiej, dżinie, wódce i likierach. Zastanowiło ją, czy także korzystali z małych naczyń i tacek z lotniczym pseudojedzeniem. A może popsułyby się w drodze z lotniska Kennedyego do Forest Hills? Zresztą pewnie i tak nikt by tego nie zauważył po opróżnieniu kilku małych buteleczek.

- Wszystko w porządku. Mamy mnóstwo gości, a poza tym musiałam sprawdzić, która godzina. Kilka dziewczyn zaczyna Wieczorem pracę. Czy gorąco na dworze? Cały czas mamy włączoną klimatyzację. Może coś pani podać? - Promienisty uśmiech odsłaniający białe zęby był automatyczny, słowa wyuczone na pamięć.

- Czy Arabella Vidales jest w domu? Chciałabym z nią porozmawiać.

- Ara? Nie. Chwileczkę. - Dziewczyna schyliła głowę: idealnie równo obcięte, czarne, błyszczące włosy opadły jej na twarz. Poderwała głowę: włosy opadły równo do tyłu.

- Nie, to było w zeszłym tygodniu. Ara... nie, nie ma jej w domu. Ale chyba ma teraz przerwę w lotach. Tak... ale tu jej nie ma.

- Czy domyśla się pani, gdzie może być? Gdzie mogę ją znaleźć? Chciałabym z nią porozmawiać.

- Ara? Nie. Sądzę... Czy może pani jeszcze raz powtó-

87

rzyć to, co mi pani powiedziała zaraz po przyjściu? Jestem jeszcze trochę wstawiona. Wczoraj w nocy było tu wielkie przyjęcie.

- Jest pani pewna, że nie było tu wczoraj Ary? Czy mogła tu być, bo skoro odbywało się przyjęcie, to może jednak tu była?

Coś w głosie, tonie i zachowaniu Mirandy zastanowiło stewardesę. Jej uśmiech zamarł, przyjrzała się lepiej Mirandzie, jakby dopiero co ją zobaczyła.

- Jest pani detektywem? Dla kogo pani pracuje?

Rozejrzała się dokoła, rzucając okiem we wszystkie strony. Wyciągnęła rękę sięgając po buteleczkę z małą nalepką z napisem Déwars. Miranda nachyliła się ku niej.

- Niech się pani odpręży, mnie to w ogóle nie obchodzi. Pracuję w wydziale policji miasta Nowy Jork. Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa i mam za zadanie zrobić wywiad ze wszystkimi potencjalnymi świadkami. I tyle; nie zajmuję się niczym innym.

- Chce pani rozmawiać z Arabellą? O morderstwie? Mój Boże, cóż ona może wiedzieć o jakimś morderstwie?

- Najprawdopodobniej zupełnie nic. Jej nazwisko jest po prostu jednym z wielu na długiej liście. Muszę porozmawiać z każdą z tych osób, postawić znaczek przy każdym nazwisku, podobnie jak pani to robi przy nazwiskach swych pasażerów. *

Tak, Arabella Vidales była jedną z ośmiu stewardes wynajmujących wspólnie to mieszkanie. Z reguły cztery kobiety korzystały z niego jednocześnie. Bardzo rzadko mieszkanie stało puste, a jeśli już, to nie dłużej niż przez noc lub dwie. Jeszcze rzadziej zdarzało się, żeby wszystkie osiem zajmowały je w tym samym czasie. Ich loty tak się rozkładały, że część z nich przyjeżdżała tu w

momencie wyjazdu pozostałych. Nie, ona, Jeanine Feliz, nie lata razem z Arabellą. Zaraz, może leciały razem raz lub dwa, ale na ogół nie pracują ze sobą. Christine Valapo, tak, to z nią pracuje Ara. Są bliskimi przyjaciółkami, ale

88

m9

nie, Christine Valapo także nie było w mieszkaniu. Tak, Christine również je wynajmuje.

- Ale obie mają teraz przerwę w lotach? - zauważyła Miranda. - Czy nie wie pani, gdzie mogą być, skoro nie ma ich tutaj?

Jeanine Feliz ostentacyjnie wzruszyła ramionami, ale jej uśmiech nie był już automatycznym uśmiechem stewardesy. To jedna kobieta uśmiechnęła się do drugiej.

- Powiedzmy sobie szczerze, to mieszkanie nie jest idealnym miejscem do spędzania przerwy między lotami. To tylko takie miejsce, gdzie się podpisuje listę obecności, no nie? Zawsze ma się jednak nadzieję na coś lepszego. Jeśli nic ciekawszego się nie nadarza, no to czasami bawimy się tutaj. Nie znam za dobrze Ary ani Christine, ale pewnie miały jakieś swoje plany. Czasami ktoś zaprosi do domu nad morzem, na Long Island na przykład. Odbywa się tyle miłych przyjęć, na Fire Island, u Hamptonów, wie pani? Naprawdę są przyjemne, nie jakieś tam dzikie szaleństwa lub coś w tym rodzaju. Ktoś mógłby to źle zrozumieć, ale mówiąc szczerze, można zwariować spędzając cały czas z dziewczynami, z którymi się pracuje. Może pojechały na Long Island lub w jakieś inne przyjemne miejsce? Wie pani, Queens to... - Jeanine przewróciła swymi wielkimi ciemnymi oczyma, unosząc brwi i potrząsając głową.

- Czy Arabella ma tu jakąś rodzinę w Queens? Czy wie coś pani o tym, że wynajęła małe mieszkanie w Forest Hills?

- Tutaj wynajmuje. Tu płaci czynsz. Ma pani na myśli jakieś mieszkanie? Nie, nic o tym nie wiem. Zaraz, w zeszłym roku pracowała razem z Sonyią Garcia. Niech pani chwilę zaczeka, dobrze?

Po upływie około dziesięciu minut Jeanine wróciła do pokoju z młodą kobietą, która wyglądała niczym jej bliźniacza siostra, tyle że bardziej zaspana. Taki sam wymuszony uśmiech, pochylenie głowy wyrażające uprzejme zaciekawienie, nawet błyszczące czarne włosy, potargane,

89

ale czyste, miała identyczne, jakby stanowiły część umundurowania stewardesy.

Arabella Vidales ma młodszą siostrę: Marię? Może Marię. Studiuje w college'u. W Queens College? Nie. Nie, zaraz: w St. John's College. Tak, na Uniwersytecie Katolickim. Sonyia pamięta, że w zeszłym roku Ara wynajęła mieszkanie dla siostry, gdzieś w Forest Hills. Niedaleko stąd, żeby mieć ją na oku, kiedy ma przerwę w lotach. Czy ta informacja może się na coś przydać?

Miranda podziękowała stewardesom z Avianca, zostawiając im swój numer telefonu.

- Jeśli pojawi się Arabella, proszę, niech do mnie zadzwoni. Pewnie nie jest to aż tak ważne, ale kiedy już się z nią porozumiem, będę mogła ją odfajkować na mojej liście. Wszyscy mamy swoje listy, prawda?

Spacer wzdłuż Barclay Street nie był długi, nawet w tak gorące popołudnie. Może Miranda będzie miała szczęście. Sprawdzi teraz mieszkanie Arabelli Vidales. Może akurat zastanie w domu siostrę studentkę. Wyglądało na to, że Maria Vidales była jedyną Hiszpanką mieszkającą przy Barclay Street, bo wystarczająco dużo osób uznało, że to ją zeszłej nocy napadnięto. Mirandę interesowało, co mają do powiedzenia na ten temat Maria i jej siostra. Jeśli w ogóle mają coś do powiedzenia. Okazało się jednak, że traci czas. Nie było nikogo w mieszkaniu na ostatnim piętrze. Miranda zadzwoniła kilka razy, po czym zostawiła swoją wizytówkę u sąsiadów, którzy obiecali, że zadzwonią, skoro tylko ktoś wróci do mieszkania „tej Hiszpanki”.

XI

Intuicja podpowiedziała Mike'owi Steinowi, by samemu przeprowadzić rozmowę z Frankiem Palermo, kierowcą autobusu.

90

Frank Palermo wprowadził go do chłodnego, przyjemnego wnętrza swego małego domu. Wokół

stołu w jadalni siedziało kilka kobiet. Były tak czymś zajęte, że nawet nie spojrzały w ich stronę.

- Hej, Ange - zawołał Palermo w stronę kobiet - przynieś no mi ze dwa zimne do mojej nory. Jedna z kobiet westchnęła głośno, potrząsnęła z niezadowoleniem głową i wstała od stołu.

- Oto i moja nora - oświadczył Palermo.

Był to 'niegdyś garaż, który mimo przeprowadzonej renowacji nadal wyglądał jak garaż.

- No i co pan na to? Moje miejsce rozrywki i dowodzenia. 4

Wskazywał kolejno różne przedmioty: telewizor z dużym ekranem, wideo, zestaw gier wideo, wieżę z kolumnami, - było tam wszystko.

- Są już bardzo wymyślne, wie pan, te gry wideo, nie to co kiedyś. Mam je wszystkie skatalogowane, żeby widzieć na bieżąco, jakie postępy, robią ci, co je wymyślają. Cały czas trzymają cię w niepewności, ci specje od elektroniki. A jak chcę w końcu dać odpocząć staremu mózgowi - wskazał z dumą - to się rozsiadam w tym starym fotelu. Jedyna stara rzecz w tym pokoju, idealnie pasuje do ciała, rozumiesz pan? No i puszcza mi jakiś stary film albo starą płytę, wyciągam się i odpuszczam. Jasne?

- Jasne - przytaknął Mike.

Usłyszeli niecierpliwe kopnięcie w drzwi.

- Frank, otwórz, mam zajęte ręce.

Z rozmachem otworzył drzwi, a jego żona postawiła tacę na dużym biurku, które zajmowało prawie całą ścianę, dokładnie naprzeciwko centrum rozrywkowego.

- Tylko uważaj na moje papiery, Jezuniu, uważaj - prosił ją Palermo.

- Nawet nie dotknęłam twoich papierów. Masz tu swoje piwo, swoje paluszki serowe i swoje precle, wszystko, zgadza się? Mogę już wrócić do swoich zajęć?

Palermo wskazał ręką w stronę fotela, ale Mike grze-

91

nie odmówił. Wolał twarde drewniane krzesło stojące koło biurka. Położył na biurku swój magnetofon, w widocznym miejscu, nie robiąc jednak żadnej uwagi na jego temat. Wszystko zależy od Palermo. To przecież jego nora.

- No więc - zaczął Palermo po głębszym łyku piwa. - Widzę, że patrzy pan na moją mapę na ścianie i grafik dyżurów. Jestem koordynatorem w komitecie samopomocy sąsiedzkiej. I skarbnikiem. Co nie znaczy, że mamy forszę, tylko jak są jakieś wydatki, jak latarki, legitymacje i podobne rzeczy.

- Może by mi pan coś o tym opowiedział - zaproponował Mike.

- No dobra, czemu by nie - powiedział Palermo poważnie. Pochylił się do przodu w swoim fotelu, huśtając

'puszkę z piwem między kolanami. - To', co się stało zeszłej nocy w Forest Hills, nigdy by się nie zdarzyło tutaj, w mojej okolicy. Sami się o siebie troszczymy. Jedni opiekują się drugimi. Nie musimy wcale wynajmować jakichś płatnych ochroniarzy, jak to się tu i ówdzie robi, na przykład w Forest Hills Gardens czy też w Jamaica Estate. My...

- Forest Hills Gardens? Chce pan powiedzieć, że zatrudniają tam prywatnie ludzi z ochrony do patrolowania ulic? A gdzie, u licha, oni byli w środę w nocy?

- Nie, nie. Widzę, że nie najlepiej zna pan Forest Hills, co?

- W ogóle nie znam dzielnicy Queens, kropka.

- Dobra, to niech pan słucha. Forest Hills Gardens to ta elegancka część Queens, co się ciągnie wokół gospody Forest Hills Inn. Wiesz pan, gdzie to jest? Zna pan ten plac?

- Tak, wiem, gdzie jest ten plac.

- No więc, wszystkie ulice, które z niego wychodzą, mają takie nazwy, jak Deepdene czy Greenway Terrace, wie pan, te wszystkie stare angielskie nazwy, zresztą nieważne. Jak już się minie stadion tenisowy w Forest Hills, to jest pan wtedy poza Forest Hills Gardens. Tam się znajduje ta stara zwykła część Forest Hills. Jasne?

92

- I w tej zwyczajnej części Forest Hills nie ma żadnych prywatnych patroli.

- Zgadza się.

Frank Palermo był odprężony, wylewny i w nastroju do zwierzeń. Spoglądał z podziwem na magnetofon i mówił dalej:

- Widzi pan, my się sami chronimy. Mamy na liście osiemnastu członków.

Komitet samopomocy sąsiedzkiej działał według bardzo dokładnego grafiku. Kiedy Palermo miał nocną zmianę, jego najbliższy sąsiad przychodził do niego, by odbierać i rejestrować telefony. Dwa samochody patrolowały okolicę w ciągu dnia; cztery nocą. Nikt, dosłownie nikt, ani przyjaciele rodziny, koledzy dzieci, kuzyni, zaproszeni goście, ani nawet duchowni nie mogli pojawić się w tej okolicy niezauważalnie, ponieważ natychmiast odnotowywano ich obecność i kontrolowano wszelkie ruchy. A wszystko to na obszarze między ośmioma przecznicami przecinającymi Howard Beach. Członkowie komitetu utrzymywali ściśle kontakty z wydziałem policji i nie mieli żadnych problemów. Zanim się zorganizowali, zdarzały się włamania, napady, jedno bardzo poważne pobicie i próba gwałtu.

- Mieliśmy tu kłopoty z kilkoma chuliganami, jak rozpoczynaliśmy naszą działalność. Rany! Byliśmy wtedy chyba zbyt napaleni, mówię panu. Bo się nawet ucieszyli na widok kilku gliniarzy. Prędko się rozniosło, wie pan. Trzymają się teraz od nas z daleka. - Zrobił kciukiem ruch do tyłu, ponad ramieniem. - Zabrali się stąd na dobre.

- I działają teraz w innej okolicy, co?

- Rozumie się - odpowiedział Palermo, uśmiechając się szeroko.

Po kilku sekundach milczenia Mike Stein pochylił się do przodu, kręcąc głową.

- To straszne, co się przytrafiło tej biednej dziewczynie z Barclay Street.

93

Palermo chrząknął, po czym wrzucił pustą puszkę po piwie do kosza na papiery, stojącego obok fotela.

- Jezu — powiedział w końcu.

- No więc, Frank. Jak to było? Widział pan tego faceta, czy jak?

Palermo napiął mięśnie swych mocnych ramion, szeroką dłońią przejechał po twarzy, potrząsając głową.

- Nie, do cholery. Gdybym widział tego faceta, to mówię panu, już teraz siedziałby za kratkami. Albo leżał w szpitalu. Nie, widziałem tylko dziewczynę...

- Widział pan, jak się zataczała, czy jak?

Frank spojrzał na dziennikarza i odpowiedział ostro:

- Nie. Mhm. Siedziała tam oparta o latarnię, kiedy ją zobaczyłem. Czytał pan moje zeznanie, to, co powiedziałem na komisariacie? - Małe ciemne oczy, umieszczone blisko siebie u nasady wielkiego nosa, skupiły się na Mike'u. Mike skinął głową. - Czy mogę mówić z panem otwarcie?

- Absolutnie.

Palermo rozejrzał się wokoło, sprawdzając ściany, po czym znów przeniósł wzrok na Steina.

- Pozwolili tej dziewczynie tak tam siedzieć, aż się wykrwawiła na śmierć, rozumiesz pan?

- Ja też tak to widzę. *

- Co to za ludzie, że mogli coś takiego zrobić?

- Nie wiem.

- Wie pan, ile czasu zabiera mi przejazd na odcinku od Barclay Street do Metropolitan i z powrotem? A, zapomniałem, przecież nie zna pan tej okolicy. Przy Metropolitan jest pętla, postój; potem wracam tą samą trasą, jasne?

- Jasne.

- Więc dobrze, zabiera mi to coś koło piętnastu minut, żeby przejechać z Barclay na Metropolitan. Jeden Bóg wie, jak długo już tam była, zanim tamtędy przejechałem.

- Chyba przez jakiś czas. Nie krzyczała ani nie wzywała pomocy, kiedy ją pan zobaczył, prawda?

Palermo pokręcił głową.

94

- Nie, Frank, chodzi mi o to, jak to było za pierwszym razem. Kiedy się zataczała. Wielu ludzi

pomyślało, że jest pijana.

- Przecież widzieli, do jasnej cholery, że nie jest pijana. Ta dziewczyna wołała. Tak jakby... - Palermo zamarł; jego wielka twarz stężała na chwilę. Przesunął językiem po wąskich wargach i lekko poruszył głową, jakby próbując lepiej skoncentrować się na Steinie.

Głos Steina stał się rzeczowy i uspokajający, jak u kumpla.

- No, Frank, niech pan chwilę pomyśli. Wszystko się stało w określonym czasie, prawda? Potrzebuje pan piętnastu, dwudziestu minut, żeby przejechać Barclay Street, zawrócić i ponownie dojechać na Barclay Street, mam rację? A więc za pierwszym razem, nieważne, psiakrew, co się w tym momencie działo, prowadził pan po prostu autobus, wykonując swoją pracę. Nie mógł pan sprawdzić, co się tam dzieje, prawda? To musiała być dla pana cholerna niespodzianka, kiedy zobaczył pan, że ta dziewczyna wciąż tam siedzi oparta o latarnię, i że nikogo przy niej nie ma. Musiało to pana niezłe wkurzyć.

Palermo zgarbił się.

- Wie pan, nawet nie jestem pewien, czy w ogóle coś zobaczyłem za pierwszym razem, rozumie pan? - wyznał. - Chodzi o to, że mijasz jakąś dziewczynę, która wydaje się trochę pijana. No i coś tam wrzeszczy, tak? Cholera, stoi na ulicy, wokół pełno domów, wszyscy ci ludzie ją widzą i słyszą, tak jak ja. No to jadę dalej.

- Tego faceta już tam nie było?

- Mówiłem panu, gdybym go tylko przyuważył, byłby teraz w niezłych opałach.

- No, ale ta dziewczyna też była w niezłych opałach, kiedy zobaczył ją pan za pierwszym razem, co?

Kierowca autobusu wstał z pewnym trudem. Trudno jeęć skoczyć na równe nogi z głębokiego fotela.

- Słuchaj no pan, myślałem, że z pana równy gość. Czasami czytam te pańskie felietony, w których opisujesz

95

pan te wszystkie przestępstwa w Nowym Jorku, i w ogóle to myślałem, żeś pan porządny facet.

- Jestem porządnym facetem, Frank.

- Taa? A więc to, co powiedziałem, wszystko, co panu mówiłem, to... „nie jest do publicznej wiadomości”. To tak jak między lekarzem i pacjentem lub coś w tym rodzaju. Ja tylko staram się być pomocny. Powiedziałem glinom wszystko, co wiem, i tyle.

- Dlaczego się pan nie zatrzymał i nie pomógł tej dziewczynie, kiedy zobaczył ją pan po raz pierwszy, Frank? Kiedy jeszcze żyła. Krzyczała, zataczała się i krwawiła. Dlaczego pan jej wtedy nie pomógł, Frank?

- Ja? Tylko ja jeden się zatrzymałem, nieważne kiedy. Przez cały ten czas żaden z mieszkańców jej nie pomógł, nawet nie wezwał glin. Gdyby nie ja, ciało tej dziewczyny wciąż by tam było, oparte o latarnię i nikt nie zwróciłby na nią uwagi, rozumiesz pan?

- Wykrwawiła się na śmierć, ponieważ nikt jej nie pomógł, Frank. Mógł pan uratować jej życie.

- Ja? Ja? Ja mogłem uratować jej życie? Ja? Ja mam swój rozkład jazdy, do cholery. Ja tylko tamtędy przejeżdżałem.

XII

Po długim i ciężkim dniu przyjęła jego niezobowiązujące zaproszenie na kolację.

- Jest tu w okolicy kilka niezłych restauracji. Grecka, koreańska, kubańska, włoska, chińska... Ujął ją za ramię i poprowadził w stronę samochodu.

- Jest piątek wieczór. Znam tylko jedno miejsce, gdzie można zjeść w piątek wieczór. Najpierw muszę jednak wpaść na chwilę do domu i zobaczyć się z jednym z moich dzieci. Zabierze mi to około półtorej minuty, a potem zobaczysz, gdzie zwykle jadamy w piątkowy wieczór.

96

Zaparkował samochód zajmując dwa miejsca przed szerokim frontonem kamienicy z cegły i

piaskowca przy Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy odchodzącej od Piątej Alei. Wsunął klucz do zamka okutych drzwi, po czym cofnął się, żeby ją przepuścić pierwszą do wąskiego przedsionka o marmurowej posadzce, kończącego się drugimi drzwiami: ciężkimi, dębowymi, z szerokim okienkiem.

- Tego nikt nie otworzy. Jeden z moich znajomych był kiedyś włamywaczem. Pracuje teraz jako konsultant w agencji ochrony mienia. Ten zamek to jego wynalazek.

Mike użył w określonej kolejności kilku ciężkich kluczy o dziwnych kształtach, po czym pchnął drzwi, ukazując wspaniałe wnętrze.

Olbrzymi pokój wyłożony był od podłogi do wysokości ramion boazerią z pięknego, drogiego drewna; powyżej, aż po wspaniałe wysokie, belkowany sufit, ściany pokrywał kosztowny brokat. Wisiały tam obrazy w ciężkich ramach, podświetlone mosiężnymi lampkami, dzięki którym zdawały się być stare, eenne i ważne. Pomiędzy obrazami umieszczono oprawione w szkło współczesne plakaty, które można kupić w setkach różnych miejsc za niecałe pięćdziesiąt dolarów. Stały tam fotele, kanapy i stoły: dość trudno było określić charakter tego pomieszczenia, na ile mogła to ocenić Miranda. Po jednej stronie znajdowały się szerokie kręte schody; na wprost winda, przypominająca klatkę, mogąca pomieścić zaledwie dwie lub trzy osoby. Miała rozsuwane okratowane drzwi z błyszczącego mosiądzu.

- Pańskie mieszkanie znajduje się w tym domu? - zapytała Miranda.

- W pewnym sensie tak. Chwileczkę.

Stanął nieruchomo, nasłuchując. Gdzieś na piętrze słychać było głosy.

Podszedł do szybu windy i krzyknął:

- Hej! Denis! Jesteś tam, mały?

Odpowiedział mu głos młodego mężczyzny:

- Tak, tato. Na górze. Drugie piętro.

97

Mike zaprowadził ją do biblioteki znajdującej się obok głównego wejścia.

- Poczekaj tu, Mirando. Rozgość się. Zajmie mi to około czterech minut. Gdyby ktoś tu do ciebie zajrzał, to mu pomachaj. Będzie to jedno z moich dzieci. Lub ktoś z ich przyjaciół. Cała ich banda okupuje ten dom w tym tygodniu. Odpręż się. - Zatoczył ręką koło wokół pokoju. - Baw się dobrze.

Zauważył wyraz oczarowania, który przeobraził jej twarz, malując na niej nieskrywaną radość, jaką potrafi okazać jedynie dziecko.

Miranda powoli weszła do najwspanialszego pokoju, jaki widziała w swoim życiu. Ściany pokryte były od podłogi do sufitu książkami, także wokół framug drzwi i okien, każdy wolny centymetr wykorzystany został na książki. Na stołach biblioteki piętrzyły się stosy gazet, książek, periodyków i maszynopisów. W szerokiej alkwie stało ogromne, piękne dwustronne biurko, oświetlone światłem padającym przez weneckie okno z witrażem, które zaczynało się na poziomie ramion i sięgało sufitu. Meble były angielskie: skórzane kanapy oraz obite perkalem, stare, wygodne, lekko podniszczone fotele klubowe, ze stolikami ustawionymi tuż pod ręką i oświetlonymi mosiężnymi lampami. »

Ale to książki najbardziej pociągały Mirandę, oszołamiały ją i przeistaczały. Stała tak, przejęta strachem; to wyciągała w ich stronę dłoń, to ją opuszczała, potrząsając głową z radości. Jej oczy przebiegały po tytułach: klasyka, stare, oprawne w skórę kilkutomowe komplety lub pierwsze wydania dzieł, podręczniki, encyklopedie, książki poświęcone historii, sztuce i polityce. I setki współczesnych tytułów, bestsellerów, powieści, poradników typu zrób-to-sam, tanich romansów; nawet półki wypełnione książkami w miękkiej oprawie. Miał w swych zbiorach wszystko. Obserwował ją przez chwilę, zanim się do niej odezwał.

- Proszę bardzo - zachęcił Mirandę. - Mówię poważ-

98

nie. To typowa oferta, jaką składam każdemu prawdziwemu miłośnikowi książek, zaproszonemu do tego pokoju. Pierwsze wydania mogę ci jedynie pożyczyć, a z pozostałych egzemplarzy możesz sobie wziąć, co chcesz. A więc?

- Czy to pański pokój?
- Jest to głównie mój pokój. Ale dzieci także z niego korzystają. I moja żona.
- Pańska żona?
- Była żona. Matka czworga moich pierworodnych. To jest jej dom.
- Jej dom? I pan tu mieszka? I ona także tu mieszka, i pańskie... czworo dzieci tu mieszka.

Wszyscy tu mieszkacie?

Zachęcając ją do wybrania sobie książek, wyjaśnił jej wszystko. W wieku dwudziestu jeden lat ożenił się ze swoją koleżanką z college'u. Jej rodzina posiadała sieć dochodowych domów towarowych, ogromnie popularnych w całym kraju. Ich założycielem był jej dziadek, rosyjski emigrant, który w swym życiu postawił na nieruchomości.

- Ten dom jest własnością rodziny, odkąd go zbudowano. Na przełomie wieku. Staruszek miał cztery córki. Każdej z nich zostawił część majątku z zastrzeżeniem, że ma on pozostać w rodzinie. Moja żona jest jedynaczką. Pewnego dnia ten dom stanie się własnością naszych dzieci. A potem ich dzieci. Żyjemy tu prawie jak w komunie. Wszyscy z niego korzystamy.

- I ma pan czworo dzieci?

- Pięcioro. Najmłodszego syna można uznać za prezent z okazji moich czterdziestych urodzin.

- Mike pokiwał głową, uśmiechając się smutno. - Przez długi czas żyliśmy z żoną każde swoim życiem. Była bardzo zaangażowana w rodzinne interesy, piastując poważne stanowisko, i dlatego zdecydowaliśmy się na przyjacielski rozwód, co oznaczało, że nie zmienia on niczego w naszym stylu życia. Aż do chwili, kiedy któraś z nas nie zmieni stanu cywilnego. Ona pierwsza wyszła za mąż i przeprowadziła

99

się do ekskluzywnego kompleksu mieszkaniowego w centrum miasta. Ale nadal ma tu swój gabinet na czwartym piętrze. Nasze dzieci są już dorosłe. Najstarszy syn pracuje jako lekarz w Vermont. Jest ojcem moich trzech wnuczek.

- Jest pan także dziadkiem?

Przeczesał palcami gęste siwe włosy i zgarbił się.

- Jestem dziadkiem. Nie miałem w tej sprawie nic do powiedzenia. Moje dzieciaki to przecież spuścizna po innych dzieciakach. W tym domu panuje zwykle duży ruch. Dwójka moich dzieci nadal studiuje. Mój syn, aktor, właśnie przyjechał z wybrzeża, by kręcić do serialu telewizyjnego sceny rozgrywające się w Nowym Jorku. Jest tu ze swoją dziewczyną i kilkoma osobami z ekipy. Lepiej tu niż w hotelu.

- A pański najmłodszy syn? Jak to pan powiedział: prezent na czterdzieste urodziny?

- Z okazji czterdziestych urodzin sprawiłem sobie dwa prezenty: po pierwsze, ożeniłem się ze scenarzystką, która pomagała mi przerobić moją książkę na scenariusz, i począłem mojego najmłodszego syna. Któremu niedługo stuknie dziesięć lat. I który mieszka ze swym przyrodnym bratem w Vermont, podczas gdy jego matka stara się uporać z przekroczeniem trzydziestki, wychodząc za mąż za młodszego od siebie o cztery lata hollywoodzkiego kaskadera, który przeobraził się w producenta. - W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że Miranda przestała wybierać książki. - No, dalej, Mirando. Wybrałaś dopiero trz

Wyciągnął rękę i przejechał palcem po grzbietach książek, potem wyjął kilka i ułożył je w stos na swoim biurku. Sięgnął po jedną z nich, pokazując jej okładkę. Był to egzemplarz jego powieści o wojnie koreańskiej.

Wzięła książkę do ręki, trzymała przez chwilę, po czym z uśmiechem oddała ją Steinowi.

- Mam egzemplarz pana powieści, panie Stein. Czytałam ją jeszcze w szkole średniej.

Ponownie przeczytałam niektóre jej fragmenty w ciągu ostatnich lat. Jest dosko-

100

nała. Mam również pańską książkę o zabójstwie syna szefa policji Cordovana. Jest pan bardzo dobrym pisarzem.

Zaskoczyło go, że tak wiele znaczyły dla niego jej słowa aprobaty.

- No proszę. No, no. Czy masz zamiar tak tu stać, czy też w końcu złapiesz się za jakieś książki? Włóżmy je do tej torby. Należy pewnie do któregoś z domowników. Wszystko jest tu na

wynos.

Wypełnił torbę wybranymi przez nią pozycjami i powiesił jej na ramieniu.

- No, idziemy, mała. Już najwyższy czas. Przecież to piątek. Idziemy coś zjeść.

Restauracja nie spełniła oczekiwań Mirandy, która poczuła lekki zawód połączony z pewnym uczuciem ulgi. Okazała się raczej obskurną, zatłoczoną, wyjątkowo hałaśliwą zadymioną knajpą w Little Italy. Mike prowadził ją przez kolejne małe, ciemne i wąskie sale.

- Pójdziemy na zaplecze, do prywatnej części - poinformował ją.

Zatrzymał się przy barze, który dość nietypowo usytuowany był w głębi lokalu. Przechodzień z ulicy nigdy by na to nie wpadł, że restauracja Pisani ma bar. Znajdował się w małej, ciemnej i wąskiej niszy, z umieszczonym na tylnej ścianie ciemnoniebieskim lustrem, które rzucało podejrzane cienie 'na twarze mężczyzn stojących po dwóch lub trzech przy barze i trzymających pełne szklanki z trunkiem. Miranda notowała wszystkie swe obserwacje w pamięci, prędko, dokładnie i skrótowo. Byli to mężczyźni, którzy zazwyczaj nie zdejmują czarnych okularów w ciemnych pomieszczeniach, noszą drogie ubrania szyte na zamówienie, ale nie najlepiej dopasowane, jakby krawiec nie był w stanie do końca ukryć, kim tak naprawdę są. Mieli typowe uczesania wystrzyżone żyłką; nawet ich tupeciki były starannie wymodelowane. Palili cygara, długie i drogie, a ich małe palce połyskiwały, kiedy odbite od lustra światło padało na sygnety, które wydawały się

101

jakby częścią ich palców. Byli to faceci, którzy nigdy nie patrzą na osobę, z którą rozmawiają.

Przez cały czas niespokojnie rozglądali się wokoło, jakby nie chcąc niczego przeoczyć.

Wielu z nich obejmowało Mike'a Steina typowym, braterskim uściskiem, ale ich uwagę natychmiast przyciągała Miranda. Wcale nie musiała nasłuchiwać, co mówią. Słowa, które szeptali mu do ucha, nie mogły bowiem brzmieć inaczej niż: „Co to za babka?” Przedstawił ją i została powitana z przesadną, trochę niezręczną grzecznością. Odsunęła się na bok, zmęczona i spięta.

- Hej - powiedział Stein, delikatnie prowadząc ją do następnego pomieszczenia - my tylko tędy przechodzimy. A oni to zaledwie część lokalnej atmosfery.

W ostatnim już pomieszczeniu, oddzielonym od kuchni jedynie niskim przepierzeniem, dzięki czemu widać było panującą tam krzątanicę, witano się o wiele bardziej entuzjastycznie. Wylewne uściski przywodziły na myśl spotkanie po latach zaginionych przyjaciół, którym udało się wyjść cało z wojen i bitew, a którzy stracili już wszelką nadzieję, że się jeszcze kiedyś zobaczą.

Był to cotygodniowy rytuał.

Mike posadził Mirandę przy końcu długiego drewnianego stołu, gdzie tłoczyli się ludzie, których nie potrafiła do końca określić: twarze glin, skupisko głośnych, co chwila eksplodujących potokiem słów gawędziarzy, przywykłych do tego, że się ich słucha i mających za złe każdemu, kto nie wyraża takiej ochoty, wreszcie dwóch facetów o wyglądzie karierowiczów, rozmawiających szybko z dwoma kobietami, które zastanawiały się, czy warto poświęcać im czas.

I nagle, zagubiona gdzieś w tłumie wypełniającym pomieszczenie - znajoma twarz:

najprawdziwszego gwiazdora filmowego, z zapalem jedzącego pełen talerz spaghetti, kiwnięciem głowy odpowiadającego na poklepywanie po plecach czy rzucane szeptem uwagi.

Miranda przyjęła do wiadomości wyjaśnienie Mike'a:

102

- Nic nie musimy zamawiać, sami przyniosą nam jedzenie i przekonasz się, że będzie wspaniałe, a ja zaraz wracam.

Zdała sobie sprawę, że znajduje się w wyjątkowym miejscu w towarzystwie wyjątkowych ludzi. Od czasu do czasu, ktoś obcy — turysta na nocnym wypadzie w miasto albo solenizant obchodzący hucznie urodziny w sąsiedniej sali - zaplątywał się w tym tłumie: popatrzył, pokazał coś palcem, pomachał ręką, a nawet parę razy błysnął fleszem aparatu, zanim facet w ciemnych okularach zdążył mu powiedzieć, żeby tego nie robił. Były tam osoby, których twarze rozpoznała i była zaskoczona ich obecnością: sędzia ze stanowego Sądu Najwyższego, przystojny i błyskotliwy, zatrzymał widelec w połowie drogi między talerzem i ustami, uprzejmie przysłuchując się, co mu

mówi facet uwieszony u jego ramienia. Pewien policjant — nie, aktor grający rolę gliniarza w telewizji — obejmował ramieniem piękną kobietę, ale cały skupiony był na innej, która nie odrywała oczu od jego ust, gdy do niej mówił. Zmierzając z powrotem w stronę stołu Mike torował jednocześnie drogę wysokiej, szczupłej i zagniewanej kobiecie po czterdziestce, z szaleńczą fryzurą, ubranej w stylu gwiazd rocka, który na pewno jej nie służył. Wpijała palce w ramię swego męża, próbującego uściskać mężczyznę, którego nie widział, odkąd rozstali się dwa lata temu w Los Angeles.

Olbrzymie półmiski jedzenia ustawiono, zupełnie jak podczas rodzinnego obiadu, pośrodku długiego stołu i Miranda mogła sobie nałożyć wszystkiego po trochu, ale przede wszystkim obserwowała, co się dzieje wokół niej.

Różni ludzie podchodzili do stołu, a Mike natychmiast określał ich zawód. Miranda wymieniła uścisk dłoni z komikiem występującym w nocnym klubie, z prokuratorem z Prokuratury Generalnej Stanów Zjednoczonych, z wiceprezesem jednej z większych wytwórni filmowych, z mistrzem złodziejskiego fachu, który wygłaszał obecnie pogadanki na temat, jak ochronić dom przed włamywaczami.

103

Jakiś starszy mężczyzna, niebywale wprost przystojny, wysoki, trzymający się prosto, z teatralną czupryną żółta-wosiwych włosów, o ciemnych iskrzących się oczach, podszedł do nich, wymienił z Mike'em uściski, po czym ujął dłoń Mirandy. Jakby od niechcienia, w naturalnym dla siebie geście, wytwornym i schlebiającym, lekko musnął ustami grzbiet jej dłoni. Mirandę zaskoczyła jej własna reakcja: poczuła silny, zdecydowanie kobiecy dreszcz. Następnie przytulił do jej twarzy wierzch swej dużej, z lekka trzęsącej się dłoni, przesuwając nią wzdłuż jej policzka i brody.

- Ach - szepnął z wnie skrywaną przyjemnością. - Ib jest twarz. Z kośćmi, z charakterem i z tajemnicą. Piękna z ciebie kobieta, moja droga. To rzadkość w naturze: prawdziwe piękno. Ciesz się życiem, moje dziecko.

Jeszcze raz musnął suchymi wargami grzbiet jej dłoni, skinął głową w stronę Mike'a i odszedł.

- Ten starszy pan jest taki piękny - powiedziała Miranda.

Był jednym z najślawniejszych w świecie reżyserów i producentów filmowych i Miranda, która początkowo nie dosłyszała jego nazwiska w ferworze ożywionych rozmów prowadzonych podniesionymi głosami, wśród szczerku talerzy i pokrzykiwań dochodzących z kuchni, teraz oniemiała z wrażenia.

- Och, panie Stein, to ten znakomity... och, on jest niebywale utalentowany. Znam jego filmy, podziwiam... Ojej, a ja mu nic nie powiedziałam. Nie zdawałam sobie sprawy.

- Nic się nie stało - pocieszył ją Mike. - Jest prawie głuchy, a w hałaśliwych miejscach wyłącza swój aparat. Myślę, że i tak wszystko zrozumiał, Mirando. Wyraz twojej twarzy. Podoba ci się tutaj? Dobrze się bawisz?

- Tb wszystko... jest trochę przytłaczające. Ci wszyscy piękni ludzie. Nigdy dotąd nie widziałam tych ludzi na żywo, tylko w telewizji lub w kinie. - Wzruszyła ramionami. - Dla dziewczyny z Bronxu trochę tego za dużo.

104

Mike ujął jej dłoń i mocno przycisnął do ust.

- Powiem ci coś w tajemnicy, mała. Wszyscy ci ludzie tutaj, pochodzą z Bronxu. Albo z Flatbush. Albo też z Lo-wer East Side. Wszyscy zaczynaliśmy w tym samym miejscu. I właśnie dlatego wciąż trzymamy się razem. Jesteśmy w kontakcie. Bez względu na to, gdzie każdy z nas teraz mieszka czy pracuje, jeśli jest w Nowym Jorku akurat w piątek wieczorem, wpada właśnie tutaj. To jest podróż do dzielnicy naszego dzieciństwa. Daje nam poczucie stabilności. I pewności siebie.

- Pewności siebie? Ci ludzie odeszli tak daleko od miejsca, w którym zaczynali. To ludzie sukcesu. Są kimś. O jaką pewność może im chodzić?

- Ej, Mirando - powiedział miękko Stein spoglądając na uśmiechniętych, głośno rozmawiających, poklepujących się po plecach i obejmujących liderów różnych dziedzin życia. - Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałaś? „Wszędzie jest Wschodni Harlem”. Zdradzę ci coś, mała:

wszyscy jesteśmy z Bronxu.

XIII

Miranda jadła jogurt prosto z pojemniczka uważając, żeby nie pochłapać raportów rozłożonych na kanapie. Zamierzała spędzić spokojny wieczór w domu i spróbować uporządkować, przynajmniej do pewnego stopnia, wszystkie informacje, jakie dotychczas zebrano.

Były ich dwa rodzaje: dotyczyły ofiary i przestępcy. Informacje uzupełniające na temat Anny Grace, od dnia jej narodzin w Brooklynie, poprzez lata nauki w Brooklynie, w Queens i na Manhattanie, jej małżeństwo w Queens, aż po dane dotyczące jej pracy, stanowiły zbiór oficjalnych informacji, które nic nie mówiły o osobowości zamordowanej kobiety.

Miranda sporządziła listę osób, które należało przesłu-

105

chać w poszukiwaniu prawdziwej Anny Grace. Nie można było tak po prostu przyjąć, że ofiara jest wspaniałym, idealnym aniołem bez skazy, bez choćby jednego wroga na świecie. Niewielu ludzi potrafi źle mówić o młodej, pełnej życia kobiecie, która została brutalnie zamordowana. Ale Miranda dobrze wiedziała, że wiele osób ma swoje tajemnice, skrywane nawet przed ludźmi im najbliższymi i najdroższymi. Anna Grace stała się teraz osobą publiczną, po tym jak zamordowano ją na oczach wszystkich. Można więc było już wtargnąć w jej prywatność, tak starannie strzeżoną za życia. Czy istniały jakiegokolwiek powiązania między Anną Grace i jej mordercą? Tę właśnie ewentualność trzeba było wziąć pod uwagę i wyjaśnić w taki lub inny sposób.

Poszukiwania winnego, słusznie czy nie, należało rozpocząć od popełnionego przez niego aktu przemocy wobec Anny Grace. W świetle zeznań świadków - i to prawie wszystkich bez wyjątku - mężczyzna wrzeszczał i lżył Annę, zadając jej ciosy i bijąc zarazem. Było to zastanawiające zachowanie. Niezwykłe i mające swoją wymowę, skoro morderca obrzucał Annę wyzwiskami w rodzaju: ty złodziejko-oszustko-klamczucho-kurwo-pizdo, i skoro słowa, które wykrzykiwał do swojej ofiary, wydawały się przekazywać pewną informację, wskazywały na swego rodzaju odwet: A masz! Dobrze ci tak! Oszustko jedna! Widzisz teraz!

Czy słowa te były rzeczywiście przeznaczone dla Anny Grace? Czy też skierowane pod adresem jakiejś innej kobiety, za którą, pomyłkowo, została wzięta Anna? A może słowa mordercy były adresowane do dowolnej osoby płci żeńskiej, jakiegokolwiek kobiety, będącej jedynie przypadkowym, zastępczym obiektem, na którym ów mężczyzna wyładował swoją wrogość.

Prędko i sprawnie Miranda sortowała rosnący stos raportów: jeden egzemplarz dla siebie, drugi dla ludzi z jej brygady, trzeci dla Mike'a Steina. Przebywając razem, najpierw u niego w domu, a potem u Pisaniego, ani razu

106

nie poruszyli tej sprawy ani nie wymienili informacji. To był ich wolny czas, a mimo to Mike wykorzystał go w określonym celu. Szacował, ile jest warta, pragnąc zarazem zrobić na niej wrażenie. Był zaskoczony, ale też, jak jej się wydawało, uradowany dowiadując się, że Miranda zna jego książki.

Jego powieść była mocna, pełna goryczy i pozostawiająca silne wrażenie, napisana z rozmachem i dynamizmem. Z kolei jego książka oparta na artykułach o zabójstwie w Wietnamie została napisana bez owijania czegokolwiek w bawełnę, z brutalną szczerością, w czasach kiedy trzeba było wielkiej odwagi, by przedstawić tak kontrowersyjne wydarzenia. Natomiast w felietonach poświęconych przestępczości w Nowym Jorku brakowało tej pasji i rozmachu, typowych dla innych jego prac. Jego artykuły, ukazujące się dwa razy w tygodniu, odzwierciedlały cynizm, rzeczowość, swoistą kapitulację wobec nieuchronnego upadku życia w mieście.

Miranda wiedziała, od pierwszej chwili, kiedy podszedł do niej na miejscu zbrodni, że ta sprawa bardzo silnie go poruszyła. Jego zainteresowanie odległe było jednak od ciekawości przechodnia monotonicznie powtarzającego znane fakty dotyczące zbrodni. Wydawało się, że nic go nie obchodzi ofiara ani morderca, ani też, "jak się tego obawiał kapitan O'Connor, policja.

Mike Stein był poruszony w jakiś dziwny, ale też bardzo wyraźny sposób, zachowaniem świadków zabójstwa Anny Grace. t

Miranda nie przekazała mu kopii wszystkich raportów, jakie posiadała, a jedynie te, na dostęp do

których miał oficjalne pozwolenie. Miała też własne notatki, uwagi, prywatne informacje, którymi nie podzieliłaby się ani z nim, ani z nikim innym. Nie na tym etapie sprawy.

Zaskoczyło ją, kiedy zadzwonił; to tak jakby myśląc o nim spowodowała, że i on pomyślał o niej. Ale dzwonił służbowo.

- Wiem, że jest sobota wieczór - zaczął Stein - i mam

107

V

nadzieję, że ci w niczym nie przeszkadzam, ale właśnie udało mi się złapać tę panią Rolland i jej męża. Wiem, że macie już jej zeznania, ale sam miałbym ochotę z nimi porozmawiać. Zgadzą się, pod warunkiem, że będziemy u nich przed ósmą; chodzi o jakiś film w telewizji, który chcą obejrzeć.

- Panie Stein — powiedziała mu. - Nie jestem już nastolatką. Sobotni wieczór nie jest z zasady moim najważniejszym wieczorem w tygodniu. Tak często zdarza mi się pracować w soboty, niedziele i inne święta, że już nawet nie chce mi się o tym pamiętać. Spotkamy się na Barclay Street. Mam też kilka raportów i...

- Przyjadę po ciebie za dwadzieścia minut. Będziesz miała okazję wysłuchać nagrania mojej rozmowy z kierowcą autobusu, tym Palermo.

Przewinął taśmę do momentu, w którym obaj przechodzą do sedna sprawy: Mike Stein przemawiający głosem cichym, spokojnym, jak równy facet, który wzbudza zaufanie, a Palermo, odprężony, mówi Steinowi, co tylko ten pragnie od niego usłyszeć. Stein i Miranda siedzieli w samochodzie zaparkowanym przy Barclay Street, przesłuchując taśmę do końca. ,

- No i co myślisz o tym facecie? Kończy swoją trasę, podczas gdy ta dziewczyna siedzi tam i wykrwawia się na śmierć. I co, do cholery, można sobie pomyśleć o takim facecie?

Miranda wzruszyła ramionami.

- A co by pan chciał, żebym powiedziała, panie Stein?

- Co czujesz! Powiedz mi, co czujesz, kiedy słyszysz, co mówi ten facet, kiedy wyobrażasz sobie, jak przejeżdża tym swoim autobusem obok dziewczyny i...

- Myślę, że jeśli zaraz nie pójdziemy do mieszkania państwa Rolland, stracą przez nas ten swój ulubiony program w telewizji.

Drzwi otworzyły się nagle zaraz po pierwszym dotknięciu dzwonka, jakby ta kobieta, pani Rolland, już tam na nich czekała.

108

- No, punktualnie. Prawie - powiedziała. - Proszę wejść.

Miranda potknęła się o parę błyszczących, brązowych męskich butów, które ustawiono obok pary świeżo pobielonych damskich pantofli po jednej stronie długiego i wąskiego korytarza.

- Proszę nie zwracać na nie uwagi - powiedziała pani Rolland poirytowanym tonem.

Wskazała im dalszą drogę do pokoju, podczas gdy sama zatrzymała się na chwilę i ustawiła buty tak, jak powinny stać.

Ostrożnie stąpali ścieżką z grubego plastiku, położonym na nieskazitelnej jasnoszarej wykładzinie dywanowej, która pokrywała podłogę od ściany do ściany. Kroczyli dalej drogą wybrukowaną żółtą kostką.

W pokoju panował chłód typowy dla nie zamieszkanego pomieszczenia, pokazywanych na fotografiach w magazynach ilustrowanych, które sprzedawano po umiarkowanych cenach w supermarketach. Dowodziły one, że można ładnie mieszkać w warunkach napiętego budżetu domowego; mogło to być tanie mieszkanie, ale świeżące czystością, dobrze utrzymane i wypielęgnowane.

W przyćmionym świetle lamp stojących w pokoju wszystkie powierzchnie lśniły od intensywnego stosowania środków konserwujących meble. Pod lampami umieszczono małe, ręcznie haftowane serwetki. Wszystkie abażury były tak świeże i czyste w swych celofanowych opakowaniach, jak w dniu ich zakupu. Na większości wyściełanych mebli leżały obstalowane przezroczyste pokrowce z plastiku. Rozkładany fotel przykryty był narzutą z kwiecistej tkaniny, a w miejscach

przewidywanego największego zużycia zastosowano podwójną warstwę materiału. Starannie obrębiony szydełkiem prostokąt leżał, tam gdzie zwykle trzyma się głowę, w razie gdyby ktoś odważył się oprzeć ją o fotel. Było to jednak mało prawdopodobne.

Dodatek do „Sunday News” z programem telewizyjnym wsunięto pod szklaną popielniczkę, bez jednej choćby

109

plamki, stojącą na małym stoliczku koktajlowym. Nigdzie nie było widać książek, gazet ani kolorowych czasopism.

Mike usiadł w fotelu, który mu wskazano. Było tak cholernie gorąco, że nawet przez myśl mu nie przeszło, by usiąść na grubych plastikach, obojętne, czy specjalnie ob-stalowanych, czy nie.

Z sypialni dochodziło buczenie wentylatora. Oba okna pokoju wychodzące na Barclay Street ukryte były za ciężkimi zasłonami. Unosiła się tu nieprzyjemna woń stęchli-zny, z lekką domieszką cytrynowego zapachu płynu lub pasty do czyszczenia mebli i odświeżacza powietrza w aerozolu.

Pani Rolland kciukiem wskazała w stronę Mirandy, kierując wzrok na Mike'a Steina.

- A ona to kto?

- Przepraszam. To detektyw Miranda Torres.

Pan Rolland wymamrotał coś pod nosem; pani Rolland zamrużyła oczami, po czym ponownie skoncentrowała swą uwagę na Mike'u.

Mirandzie udało się przybrać obojętny i uprzejmy wyraz twarzy, który w przedziwny sposób czynił ją niemal niewidzialną.

- Jak już powiedziałam panu przez telefon - mówiła pani Rolland - ma pan szczęście, że w ogóle nas pan zastał. Jeszcze jesteśmy na urlopie, oboje. Musieliśmy o trzy dni skrócić wakacje. - Brodą wskazała w stronę męża, nie patrząc jednak na niego. - Jego ojciec. Miał atak serca. Trzeci.

- Przykro mi - powiedział Mike. Pani Rolland wzruszyła ramionami. Czekwała na oczywiste pytanie. Mike od razu to odgadł. - A gdzie byliście państwo na urlopie?

- W Krainie Disneya. Na Florydzie. - Wyraz jej twarzy uległ zmianie. Rozpromieniła się.

- Już drugi raz - dodał pan Rolland. Żona posłała mu szybkie spojrzenie i pan Rolland nie pisał ani słowa więcej..

- Czy nie napilibyście się państwo czegoś chłodnego? -

110

Trąciła męża łokciem. - Przynies im trochę lemoniady, którą zrobiłam.

- Nie, dziękuję - odparł Mike. Miranda także odmówiła.

Pan Rolland nie wiedział, co ma robić. Spoglądał to na Mike'a, to na żonę, próbował wstać, usiadł, podjął jeszcze jedną próbę.

- Rany boskie, siadajże wreszcie. Słyszałeś przecież, że nie chce, co?

Pan Rolland usiadł.

Pani Rolland była wysoką, szczupłą kobietą o długich kościach i wyglądała na osobę, która kiedyś musiała być niebywale tęgą. Siedziała w szczególny sposób, trzymając ręce tak, jakby starała się objąć więcej ciała, niż go miała w rzeczywistości. Jej twarz była zniszczona, lecz mimo zwisających fałd na szyi miała zaskakująco ładną i czystą skórę, a oczy wydawały się większe dzięki grubym soczewkom okularów bez oprawy. Może wyglądałaby milej, gdyby przytyła kilka funtów; z powodu swej chudości sprawiała wrażenie osoby małostkowej i uszczypliwej. Kilka razy zacisnąwszy usta zerkała na męża sprawdzając, czy aby odpowiednio się zachowuje.

Pan Rolland miał wygląd człowieka, który był chudy przez całe swoje życie. Przypominał gamoniowatego ucz-niaka, takiego co to zawsze trzyma się skraju boiska, by przypadkiem nie wejść nikomu w drogę, modląc się, żeby broń Boże gra nie przeniosła się na linię obrony Kiedy tylko jego żona przesuwiała się nieznacznie, przepraszającym gestem odsuwał się, ustępując jej miejsca. Na bezdechu, niskim, szorstkim i dobrze słyszalnym głosem pani Rolland skarciła swego męża:

- Rany boskie, siedź spokojnie, ty głupku.

Mike wyjął swój magnetofon pytając, czy może go postawić na stoliku koktajlowym.

- Można tutaj?

- Tak, tak. - Obserwowała go niespokojnymi oczami.
- Dziękuję bardzo za współpracę. - Mówił do mikrofo-

111

nu szybko i cicho, wymieniając obecne osoby, czas, miejsce, datę. - Proszę na to nie zwracać uwagi. Jest bardzo czuły i można mówić z każdego miejsca w pokoju. A więc, czy te okna wychodzą na Barclay Street?

Pani Rolland wstała z kanapy w taki sposób, jakby to zrobił ktoś bardzo otyły.

- Niech pan sam zobaczy. - Odsunęła na bok ciężkie zasłony w jasnym kolorze, z impetem podciągnęła żaluzje, ukazując przez czystoiteńkie i błyszczące szyby widok na Barclay Street. Okna pokoju znajdowały się dokładnie nad latarnią, pod którą siedziała konająca Anna Grace.

Państwo Rolland mieli miejsca w samym środku drugiego balkonu, z widokiem na scenę wydarzeń.

- Mieliście państwo stąd dobry widok na to, co się tam działo.

- O tak, tak. Na pewno lepszy niż ci, co mieszkają na niższych piętrach i twierdzą, że tak dużo widzieli. I jeszcze coś panu powiem. Podobne rzeczy - machnęła ręką w stronę okna, opuściła z powrotem żaluzje i poprawiła zasłony - u mnie w domu, tam skąd pochodzę, tam w ogóle nie ma takich... takich typów na ulicy, co to czatują w ukryciu, żeby się na kogoś rzucić. W dawnych dobrych czasach także i w Forest Hills ich nie było, prawda Fred?

- No, nie było, prawda. Ale...

Pani Rolland spiorunowała go wzrokiem.

- Fred pochodzi z Forest Hills. Tu się urodził i wychował. A przedtem także jego matka i ojciec. Lokalni patrioci; zawsze od nich słyszałam wciąż tylko Forest Hills i Forest Hills. Oczywiście oni mieszkają w Forest Hills Gardens, a to zupełnie inny świat. - Brodą wskazała w stronę okna. - Zaledwie kilka przecznic stąd, a zupełnie inny świat. No i zostawił dom jego młodszemu bratu. Bo jego brat ma czworo dzieci. I to mu daje prawo do tego domu. Zresztą, mniejsza z tym - zakończyła, jakby to ktoś inny poruszył ten temat. - Można by mówić w nieskończoność, prawda? Ale tam, skąd ja pochodzę, napady na ulicy i takie... No, szkoda słów.

112

- A skąd pani pochodzi, pani Rolland?

Kobieta zwróciła się w stronę Mirandy, dość długo zastanawiając się nad odpowiedzią, po czym, jakby objawiała im jakąś głęboką i niebywałą prawdę, coś, co jej przyda w ich oczach prestiżu, oświadczyła:

- Urodziłam się i wychowałam w Kansas City w stanie Kansas. I tam nadal mieszka moja rodzina. Widzi pani, Fred miał tu pracę, był urządzony, kiedy wyszedł z wojska. Poza tym tu są jego korzenie i ten dom w Gardens. I to on jest najstarszym synem. Pomyślałby kto, że coś z tego mamy. Przesunęła się na kanapie, a Fred znowu ostrożnie odsunął się od niej.

- A więc widzieliście państwo dokładnie, co tu się wydarzyło w środę w nocy? - zapytała Miranda.

Pani Rolland nachyliła się ku nim. Zaczęła prędko mówić, a od czasu do czasu, kiedy tylko trochę zwolniła, pan Rolland próbował wtrącać krótkie uwagi i własne obserwacje.

Tego wieczora oglądali film na swoim odtwarzaczu wideo. Usłyszeli głośny dźwięk, jakby krzyk, nie byli pewni, co to jest. Wyłączyli na chwilę wideo; i tak zresztą była już pora na lemoniadę. I wtedy znowu usłyszeli ten dźwięk, więc Fred podszedł do okna, rozsunął zasłony, poniósł żaluzje i otworzył okno.

- Żeby zachować chłód w domu, trzymamy je zawsze zamknięte. To zadziwiające, jak chłodno może być w całym mieszkaniu przy klimatyzacji włączonej jedynie w sypialni.

- Rany boskie, Fred, to ich ani trochę nie interesuje. Fred nijak nie mógł pojąć, co się tam na dole dzieje: „Nie bardzo wiem, co ja właściwie widzę”. Dokładnie tak powiedział. - Spojrzała na męża z pogardą. - Jak to w ogóle jest możliwe, żeby patrzeć na coś i nie być pewnym, co się widzi. Bardzo chciałabym to zrozumieć. Wtedy ja rzuciłam okiem i mówię wam, dla mnie od razu wszystko było jasne.

113

- No, tak, chyba tak - odezwał się Fred.
- Chyba tak! - Pani Rolland przesunęła się i uszczypnęła męża w ramię. Wcale nie mocno czy złośliwie, było to takie uszczypnięcie znane im obojgu. Coś się między nimi działo: przekazywali sobie jakieś sygnały, bardzo osobiste. Miranda siedziała nieruchomo i cicho niczym posąg, choć jej bezruch wskazywał, że najwyraźniej zdaje sobie z czegoś sprawę. Uzmysłowała sobie, że coś nieuchwytnego zachodzi właśnie między panią i panem Rolland. ,

- I co pani zobaczyła, pani Rolland? - spytała.

- No, byli tam. Ta dziewczyna. Taka mała, w jasnej sukience bez rękawów, i ten mężczyzna, który chyba miał na sobie albo biały, albo jasny garnitur z jakiegoś przewiewnego materiału lub czegoś w tym rodzaju, a może nawet z jedwabiu. Nie wiem. Na początku wyglądało na to, jakby... oni... wiem, że teraz to się może wydać zabawne. - Uśmiechnęła się, zakrywając dłonią usta, i dokończyła: - Jakby tańczyli.

- „Jaki śmieszny ten taniec”, powiedziałem wtedy do Flory - ochoczo wtrącił pan Rolland - Wydawało mi się, że dziewczyna próbuje mu się wyrwać.

- O, tak, teraz to ci się zdaje, że próbowała mu się wyrwać, ale wtedy wcale tak nie myślałeś i dobrze o tym wiesz.

Pan Rolland wydał dziwny dźwięk. Z głębi gardła, jakby próbował albo kaszlnąć, albo się roześmiać. Trudno powiedzieć.

- No więc wydawało się, że próbuje mu się wyrwać, ale w pewnej chwili wyglądało to tak, jakby... złapała go mocno. Rozumie pani.

- Złapała go mocno?

- Tak "to właśnie wyglądało - potwierdziła pani Rolland. - W taki bardzo intymny sposób, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Tak jakby sięgnęła w dół i... - Kobieta zakryła usta podłużną, czerwoną dłonią, tłumiąc chichot. - To zabawne, jak to wszystko wyglądało stąd z góry. Gdy

* +

się pomyśli, co się naprawdę stało. Chyba chciała go odepchnąć, zranić, ale można było odnieść wrażenie, jakby tych dwoje, no, jakby...

- Jakby to była jakaś gra. Tak to wyglądało - dorzucił z przekonaniem pan Rolland.

Nagle zapadła cisza. Państwo Rolland spojrzeli na siebie, następnie na Mike'a, a potem na Mirandę.

- Chce pani powiedzieć - pytała Miranda - że wyglądało to dla państwa jak jakiś kontakt seksualny? Że ta kobieta bierze udział, bez przymusu, w jakiejś grze?

Pani Rolland wyciągnęła rękę w stronę męża i znowu go uszczypnęła, na co on się uśmiechnął.

- No - powiedział - trudno to było przesądzić z tak wysoka.

- Ale... czy nie słyszeliście państwo, jak ta kobieta krzyczy? Czy słyszał pan, co mówił ten mężczyzna? - spytała Miranda.

Pani Rolland wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Zdawało się nam, że coś tam dó siebie mamroczą. Pani by pewnie zrozumiała, bo to w pani języku, ale my rozumiemy tylko po angielsku. Jak dotąd zupełnie nam wystarczał, więc chyba nie będziemy zawracać sobie głowy hiszpańskim, żeby móc zrozumieć wskazówki w metrze czy informacje dla głoszących. Drukują je teraz po hiszpańsku, wie pani. To chyba bardzo ułatwia wam życie - zwróciła się do Mirandy.

- Tak, gracias. To ułatwia życie takim jak ja. Tacy jak wy są bardzo mili dla takich jak ja. Głos Mirandy stał się tak bezbarwny, twarz tak pozbawiona wyrazu, że pani Rolland nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować. Pokiwała jedynie głową i uśmiechnęła się, niezbyt pewna siebie.

- Pani Rolland, w którym momencie - odezwał się Mike, przyciągając jej uwagę, zanim Miranda powie coś jeszcze - w którym momencie zdała sobie pani sprawę, że coś jest nie tak? W którym momencie uświadomiła sobie pani, że ta młoda kobieta woła o pomoc? Albo że jest w ta-

115

rapatach? Jestem pewien, że jej krzyki musiały dać państwu do myślenia, że coś jest nie w porządku?

Państwo Rolland wymienili między sobą spojrzenia. Pan Rolland wzruszył ramionami i oddał głos swojej żonie.

- Już dłużej im się nie przyglądaliśmy. No bo wyglądało na to, że tych dwoje... to nie była nasza sprawa, rozumie pan. Oczywiście nie wiedzieliśmy, że ta dziewczyna jest w tarapatkach. Bo któż to może dzisiaj wiedzieć? W końcu tych dwoje, tych dwoje w środę w nocy, może było tak, jak początkowo sądziliśmy, i dopierot potem coś się między nimi popsuło. Mogło przecież być i tak. W dzisiejszych czasach ludzie...

Miranda wstała i przecinając pokój podeszła do szafy mieszczącej ich kolekcję taśm wideo.

- Czy wróciliście państwo do oglądania filmu wideo? Jaki film oglądaliście? - Monotonnym głosem zaczęła odczytywać tytuły: - „W łańcuchach zdobywcy”, „Pejczy nocy”, „Chłopcy zawsze będą chłopcami”, „Księżę z pałacu tortur”, „Chłopcy z lodowiska”, „Uczniaki i ich kumpelki”, „Dziewczyny razem z dziewczynami”, „Bawiące się dziewczęta”... - Miranda pokręciła głową. - Nie rozumiem. Czym wy się zajmujecie? Wygląda na to, że każda okazja jest dla was dobra. - Sięgnęła po taśmę wideo potrząsnęła głową i cofnęła rękę. - To dobrze, że nie ma tu psa. Błagam, panią i pana, nie próbujcie tego robić z psem. Dobrze?

Zapadła pełna napięcia cisza, kiedy w końcu Miranda umilkła. Teraz ona bardziej interesowała Mike'a niż reakcja państwa Rolland. Trochę przestała nad sobą panować.

Państwo Rolland spoglądali na nią.

- Powiedzcie no mi - wyszeptła do nich Miranda, pochylając się w ich stronę niczym osoba zaufana, która zadaje pytanie, by w końcu mieć pełną jasność. - Czy było lepiej, kiedy wszystko działa się naprawdę? Czy było bardziej rajcownie? Czy było lepiej, bardziej podniecająco, kiedy wiedzieliście, że to wszystko tam na zewnątrz dzieje się naprawdę?

116

Nikt nie odezwał się słowem; wszyscy patrzyli na Mirandę, która obróciła się na pięcie i podeszła do okna. Rozsunęła ciężkie zasłony, cały czas odwrócona do nich plecami.

I wtedy, jakby Miranda w ogóle nic nie powiedziała, Mike zapytał spokojnym głosem:

- A co państwo zrobiliście po odejściu od okna?

Państwo Rolland natychmiast podchwycili zachętę Mike, ignorując zupełnie Mirandę.

- Po prostu poszliśmy do łóżka — odpowiedział pan Rolland. Pani Rolland znowu uszczypnęła go w ramię, tym jednak razem bardzo mocno.

- Było strasznie gorąco, a ponieważ wpuściliśmy gorące powietrze do mieszkania, zamknęliśmy okno i zaciągnęliśmy żaluzje. No i zasłony. I poszliśmy do łóżka, bo w sypialni jest taki przyjemny chłód. Dzięki klimatyzacji i w ogóle.

- I nie przyszło państwu na myśl, żeby zadzwonić na policję, wykręcić 911?

Pani Rolland wytrzeszczyła swe powiększone przez okulary oczy.

- A po co, panie Stein? Na ile mogliśmy sądzić, to, co ci dwoje tam robili, było ich osobistą sprawą.

- „To, co ci dwoje tam robili”? On dźgał ją nożem, pani Rolland! Ona się tam wykrwawiała na śmierć! Tam na dole. Pod państwa oknem.

Pani Rolland-wzruszyła ramionami i krzyżując ręce objęła ciało rękami.

- Nie potrafimy czytać w cudzych myślach, i tyle.

Jakiś czas potem, może z pół godziny później, usłyszeli całe to zamieszanie: wozy policyjne, karetki, syreny i co tam jeszcze. Ubrali się, zeszli na dół, tak jak inni, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- I co pomyśleliście sobie państwo widząc, co się przytrafiło tej młodej kobiecie, pani Rolland? Panie Rolland?

Pani Rolland odpowiedziała za nich oboje, głośno i wyraźnie:

117

- Nadal uważałam, że to ich sprawa, że dobrze zrobiliśmy nie wtrącając się.

XIV

Tym razem Miranda zaprosiła go do siebie.

- Nie potrafię parzyć dobrej kawy - oświadczyła. - Pijam herbatę, więc jeśli chce pan kawy,

niech pan zaparzy ją sobie sam.

- Słusznie. A może napijesz się herbaty? Dobrze by ci zrobiła.

- Tak? Nie, zaraz wracam. Muszę się przebrać. Cała się lepię i... Za chwilę wracam.

Kuchnia znajdowała się w niszy pokoju i łatwo ją było ukryć po zaciągnięciu story. Pokój był mały, czysty, chłodny, urządzony w starannie przemyślany sposób. Stanowił odbicie Mirandy: precyzyjnej i lapidarnej, a jednak miał w sobie coś łagodnego, półcienie i miękkość, poczucie wygody, był miejscem, w którym ęhce się przebywać. Przejrzał jej zbiór książek; półki wypełniały całą długą ścianę pokoju, od podłogi do sufitu. Niewiele tu było powieści, przeważały podręczniki Mirandy studentki. Jaskrawy, krzykliwy kolor okładki, przy którym obstawał jego wydawca, od razu przyciągnął jego wzrok do książki Morderstwo w Wietnamie autorstwa Mike'a Steina. Leżała na innych ostatnio wydanych książkach.

Miranda miała na sobie obszerną jasnoniebieską, męską koszulę, sięgającą do kolan. Robiła wrażenie - drobne młode ciało kobiece zagubione w zdecydowanie męskim ubraniu. Urzekąco niewinnością i bezbronnością. I pewnym wyrachowaniem. Tak przynajmniej odebrał to Mike Stein. Była bosa i Mike miał pełną świadomość, jak długie i smukłe są jej nogi. Przeczesała palcami krótkie, ciemne włosy i wskazała mu dłonią kanapę. Na stoliku koktajlowym postawiła talerz z serem i krakersami oraz miskę z owocami. Wydawała się bardzo spięta.

118

- Panie Stein, chciałabym coś panu wyjaśnić. Z reguły nie reaguję na to, co mi mówią ludzie podczas przesłuchań. Zachowałam się bardzo głupio i nieprofesjonalnie.

Najwyraźniej ją to dręczyło.

- Nie ma sprawy, Mirando. Nic się nie stało. To wyjątkowo niesympatyczni ludzie i...

- Nie. Nie rozumie mnie pan. Wstydę się swego zachowania. Właściwie to wcale nie o nich chodziło. To, co robią u siebie w domu, to ich sprawa. Ale denerwuje mnie to, co się dzieje, co zawsze ma miejsce, ilekroć ofiarą morderstwa pada kobieta. Wtedy wszyscy interesują się głównie nią, bo jest kobietą. Jej zachowanie, postępowanie, obecność w danym miejscu, w danym czasie, wzbudzają różne wątpliwości. Staje się podejrzana. Skupiając uwagę na kobiecie, okradamy ją z jej prywatności, godności. Wkraczamy w takie obszary jej życia, które nie mają nic wspólnego z samym morderstwem. Szukamy powiązań między nią a zabójcą, zamiast po prostu go znaleźć. Obarczamy ją w pewnym sensie, na wszelkie możliwe sposoby, winą za to, że ją zamordowano.

- Zajmujemy się mniej więcej tym samym, Mirando. Zbieraniem informacji. Ty je wykorzystujesz na swój sposób, a ja na swój.

- Ciekawi mnie jedna sprawa, panie Stein. - Wskazała w stronę jego książki. — Gdyby okazało się, że tamten facet, syn szefa policji Cordovana, sam był zamieszany w handel narkotykami i wszystkie inne tamtejsze afery, i gdyby pan to odkrył, to czy i tak napisałby pan o tym książkę? Czy byłby pan w stanie to zrobić?

Mike Stein wziął do ręki egzemplarz swojej książki, po czym spojrzał na Mirandę.

- Nie pojechałem do Wietnamu po to, by udowodnić, że przyczyną śmierci syna Arta Cordovana było zabójstwo. Zawarliśmy między sobą umowę, Art i ja. Jakakolwiek odkryjemy prawdę, o tym właśnie napiszę. Bez względu na to, co to będzie.

- A czy zrobiliby to pan, czy napisałby pan prawdę,

119

gdyby jego syn okazał się w to zamieszany? Mógłby pan to zrobić?

Zdecydowanym tonem, trzymając ją cały czas w napięciu, odpowiedział:

- Napisałbym całą prawdę. O to przecież chodziło, Mirando. O poszukiwanie prawdy.

- Tak. Wierzę w to. Wierzę, że napisałby pan o tym, co pan odkrył. I tak właśnie pan zrobił. Zmienił się nastrój; odprężyli się oboje, Mike'owi sprawiała radość, że może oglądać Mirandę w jej własnym domu. Jego głos stał się cichy i spokojny, powiódł powoli po niej oczyma, ciesząc się jej widokiem.

- No, Mirando, opowiedz mi teraz o sobie. Opowiedz o Mirandzie. Lubię wymawiać twoje

imię: Miranda.

- Oto ja. Jaką mnie pan widzi. Ze wszystkimi wadami i zaletami. Taka właśnie jestem.

Miranda.

- W kim jesteś zakochana? Teraz, w kim?

- Teraz? Z kim mam romans? - Pokręciła głową. - Teraz z nikim. I nie mówmy o tym, proszę. Żadnych spraw sercowych.

Ujął w dłonie oprawioną w ramki fotografię małego chłopca. Podobieństwo było bardzo wyraźne.

- To twój syn? Ładny chłopak. Ale taki poważny. Ile ma lat?

- Dziesięć. To Mannie. Bardzo poważny.

Udała, że robi bardzo poważną minę, po czym uśmiechnęła się.

- Gdzie on teraz jest?

- Na Florydzie. W Fort Lauderdale, ze swoim ojcem. Z całą jego rodziną. Nawet moja matka tam jest. Na Florydzie. Teraz jest już częścią tej wielkiej rodziny.

- A to ciekawe. Powiedz, ile miałaś lat, kiedy wyszłaś za męża? Ile miałaś lat, jak urodziłaś tego małego?

Miranda rozsiadła się w wygodnym, głębokim fotelu stojącym naprzeciwko kanapy. Wypiła łyk mrożonej herbaty i odrzekła:

- Wyszłam'za męża mając szesnaście lat. Rok później

gdyby jego syn okazał się w to zamieszany? Mógłby pan to zrobić?

Zdecydowanym tonem, trzymając ją cały czas w napięciu, odpowiedział:

- Napisałbym całą prawdę. O to przecież chodziło, Mirando. O poszukiwanie prawdy.

- Tak. Wierzę w to. Wierzę, że napisałby pan o tym, co pan odkrył. I tak właśnie pan zrobił.

Zmienił się nastrój; odprężyli się oboje, Mike'owi sprawiało radość, że może oglądać Mirandę w jej własnym domu. Jego głos stał się cichy i spokojny, powiódł powoli po niej oczyma, ciesząc się jej widokiem.

- No, Mirando, opowiedz mi teraz o sobie. Opowiedz o Mirandzie. Lubię wymawiać twoje imię: Miranda.

- Oto ja. Jaką mnie pan widzi. Ze wszystkimi wadami i zaletami. Taka właśnie jestem.

Miranda.

- W kim jesteś zakochana? Teraz, w kim?

- Teraz? Z kim mam romans? - Pokręciła głową. - Teraz z nikim. I nie mówmy o tym, proszę. Żadnych spraw sercowych.

Ujął w dłonie oprawioną w ramki fotografię małego chłopca. Podobieństwo było bardzo wyraźne.

- To twój syn? Ładny chłopak. Ale taki poważny. Ile ma lat?

- Dziesięć. To Mannie. Bardzo poważny.

Udała, że robi bardzo poważną minę, po czym uśmiechnęła się.

- Gdzie on teraz jest?

- Na Florydzie. W Fort Lauderdale, ze swoim ojcem. Z całą jego rodziną. Nawet moja matka tam jest. Na Florydzie. Teraz jest już częścią tej wielkiej rodziny.

- A to ciekawe. Powiedz, ile miałaś lat, kiedy wyszłaś za męża? Ile miałaś lat, jak urodziłaś tego małego?

Miranda rozsiadła się w wygodnym, głębokim fotelu stojącym naprzeciwko kanapy. Wypiła łyk mrożonej herbaty i odrzekła:

- Wyszłam'za męża mając szesnaście lat. Rok później

urodziłam Mannie'ego, Emmanuela Hernandez juniora. W wieku dziewiętnastu lat rozwiodłam się. Miranda mieszkała razem z matką w małym mieszkaniu w południowym Bronxie, w tej części, która choć jeszcze wówczas nie spalona, uważana była za niebezpieczną strefę. Mieszkały tam tylko we dwie; ojciec Mirandy zmarł w wyniku pobicia, jej dwie siostry wyszły za męża i wyprowadziły się, a brat zmarł po przedawkowaniu narkotyków. Mieszkał też z nimi dziadek, który, co Miranda uświadomiła sobie dopiero niedawno, w chwili śmierci miał zaledwie

pięćdziesiąt lat.

W życiu biednej rodziny śmierć była tak ważnym wydarzeniem, że aż warto się było zadłużyć, by wyprawić zmarłemu porządną pogrzeb. Huczne wesele znajdowało się na drugim końcu skali wartości, a okazały pogrzeb, odpowiednio celebrowany, świadczył nie tylko o należnym zmarłemu szacunku, ale i o statusie rodziny. Nieczęsto jednak trafiał się . taki pogrzeb w południowym Bronxie. Rodzina zafundowała dziadkowi Mirandy piękne pożegnanie.

Pewnego dnia, w tydzień po pogrzebie dziadka, matka siadła w maleńkiej kuchni z Mirandą i oświadczyła, że umówiła ją na randkę. Rozzłościło to, ale i zaciekawiło Mirandę: nigdy dotąd matka nie zrobiła czegoś podobnego.

v

Emmanuel Hernandez okazał się najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Wysoki i zadbany, o świetnych manierach, cichym, delikatnym głosem, uprzejmy niczym księżę z bajki, traktował Mirandę jak księżniczkę, a jej matkę jak królową. Pojechali wszyscy razem na kolację, a on prowadził limuzynę, która, jak im wyjaśnił, należała do jego rodziny zajmującej się branżą samochodową. Nie powiedział im wiele więcej. Emmanuel był o dziesięć lat starszy od Mirandy i raczej niewiele mówił, okazał się natomiast uprzejmym słuchaczem podczas kolejnych kolacji. Pewnego razu opowiedział jej o Florydzie: o słońcu, o przyjemnym stylu życia.

121

- To wszystko stało się tak prędko. Jednego dnia południowy Bronx, mama i ja, a potem, bach! Floryda. Duży dom, wielka rodzina. Ojej, tyle braci i siostr, ciotek i wujków, i kuzynów. I dzieci. Mnóstwo, a wszystkie jak z obrazka. Ładnie ubrane, o świetnych manierach, takie ciche, chodzące do dobrych szkół, mali-dorośli. I wszyscy, w ten czy inny sposób, włączeni w... rodzinny „interes”.

Mike zakrył na chwilę oczy dłonią i pokręcił głową.

- Chcesz powiedzieć, że weszłaś do rodziny przedsiębiorców pogrzebowych?

Miranda wstała i zaprzeczyła ruchem głowy. Zmieniła ton głosu: umiała dobrze naśladować:

- O, nie, nie. Nie, to brzydkie, nieprofesjonalne słowo. Bardzo pana proszę. Nadzorowanie pogrzebów. - I dalej już swoim zwykłym głosem: - Ojciec mojego męża wszystko mi wytłumaczył. Niewiele dróg stoi w Stanach otworem przed przedsiębiorczymi Portorykańczykami. W grę wchodzi otwarcie winiarni, apteki, biura podróży oferującego tanie loty, biura wypłacającego kaucje: niewielki mają wybór. Cóż więc im pozostaje? - Cofnęła się, znowu zniżając głos: - Śmierć. „Śmierć, tak, Mirando, drogie dziecko. Zwykły życiowy fakt. Który zapewnia nam wszystkim środki do życia i będzie źródłem utrzymania przyszłych pokoleń, przynosząc nam dobra, na jakie zasługujemy”.

- Chcesz powiedzieć, że się nie domyślałaś? Że Emanuel jest przeds... nadzoruje pogrzeby?

- Byłam bardzo niedojrzałą szesnastolatką. Nie dziewczyną spędzającą czas na ulicy. Raczej taką ze szkółki niedzielnej; bardzo ostrożną dziewczyną. Początkowo sądziłam, że pracuje jako szofer u jakiejś wspaniałej, bogatej rodziny, która pozwala mu korzystać z pięknego wozu. Potem wydawało mi się, że cała jego rodzina zajmuje się wynajmowaniem limuzyn. Dopiero kiedy zaszłam w ciążę, zaczęłam naprawdę zadawać pytania; mniej więcej w miesiąc po naszym ślubie. Konkretnie pytania, kiedy jego ojciec już mi powiedział, czym się zajmują. „Ale co wy tak

122

gy J

naprawdę robicie, Mannie, poza prowadzeniem samochodów, noszeniem tych pięknych, ciemnych garniturów i podtrzymywaniem pań, żeby nie zemdlały? Co jeszcze robicie, poza tym?” - Miranda westchnęła, wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce. - No to mi powiedział. Ze wszystkimi szczegółami. I odtąd nie mogłam się powstrzymać, by nie patrzeć na jego dłonie. Nie mogłam się uwolnić od zapachu jego ciała, przesiąkniętego chemikaliami. Nie byłam w stanie się z nim kochać... Było to niesprawiedliwe wobec niego. Wiem. Mannie był, jest, bardzo sympatycznym mężczyzną. Jest bardzo piękny, delikatny, miły. Taki już jego los, ale jest z niego zadowolony.

- Tak więc miałaś szesnaście lat i byłaś w ciąży. A co z twoją matką? Dlaczego nadal mieszka na Florydzie? Z nimi?

- O, mama to wspaniała kobieta. Wie, jak się przystosować, jak brać życie, a także śmierć,

takimi, jakie są. Zamieszkała tam ze mną, miała zostać aż do urodzenia dziecka. Ale zakochała się w jedynym wuju pozostającym wtedy jeszcze w kawalerskim stanie i pobrali się. Matka pracuje obecnie w sali przyjęć, wita żałobników i robi to świetnie. Ma cichy i kojący głos; mówi im różne rzeczy. Ubrana jest zawsze w ciemną suknię i wygląda cudownie. Ale kiedy ją spytałam: „Ależ, mamo, jak możesz w ogóle tu przebywać? A kiedy dotyka cię twój mąż i...”

Miranda potrząsnęła głową, wzdrgnęła się, po czym spojrzała Mike'owi prosto w oczy, zaskoczona widocznym w nich współczuciem i przejęciem.

- Moja matka odpowiedziała: „To wszystko i tak, Mirando, bije na łeb pracę w sklepie, gdzie sprzedaje się tanie szmaty z poliestru, uszyte głównie z myślą o Portory-kańczykach”.

Miranda zaczęła się śmiać. Jej śmiech zabrzmiał twardo i chrapliwie, jakby się go wcale nie spodziewała. Najwyraźniej tracąc panowanie nad sobą, objęła mocno swe ciało, przytrzymując dłońmi przeciwległe łokcie.

- Taka jest moja matka, którą kocham i szanuję. Ale

123

musiałam stamtąd wyjechać. Nawet ona to zrozumiała. Mannie zachował się bardzo wielkodusznie. Pomógł mi zacząć nowe życie, do chwili aż dostałam pracę. Pomagał mi także podczas studiów. Ale to ja za nie płaciłam. A mój syn... Mieli oczywiście rację, sama nie mogłabym go wychować tak dobrze, jak rodzina, zapewnić mu domu, poczucia bezpieczeństwa wynikającego z przynależności do rodziny. - Wzruszyła ramionami. - Mieli rację. Chyba mieli rację.

Wydawało się, że mówi sama do siebie, przywołując stoczone dawno temu batalie, szukając potwierdzenia słuszności podjętej niegdyś decyzji.

Mike przyglądał się fotografii jej syna.

- A więc ten bardzo poważny dziesięcioletni człowiek jest wychowywany...

Miranda zmrużyła oczy, pochyliła się do przodu i ponownie naśladowując czyjś głos, powiedziała:

- „Pewnego dnia, to wszystko - zakreśliła ręką łuk -będzie należało do Mannie'ego i jego kuzynów”. Niech pan tylko pomyśli, wszyscy mali chłopcy w tej rodzinie są tak wychowywani, by pewnego dnia kontynuować rodzinną tradycję... - I znowu wyrwał się jej ten dziwny śmiech, nagle stłumiony jakby kneblem, kiedy odwróciła się od niego.

W pierwszym odruchu chciał do niej podejść, objąć ją, pocieszyć, powiedzieć, żeby to z siebie wyrzuciła. No dalej. Ale instynkt podpowiedział mu, żeby się nie wtrącać. Umysłowił sobie, że dla Mirandy ten akt zwierzeń oznacza utratę samokontroli, zerwanie własnej maski. Uświadomił sobie, że próbowała sama siebie powstrzymać i poczuł ukłucie współczucia, a mimo to pozostawił ją samą sobie. Po chwili wiedział już, że słusznie postąpił. Zachował dla siebie tę całkiem nową informację na temat Mirandy. Bo to ona sama powinna decydować, kiedy wybrać właściwy moment.

Usiadła naprzeciwko i powiedziała głosem miękkim i spokojnym:

124

- Muszę panu coś wyznać. Kocham mojego syna. Często go widuję, przynajmniej raz w miesiącu, a także podczas wakacji i przy okazji różnych szkolnych uroczystości. Ale on stał się taki... taki stary. Kiedy w zeszłym miesiącu odwiedziłam go w Lauderdale, byliśmy sami w ogrodzie, Mannie i ja, a on przyglądał się mojej twarzy, z powagą mi się przyglądał, aż w końcu spytałam: „Co? O co chodzi, kochanie? Dlaczego tak mi się przyglądasz?” Serce mi zamarło. Czekałam, a coś wewnątrz mnie rosło, bo myślałam, że może powie: „Mamo, chcę z tobą jechać do domu, mamo, zabierz mnie stąd”.

Mike nachylił się ku niej i zapytał cicho:

- I co ci powiedział twój syn?

Miranda opuściła głowę, a kiedy znowu spojrzała na niego, na jej twarzy malował się łagodny, nieprzenikniony wyraz.

- Powiedział mi: „Mamo, taka jesteś piękna, czemu się bardziej nie malujesz? Tylko odrobinę, tutaj, na powiekach, trochę podkreśl policzki, i jeszcze...” To mój... to mój... dziesięcioletni syn mówił mi o makijażu, jakiego uczono go kłaść na twarze nieboszczyków!

- Chryste!
- Nikomu jeszcze o tym nie mówiłam. Nikomu. Nawet... Nikomu. Boże, to straszne. Co ja im pozwoliłam zrobić z moim dzieckiem. To moja wina, prawda, ten smutny mały chłopiec o starej twarzy, tak śmiertelnie poważny i...

Rozpłakała się i w końcu przyszła pora, by do niej podejść, wziąć ją w ramiona, zapewnić, że jest tylko człowiekiem i że musi to wszystko z siebie wyrzucić.

W pewnej chwili odsunęła się i spojrzała na niego.

- Nie jestem pewna, dlaczego, panie Stein, ale jakoś tak czuję, że postępuję słusznie. Mówiąc panu o tym. Czego z reguły nie robię, rozumie pan. Ale dziś wieczór, najpierw ci ludzie w tamtym mieszkaniu... Zwykle tak się nie zachowuję. Zazwyczaj jestem silna i nie znoszę takich... tego rodzaju rzeczy.

125

- Napijmy się, Mirando. Na co masz ochotę?

Wzruszyła ramionami, zakłopotana.

- Przepraszam. Nic nie mam w domu. Nie przepadam za alkoholem, a ponieważ mieszkam teraz sama, zużyłam już wszystko i nie dokupiłam nic nowego.

Pokiwał ze zrozumieniem głową.

- W porządku. Chcesz się rozkręcić? Nie. Nie robisz tego. Kawy? Pijesz herbatę. Mirando, co ty u diabła robisz, kiedy musisz się choć trochę odprężyć?

- Relaksuję się. Stosuję rodzaj medytacji. Bardzo głębokiej. >

Chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

- Zrobisz to potem. A teraz mi nie znikaj, moja pani. No dobrze, powiedz mi, w jaki sposób dziewczyna z Bronxu i Fort Lauderdale zdołała wylądować tutaj, w Astorii, w Queens?

- To znowu inna długa historia. O pewnym mężu z Long Island, który dojeżdżał do pracy i któremu wygodnie było zatrzymywać się tutaj w drodze powrotnej do domu rodzinnego na Long Island. Jemu było wygodnie. I mnie też tu się spodobało. Więc później zostałam tutaj. -Uśmiechnęła się do niego. - Byłby- pan dobrym gliniarzem. Wie pan dokładnie, kiedy zadać jakie pytanie. Chcę panu coś pokazać.

Sięgnęła za siebie po fotografię oprawioną w srebrne ramki i podała mu ją.

Mike przyjrzał się uważnie fotografii. Przedstawiała wysokiego i szczupłego młodego mężczyznę, eleganckiego, zmysłowego, tajemniczego, który w postawie miał coś niebezpiecznego i czarującego zarazem. Było w nim coś znajomego, a jednak intrygującego; bliskiego, a jednocześnie niepokojącego.

- Masz brata bliźniaka? Jest taki do ciebie podobny. A mimo to...

- Nie. Nie mam brata bliźniaka. W ogóle nie mam brata. Podoba się panu to zdjęcie? Czy nie rozpoznaje pan tego pięknego młodego mężczyzny? Czyż nie jest interesu-

126

jący? A może pociąga on pana w jakiś sposób? - Przynęła się do niego bliżej, śmiejąc się. Był to zupełnie inny śmiech niż poprzednio: głęboki, gardłowy dźwięk, radosny, zaczepny, przedrzeźniający. - Czy pan nigdy nie prowadzi żadnych gier, panie Stein?

Odchylił się do tyłu w fotelu, uśmiechnął, przecesał długimi palcami gęste siwe włosy. Jego lodowato niebieskie oczy iskrzyły się. Przesunął szybko językiem po wargach, w oczekiwaniu.

Ciesząc się Mirandą.

- No, czasami. A na czym polega ta gra, tego pięknego młodzieńca?

- Och, kiedyś, w pewien weekend, mniej więcej rok temu, mój przyjaciel...

- Nie ten, co dojeżdżał na Long Island?

Miranda zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, po prostu przyjaciel. Wpadł na pomysł. Z przyczyn, których panu nie wyjawię, opowiem panu tylko, na czym polegała ta zabawa. Przebrałam się tak, jak to widać na zdjęciu. Przy odrobinie starannej charakteryzacji, jedynie dla podkreślenia pewnych cech, przemieniłam się w tego pięknego młodzieńca, którego pan tu widzi. Mój przyjaciel także był całkiem przystojny, w taki bardzo męski sposób. Zabrał mnie w miejsce, gdzie młodzi mężczyźni spotykają się z innymi

młodymi mężczyznami. No i odegraliśmy swoje role. Rywalizowaliśmy między sobą, kto będzie bardziej atrakcyjny. Kto z nas przyciągnie więcej potencjalnych kochanków.

- I kto wygrał?

- No, ja. On był całkowicie heteroseksualny. W stu procentach. Nie wiedział, jak przyciągnąć innych mężczyzn. A ja wiem. Wiedziałam. Oczywiście wcale się nie połapali, że jestem kobietą. W przeciwnym razie on by wygrał. To była tylko taka gra. Nikomu nie wyrządziła szkody. Niezła zabawa.

- Czy brałaś udział także w innych zabawach z tym swoim przyjacielem?

- To jedyna, o której mam ochotę panu opowiedzieć.

127

Na razie. Czy nie uważa pan, że ładny był ze mnie chłopak?

- Siedząc tutaj w tym pokoju obok ciebie, nie sądzę, byś była biseksualna. Ani trochę. Myślę, że prawdziwy test polegałby na sprawdzeniu, czy pociągasz także kobiety-

Miranda wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i powiedziała miękko:

- Ach, panie Stein, tylko jedna tajemnica na jeden raz, prawda?

Podala mu swoje dłonie, a on wstał, świadom zapachu i aury rozciąganej przez tę młodą kobietę, świadom jej smukłego ciała pod zbyt obszerną męską koszulą.

Miranda zaprowadziła go do swojej sypialni. Kiedy próbował rozpiąć guziki jej koszuli odsunęła jego dłonie.

- Pozwól mi to zrobić, Mirando.

Potrząsnęła głową.

- Nie, czułabym się jak dziecko, gdybyś ty mnie teraz rozebrał. Tak jakbyś mi proponował coś na pocieszenie. To coś zupełnie innego, niezależnego, to jest samo dla siebie, to, co jest między tobą a mną. Tym razem najpierw ja sama się rozbiore, a potem rozbidrę ciebie. W tym pokoju nie ma dzieci.

- Mirando, nie ma w tobie nic, ale to nic dziecinne - odpowiedział, a jego głęboki głos przepełniony był zachwytem i pewnym, całkiem niespodziewanym, niepokojem.

XV

I

Miranda spędziła za swoim biurkiem nie więcej niż piętnaście minut, kiedy zadzwoniła jakaś kobieta, która nie chcąc się przedstawić, poinformowała ją, że Maria Vidales, „ta Hiszpanka”, wróciła do swego mieszkania przy Barclay Street pod numerem 10—43.

128

Dziewczyna nie chciała otworzyć drzwi.

- Nie, nie - powiedziała, oglądając Mirandę przez wizjer. - O cokolwiek pani chodzi, nie chcę na ten temat rozmawiać. Proszę. Niech pani stąd idzie.

Miranda mocniej nacisnęła dzwonek. Rozległ się głośny, przenikliwy dźwięk. W końcu dziewczyna uchyliła drzwi, robiąc kilkucentymetrową szparę, na ile pozwalał łańcuch.

- Chyba nie będzie pani tak ze mną rozmawiać, panno Vidales - powiedziała Miranda. - Ta sprawa dotyczy tylko pani i nie jest przeznaczona dla pani sąsiadów.

Dziewczyna dość długo wpatrywała się w złotą odznakę, po czym zamknęła drzwi, zwolniła łańcuch i pozwoliła Mirandzie wejść do swego małego mieszkania. Małeńki pokój był zastawiony zbyt dużymi wyściełanymi meblami, zarzucony ilustrowanymi magazynami, dziennikami, kolekcją płyt, taśm, ubraniami, butami, pudełeczkami z przyborami do makijażu. Ściany ozdabiały plakaty reklamujące koncerty rockowe i gwiazdy rocka.

Maria zrzuciła na podłogę naręczne gazety, by zrobić Mirandzie trochę miejsca. Ani nie przeproszała za ten rozgardiasz, ani nie starała się go usprawiedliwić. Był po prostu czymś oczywistym.

- No więc dobrze, jest pani detektywem policji. O czym chce pani ze mną rozmawiać?

Jej podobieństwo do zamordowanej Anny Grace zapierało dech w piersiach: ten sam wzrost i budowa; była trochę młodsza, nieco cięższa, ale miała takie same długie, ciemne, zaczesane do tyłu włosy, opadające luźno na plecy. Dziewczyna wydawała się spięta, kiedy Miranda patrzyła na nią

badawczo.

- Przepraszam, że się tak pani przyglądam, ale to dlatego... Czy pani gdzieś wyjeżdżała, panno Vidales? Próbuję się z panią skontaktować od środy wieczór. Kiedy ta młoda kobieta, Anna Grace, została zamordowana tam na dole, praktycznie pod samym domem. - Miranda wstała i podeszła do okna. - Sądzę, że stąd mogłaby pani widzieć

129

przynajmniej częściowo to, co zaszło. Tak. Widać stąd latarnię, pod którą osunęła się na ziemię ta dziewczyna. Pod którą siedziała wykrwawiając się na śmierć. Tak. Stąd można to było dokładnie zobaczyć.

- Nie było mnie wtedy w domu - odpowiedziała dziewczyna. - Byłam z przyjacielem. Nad morzem. W tym tygodniu mam wakacje.

Przez lato pracowała w okolicznym barze sprzedając hamburgery, do chwili gdy rozpoczną się zajęcia w St. John.

- Ale słyszała pani o tym morderstwie?»

- Dowiedziałam się o nim z telewizji. I z gazet. To okropne. Ale tyle się dzieje każdego dnia, no nie?

- I nie ma pani nic do powiedzenia na ten temat?

Maria Vidales unikała jej wzroku. Stała się nerwowa i podniecona z powodu bezceremonialnego zachowania Mirandy. Jej twarz ściągnęła się i stężała, jakby dziewczyna była bardzo chora.

- Mario, czy ma pani jakieś kłopoty?

- Kłopoty? Nie. Nie mam żadnych kłopotów. Proszę. Nic nie wiem o tym, co się stało. Nie było mnie tutaj. To wszystko.»

- Czy rozmawiała pani z którymś ze swoich sąsiadów na temat zabójstwa tej młodej kobiety?

- Nie. Nie, nie rozmawiam z sąsiadami. Albo pracuję, albo się uczę. Nie widuję ich.

Wówczas Miranda powiedziała powoli, ostrożnie i łagodnie:

- Aha, więc nikt jeszcze pani o tym nie powiedział. Rozumiem.

Dziewczyna zamarła. W jej ustach tkwił nie zapalony papieros, a w dłoni trzymała nie zapaloną zapałkę.

- Powiedział? Co mieli mi powiedzieć?

Coś tu wyraźnie było nie tak. Miranda postanowiła, że to Maria musi zrobić pierwszy krok.

- Nic, nic. Przepraszam. Nie ma o czym mówić.

- Zaraz, chwileczkę. Dlaczego chciała się pani ze mną

130

spotkać? Nie było mnie w domu. Mówi pani, że już tu pani była, ale nie zastała mnie w domu. To po co teraz zawraca mi pani głowę? A więc? Co mieli mi powiedzieć?

Miranda Torres nauczyła się już dawno temu, że najlepszym sposobem przekazania jakiejś strasznej, trudnej do zniesienia informacji, jest mówienie cichym, miękkim i rzeczowym głosem.

- Że kiedy pani sąsiedzi zebrali się na ulicy i poproszono ich, żeby przyjrzeni się zamordowanej, zapytani, czy ktoś z nich ją zna, niektórzy odpowiedzieli, że tak, wydaje im się, że znają tę dziewczynę.

- Tak? Tak, i co...

- Mówili: ona przypomina tę Hiszpankę. Dziewczynę, która mieszka na najwyższym piętrze, pod numerem 10-43. Nie znali pani nazwiska. Ale mieli panią na myśli. Sądzieli, że to pani jest tą zamordowaną dziewczyną. Ona rzeczywiście jest bardzo ,do pani podobna. Mieli rację. Teraz dopiero to widzę.

Maria Vidales próbowała zapalić papierosa, ale tak bardzo trzęsły jej się dłonie, że w końcu dała za wygraną.

- Czy ma pani jakieś kłopoty, Mario? Czy jest ktoś, gdzieś, kto chce panią skrzywdzić?

- O nie. Nie, nic podobnego. Nikt nie chce mnie skrzywdzić. Ma pani na myśli... zabić mnie?

Czy chodzi pani o to, że ktoś chciałby mnie zabić? To okropne pytanie. To nie moja wina, że zamordowano jakąś dziewczynę, która jest do mnie podobna. Co to ma wspólnego ze mną? Wiele

osób jest, do mnie podobnych. Nic na to nie poradzę. Proszę... ja... jest mi niedobrze.

Wybiegła z pokoju i kiedy wymiotowała w łazience, a potem odkręcała kran z wodą, starając się jakoś pozbierać, Miranda cały czas spoglądała w tamtą stronę. W co ta dziewczyna się wplątała?

- Czy teraz czuje się pani lepiej? Bardzo pani blada. Czy coś pani podać?

- Dziękuję. Dziękuję, nie. Bo widzi pani, złapałam jakiegoś wirusa, i tyle. Mój przyjaciel chorował na to przez

131

cały tydzień, więc może... - Dziewczyna zamilkła i zasłoniła dłonią usta.

Miranda odezwała się:

- A to pech. Żadna to przyjemność pojechać nad morze i cały czas chorować. Jak się nazywa pani przyjaciel? Gdzie mieszka?

Maria pokręciła głową.

- Wcale nie muszę pani tego mówić. Wcale.

- Mario, czy ma pani wizę studencką? Wystawioną w Kolumbii?

- Tak, wszystko jest w porządku. '

- Dobrze. Nie ma więc żadnych powodów do niepokoju, prawda? O to właśnie się pani martwiła?

- Nie. Ja tylko...

- Mario, gdzie jest Arabella? Kiedy ją ostatnio widziałas?

Dziewczyna zrobiła się biała jak kreda.

- Ara? A co ma do tego moja siostra? Nie rozumiem. Proszę...

- To o nią się martwisz, tak?

- Nie, skądże. Ona pracuje. Jest stewardesą i...

- Nie. Nie ma jej w pracy. Miała się zgłosić o dziewiątej rano w sobotę. Nie pokazała się. Ani jej przyjaciółka, Christine Valapo. Dzisiaj mamy poniedziałek. A jej szef nie miał żadnych informacji ani od niej, ani od jej przyjaciółki. Mario, niech się pani nie odwraca. Proszę na mnie spojrzeć.

Miranda usiadła obok dziewczyny, nie zwracając uwagi na spadające na podłogę gazety i na skłębione na kanapie ubrania.

- Mario, musisz z kimś porozmawiać. Może ja mogłabym ci pomóc. Czy Ara ma jakieś kłopoty? Powiedz mi.

- Nie. Nie wiem. Nic nie wiem. Jej nic nie będzie.

- Kiedy ostatnio się z nią widziałas? Mario, porozmawiaj ze mną. Spójrz na mnie. Ze mną jesteś bezpieczna, obiecuję ci.

Dziewczyna była tak przestraszona, tak bezbronna.

132

Miranda przemawiała do niej tonem swobodnym, miękkim, poufałym: jestem twoim przyjacielem, zaufaj mi, zaufaj.

- Była chyba... tutaj... w środę w nocy. Tak. Czasami tu przychodzi, kiedy mnie nie ma. Czasami, rozumie pani, przyprowadza tu chłopaka.

- Oczywiście. A więc była tu z chłopakiem w środę w nocy? Nie ma sprawy. I wtedy z nią rozmawiałaś, w środę w nocy?

- Nie. Nie. Nie. - Maria zaczerpnęła dużo powietrza, po czym zaczęła się krztusić.

- I co ci wtedy powiedziała, Mario, kiedy rozmawiałaś z nią w środę w nocy? Czy ci powiedziała, co się wydarzyło? O tej dziewczynie, którą zamordowano?

- Powiedziała tylko, że stało się coś złego, zraniono jakąś dziewczynę, i że boi się o mnie, bo kiedy wracam sama do domu, ktoś może i mnie wyrządzić krzywdę, rozumie pani? Sądziłyśmy, że to bezpieczna okolica, no i kiedy to się stało, kazała mi zamieszkać na kilka dni u mojego przyjaciela, aż wszystko ucichnie, i dopiero wtedy wrócić do domu...

- A dokąd sama wyjechała?

- Nie wiem. Jest pewnie w pracy. Teraz jest w pracy, leci z powrotem do Bogoty. Tam właśnie teraz jest.

- Nie. Nie ma jej w pracy, Mario. Arabella zniknęła. Nikt nie wie, gdzie się znajduje: ani jej koleżanki w Parker Towers, ani jej przełożony, ani też, jak widać, jej młodsza siostra. Czy to właśnie tak cię niepokoi, że nie wiesz, gdzie jest Arabella?

- Tak - przyznała Maria, zbyt pospiesznie. - Tak, martwię się o nią, bo nie znam tego jej chłopaka i może on ją gdzieś zabrał, a ona wcale nie chciała tam jechać, lub coś w tym rodzaju. Miranda wstała, podeszła do okna i jeszcze raz spojrziała w dół na latarnię, pod którą zmarła Anna Grace.

Zwróciła twarz w stronę dziewczyny.

- Nie. To nie dlatego się martwisz - powiedziała twar-

133

i

do, dobitnie. - Dlaczego twoja siostra kazała ci nie przychodzić do mieszkania przez kilka dni? Nie ma tu już żadnego zagrożenia. Zjawiła się policja, morderca zniknął. Jest tu teraz równie bezpiecznie jak poprzednio. Coś innego ci powiedziała. Kazała ci trzymać się z dala od tego miejsca z zupełnie innego powodu.

Maria Vidales zaprzeczyła ruchem głowy, nadal milcząc, ale unikała wzrokiem oczu Mirandy.

- O co jeszcze chodzi, Mario? Czym się tak niepokoisz? Obawiasz się o Arabellę czy o samą siebie?

- Nie, nic. Po prostu jestem chora, to wszystko, mówiłam już. Proszę pani, ja muszę położyć się do łóżka i...

- Mario, zgódźmy się co do jednej sprawy, ty i ja. To jedyny sposób jaki mogę ci pomóc. Mów mi prawdę albo nie mów nic, dobrze? Tylko nie kłam. To niszczy wzajemne zaufanie. Coś złego przytrafiło się tobie lub twojej siostrze. Albo boisz się, że coś złego się stanie. Czy to ma coś wspólnego z tym, co się przydarzyło tej dziewczynie tam na dole, na ulicy? Dziewczynie tak bardzo do ciebie podobnej?

- Nie - odrzekła zdecydowanie Maria. - Nie, to chodzi o tego chłopaka, z którym tu była i...

Miranda przerwała jej ostro:

- Prosiłam, żebyś nie kłamała. Nic ci to nie da. To bez sensu. Coś cię bardzo niepokoi i nie jest to chłopak twojej siostry.

Maria opuściła głowę i kiwnęła nią na znak zgody. Miranda złagodniała, znowu stała się przyjaciółką w potrzebie, której można zaufać, osobą, której można się zwierzyć. Zaufaj mi. Zaufaj.

- No więc, co? Niepokoisz się o Arabellę? Bo mówiła, że będzie z tobą w kontakcie i dotąd nie dała znaku życia?

- Powiedziała mi żebym nie wracała do mieszkania że zadzwoni i powie mi kiedy mogę tu wrócić i nie wiem czemu mi to powiedziała i nie wiem gdzie jest i nie wiem co robić... Kocham moją siostrę Arabella jest taka dla mnie

134

dobra opiekuje się mną opłaca czynsz i wszystko i moje chesne i mówi mi żebym przeznaczyła te pieniądze które zarabiam na swoje osobiste wydatki na kosmetyki i koncerty i ona bardzo o mnie dba... i boję się bo nie wiem gdzie jest mówiła że zadzwoni i nie zadzwoniła i...

- Gdyby miała kłopoty, to do kogo jeszcze mogłaby zadzwonić? Może do kogoś z rodziny lub jakiegoś dobrego znajomego, żeby jej pomógł?

- Może do Cariosa Galveza. On mieszka tu niedaleko, przy Inverness Street. Może on... - Nagle Maria przycisnęła dłoń do ust i pokręciła gwałtownie głową. Złapała Mirandę za ramię.

Zamrugła prędko powiekami. - To nasz kuzyn. Dlatego o nim wspomniałam. Jestem głupia. Nie poszłaby do niego. To głupie, że wymieniłam Cariosa. Nigdy by do niego nie poszła. Nie wiem, dlaczego powiedziałam...

- Carlos Galvez. Wasz kuzyn. Mieszka przy Inverness Street.

- Nie widzujemy go. Kiedyś nam pomógł, rozumie pani, znalazł mi to mieszkanie, w ładnym miejscu niedaleko od St. John, i tyle; nie widziałyśmy go już chyba z rok...

- I on tak blisko mieszka i jest twoim krewnym?

Maria zwinęła się, obejmując brzuch rękami, po czym

odsunęła się raptownie od Mirandy i czym prędzej pobiegła do łazienki, bo znowu zrobiło jej się niedobrze. Przebywała tam przez dłuższy czas. Maria umyła twarz, uczesała włosy i, na ile mogła to osądzić Miranda, musiała zażyć jakiś środek uspokajający, który pomógł jej odzyskać kontrolę nad samą sobą. Stała wyprostowana, z twarzą bez wyrazu, mówiąc głosem już bardziej opanowanym, w którym brzmiała raczej złość niż strach.

- Chcę, żeby pani już sobie poszła, detektywie Torres. Nie mam pani nic więcej do powiedzenia i nie może pani tu zostać, skoro proszę, żeby pani sobie poszła. Nie było mnie tu w środę w nocy, to wszystko, co mogę pani powiedzieć i co może panią w ogóle obchodzić. A teraz proszę już sobie iść.

135

dobra opiekuje się mną opłaca czynsz i wszystko i moje chesne i mówi mi żebym przeznaczyła te pieniądze które zarabiam na swoje osobiste wydatki na kosmetyki i koncerty i ona bardzo o mnie dba... i boję się bo nie wiem gdzie jest mówiła że zadzwoni i nie zadzwoniła i...

- Gdyby miała kłopoty, to do kogo jeszcze mogłaby zadzwonić? Może do kogoś z rodziny lub jakiegoś dobrego znajomego, żeby jej pomógł?

- Może do Carlosa Galveza. On mieszka tu niedaleko, przy Inverness Street. Może on... - Nagle Maria przycisnęła dłoń do ust i pokręciła gwałtownie głową. Złapała Mirandę za ramię. Zamrugła prędko powiekami. - To nasz kuzyn. Dlatego o nim wspomniałam. Jestem głupia. Nie poszłaby do niego. To głupie, że wymieniłam Carlosa. Nigdy by do niego nie poszła. Nie wiem, dlaczego powiedziałam...

- Carlos Galvez. Wasz kuzyn. Mieszka przy Inverness Street.

- Nie widzimy go. Kiedyś nam pomógł, rozumie pani, znalazł mi to mieszkanie, w ładnym miejscu niedaleko od St. John, i tyle; nie widziałyśmy go już chyba z rok...

- I on tak blisko mieszka i jest twoim krewnym?

Maria zwinęła się, obejmując brzuch rękami, po czym odsunęła się raptownie od Mirandy i czym prędzej pobiegła do łazienki, bo znowu zrobiło jej się niedobrze. Przebywała tam przez dłuższy czas. Maria umyła twarz, uczesała włosy i, na ile mogła to osądzić Miranda, musiała zażyć jakiś środek uspokajający, który pomógł jej odzyskać kontrolę nad samą sobą. Stała wyprostowana, z twarzą bez wyrazu, mówiąc głosem już bardziej opanowanym, w którym brzmiała raczej złość niż strach.

- Chcę, żeby pani już sobie poszła, detektywie Torres. Nie mam pani nic więcej do powiedzenia i nie może pani tu zostać, skoro proszę, żeby pani sobie poszła. Nie było mnie tu w środę w nocy, to wszystko, co mogę pani powiedzieć i co może panią w ogóle obchodzić. A teraz proszę już sobie iść.

135

Miranda skinęła głową. Wyjęła z kieszeni wizytówkę i podała ją Marii Vidales.

- Niech ją pani weźmie, Mario. - Kiedy dziewczyna nie poruszyła się, Miranda ujęła jej dłoń.

- Proszę. Niech pani weźmie. Ten numer to telefon do biura, a na odwrotnej stronie ma pani mój telefon domowy. Chcę, żeby pani miała oba numery.

- Nie potrzebuję...

- Mario, niech mnie pani posłucha. Wiem, że stało się coś złego. Zgoda, nie ma to nic wspólnego z tym, co tu się zdarzyło tamtej nocy. I może jest to sprawa osobista, prywatna, między panią i siostrą, i policja nie ma tu nic do rzeczy. Ale mimo to proszę wziąć tę wizytówkę i jeśli zechce pani porozmawiać z kimś, ze mną, jak ze starszą przyjaciółką, z kimś, kto tylko pani wysłucha i kto może będzie w stanie w czymś pani pomóc...

- Tak. Tak. Dobrze, dziękuję. Zachowam pani wizytówkę.

Zamknęła drzwi za Mirandą. Rozległ się trzask zamka, ale nagle drzwi znowu uchyliły się na kilka centymetrów, na ile pozwolił łańcuch.

- Detektywie Torres - zawołała za nią Maria. Jej głos brzmiał chropawo i słychać w nim było strach, jak u małego dziecka wołającego w ciemności, bojącego się dźwięku własnych słów. Miranda odsunęła się od drzwi windy i podeszła do Marii jak mogła najbliżej, z trudem łowiąc

słowa wypowiedziane niemal szeptem.

- Jeszcze jedna sprawa. Proszę zapamiętać, co pani mówiłam o naszych kuzynie Carlosie. To było głupie. Ani Ara, ani ja nigdy byśmy się do niego nie zwróciły z żadną sprawą. Proszę. Proszę zapamiętać, że w ogóle wymieniłam jego nazwisko.

- Tak. Naturalnie. Tak, Mario, dobrze. Czy jest coś, co ty...

Zatrzasnęły się drzwi i z mieszkania Marii Vidales nie dochodził już żaden dźwięk.

136

ł

W' w

Winda była głośna, trzeszczała i zgrzytała ruszając w dół z piątego piętra'. Miranda zauważyła, że jest bardzo czysta, bez jednej plamki, dokładnie wysprzątana przez dbający o to personel.

Lokatorzy budynku przy Barclay Street mogli mówić o szczęściu.

A więc kim, do licha, jest Carlos Galvez?

XVI

Czekając na Mike'a Miranda przerzucała strony książki telefonicznej dzielnicy Queens w zagraconym, staroświeckim miejscowym sklepie ze słodyczami na rogu Barclay Street i Sześćdziesiątej Ósmej Alei. Nie było w niej Carlosa Galveza. Tak, urząd telekomunikacyjny wiedział o zastrzeżonym numerze na to nazwisko na Inverness Street, cóż,, bardzo nam przykro, ale...

Miranda pomyślała chwilę, przejrzała listę specjalnych numerów w swym notatniku, po czym wykreśliła numer pewnego pracownika przedsiębiorstwa telefonicznego, który współpracował z jej brygadą. Obiecała mu, że dostanie podkładkę w postaci listu od szefa brygady, i wtedy zapisała numer zarówno telefonu, jak i domu. Oczekała, aż telefon zadzwoni kilka razy, zanim odwiesiła słuchawkę, po czym włożyła kartkę z informacją do małej wewnętrznej kieszeni torby. Najpewniej w ogóle nie wspomni na razie nikomu o jakimś tam Carlosie Galvezie; po prostu jeszcze jedno nazwisko, które należy sprawdzić.

Mike podjechał samochodem, uśmiechając się na jej widok. Miała na sobie ładną, lekką płócienną szmizjerkę w kolorze wyblakłej zieleni, przepasaną wokół smukłej talii pomarańczowo-żółtą szarfą, i pomarańczowe sandały na płaskim obcasie. Jej długie nogi w kolorze miodowego brązu były gołe i gładkie. Pachniała pomarańczami i cytrynami. Cytrusowa Miranda: czysta i pyszna.

- Działasz chłodząco w tak upalny dzień - powiedział

137

P

Mike otwierając zamek w drzwiach prowadzących do korytarza, podczas gdy Miranda nacisnęła przycisk dzwonka obok napisu „G. Randall, mieszkanie 2A”.

Meble w mieszkaniu George'a Randalla były w dobrym guście. Kilka razy dość ryzykownie pomieszał paski z kratkami, ale równoważyły to kolory i w efekcie stworzył wnętrze przyjemne i jasne. Najwyraźniej dobrze wiedział, co robi.

Kiedy Mike postawił swój magnetofon na stoliku do kawy, Randall pokręcił głową.

- O nie. Nie sądzę, żeby to było konieczne.

Mike wzruszył ramionami.

- Jak pan woli. Używam go dla większej dokładności. W rzeczywistości mam niezłe ucho, ale kiedy powstają jakieś wątpliwości, lubię mieć wszystko na taśmie. Ale nie ma sprawy.

- A właściwie to dlaczego on tu przyszedł z panią, detektyw Torres? Zgodziłem się na rozmowę jedynie z panią. Pan Stein jest felietonistą, nie gliniarzem.

- I tu także decyzja należy do pana, panie Randall - odpowiedziała mu cicho Miranda. - Pan Stein woli informacje z pierwszej ręki. Mój raport to moja własna wersja. Staram się być dokładna, ale...

- No dobrze. Właściwie nie robi mi to różnicy. Nie mam państwu nic do powiedzenia o tym, co się wydarzyło w środę w nocy. Nic o tym nie wiedziałem aż do chwili, gdy wyszedłem do pracy w czwartek rano.

- Ale był pan w swoim mieszkaniu w środę w nocy? I mieszka pan na pierwszym piętrze od

strony Barclay Street. A ofiarę, Annę Grace, zaszytyletowano dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy.

- Tak mi powiedział sąsiad. Ja mogę tylko tyle dodać: Żem nic nie widział. Żem nic nie słyszał. I żem nic nie wiedział. A jeśli nawet coś widziałem, słyszałem i wiedziałem, to i tak bym niczego nie widział, nie słyszał i nie wiedział. Kapujecie?

- Czym się pan zajmuje, panie Randall?

138

g
" m m

- To nie pani sprawa, detektywie Torres. A tak na marginesie, wszystko, co tu teraz mówię, jest do prywatnej państwa wiadomości. Albo kończymy tę gadkę.

Miranda wstała tak szybko, że nawet Mike Stein był tym zaskoczony.

- To może od razu wyjaśnijmy sobie jedno, panie Randall. To, co zechce pan powiedzieć w obecności pana Steina, to jedna sprawa. Ale to, co pan powie w odpowiedzi na moje pytania, to coś zupełnie innego. Jestem oficerem policji i jestem tu służbowo, by wysłuchać pańskiego zeznania. I ma pan prawo wyboru. Albo pan odpowie na moje pytania tu i teraz w obecności pana Steina, albo on zaraz stąd wyjdzie, my dokończymy przesłuchania, a on potem uzyska moją wersję tej rozmowy. Lub, jeśli pan woli, wyznaczę dzień i godzinę, i spotka się pan ze mną w 112. komisariacie policji. Może w bardziej oficjalnej atmosferze poczuje się pan bardziej swojsko. Decyzja należy do pana. George Randall wstał, demonstrując swoje sześć stóp wzrostu. Pokręcił głową, śmiejąc się, zaskoczony. Przetarł dłonią oczy, podszedł do okna i po chwili wrócił.

- Rany, ale cię, mała, dobrze dobrali, co? Naprawdę niezły z ciebie numer. No, no, chyba ostatnio nie zaglądasz do lusterka, co, przy dobrym jasnym świetle? Jesteś piękna, moja pani, i spinasz się dokładnie wtedy, gdy trzeba. A więc mamy tu w jednej osobie prawo i kobietkę w typie rach-ciach-nie-dowalisz-mi! Jesteś mocna i twarda, fakt.

Mike nie odzywał się obserwując tę konfrontację.

- Słuchaj no, pan - odezwała się Miranda. - Tylko nie próbuj pan ze mną tej czarnej grypsery. Nie odstawiaj mi tu pan wariata i nie pstrykaj palcami, bo jesteś tylko cholernym belfrem ze szkoły średniej. Uczysz pan historii w szkole średniej w Forest Hills, robisz magisterium na Uniwersytecie Columbia i dam głowę, że nie grypsujesz do swoich profesorów, i dobrze wiem, że również nie robisz pan tego stojąc przed swoimi uczniami.

139

Randall roześmiał się z podziwem.

- Nie ma co, dobra jesteś, mała.

- I nie nazywaj mnie pan „mała”, panie Randall. Detektywie Torres, tak należy się do mnie zwracać. I nie wciskaj mi tu pan kitu o „nich” i o „nas”. Jestem tak samo czarna, w dodatku urodziłam się kobietą i jeszcze do tego Portorykanką, więc jeśli chce się pan ze mną licytować, to ani nie czas, ani miejsce na to. Jeśli ma pan coś do powiedzenia, proszę mówić. Jeśli nie, proszę odpowiadać tylko na moje pytania.

- Mój Boże - Randall zwrócił się do Mike'a - ależ ta pani jest ostra, nie?

- Sam tego doświadczyłem.

- No dobrze, detektywie Torres. Przykro mi. Przepraszam. Zgoda?

Tak, usłyszał Zamieszanie, ale już po całym tym zdarzeniu. Nie, nie widział ani nie słyszał nic, co wiązałoby się z samą napaścią. Słyszał, jak ktoś woła: „Zadzwońcie pod 911, co się z wami dzieje, co z was za ludzie?”

Kiedy wyrzwał przez okno, zobaczył stojący autobus, kierowcę autobusu, zobaczył ludzi w oknach po drugiej stronie ulicy. Doszedł do wniosku, że, dziewczyna - którą widział siedzącą pod latarnią - została ranna. Początkowo sądził, że potrafił ją autobus. Potem widział, jak przyjechała policja, następnie karetka, i zobaczył tych wszystkich ludzi na ulicy.

- I nie zszedł pan na dół? Nie wyszedł pan na ulicę?

- Niech się pani na mnie nie złości, detektywie Torres, ale co też pani mówi. Jestem jedynym czarnym mieszkańcem Barclay Street. Podnajmuję to mieszkanie od znajomego, który przeniósł się

na wybrzeże. Moje pojawienie się tutaj wzbudziło ogromne zainteresowanie i wyobrażam sobie, że kiedy się stąd wyniosę, wywoła ogromną ulgę. No, ale ja tylko przychodzę, wychodzę i zajmuję się wyłącznie własnymi sprawami.

- Nie był pan nawet ciekaw, co tu się wydarzyło? - zapytał go Stein.

140

- Owszem, byłem. Ale żeby jakoś szczególnie, to nie. Nie na tyle w każdym razie, żeby mi się chciało wyjść na ulicę i wmieszać w tłum sąsiadów. Chyba nie mówicie poważnie. Biorąc pod uwagę tych wszystkich policjantów i policjantki, mundurowych i po cywilnemu. Jestem głęboko przekonany, że moja obecność tam na dole, na tej śnieżnobiałej ulicy, sama moja obecność wywołałaby nieodpowiednią reakcję. Zmarnowano by mnóstwo czasu sprawdzając, kim jestem. Widzicie państwo, jak bardzo myślę o innych.

- Więc po co było to całe przedstawienie, panie Randall, kiedy tu przyszliśmy? Skoro nie nfa pan nic do powiedzenia. Żadnej informacji?

George Randall był mężczyzną o bardzo ciemnym odcieniu skóry i o dużych, wyrazistych oczach. Prawie się nie uśmiechał, ale sprawiał wrażenie kogoś ciepłego i wesołego, nawet tolerancyjnego. Rozłożył ręce.

- Kiedy do moich drzwi puka ktoś, pokazując mi odznakę oficera policji, a jeszcze przychodzi w towarzystwie znanego dziennikarza z magnetofonem, to czego się pan spodziewa, panie Stein? Czytam regularnie pańskie felietony. Nie mam najmniejszej ochoty na to, by stać się przedmiotem pańskich transpozycji, w jakikolwiek sposób, w jakimkolwiek kształcie czy formie. - Zwrócił się do Mirandy. - Dowiedziałem się o tym, co się stało od sąsiada, pewnego starszego pana, którego spotkałem na korytarzu w czwartek rano. Nazywa się Klein, parter. To Żyd, ale bardzo miły człowiek. - Randall roześmiał się. - Panie Stein, to miał być żart. Bo widzi pan, kiedy się tu sprowadziłem, tylko on jeden odzywał się do mnie. Inni czuli się zażenowani, pewnie sądzili, że jeśli będą mnie ignorować, to się stąd wyniosę. Natomiast pan Klein był bardzo miły. Powiedział mi, że rozmawiał o mnie ze swoją żoną, i tak to ujął: „Powiedziałem jej, panie Randall, że wprawdzie jest pan czarny, ale bardzo miły z pana człowiek”.

141

Zrobili sobie przerwę na kawę i dopiero wtedy Mike zapytał:

- Mirando, skąd, u licha, miałas te wszystkie informacje na temat Randalla? Jak się dowiedziałas, że robi magisterium i że uczy w szkole średniej w Forest Hills?

Miranda uśmiechnęła się.

- No więc, panie Stein, zanim pan tu przyjechał, rozmawiałam z sąsiadem pana Randalla. Z pewnym starszym panem o nazwisku Klein. To Żyd, ale bardzo miły człowiek.

XVII

•

Po długim dniu, przed powrotem do domu Miranda postanowiła pojechać jeszcze na Inverness Street, w myśl zasady co-mi-to-do-licha-szkodzi. Przed domem Carlosa Gal veza stała cała kolekcja dużych samochodów. Przejechała obok domu, znalazła miejsce do parkowania, pomyślała chwilę, po czym, już pieszo, przemierzyła drogę powrotną aż do drzwi jego domu.

Od momentu gdy drzwi się otworzyły, Miranda wiedziała, że coś jest nie tak. Carlos Qalvez był za wielki, pod każdym względem, w stosunku do swego otoczenia. Bardzo dokładnie sprawdził jej dokumenty, spojrzął na zdjęcie w legitymacji, po czym szybko i z dużą wprawą otaksował ją wzrokiem, od stóp do głowy. Nic nie uszło jego uwagi. Aczkolwiek niechętnie, pozwolił jednak Mirandzie wejść do swego domu, do swego dominium.

Atmosfera dobrze zagospodarowanego bogactwa ciążyła nad małym, sześciopokojowym szeregowcem o wnętrzu urządzonym w stylu pseudoelżbietańskim. Perski dywan był prawdziwy; wyraźnie wyczuwało się tu nie tylko właściwie wydatkowane pieniądze, ale i wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo. Emanował nim ten mężczyzna.

Był wysoki, ciężkiej budowy ciała, choć bez śladu tłuszcz-

142

czu. Jego duża, łysiejąca głowa była zadbana, fryzura starannie wymodelowana, podobnie jak gęste

czarne wąsy, które zdominowałyby twarz mężczyzny o mniejszej posturze. Oczy Galveza, czarne, ogromne i nieruchome, przywarły do Mirandy i taksowały ją, zadając kłam wyrażanym przez niego uprzejmościom.

- W czym mógłbym pani pomóc, detektywie Torres?

Zaczęła mówić, lecz jej przerwał. Dwoje dzieci w wieku szkolnym, chłopiec i dziewczynka, wyszło z jadalni znajdującej się w głębi domu. Były to piękne dzieci, promieniejące, o mocnych, a mimo to delikatnych twarzach. Miały czarne oczy ojca i były dobrze ułożone.

- Tak? - zapytał je miękko.

Odezwała się dziewczynka. Chłopiec obojętnie przyglądał się Mirandzie. (

- Tato, mama pozwoliła nam wstać od stołu. Czy teraz posłuchasz z nami muzyki? Płyty są już przygotowane.

Wyciągnął do niej zadbaną dłoń. Na jego palcach błyszcząły brylanty; jedyne, co było w nim wulgarnie.

- Później. Wkrótce. Idźcie już. Tata niedługo do was przyjdzie, dobrze?

Pogłaskał dziewczynkę po głowie, potem chłopca. Na jego twarzy malowały się czułość i miłość, a dzieci zares-ago wały bardzo przymilnie. Przywykły do dobrego traktowania, miłości, grzecznego zachowania. W pokoju wyczuwało się jego cięży autorytet.

- A więc? - Zwrócił się do Mirandy i wspaniałomyślnym gestem zaproponował jej krzesło. - Kawy? Napije się pani czegoś, może aperitif?

- Dziękuję, señor, nie. Przepraszam, zdaje się, że oderwałam pana od kolacji.

To nieważne; wszystko w porządku. Piękna, wysoka, szczupła i elegancka kobieta zawahała się i nie weszła do pokoju, póki nie skinął przyzwalająco głową.

- To nic ważnego - powiedział do niej miękko. - Idź do malców. Przygotowują się do słuchania muzyki. Wkrótce do nich przyjdę.

143

r-

Skinąwszy nieznacznie głową bezszelestnie wyszła z pokoju, pozostawiając za sobą jakiś egzotyczny zapach, subtelny, ledwie wyczuwalny, najwyraźniej kosztowny.

Mała, ciemnoskóra kobieta, ubrana w srebrno-czarny strój pokojówki, prędko i sprawnie, nie podnosząc ani twarzy, ani wzroku, zaciągnęła lekkie rozsuwane drzwi, znajdujące się w przejściu o łukowatym sklepieniu i oddzielające mały salonik od jeszcze mniejszej jadalni.

Żadna z tych osób - ani ten kosztownie ubrany mężczyzna, ani kobieta, ani dzieci, ani pokojówka - nie pasowała do swego otoczenia. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy znaleźli się tutaj przez pomyłkę.

- Wspomniała pani o mojej kuzynce, Arabelli Vidales? Czy można wiedzieć dlaczego? >

- Tb rutynowe postępowanie, proszę pana. W zeszłą środę w nocy na Barclay Street została zamordowana młoda kobieta. Okna mieszkania pańskiej kuzynki wychodzą na tę ulicę. W tym czasie miała akurat przerwę w lotach. Mam za zadanie przesłuchać każdego, każdą osobę, która zajmuje mieszkanie od ulicy.

- I nie przesłuchiwała pani mojej kuzynki? Nie udało się pani z nią skontaktować? Niech więc pani spróbuje jeszcze raz. Czy nie tak zwykle się robi?

- Tak. Właśnie tak. Ale widzi pan, wygląda na to, że Arabella Vidales jest... nieosiągalna»

- Co pani przez to rozumie? - W jego tonie zabrzmiał rozkaz; był to mężczyzna przywykły do stawiania żądań. Ani na chwilę nie spuszczał z jej twarzy ciemnych, wilgotnych oczu, aby nie uronić najmniejszego poruszenia jej ust, najmniejszego drgnienia rzęs. Miranda miała wrażenie, że to on ją przesłuchuje.

Wyjaśniła wszystko pokrótce, mówiąc o rozmowie z innymi stewardesami w Parker Towers.

Powiedziała mu też, że rozmawiała z Marią Vidales.

- A dlaczego to panią aż tak interesuje, detektywie Torres? Że Maria niepokoi się o swoją siostrę. A cóż to ma wspólnego z pani dochodzeniem?

Skinąwszy nieznacznie głową bezszelestnie wyszła z pokoju, pozostawiając za sobą jakiś egzotyczny zapach, subtelny, ledwie wyczuwalny, najwyraźniej kosztowny

Mała, ciemnoskóra kobieta, ubrana w srebrno-czarny strój pokojówki, prędko i sprawnie, nie podnosząc ani twarzy, ani wzroku, zaciągnęła lekkie rozsuwane drzwi, znajdujące się w przejściu o łukowatym sklepieniu i oddzielające mały salonik od jeszcze mniejszej jadalni.

Żadna z tych osób - ani ten kosztownie ubrany mężczyzna, ani kobieta, ani dzieci, ani pokojówka - nie pasowała do swego otoczenia. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy znaleźli się tutaj przez pomyłkę.

- Wspomniała pani o mojej kuzynce, Arabelli Vidales? Czy można wiedzieć dlaczego? >

- To rutynowe postępowanie, proszę pana. W zeszłą środę w nocy na Barclay Street została zamordowana młoda kobieta. Okna mieszkania pańskiej kuzynki wychodzą na tę ulicę. W tym czasie miała akurat przerwę w lotach. Mam za zadanie przesłuchać każdego, każdą osobę, która zajmuje mieszkanie od ulicy.

- I nie przesłuchiwała pani mojej kuzynki? Nie udało się pani z nią skontaktować? Niech więc pani spróbuje jeszcze raz. Czy nie tak zwykle się robi?

- Tak. Właśnie tak. Ale widzi pan, wygląda na to, że Arabella Vidales jest... nieosiągalna;

- Co pani przez to rozumie? - W jego tonie zabrzmiał rozkaz; był to mężczyzna przywykły do stawiania żądań. Ani na chwilę nie spuszczał z jej twarzy ciemnych, wilgotnych oczu, aby nie uronić najmniejszego poruszenia jej ust, najmniejszego drgnienia rzęs. Miranda miała wrażenie, że to on ją przesłuchuje.

Wyjaśniła wszystko pokrótce, mówiąc o rozmowie z innymi stewardesami w Parker Towers.

Powiedziała mu też, że rozmawiała z Marią Vidales.

- A dlaczego to panią aż tak interesuje, detektywie Torres? Że Maria niepokoi się o swoją siostrę. A cóż to ma wspólnego z pani dochodzeniem?

144

Wymówił z naciskiem dwa ostatnie słowa, podkreślając ich specjalne znaczenie, którego nie potrafiła zrazu odcyfrować. Zdawała sobie jedynie sprawę, jak bardzo nieswojo się czuje, i że jej gospodarz jest tego świadom. Chyba na taką właśnie reakcję liczył.

Miranda wzruszyła ramionami. Zwolniła trochę. Zaczęła przerzucać kartki notatnika. Wykorzystała tę chwilę, by się uspokoić. Nie chciała dać po sobie poznać, jak bardzo czuje się onieśmielona.

Lecz on oczywiście był w pełni świadomy, jak bardzo ją onieśmiela.

- Arabella Vidales miała się stawić w pracy w sobotę o dziewiątej rano. Nie pojawiła się, nie zadzwoniła. Podobnie jej koleżanka. To oczywiście nie moja sprawa, ale skoro jej młodsza siostra wyraziła pewne obawy i skoro mam ją i tak przesłuchać, powiedziałam jej siostrze, że postaram się ją odnaleźć. Jeśli nie wie pan, gdzie ona się znajduje, to przepraszam, że zabrałam panu tyle czasu. - Wstając Miranda poczuła nagle, że kręci jej się w głowie i ogarnął ją strach.

Carlos Galvez również się podniósł; nie wypadła przecież, żeby dżentelmen siedział, kiedy kobieta stoi. Wydawał się ją okrążyć, osaczać swoją fizyczną obecnością. Miranda czuła jego bliskość, mimo że nie przysunął się do niej nawet o krok. Ten mężczyzna roztaczał jakąś szczególną aurę, po części erotyczną, po części spowodowaną czymś jeszcze, co nie dawało się natychmiast określić.

Było to coś więcej niż stwarzanie zagrożenia.

Władza. To ona właśnie dominowała w tym pokoju. Carlos Galvez nie dawał się pomieścić w tym małym pokoju, wypełnionym rzadkimi i prawdziwymi skarbami. Przebywał tu jedynie chwilowo, dokładnie wygładzając kłapy swego garnituru, który był wart sześćset dolarów, czując się bezpiecznie ze świadomością, że jego żona i dzieci znajdują się pod jego dachem, w granicach jego dominium.

Początkowe wrażenie, że coś tu jest zdecydowanie nie

145

tak, potwierdzał dodatkowo wyraz twarzy Galveza. Uśmiechały się jego usta, podczas gdy wielkie, wszystko wiedzące oczy, zupełnie nieruchome, nigdy się nie uśmiechały Miranda miała wrażenie,

że trzyma ją swymi wielkimi mocnymi rękoma, nie pozwalając jej zrobić ruchu. Oczywiście, w ogóle jej nie dotknął. Panował nad nią swymi oczyma i głosem.

- Bardzo to miło z pani strony, że troszczy się pani o los mojej kuzynki Arabelli. Jestem pewien, że ma się dobrze i że stawi się na najbliższy lot. To bardzo bezmyślnie z jej strony, że przysporzyła trosk młodszej siostrze.

Jego słowa brzmiały niewinnie. Żadnej groźby, nawet śladu niezadowolenia czy złości. Prawdziwe ich znaczenie zawarte było w tonie, intonacji, w sposobie akcentowania niektórych słów. Jego kontrolowana wściekłość osaczała Mirandę.

Mówiąc do niej, przesuwał się w stronę drzwi, w ten sposób wyprowadzając Mirandę ze swego domu, umiejętnie i grzecznie.

- Cóż. Dziękuję panu bardzo za okazaną mi uprzejmość. I jeszcze raz przepraszam, że oderwałam pana od kolacji.

Jej zachowanie, słowa, jej głos zdradzały szacunek. Wydawało się, że on nie tylko się go domaga, ale także spodziewa. Miranda reagowała automatycznie i bez zastanowienia.

Wiedziała, że Galvez ją obserwuje, kiedy szła przez mały dziedziniec wąską wybetonowaną ścieżką prowadzącą do chodnika. Mimowolnie zanotowała w pamięci zaparkowane przed domem samochody - czarnego mercedesa, stojącego za nim lincolna continentalą, i wreszcie czarnego cadillaca. Wiedziała, że należą do Galveza, a nie do jego sąsiadów, choć nie miała pojęcia, skąd to wie.

Wiedziała, że przestał ją obserwować, kiedy usiadła za kierownicą swej małej niebieskiej hondy. Już go więcej nie interesowała. Przestała cokolwiek znaczyć w jego życiu.

146

Miranda wyciągnęła na chwilę ręce przed siebie, rozstawiając palce dłoni. Nie zdziwiło jej ich drżenie. Kilka głębokich wdechów - i ponownie przejęła nad sobą kontrolę. W ustach czuła suchość i nadal lekko kręciło jej się w głowie. Nie miała pojęcia, w co się właśnie wpakowała, co się kryje za tym małym, nie rzucającym się w oczy frontonem segmentu przy Inverness Street.

Zapisała numery rejestracyjne trzech samochodów stojących przed domem.

Miała nadzieję, że Carlos Galvez tego nie zauważył.

XVIII

Miranda przygotowała dla Mike'a Steina starannie przepisana na maszynie i spiętą zszywkami kopię notatek ze swojej rozmowy z Marią Vidales. On natomiast wręczył jej zapis swojej rozmowy z Johnem Rolofskim, który niedawno wyemigrował ze Związku Radzieckiego i mieszkał obecnie na Barclay Street.

- W całym moim życiu - powiedział Mike - nie widziałem chudszeo człowieka. Można się pokaleczyć o jego kości. Facet ma ponad sześć stóp wzrostu, a waży tylko sto dwadzieścia funtów. Miranda skinęła głową, przeglądając pobieżnie jego raport.

- Jest chyba bardzo przestraszony, sądząc po tym, co miał do powiedzenia.

- Zobacz ostatnie zdanie - powiedział Mike. - Biedny drań. Jego to akurat mi żal.

Pochylił się nad Mirandą i odczytał słowa:

- Postąpiłem więc tak jak Amerykanie. Stałem i patrzyłem. I nic nie zrobiłem.

Usłyszał wrzaski i krzyki dochodzące z ulicy pod oknami jego mieszkania. Starł się skontaktować ze swoim kuzynem, który przez prawie cztery lata zdręczał De-

147

partament Stanu, żeby go w końcu sprowadzić do Ameryki, ale nie zdołał go znaleźć. W końcu zszedł na dół na ulicę, stanął w cieniu i obserwował czekając, aż ktoś się pojawi, by pomóc tej dziewczynie. Nikt się nie pojawił. Wrócił więc na górę do swego mieszkania.

- Ten facet śmiertelnie się boi z kimkolwiek rozma- • wiać. Najwyraźniej już go przesłuchiwał jakiś mundurowy, a jego kuzyn — Rolofsky jest mechanikiem i pracuje u swego kuzyna na stacji obsługi samochodów przy Metropolitan Avenue - ten kuzyn mówi, że facet prawie stracił wtedy przytomność. Mundur to musi być coś strasznego dla kogoś takiego jak on. »

- „A więc postąpiłem tak jak Amerykanie. Stałem i patrzyłem. I nic nie zrobiłem”. - Miranda ponownie przeczytała te słowa powoli i cicho, po czym spojrzała na Mike'a. - Tak. To smutne.

Sądzę, że ten człowiek by jej pomógł, gdyby nie jego własne doświadczenia w przeszłości.

- No tak, ale nie zapominaj o jednym. Znał numer 911. Powiedział mi, że go zna, ale bał się zadzwonić.

Miranda przez chwilę przyglądała mu się badawczo.

- Czy jesteś w stanie zrozumieć te jego opory?

Mike skinął głową.

- Zrozumieć, tak, może. Przyjąć-je jako usprawiedliwienie wiedząc, że ta dziewczyna siedziała tam, wykrwawiając się na śmierć? Absolutnie nie. No, miła pani, czas już chyba na tego faceta, Harry'ego Lamonta?

Miranda nie wspominała w raporcie o swoich wrażeniach, bo nie były to istotne informacje z policyjnego punktu widzenia: że Maria Vidales jest bardzo wystraszona, że nie może odnaleźć swojej siostry Arabelli, która chyba zaginęła wraz z inną pracującą z nią razem stewardesą, Christine Valapo. Nie napisała też o drżących dłoniach, pobladłej twarzy, o nasilającym się bólu brzucha, o oznakach przerażenia. Żadna z tych informacji nie miała związku ze sprawą.

Miranda nie sporządziła specjalnego raportu o swej wizycie u Carlosa Galveza. Ona również nie miała związku

148

ze sprawą. Zrobiła jednak kilka notatek, które zachowała dla siebie.

W pewnej chwili przemknęło jej przez myśl, żeby porozmawiać z Mike'iem, opowiedzieć mu o tej wizycie. Opowiedzieć mu, jak bardzo przerażona była Maria, jak zawołała za Mirandą: „Niech pani zapomni, co powiedziałam o kuzynie Carlosie. Proszę”. Intuicja podpowiedziała jej, słusznie czy nie, żeby zachować tę informację dla siebie. Czuła, że dobrze by było pogadać o wszystkim ze swoim kolegą. Ale Dunphy akurat przebywał gdzieś z ludźmi z wydziału zabójstw, sprawdzając kilka najnowszych zeznań jakichś wariatów, a oprócz niego nie znała nikogo takiego, z kim mogłaby omówić tę sprawę. Na razie Miranda postanowiła nie dzielić się z nikim swoimi wrażeniami. Nie dotyczyły bezpośrednio prowadzonego śledztwa. Sprawy rodzinne. Może. Sklep Harry'ego Lamonta przy Austin Street wciśnięty był w wąską przestrzeń między sklepem z meblami, o dużej, atrakcyjnej witrynie, a biurem podróży, z wielkimi plakatami w jaskrawych kolorach. Wąskie wejście wprowadzało w błąd. Wewnątrz sklep zdawał się poszerzać. Przestrzeń wykorzystano bardzo rozsądnie: po jednej stronie stały podwójne obrotowe stelaże z bluzkami, spódnicami, spodniami i żakietami, nad którymi widniał napis: DLA WAS, PANIENKI! ozdobiony rysunkiem postaci kobiecej o wypukłych kształtach. Po drugiej stronie ustawiono podobne stelaże: DLA WAS, CHŁOPAKI! - z przerysowanym, muskularnym męskim torsem. Pośrodku sklepu znajdowały się ubrania dla obu płci. Umieszczony nad nimi napis głosił: DLA PANIENEK DLA CHŁOPAKÓW, BEZ RÓŻNIC!

Był atrakcyjnym mężczyzną po czterdziestce. Kiedy przeczesywał dłońią gęste, czarne, dobrze ostrzyżone włosy, błysnął różowym światłem brylantowy sygnet, by natychmiast zniknąć w zdrowej, czystej czuprynie. Miał mocną opaleniznę, którą Mike Stein określał jako całoro-

149

czny-pobyt-w-Miami i oczy hazardzisty: szybkie i podejrzliwe, zwężone i przenikliwe.

- Jak już panu mówiłem przez telefon, panie Stein, daję panu piętnaście minut, potem zamykam. Co za dzień! Mówię wam, moje towary chodzą. Biegają. Wiecie, powinienem zdjąć te napisy dla pańienek i chłopaków, i wyrzucić je w diabły. Teraz wszyscy noszą to samo. Nawet bieliznę. Nie sprzedaję tu bielizny, ale czytam ogłoszenia. Powariowali wszyscy, nie? - Pospiesznie obejrzał Mirandę, od stóp po głowę. - Dla pani mam strój pierwsza klasa. Zielony to pani kolor. Wiem, wiem, nie przyszła tu pani na zakupy. Ale przy innej okazji niech tu pani znowu wstąpi, mam coś w sam raz dla pani. Ubijemy interes, będzie pani chodzącą reklamą mojego sklepu. No to jak? Zgodna? Co chcecie wiedzieć?

Miranda wyjęła z dużej torby na ramię teczkę z papierami, po czym wręczyła mu jego zeznanie spisane na maszynie.

- Będąc ostatnio u nas w biurze, nie miał pan czasu tego przeczytać i podpisać. Czy mógłby pan zrobić to teraz?

Niecierpliwie wyciągnął rękę.

- Proszę o długopis, zaraz podpiszę. To wszystko? I po to zamknąłem sklep pół godziny wcześniej?

- Panie Lamont, uważam, że powinien pan to dokładnie przeczytać, zanim pan podpisze. To pańskie zeznanie.

- Zaraz - zwrócił się do Mirandy - nie rozumiem, dlaczego miałbym sądzić, że gliniarz, z którym rozmawiałem, spisał to swoimi słowami. No więc dobrze, nie będę pani denerwował. Potrafię szybko czytać. Zobaczcie sami.

Przebiegł wzrokiem dwie strony maszynopisu. Spojrzał na nich, unosząc gęste brwi i uśmiechając się chytrze.

- Jest tu pewien błąd. Mały błąd, pewnie maszynowy. Czy tu mam postawić swoje inicjały? Na dowód, że to przeczytałem, tak? Dobra. Proszę bardzo. A teraz podpis i na tym już koniec, zgoda? - Spojrzał na magnetofon Mikea Steina. - Może go pan położyć na ladzie, jeśli pan
150

chce. Nie mam nic do ukrycia. Cokolwiek powiem, jest do publicznej wiadomości, dla was, dla glin, dla kogokolwiek.

- To tylko takie zabezpieczenie dla mnie samego, panie Lamont. Z czasem słowa się tasują. W ten sposób nie pomieszam jednego zeznania z drugim.

Harry Lamont mieszkał przy Barclay Street pod numerem 10-12, na samym końcu ulicy, okna salonu od frontu, drugie piętro.

- Tak więc to, co widziałem, znajduje się w moim zeznaniu. Słyszałem, jak ta dziewczyna krzyczała, darła się. Słyszałem także męski głos, podniesiony, jakby w kłótni. Potem usłyszałem przerażający skowyt, jakby ktoś coś zrobił psu, rozumiecie?

- Według pańskich zeznań - wtrąciła Miranda - widział pan tego mężczyznę, napastnika, biegnącego w górę Barclay Street, w kierunku kortów tenisowych, a potem zobaczył pan, jak wielki biały samochód, prawdopodobnie cadillac, wyjeżdża zza rogu i zwalnia w pobliżu miejsca, gdzie siedziała pani Grace oparta o latarnię. Czy wiąże pan w jakiś sposób napastnika z tym samochodem?

- Wiąże, na zdrowy rozum. Najpierw facet ucieka, a w kilka sekund później zjawia się ten samochód. Jak już sobie popatrzył, dodaje gazu. O mało nie wjechał na autobus. Tego nie był w jego zeznaniu.

- W jakim kierunku jechał autobus?

Autobus jechał w stronę Metropolitan Avenue. Nie, kierowca się nie zatrzymał, dopiero przy znaku stop na rogu ulicy, po czym skręcił i zniknął. Dzięki tej informacji kierowca autobusu stawał się świadkiem obecnym na miejscu zbrodni; zostawił krzyczącą ofiarę, by kontynuować swój kurs, zgodnie z rozkładem jazdy.

- Niech mi pan powie, panie Lamont... - odezwał się Mike Stein.

Harry Lamont oparł się o półkę z kolorowymi koszulkami i bawełnianymi bluzami. W różowej koszuli i jasno-

151

żółtych spodniach wyglądał elegancko i ładnie. Przypominał kubek tęczowych lodów.

- Nie, nie, panie Stein. Nic panu nie powiem. Nic więcej ponad to, co już powiedziałem. Teraz tutaj i składając zeznanie wczoraj rano. Nie mam już nic więcej do powiedzenia. To wszystko, kropka. Ma pan to nagrane.

- Jest jeszcze jedno pytanie, na które chciałbym usłyszeć pańską odpowiedź. Ciekawi mnie jedna rzecz.

Lamont odsunął się od regału i oparł ręce na biodrach. Lekko pochylił się do przodu, przyjmując agresywną i wrogą postawę.

- Czy to, o co pan wszystkich pyta? I po to się pan dobija do wszystkich drzwi, chodząc z jednego końca Barclay Street na drugi? „Dlaczego nie zadzwonił pan pod 911? Dlaczego nie zadzwoniła pani pod 911?” Czy to pytanie stanęło panu kością w gardle, panie Stein? Niech się pan lepiej skupi na tym draniu, co załatwił dziewczynę. Niech pan nie wykręca kota ogonem. Czepia się

pan ludzi, moich sąsiadów i znajomych, jakby to oni popełnili jakąś zbrodnię. Tak, popełniono straszną zbrodnię. Faktycznie, tylko w tym roku zamordowano cztery kobiety w Queens, prawda, detektywie Torres?" Tak pan rozmawia z tymi ludźmi, jakby to oni byli odpowiedzialni za to, co się stało. Dlaczego nie dobierze pan się do dupy glinom? Dlaczego nie napisze pan kilku artykułów o tym, gdzie, do cholery, jest policja i jak to się dzieje, że pozwalają na takie rzeczy?

- Ale pan nie odpowiedział na moje pytanie, prawda, panie Lamont? Dlaczego nie zadzwonił pan pod 911 i nie sprowadził pomocy, która uratowałaby tej dziewczynie życie?

- Bo nie zadzwoniłem. I kropka. Bez żadnego straszliwie pokrętnego i głębokiego powodu; to nie przestępstwo. Po prostu nie zadzwoniłem. I nie twierdzę, że powinienem był zadzwonić.

Mówię, tylko, nie zadzwoniłem pod numer 911. - Zrobił pauzę, poczekał na efekt i dodał niskim głosem: - I nikt inny też nie zadzwonił.

152

żółtych spodniach wyglądał elegancko i ładnie. Przypominał kubek tęczy lodów.

- Nie, nie, panie Stein. Nic panu nie powiem. Nic więcej ponad to, co już powiedziałem. Teraz tutaj i składając zeznanie wczoraj rano. Nie mam już nic więcej do powiedzenia. To wszystko, kropka. Ma pan to nagrane.

- Jest jeszcze jedno pytanie, na które chciałbym usłyszeć pańską odpowiedź. Ciekawi mnie jedna rzecz.

Lamont odsunął się od regału i oparł ręce na biodrach. Lekko pochylił się do przodu, przyjmując agresywną i wrogą postawę.

- Czy to, o co pan wszystkich pyta? I po to się pan dobija do wszystkich drzwi, chodząc z jednego końca Barclay Street na drugi? „Dlaczego nie zadzwonił pan pod 911? Dlaczego nie zadzwoniła pani pod 911?” Czy to pytanie stanęło panu kością w gardle, panie Stein? Niech się pan lepiej skupi na tym draniu, co załatwił dziewczynę. Niech pan nie wykręca kota ogonem. Czepia się pan ludzi, moich sąsiadów i znajomych, jakby to oni popełnili jakąś zbrodnię. Tak, popełniono straszną zbrodnię. Faktycznie, tylko w tym roku zamordowano cztery kobiety w Queens, prawda, detektywie Torres?" Tak pan rozmawia z tymi ludźmi, jakby to oni byli odpowiedzialni za to, co się stało. Dlaczego nie dobierze pan się do dupy glinom? Dlaczego nie napisze pan kilku artykułów o tym, gdzie, do cholery, jest policja i jak to się dzieje, że pozwalają na takie rzeczy?

- Ale pan nie odpowiedział na moje pytanie, prawda, panie Lamont? Dlaczego nie zadzwonił pan pod 911 i nie sprowadził pomocy, która uratowałaby tej dziewczynie życie?

- Bo nie zadzwoniłem. I kropka. Bez żadnego straszliwie pokrętnego i głębokiego powodu; to nie przestępstwo. Po prostu nie zadzwoniłem. I nie twierdzę, że powinienem był zadzwonić.

Mówię, tylko, nie zadzwoniłem pod numer 911. — Zrobił pauzę, poczekał na efekt i dodał niskim głosem: - I nikt inny też nie zadzwonił.

152

- Czy to pańskim zdaniem w porządku, panie Lamont?

- Słuchaj no, Stein. Czytam pańskie felietony i zgadzam się z panem w stu procentach, kiedy pisze pan o tych wszystkich łobuzach i innych skurwielach pętających się po mieście. Że politycy nic o tym nie chcą wiedzieć, no, chyba że akurat zbliżają się wybory. Także kiedy bierze pan na muszkę sędziów, którzy odstawiają nieprawdopodobne numery, gdy idzie o zwolnienia za kaucją. Kiedy nazywa pan rzeczy po imieniu i wyciąga je na światło dzienne. Chciałbym, żeby więcej dziennikarzy miało pańską odwagę. Ale mam wrażenie, że w tej sprawie podąża pan w zupełnie innym kierunku. Czuję to w środku, że schodzisz pan na manowce, że używasz pan sobie na ludziach, którzy mieszkają przy Barclay Street. Powiem panu, że mieszkam na tej ulicy od dwudziestu czterech lat i trudno o lepszych, uczciwiej pracujących i porządniejszych ludzi, więc czemu pan sobie tego wszystkiego nie przemyśli, panie Stein, zanim ostatecznie zgubi pan trop i zacznie wytykać palcami niewinnych.

- Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że ofiara, Anna Grace, wykrwawiła się na śmierć? Że została pocięta nożem, że krwawiła siedząc oparta o latarnię, wykrwawiając się na śmierć? Karetka pogotowia znalazłaby się na miejscu w ciągu trzech do pięciu minut; ta kobieta miałaby szansę przeżyć. Ale nikt nie zadzwonił pod 911. Ona siedziała dosłownie na oczach was wszystkich,

wykrwawiając się na śmierć, a wyście wszyscy się temu przyglądali. I pan nie ma żadnej odpowiedzi? Żadnych wyjaśnień, żadnego wytłumaczenia? Żadnego usprawiedliwienia? Lamont opuścił ręce i pochylił głowę, jak byk gotujący się do ataku. Poruszył muskularnymi ramionami i pochylił się w stronę Mike'a.

- Słuchaj no, ty, wcale nie muszę się usprawiedliwiać, ani przed tobą, ani przed nią, przed nikim. Jestem kupcem cieszącym się szacunkiem w Forest Hills, płacę po-

153

datki, zatrudniam jako sprzedawców przedstawiciele mniejszości, prowadzę uczciwe życie. Podobnie jak wszyscy moi sąsiedzi. Idź sobie gdzie indziej i tam poszperaj. Jezu, myślałem, że skoro mamy tyle łobuzów i obiboków, to wystarczy ci tematów do pisania na najbliższe tysiąc lat. I co ty właściwie sobie myślisz, krzywdząc porządnych ludzi tymi swoimi głupotami? '

- Żadnego poczucia winy, panie Lamont? Żadnych wyrzutów sumienia? Żadnych przemyśleń?

- Wynoś się z mojego sklepu, Stein! Nie mam ci nic do powiedzenia. - I zwracając się do Mirandy: - Ma pani moje oficjalne zeznanie. Czy chce mi pani jeszcze coś powiedzieć?

- Nic, zupełnie nic, panie Lamont - odrzekła Miranda.

- Dobra. To spadajcie stąd. Oboje. - Kiedy doszli do drzwi, które były zamknięte, włączył automat. Krzyknął za nimi: - Słuchaj no, Stein. I pani niech też zapamięta. Ani jeden mieszkaniec Barclay Street nie ma sobie nic do zarzucenia. Zapamiętajcie to sobie!

XIX

Drżący głos należał do Elliota Wassermana, drugiego rozmówcy zarejestrowanego przez automatyczną sekretarkę Mike'a Steina:

- Muszę otrzymać pańskie zapewnienie, panie Stein, że będzie to poufna rozmowa, tylko między panem a mną, i... że zostanie zachowana w tajemnicy.

Chłopak studiował na Uniwersytecie Nowojorskim i twierdził, że ma do przekazania coś bardzo cennego, nie tylko panu Steinowi, ale także innym pracownikom środków masowego przekazu. Chce się jednak widzieć najpierw z Mike'em Steinem z powodów, które mu wyluszczy w czasie spotkania.

Mike wybrał porę i miejsce: dziesiąta wieczór w jego

154

biurze. Wystarczająco oficjalnie, by wystraszyć kogoś, kto i tak wydawał się nieco podenerwowany, z zachowaniem jednak wystarczającej prywatności po zamknięciu drzwi, tak by można w pełni panować nad rozwojem sytuacji. Spodziewał się, że będzie miał do czynienia z wyjątkowo nerwowym facetem.

Nie wyglądał tak, jak tego oczekiwał Mike. Wyobrażał sobie karłowatego, zmanierowanego gówniarza z różnego rodzaju tikami. Tymczasem stał przed nim przystojny, dobrze zbudowany i umięśniony kulturysta. Taki facet, co niby mimochodem rzucił: „Taa, trochę tam ćwiczę”, podczas gdy tak naprawdę spędza ics godzin dziennie, łącznie z weekendami i świętami, wykonując ustaloną liczbę rutynowych ćwiczeń na różnych siłowych maszynach i urządzeniach, które zawsze przypominały Mike'owi średniowieczne narzędzia tortur.

Istniała jednak pewna niespójność pomiędzy fizyczną okazałością a prawdziwym charakterem tego dzieciaka: uścisk jego dłoni był równie wilgotny i słaby jak w czasach, kiedy to chłopaki z sąsiedztwa wykorzystywały go jako dziewięćdziesięciopuntowy worek treningowy.

- Ogromnie doceniam, że poświęca mi pan swój czas, panie Stein. Wiem, jak bardzo jest pan zajęty i w ogóle.

Nazywał się Elliot Wasserman, miał dwadzieścia trzy lata i kończył studia na Uniwersytecie Nowojorskim. Robił magisterium z fotografii dziennikarskiej.

- W porządku, Elliot. W czym rzecz?

- Mówił pan, że ma wideo? Kiedy rozmawialiśmy przez telefon. A tak, widzę. Świetnie.

Chyba jednak najpierw porozmawiamy, co?

- Więc gadaj.

Mike celowo odgrywał gliniarza. Gdy ma się do czynienia z nerwowymi świadkiem, nic lepiej nie

robi, jak lekki szturchaniec od czasu do czasu.

- No dobrze, najpierw może jednak powiem panu coś o sobie, co? Więc tak. Robię studia magisterskie. No i w Village mam pokój. Ale od tygodnia włóczę się po mieście

155

w poszukiwaniu tematów, rozumie pan. Kręcąc to, tamto i owo.

Kiedy mówił, napinał mięśnie barków i ramion. I chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Gdyby to robił dłużej, jego nieco krótkonogie ciało znikłoby, zdominowane aż po kostki masywnymi ramionami. Elliot był całkowicie nieproporcjonalny.

Rodzina Elliota mieszkała w Forest Hills przy Barclay Street. Ładne mieszkanie od frontu; dwie sypialnie wychodzą na podwórze od strony ulicy. Jego rodzice byli akurat w podróży i Elliot mieszkał u nich, karmiąc dwa koty swojej matki. I podlewając kwiaty. To znaczy, te kwiaty, których jeszcze nie zjadły koty.

- No dobrze, Elliot. To o to chodzi? Nakręciłeś film, jak koty zjadają kwiaty i chcesz mi go pokazać? Tak?

Elliot miał twarz dziecka, gładką, przestraszoną, wilgotną twarz bez wyrazu, osadzoną na grubej szyi. Miał błękitne oczy niemowlaka i lekko rozdziawione usta. W końcu jednak wziął się w garść.

- W porządku. Mam to w całości, od początku do końca, a raczej, prawie od początku. Bez samego początku, bo nie zdawałem sobie sprawy... Mogę to zaraz włożyć do odtwarzacza i sam pan zobaczy, dobrze?

- Dobrze.

- Chce pan z moim komentarzem?

- Tak jak to robią w programie Johnny Carsona? Niech będzie, Elliot, z komentarzem.

Wkładając kasetę do odtwarzacza, wciskając przyciski, kiedy zamazane, nieostre obrazy przemykały na ekranie przez kilka pierwszych sekund, Elliot cały czas opowiadał.

- Okay. Widok z okna na pierwszym piętrze, wycho-" dzące na podwórze, ale z widoczną pod kątem ulicą, właściwie z pełnym widokiem ulicy. Teraz dobrze. Dźwięk nie jest taki najgorszy, potem będzie lepszy. Ale zdjęcia są dobre. O tutaj. Niech pan patrzy, teraz. Udało mi się to nakręcić, panie Stein.

156

Rzeczywiście, udało mu się. Była to całkiem niezłe nakręcona taśma. Elliot Wasserman złapał większość z tego, co się wydarzyło.

Pierwsze ujęcia pokazywały walkę: pośrodku ulicy młoda kobieta szamocze się i wrywa. Jej długie czarne włosy wirują wokół głowy, kiedy udaje jej się na chwilę oswobodzić, i powtarza niskim, miękким głosem: „Nie, nie, nie”.

Mężczyzna jest trochę od niej wyższy; ubrany tak, jak go opisywano, w garnitur jasnego koloru.

Widać błysk ostrza, kiedy jego prawa ręka przecina powietrze. Lewą trzyma kobietę, i ciągną się, i przechylają, prawie jak w tańcu, z tym że on wykrzykuje coś do niej głośno po hiszpańsku. Kobieta błaga go: „Nie! Nie! Proszę! Boże! Pomocy! Pomóżcie mi!”

- On do niej mówi: „Ty oszustko! Kurwo! Jeszcze ci -pokażę! Pokażę ci! Złodziejko!” Coś w tym rodzaju. - Głos Elliota stał się cienki i drżący, gdy tłumaczył te słowa.

Mike nie odrywał oczu od ekranu telewizora. Scenariusz został odegrany dokładnie w taki sposób, jak to opisywano. Wydawał mu się znajomy; scena z raczej kiepskiej sztuki odegrana przez amatorów, niezbyt przekonująco.

Mike patrzył zafascynowany, jak młoda kobieta, porzucona przez swego napastnika, idzie środkiem ulicy potykając się, jej głos to podnosi się, to przycicha, pełen rozpacz, desperacji, w końcu przypomina pełne zdziwienia, smutne wołanie. Które pozostaje bez odpowiedzi. Po chwili jakby się pozbierała; opuściła ręce, kierując się w stronę domu, gdzie, jak już teraz wiadomo, mieszka jej matka. Udało jej się dojść zaledwie do chodnika. Stała, podniosła ręce na wysokość czoła, wydaje się, że obiema dłońmi mocno przyciska głowę, potem uginają się pod nią kolana, zsuwa się w dół po latarni i siada, opierając się o nią. Głowa opada jej do przodu i kobieta zamiera w bezruchu i ciszy. Tak sobie po prostu siedzi. Duży biały samochód, chyba cadillac, wyjechał z za rogu, zbliża się do

dziewczyny, mija ją prawie się zatrzymując, po czym przyśpiesza. Jeszcze krótkie ujęcie autobusu; obraz zamazuje się. Koniec taśmy.

- Nie wiedziałem, czy mam kręcić dalej. Chciałem najpierw sprawdzić, co już mam, o ile w ogóle coś. Myślałem, że nic się nie nagrało, wie pan, Boże, to dopiero by było, ale omal nie umarłem, kiedy zobaczyłem, co mam. No, panie Stein? No jak? Co pan o tym myśli? - Jego głos stał się cienki i bardzo wysoki, śmieszny, zwłaszcza że wydobył go z siebie tak krzepki, muskularny mężczyzna.

- Powiedz, co ty o tym myślisz, Elliot? Jak myślisz, co nakręciłeś?

- No, to chyba oczywiste, nie? Mam to, co się naprawdę wydarzyło. Tutaj. Mam to tu. Tak jak było. Najważniejszą część: samo sedno tego spotkania. I samą napaść. Wszystko to rozgrywa się w ciągu mniej więcej sześciu minut. Zanim zacząłem kręcić, usłyszałem krzyki, wrzaski. To właśnie one przyciągnęły mnie do okna. A potem ona tam jeszcze przez jakiś czas siedziała. Ale już dłużej tego nie obserwowałem.

- Dlaczego mnie to przyniosłeś? Dlaczego nie zaniósłeś tego na policję? Bardzo by ich to ucieszyło.

Elliot Wasserman trzymał kasetę w dużej dłoni. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że ją ugniata, ćwicząc, jak mówił, rękę.

Starał się wydobyć z gardła niższy dźwięk; zabrzmiał skrzekliwie:

- Panie Stein, sądzę, że to, co mam, jest bardzo cenne.

- Naprawdę? W jakim sensie: cenne?

- Wyobrażam sobie, że każda sieć telewizyjna byłaby szczęśliwa, mogąc to dostać w swoje ręce. Myślę, że nawet by przebijali cenę.

Mike Stein wstał, zarzucił na ramiona marynarkę i wskazał głową drzwi.

- Świetnie. No, to dobranoc, panie Wasserman.

Elliot wcisnął się mocno w krzesło i odetchnął głęboko.

Postanowił sobie, że nie wstanie i nie ucieknie, choć do-

kładnie na to miał teraz ochotę. Praca nad wyrobieniem sobie czterdziestu funtów mięśni nic nie zmieniła w jego psychice. Pozostał tym samym co dawniej, małym, wystraszonego Elliota.

- A więc, jak pan to widzi, panie Stein?

Mike obrócił się, zamknął drzwi i pochylił się nad Elliota.

- No dobra, operatorze. Kiedy już sprawdziłeś, że się nagrało, jak już się upewniłeś, że masz to, co chciałeś mieć, jak już było po wszystkim, to co pan zrobił, panie Wasserman?

- Co zrobiłem?

- Czy wyszedł pan na ulicę, by sprawdzić, jak można pomóc tej dziewczynie? - Mike machnął ręką w stronę telewizora. - W ostatnim ujęciu wygląda jak ktoś w ogromnych tarapatach. Czy zszedł pan na dół? Dobrze, panie Wasserman. Co pan zrobił? Zadzwoił pan na policję? Wykręcił 911?

Elliot wydał dolną wargę; drżała. Wyglądał na zdruzgotanego; twarz mu się zapadła.

- Słuchaj no pan, panie Stein, czego się pan czepiasz? To ja wyświadczam panu przysługę przychodząc tutaj.

- Czyżby? Więc słucham uważnie, bo chyba nie bardzo nadażam za twoim rozumowaniem.

- Panie Stein. Wiem dobrze, co pan wyczynia. Gadałem z sąsiadami. Wszyscy mnie tam znają na Barclay Street. Dał im pan nieźle popalić, panie Stein. Zaczynają się w sobie zamykać, ci wszyscy świadkowie. Rozmawiają między sobą i zaczynają się trochę bać z powodu tego, co powiedzieli panu i glinom. Różne rzeczy mi mówili.

- No dobrzą. I co z tego?

- Sądziłem, że z moją taśmą o tym, co się wydarzyło, z pańską znajomością rzeczy i tak dalej, my - pan - mamy w garści tego faceta. Dostanie pan wyłączność na tę historię, a potem my - ja - sprzedam tę taśmę temu, kto da więcej. Chodzi o to, mam takie przeczucie, że może pan z tego zrobić prawdziwą bombę. Jak dotąd zupełnie

cicho o tej sprawie, prasa milczy. Chce więc pan napisać jakąś dużą rzecz o moich sąsiadach, co? O „porządnych mieszkańcach” Barclay Street. No dobrze, mam na taśmie wideo, właśnie to, na co ci wszyscy ludzie patrzyli, stali i patrzyli - zabójstwo tej dziewczyny. Dzięki temu pański artykuł będzie miał jeszcze silniejszy efekt, nie?

- Panie Wasserman, efekt moich artykułów wynika z dwóch czynników: treści i sposobu, w jaki opowiadam daną historię. I za to mi właśnie płacą, za mój sposób opowiadania jakiejś historii. Płacą za moje nazwisko, ponieważ wywołuje ono określone oczekiwania. Nie potrzebuję taśmy wideo, by jaśniej ująć to, co opowiadam moim czytelnikom. Moje słowa tworzą obrazy, panie Wasserman. Więc na pana miejscu, zostawiłbym tę kasetę na moim biurku, opuścił to biuro i zapomniał o niej.

- To bardzo dziwna rada i...

- Bo źle pan zaczyna swoją karierę. Nawet biorąc pod uwagę, że kierował się pan instynktem operatora: nakręcił pan materiał - właściwy moment, odpowiedni dźwięk, akcja. Wszystko jak trzeba. Może być. Ale co zrobił pan potem? To jest bardzo istotne pytanie, panie Wasserman. Nic pan nie zrobił. W pana wypadku nie było żadnego ryzyka. Ale pan nie zrobił nic, do cholery, żeby pomóc tej konającej kobiecie. Przyglądał się pan tylko, jak umiera.

Mike przestał mówić.

Widać było, jak krew powoli napływa do twarzy Elliota, barwiąc mu policzki; wokół jego ust powstała szarawa obwódka. Zaczął bardzo szybko mrugać, i otarł wilgotne brwi zewnętrzną stroną swego ogromnego, dobrze umięśnionego przedramienia.

- Niech pan posłucha, panie Stein.

- Nie. To pan niech słucha, panie Wasserman. Jest pan bardzo młody, dopiero u progu swojej kariery. Pańska reakcja, czy brak reakcji, może zamknąć przed panem przyszłość. Można by się o to postarać. Rozumie pan?

Elliot otrząsnął się, wziął się w garść.

- Słyszałem o dziennikarzach, którzy nie przestawali

160

kręcić filmu, kiedy jakiś czubek sam się podpalił. Do licha, nie byli przecież strażakami, byli operatorami i...

- I wyrządzili swej profesji nieodwracalną szkodę. Elliot, posłuchaj, co mówię. Uważnie. Tak, może uda ci się dostać kilka doliczów od jakiejś stacji telewizyjnej. I na tym koniec. Staniesz się znany w całym kraju, od wybrzeża do wybrzeża, nie dlatego, że nakręciłeś ten film, tylko dlatego, że nie zrobiłeś ani jednego kroku, choć było to możliwe, czego nie da się w żaden sposób usprawiedliwić. Kapujesz, mały?

Elliot cały drżał; jego ramiona podskakiwały w jakimś równym rytmie. Co strasznie irytowało Mike'a Steina. Wielkie, niebieskie oczy Elliota były rozbiegane i miał kłopoty z oddychaniem.

- Elliot. Wykonałeś dobrą robotę. Jak na ciebie. Mówię ci dokładnie to samo, co bym powiedział swojemu dzieciakowi. Zniszczysz swoją przyszłość, jeśli będziesz próbował sprzedać tę kasetę. Oddaj mi ją. To sprawa policji i postaram się, żebyś w ogóle nie był w to zamieszany.

- Ale... to jest dowód. I nie ma prawnej wartości beze mnie, osoby, która to wszystko sfilmowała. - Poprzednio Elliot studiował prawo.

- Nie zwracałbym sobie tym głowy, Elliot. - Mike złagodniał, przybrał inny ton. - Wiesz, co ci powiem? Daj mi dzień lub dwa. Pogadam z tym i owym, z ludźmi, których znam; mam znajomości w stacjach telewizyjnych. Zawsze tam szukają młodych, utalentowanych fotoreporterów. Powiem im kilka słów o tobie. Moje słowo naprawdę coś dla nich znaczy, w tym biznesie.

Elliot przełknął ślinę, raz, drugi, potem odetchnął powoli i głęboko.

- Niech pan posłucha, panie Stein. Mogę coś jeszcze dla pana zrobić. Chodzi o to, że ja jestem stąd. Słyszę, o czym gadają ludzie. Wszyscy gadają. I zaczynają się coraz bardziej stawiać, rozumie pan? Wiedzą, że wcześniej czy później ta sprawa wybuchnie, no i zaczynają się tym denerwować. Mówi się o jakimś spotkaniu mieszkańców. No,

wie pan, żeby się naradzić, jak mają się bronić. No... przed panem.

- A ty cieszysz się ich zaufaniem?

Elliot uśmiechnął się. Nikczemnym uśmieszkiem dziesięcioletniego donosiela.

- Wszyscy mnie znają, panie Stein. Oni mówią, ja słucham.

- Więc chcesz się podjąć dla mnie poufnego zadania? Ale bez żadnych zobowiązań, zgoda?

Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Sztama, Elliot?

- No, ale porozmawia pan o mnie z kimś z telewizji. Dobrze?

- I jeszcze jedno - dorzucił od niechcienia Stein. Jakby nie było to wcale ważne. — Jeśli możesz, zrób mi kilka zdjęć swoich sąsiadów, z ukrycia. W tej sprawie na pewno możemy ubić interes.

Elliot Wasserman zamarł. Otrzymał właśnie pierwsze w swym życiu zawodowe zlecenie. Będzie robił zdjęcia dla laureata nagrody Pulitzera. Boże!

Ledwo zamknęły się drzwi za Wassermanem, zadzwonił telefon. Była to Miranda.

- Jestem w biurze, panie Stein.. Jutro rano lecę z moim kolegą na południe do Miami.

Mężczyzna o nazwisku Paul Mera przyznał się do zabójstwa Anny Grace.

- Tak po prostu? Poszedł do glin i się przyznał?

- Nie, nie było aż tak prosto. Wpadł przy okazji obławy na przemytników kokainy. Może na razie gra na czas lub trochę nas zwodzi, ale kto wie? Tak więc detektyw Dunphy i ja lecimy jutro do Miami, o ósmej rano.

- Mirando, czy masz odtwarzacz wideo, Beta lub VHS?

Przez chwilę panowała cisza. Po czym usłyszał:

- Nie.

Zirytowało go, że zawsze próbuje go przetrzymać: Jeśli nie ciągnął tematu, ona sama nigdy go nie podejmowała.

- No dobrze. Czy jedziesz może teraz w stronę swego mieszkania?

- Tak. Powinam się spakować i...

m

Będę u ciebie za godzinę. Muszę ci pokazać pewną taśmę. Przywiozę swój odtwarzacz.

- Dobrze.

- Mirando, czy nie wzbudziłem w tobie ciekawości? Czy nie chcesz wiedzieć, o co chodzi?

- Panie Stein, jestem zmęczona. Mam za sobą bardzo długi dzień. Jutro mam także w planie bardzo długi dzień. I sędzę, że pan o tym wie, więc skoro uważa pan, że muszę koniecznie zobaczyć tę taśmę, to z pewnością jest to coś ważnego. Tak?

- To rzeczywiście ważne. Bardzo. Bardzo ważne. Mam zamiar zrobić ci prezent.

Cisza, a potem:

- Dobrze, zobaczymy się, jak pan przyjedzie.

Odłożyła słuchawkę. Stein pokręcił głową: z irytacją? Z

rozbawieniem? Z irytacją. Z ogromną irytacją. Za chwilę przecież wręczy tej dziewczynie mordercę w akcji. Odłączył odtwarzacz, zwinął kabel. Cholera. Nie zapytał nawet Mirandy, czy ma telewizor. Założył, że ma. Każdy ma telewizor.

No, ale oczywiście Miranda to nie każdy.

XX

Detektyw Dunphy przywykł do posługiwania się milczeniem z rozmysłem. Z reguły wywoływało ono nadmierną gadatliwość osoby, z którą akurat rozmawiał. By wypełnić ciszę. Ale Mirandy Torres nie krępowało milczenie. Była to jedna z jej cech, które denerwowały go na początku ich wspólnej pracy. Dla niego milczenie stanowiło broń i dopiero po pewnym czasie zrozumiał, że w jej wypadku milczenie nie jest próbą, kto silniejszy; taką właśnie miała naturę, że siedziała i słuchała, odzywając się jedynie wtedy, gdy miała coś do powiedzenia.

Zaskoczyło go, kiedy zadzwoniła do niego zaraz po północy.

- Pan Mike Stein właśnie przyniósł taśmę wideo z nagraniem morderstwem z Barclay Street - powiedziała. -Nie chce mi powiedzieć, kto ją nakręcił. Powołuje się na zasadę poufności, zgodną z Pierwszą Poprawką, i sądzę, że ma do tego prawo. Taśma wygląda na autentyczną. -A po chwili; - Nietrudno będzie ustalić ką, pod jakim nakręcono ten film, skąd robiono zdjęcia. Wystarczy przepytąć kilka osób; prawdopodobnie dodatkowe dochodzenie ujawni jakiegoś studenta lub kogoś, kto po amatorsku kręci filmy wideo.

- Dobrze zrobiony?

- O, tak. Powiedziałabym: autentyk. Czy mam zabrać tę taśmę ze sobą do Miami?

Dunphy pomyślał chwilę. Ktoś inny starałby się wypełnić tę chwilę, proponując inne rozwiązania, ale Miranda czekała.

- Gdybym wpadł do ciebie jutro rano, mógłbym ją obejrzeć?

- Tak. Pan Stein zostawił mi odtwarzacz wideo. A więc o której jutro rano, Jim?

Dunphy zjawił się o szóstej. Wypił duszkiem sok pomarańczowy, który mu podała, i popijając gorącą kawę, dwukrotnie obejrzał taśmę.

- Jezu - odezwał się w końcu.

- Tak.

- Chryste.

-Tak.

- Morderstwo na taśmie wideo. Mamy kilka niezłych ujęć tego faceta.

- Tak.

- Wiesz co, Mirando. Czy masz jakieś bezpieczne miejsce, gdzie można by przechować tę taśmę? Nie weźmiemy jej ze sobą do Miami. Niech lepiej zostanie tutaj, zabierzemy ją, jak już obejrzymy sobie tego gościa, Merę.

- Dobrze.

Oboje rozpoznali Paula Merę, gdy tylko go ujrzeli.

Wysłuchali jego zeznania nagranych na taśmę, jedno-

cznie czytając stenogram. Wszystko, co opisywał ten mężczyzna, już wcześniej widzieli. Jego zeznanie mogłoby -posłużyć jako kometaż do filmu wideo o zabójstwie Anny Grace.

Potrzeba było kilku godzin, by dopełnić wszystkich formalności. Służby kryminalne z Miami na Florydzie bez większego entuzjazmu przekazały Paula Merę przedstawicielom wydziału policji miasta Nowy Jork, ale podejrzany nie zgadzał się na ekstradycję. Z uporem przekonywał policję z Miami, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie i o niczym nie ma pojęcia, nic nie jest w stanie powiedzieć na temat jakiegoś tam przemytu kokainy. Właśnie przyjechał w odwiedziny do znajomego, aż tu nagle trzask, prask, wszędzie policia.

- Boję się tych facetów od narkotyków - powiedział Mera. — Nie chcę być w to zamieszany, nie ma mowy, bo ja nic nie wiem o narkotykach, nie używam ich, nie handluję. Nie zadaję się z tymi ludźmi, z nikim takim. Chcę zostać sam ze swoimi myślami. Z moimi własnymi sprawami.

- Dlaczego zabiłeś Annę Grace?

- Mam swoje powody. Mnóstwo własnych powodów.

- Znałeś ją? Była twoją znajomą? Przyjaciółką, kochanką? Czy coś ci zrobiła, czymś cię rozzłościła?

W kwadratowym pokoju przesłuchań Mera przeniósł wzrok z Mirandy na Jima Dunphy'ego, pokręcił głową, wydał z siebie coś w rodzaju warknięcia, wyszeptał coś chrapliwym głosem pełnym złości.

Miranda spojrzała na adwokata z urzędu, młodego prawnika, reprezentującego mniejszość hiszpańskojęzyczną.

- Panie Alvarez, proszę łaskawie powiedzieć swemu klientowi, żeby mówił po angielsku. Jeśli nie czuje się pewnie w angielskim, proszę o powołanie przez sąd tłumacza.

- Ale detektywie Torres, pani rozumie po hiszpańsku i skoro on czuje się pewniej...

165

- Mój kolega, detektyw Dunphy, nie zna hiszpańskiego. Proszę porozmawiać ze swoim klientem. Zrobimy przerwę na kawę. Jeśli pan lub pan Mera będziecie czegoś potrzebowali, dajcie

nam znać.

Spojrzała na Dunphy'ego, który nieznacznie skinął głową.

Mera krzyknął za nimi głośno po angielsku:

- Hej, no i sam widzisz, stary? Pozwalasz jej cały czas gadać w ten sposób, a sam siedzisz i nic nie mówisz, co? Odetną ci jaja, a ty dalej tak będziesz siedział. Chcesz wiedzieć, czemu? Czemu zabiłem tę kobietę, Annę Grace, czy jak jej tam było, do cholery? Bo była kobietą, człowieku. Wszystkie, wszystkie inne też dlatego, że były kobietami. (' 1

Miranda i Dunphy zamarli; patrzyli na Merę.

- Panie Mera, proszę. Jest pan zmęczony i podekscytowany. - Alvarez zwrócił się do detektywów. - Jest zmęczony i podekscytowany. Nie miał chwili należytego odpoczynku, odpowiedniego jedzenia, chciałby wziąć ciepły prysznic, przebrać się, sam nie wie, co mówi i... Miranda usiadła.

- Jakie inne? Jakie inne kobiety zabiłeś tylko dlatego, że były kobietami? , Mera przeszedł na hiszpański; wygłosił długą, gorzką i chaotyczną tyradę przeciwko kobietom. Wszystkie kobiety; wszystkie samice. Opisał, jak je namierzał, co im robił, jak z nimi postępował. Jego adwokat, który nagle postarzał się i zmniejszył, podniósł ręce, chwycił Merę za rękaw, starając się go powstrzymać.

W końcu pan Alvarez, posługując się mieszaniną hiszpańskiego i angielskiego, wrzasnął na swego klienta:

- Na miłość boską, zamknij się. Zamknij się! Ani słowa więcej!

Dunphy uściśnął ramię Mirandy i oboje opuścili pokój.

- Co o tym myślisz? - spytała go.

- Kto to, do cholery, może wiedzieć? Mówię ci, gdyby nie taśma, pewnie bym nie uwierzył temu facetowi. Ma

166

stracha, bo zgarnęli go razem z handlarzami kokainą. Coś za bardzo mu zależy, by trzymać się jak najdalej od narkotyków.

— Może woli być oskarżonym o morderstwo w Nowym Jorku. Nie wie, oczywiście, że mamy tę taśmę. Pewnie uważa, że bierzemy go za wariata, ale że na wszelki wypadek weźmiemy go ze sobą do Nowego Jorku.

Powiedziała Dunphy'emu, jak najlepiej rozegrać tę sprawę: niech Mera sobie myśli, że skutecznie odstawia przed nimi wariata. Niech sądzi, że gra na zwłokę, że to on ich robi w konia.

Dunphy nie zdawał sobie sprawy, jak uważnie przygląda się Mirandzie. Spojrzała na niego wyczekująco.

- A więc?

Dunphy pokręcił głową. Nie. Nic. Tak sobie tylko myśli.

Pomyślał, że odkąd razem pracują, po raz pierwszy uświadomił sobie, jak dobrym detektywem jest Miranda Torres.

XXI

Paul Severo Mera został zarejestrowany w kartotece 112. komisariatu policji w Forest Hills jako morderca Anny Grace. Był trzydziestodwuletnim, nielegalnym imigrantem z Kolumbii.

Utrzymywał, że jest mistrzem kucharskim. Nie był jednak w stanie podać nazw restauracji, w których pracował, czy to w Nowym Jorku, czy w innych miastach, gdzie podobno mieszkał, takich jak Miami, Chicago, Los Angeles, Atlantic City. Wszędzie zatrudniał się tylko na krótki czas. Tak, zawsze jako kucharz.

W 112. komisariacie policji odczuwało się zwiększony ruch. Nieczęsto trafia się morderca, który sam przyznaje się do winy. Rzeczywiście, nigdy dotąd nic podobnego nie zdarzyło się w 112.

komisariacie. Oficer dyżurny miał

167

wrażenie, że co dziesięć, piętnaście minut zjawia się jakaś ważna figura: ktoś z prokuratury okręgowej z Queens, detektywi z wydziału zabójstw, ktoś z biura szefa detektywów.

Stein wyszedł z konferencji prasowej, odbywającej się na parterze, zanim zdołał go przyprzeć do

murów któryś z jego kolegów dziennikarzy. Pomachał ręką w stronę porucznika w dyżurce i wszedł po schodach na pierwsze piętro. Przez otwarte drzwi do pokoju brygady widać było, że wszyscy są czymś zajęci. Miranda Torres rozmawiała właśnie przez telefon. Skinęła Mike'owi głową, nie przerywając notowania.

Mike zajrzał do pokoju przesłuchań przez specjalne okno. Podejrzany siedział tyłem do niego, ale było coś charakterystycznego w ułożeniu jego ramion, w sposobie poruszania rękami. Nagle Mera wstał podniecony i zaczął chodzić po pokoju. Był to na pewno ten sam mężczyzna, którego Mike widział na taśmie wideo. Morderca Anny Grace.

Dwóch mundurowych policjantów, młodych, o gładkich policzkach, podekscytowanych tym, że w końcu biorą udział w czymś serio, w czymś ważnym, prawie że wpadło do pokoju brygady. Jeden z nich, niosący paczkę, podszedł prosto do Mirandy i zaczął rozpakowywać nóż, który znalazł podczas rewizji w mieszkaniu Mery.

- Proszę go nie wyjmować — powiedziała Miranda. — Proszę mi go dać. Czy ostrożnie się pan z nim obchodził zabierając go stamtąd? To bardzo ważny dowód, zdawał pan sobie z tego sprawę, prawda?

Policjant skinął głową; owszem, dotykał noża, ale, zgodnie z jej wskazówkami, w plastikowych rękawiczkach, po czym włożył go w grube plastikowe opakowanie.

- To ten facet, co popełnił to morderstwo, no nie? - zapytał policjant o włosach blond. Był tak wysoki, że musiał się trochę schylić, żeby ogarnąć wzrokiem pokój przesłuchań. - Ten mały gość, prawda? Ten z wąsami?

Miranda pociągnęła go delikatnie za rękaw.

168

wrażenie, że co dziesięć, piętnaście minut zjawia się jakaś ważna figura: ktoś z prokuratury okręgowej z Queens, detektywi z wydziału zabójstw, ktoś z biura szefa detektywów.

Stein wyszedł z konferencji prasowej, odbywającej się na parterze, zanim zdołał go przyprzeć do murów któryś z jego kolegów dziennikarzy. Pomachał ręką w stronę porucznika w dyżurce i wszedł po schodach na pierwsze piętro. Przez otwarte drzwi do pokoju brygady widać było, że wszyscy są czymś zajęci. Miranda Torres rozmawiała właśnie przez telefon. Skinęła Mike'owi głową, nie przerywając notowania.

Mike zajrzał do pokoju przesłuchań przez specjalne okno. Podejrzany siedział tyłem do niego, ale było coś charakterystycznego w ułożeniu jego ramion, w sposobie poruszania rękami. Nagle Mera wstał podniecony i zaczął chodzić po pokoju. Był to na pewno ten sam mężczyzna, którego Mike widział na taśmie wideo. Morderca Anny Grace.

Dwóch mundurowych policjantów, młodych, o gładkich policzkach, podekscytowanych tym, że w końcu biorą udział w czymś serio, w czymś ważnym, prawie że wpadło do pokoju brygady. Jeden z nich, niosący paczkę, podszedł prosto do Mirandy i zaczął rozpakowywać nóż, który znalazł podczas rewizji w mieszkaniu Mery.

- Proszę go nie wyjmować - powiedziała Miranda. - Proszę mi go dać. Czy ostrożnie się pan z nim obchodził zabierając go stamtąd? To bardzo ważny dowód, zdawał pan sobie z tego sprawę, prawda?

Policjant skinął głową; owszem, dotykał noża, ale, zgodnie z jej wskazówkami, w plastikowych rękawiczkach, po czym włożył go w grube plastikowe opakowanie.

- To ten facet, co popełnił to morderstwo, no nie? - zapytał policjant o włosach blond. Był tak wysoki, że musiał się trochę schylić, żeby ogarnąć wzrokiem pokój przesłuchań. - Ten mały gość, prawda? Ten z wąsami?

Miranda pociągnęła go delikatnie za rękaw.

168

*§» A

- Nie, to przedstawiciel prokuratora okręgowego z Queens. Morderca to ten, co siedzi przy stole i je.

- I je? Rany. I co ty na to? Je. Facet zadźgał młodą dziewczynę na śmierć i prosi, zajada

sobie teraz! Jak każdy inny człowiek.

Był całkowicie przytłoczony tym faktem. W swoim życiu widział wielu morderców, no, przynajmniej po jednym w każdym odcinku serialu telewizyjnego o policji, ale ten był prawdziwy. Z krwi i kości.

- Właśnie, po prostu je jak każdy inny człowiek - powiedziała miękko Miranda. - No tak, wykonaliście dobrą robotę, wy i wasz kolega. Teraz chciałabym, żebyście przygotowali raport o przeprowadzonej rewizji i o tym, co znaleźliście, zgoda? *

Drugi z policjantów był trochę starszy i bardziej butny. Wsunął ręce w kieszenie spodni, rzucił prędko okiem na podejrzanego, po czym, odwracając się do Mirandy, wysunął lekko brodę: wyglądał jak ktoś, kto zna swoją wartość i wie, co jest grane.

- No, dobrze, ale chciałbym panią o coś zapytać, detektywie Torres. Jak to jest, niby dlaczego Frankie i ja mamy dla pani pracować? Bo o ile wiem, nie podlegamy pani. Wcale.

Mike był pełen uznania dla opanowania Mirandy. Wiedział, że pracuje bez przerwy od wielu godzin, że ma ciągle do czynienia z waźniakami z wydziału policji, którzy się do wszystkiego wtrącają.

- Bo tak to już jest - odpowiedziała Miranda.

- Czyżby? Może tak, a może nie. Chciałbym pogadać, no, z sierżantem, przynajmniej. Bo wcale nie mam pewności, jakie u licha są pani kompetencje.

- Dobrze. Świetnie. Niech pan zapuka do pokoju przesłuchań. Widzi pan tego mężczyznę w ciemnym garniturze, w krawacie w paski? Jego niech pan spyta. To inspektor Wilkins z wydziału zabójstw z Queens. Formalnie rzecz biorąc, wszyscy mu podlegamy. A więc na co pan czeka? Śmiało. Niech pan pogada z naszym szefem.

169

Policjant zajrzał do pokoju, a potem zerknął na swego kolegę.

- No, nie ma się co zaraz obrażać. Chcę tylko wiedzieć, co jest grane. Rzecz w tym, że pani nie znam i nie bardzo rozumiem, jak to jest, że pani ma nam mówić...

- Bo to ja prowadzę tę sprawę. Ja i mój kolega dostaliśmy ją w środę w nocy. I dlatego wszystko musi przejść przez nasze ręce. Łącznie z waszym raportem. Jasne?

- Czy wielu z tych facetów tak ci utrudnia życie? — spytał ją Stein.

- To żadne trudności. Nieważne. Wykonali dobrze swoją robotę. Przynieśli broń mordercy. Ten policjant tylko trochę się stawia i napina. Ale wcale się tym nie przejmuję.

Uśmiechnęła się: chłopiec-to-zawsze-chłopiec-bez-różni-cy, a przecież są nimi ci dwaj. Dwóch chłopców. Byli nie więcej niż trzy lub cztery lata młodszy od Mirandy. Ze swą gładką skórą o cudownym połysku i gibkim ciałem, ze swym wdziękiem i powściągliwością w zachowaniu wydała się Steinowi nie skażona tym, czego doświadczyła jako dziecko. Czasem jednak jej oczy nabierały mrocznego, bezbarwnego, martwego wyrazu; pojawiał się w nich smutek będący odbiciem tych wszystkich straszliwych rzeczy, które musiała przeżyć - widzieć, zrozumieć, zaakceptować. Raz lub dwa dostrzegł tę pustkę w jej spojrzeniu podglądając Mirandę, kiedy akurat się nie pilnowała. Sądził, że zajrzał jej w serce, ale nie miał co do tego pewności. Jeszcze nie. Nadal pozostawała dla niego zagadką.

- Zastępca prokuratora okręgowego chce z panem mówić, panie Stein. Ma zupełnie inny pogląd na temat pańskiego prawa do zachowania poufności. Chce, żeby mu pan przekazał swoją taśmę wideo.

Stein spojrział w stronę pokoju przesłuchań i uśmiechnął się.

- Ten mały facet z wąsem? A dlaczego nie było go na wykładzie poświęconym nienaruszalności praw dziennikarzy?

170

*m W

- To jego pierwsza sprawa. Pracuje w prokuraturze okręgowej od dwóch lat. Nie zakwalifikował się za pierwszym razem, więc przez pewien czas był radcą prawnym. Aż do zeszłego tygodnia. Teraz jest już najprawdziwszym prokuratorem.

- Czy sądzisz, że poprowadzi tę sprawę do samego końca? Widać, że uznano ją za bardzo ważną. Są tu niemal wszyscy z wyjątkiem burmistrza.
- Burmistrz jest we Włoszech, ale trzyma rękę na pulsie.
- Jak zwykle.

Nagle drzwi się otworzyły i z pokoju przesłuchań wypadł „Sonny” Waters, dwudziestodwuletni mężczyzna, mierzący pięć stóp i pięć cali, z trudem dźwigający własną głowę, ciężką od gęstych czarnych kędzierzawych włosów, dodatkowo obciążoną bujnymi, ciemnymi wąsami, które opadały mu na usta i brodę. Rozejrzył się wokoło, po czym przywołał Mirandę ruchem głowy.

- Tak jest?
- Słuchajcie, albo ten facet tam robi mnie w konia, albo już sam nie wiem — powiedział. — Uczyłem się hiszpańskiego nie tylko w średniej szkole i w college’u, ale chodziłem też na intensywny kurs konwersacji do szkoły Berlitz’a. Spędziłem również trzy tygodnie w Hiszpanii i nikt nie miał najmniejszej trudności ze zrozumieniem mnie. I... - zrobił coś dziwnego z ustami, trudno określić co, może był to uśmiech, może grymas, cokolwiek to jednak było, skryły to jego wąsy - i miałem narzeczoną mówiącą po hiszpańsku, i nie mieliśmy żadnych problemów z porozumiewaniem się. Rozumie pani, co mówię?

- O, tak. Rozumiem po angielsku - odpowiedziała Miranda.

Mały prokurator okręgowy popatrzył na nią przez chwilę, po czym wyraźnie się rozluźnił.

- No już dobrze, dobrze. Więc o co tu chodzi z tym facetem? Zadaję mu pytanie, a on gapi się na mnie i mówi: „He?” Jakby nie rozumiał. Daje mi ostro popalić, czy o to mu właśnie chodzi?

171

- To jego pierwsza sprawa. Pracuje w prokuraturze okręgowej od dwóch lat. Nie zakwalifikował się za pierwszym razem, więc przez pewien czas był radcą prawnym. Aż do zeszłego tygodnia. Teraz jest już najprawdziwszym prokuratorem.

- Czy sądzisz, że poprowadzi tę sprawę do samego końca? Widać, że uznano ją za bardzo ważną. Są tu niemal wszyscy z wyjątkiem burmistrza.

- Burmistrz jest we Włoszech, ale trzyma rękę na pulsie.

- Jak zwykle.

Nagle drzwi się otworzyły i z pokoju przesłuchań wypadł „Sonny” Waters, dwudziestodwuletni mężczyzna, mierzący pięć stóp i pięć cali, z trudem dźwigający własną głowę, ciężką od gęstych czarnych kędzierzawych włosów, dodatkowo obciążoną bujnymi, ciemnymi wąsami, które opadały mu na usta i brodę. Rozejrzył się wokoło, po czym przywołał Mirandę ruchem głowy.

- Tak jest?
- Słuchajcie, albo ten facet tam robi mnie w konia, albo już sam nie wiem - powiedział. - Uczyłem się hiszpańskiego nie tylko w średniej szkole i w college’u, ale chodziłem też na intensywny kurs konwersacji do szkoły Berlitz’a. Spędziłem również trzy tygodnie w Hiszpanii i nikt nie miał najmniejszej trudności ze zrozumieniem mnie. I... - zrobił coś dziwnego z ustami, trudno określić co, może był to uśmiech, może grymas, cokolwiek to jednak było, skryły to jego wąsy - i miałem narzeczoną mówiącą po hiszpańsku, i nie mieliśmy żadnych problemów z porozumiewaniem się. Rozumie pani, co mówię?

- O, tak. Rozumiem po angielsku - odpowiedziała Miranda.

Mały prokurator okręgowy popatrzył na nią przez chwilę, po czym wyraźnie się rozluźnił.

- No już dobrze, dobrze. Więc o co tu chodzi z tym facetem? Zadaję mu pytanie, a on gapi się na mnie i mówi: „He?” Jakby nie rozumiał. Daje mi ostro popalić, czy o to mu właśnie chodzi?

171

- Tak. Ważnie o to. Nie ma w tym zresztą pobudek osobistych, panie Waters. Rozumie pan, on żyje teraz w ogromnym napięciu. Przebywał kilka dni w areszcie w Miami i jest wykończony. Tamtejsze władze nie chciały nam go wydać i...

- Sądzi pewnie, że ich główna warta obława na handlarzy kokainą jest ważniejsza niż nasze poczwórne zabójstwo? Tak właśnie myśleli? Te cholerne przygłupy, prostaki. - Spojrzał na Steina. - Zaraz, zaraz. Ja przecież pana znam. To pan jest Mike Stein. Ten felietonista, dziennikarz, mam rację?

Stein rozegrał tę sytuację w stylu Mirandy.

Uśmiechnął się i odezwał uprzejmie neutralnym tonem:

- Pisarz. Dziennikarz, felietonista, powieściopisarz, reporter, co pan woli. Dopóki wypisują na czeku moje nazwisko i czek przy tym nie bryka, wszystko mi jedno, jak mnie określają. A pan jest Waters, z prokuratury okręgowej w Queens? Pan Sonny Waters?,

Waters ujął dłoń, którą podał mu Stein, potrząsnął nią szybko, zrobił zeza okrągłymi beżowymi oczyma i wycelował w Mike'a palec wskazujący.

- Posiada pan pewne informacje, które są nam potrzebne. Są istotne, by postawić przed sądem tego małego drania, który tam siedzi. Byłoby lepiej dla pana, gdyby nam pan podał nazwisko tego operatora, czy jak się tam określa faceta, co kręci filmy wideo, wideooperatora?... i pozwolił nam powołać go na świadka podczas rozprawy przed sądem przysięgłych. W przeciwnym razie nie będziemy mogli przedstawić sądowi taśmy z nagraniem zabójstwem Anny Grace. No więc? Więc jak? Wszyscy jesteście zamieszani w tę sprawę. I proszę pamiętać, ręka rękę myje, tak? Zgoda? Mike Stein zaczął się śmiać. Odrzucił głowę do tyłu, potem pochylił ją do przodu, odwrócił się plecami do prokuratora, odpędził go ruchem ręki i nawet nie spojrzał w jego stronę, kiedy ten, rozwścieczony, przebiegł niczym

172

#»

huragan przez biuro, zatrzymał się i rzucił w kierunku Mike'a coś w rodzaju pogróżki.

- Nie powinien był pan tego robić - powiedziała miękko Miranda. - Mały człowiek, wielkie ego.

Mike otoczył Mirandę ramieniem i uścisnął. Twarz miał zaczerwienioną, a oczy załzawione.

- Wiem. Wiem. Ale, Jezu! Żeby dorosły mężczyzna miał na imię „Sonny”. Ten mały... naciągacz. O Boże!

- Wygląda pan na uszczęśliwionego, panie Stein. Czyżby nie wpadł pan na żadnego ze swych kolegów podczas odprawy dla prasy? Chyba są na pana wściekli. Nie udało im się zrobić żadnych wywiadów ze świadkami. Nikt nie chce im otworzyć drzwi. Interesuje ich, dlaczego to pan miał na początku wyłączny dostęp do informacji i co takiego zrobił pan tym porządnym ludziom z Barclay Street, że są teraz tak wrogo nastawieni do prasy.

- Nic im nie zrobiłem, Mirando, ale dopiero zamierzam zrobić. Mój pierwszy artykuł na ten temat ukaze się w poniedziałek: „Dziewczyna, którą zamordowano dwa razy”. Znajdą się tam zdjęcia tych wszystkich pocziwych ludzi, a pod spodem ich własne wypowiedzi, przytoczone słowo w słowo. Z ust im wyjęte. Płynące prosto z serca. A wiesz, czemu jestem na takim hajku? Idzie o kontrakt, mała. Dziś rano zadzwonił do mnie mój agent. Jezu, nie słyszałem o takich pieniądzech od dziesięciu lat. Umowa na książkę, druk w magazynie ilustrowanym i jeszcze film. Tak, pieniądze leżą na ulicy; a ja już dawno nie miałem takiego fartu. No. Co się tak gapisz? Nie kręć mi tu głową, znowu mnie osądzasz, i to właśnie teraz. Mam rację?

- Nie. Nie osądzam. Jestem po prostu ciekawa, czy interesuje pana nasz podejrzany. Nasz morderca, który sam się przyznał... A może on wcale pana nie interesuje?

- Dowiedziałem się o nim wszystkiego podczas odprawy dla prasy. Już ci mówiłem na samym początku, że to nie on mnie interesuje. On jest taki, jaki jest: łajdak, morderca z jakiegoś tam powodu. On sam wie, jaki jest.

Natomiast porządni mieszkańcy Barclay Street... a, to całkiem inna historia. Oni wcale nie wiedzą, jacy naprawdę są.

- I pan ma zamiar im to powiedzieć?

- Właśnie tak, mała. Mam zamiar im powiedzieć, i reszcie świata też: spójrzcie no na nich. A co do mojej książki, mam zaledwie sześć miesięcy, by poskładać ją do kupy, najróżniejsi „eksperci” zaraz się na nią rzucą. Psychoanalicy, kryminolodzy, urbanolodzy, wszelkiego rodzaju specjaliści; wszystkim dam szansę, by mogli wyjaśnić, czemu to porządni ludzie z Barclay Street pozwolili Annie Grace wykrwawić się na śmierć. Dlaczego żaden z nich nie ruszył palcem, żeby jej pomóc. — Miranda odwróciła się od niego. - Czy wiesz, co oni teraz wyprawiają, ci porządni obywatele? Skrzykują się, żeby założyć jakiś komitet. Wynajęli także adwokata. Chcą doprowadzić do wstrzymania druku moich artykułów. Chcą wytoczyć proces memu wydawcy. Już odbyło się kilka zebrań. I zgadnij, kto to wszystko organizuje.

- Pan Harry Lamont? - spytała.

- Trafiałaś. Kim ty właściwie jesteś, detektywem czy co? I czemuś taka sprytna? Słuchaj no, Mirando, jak myślisz, co nasz pan Mera wyczynia tam z Sonnym, prokuratorem okręgowym, który nauczył się hiszpańskiego u Berlitzta?

Miranda uśmiechnęła się:

- Naturalnie robi go w konia. Słyszał pan, co mówi Waters. I ma rację.

Odebrała telefon.

- Detektyw Torres. Tak. Dobrze, przyślijcie go tutaj. Zaraz, przeliterujcie mi jego nazwisko. Enrique Firenze... nie, nie znam go. Dobrze, dziękuję, poruczniku. - I zwracając się do Steina: - Przepraszam na chwilę. Muszę się tym zająć.

Odczekał chwilę, a potem uśmiechnął się.

- No, dobrze, zadzwonię do ciebie później, Mirando. Wymienimy informacje.

174

Dobrze ubrany, przystojny mężczyzna w średnim wieku stał już w drzwiach pokoju.

Miranda podeszła wyciągając do niego dłoń.

- Pan Firenze? Jestem detektyw Miranda Torres. Witani pana.

- Señorita. — zaczął po hiszpańsku, ale Miranda uniosła dłoń.

- Proszę mówić po angielsku. - Zrobiła gest w stronę mundurowych policjantów, kapitana i swego współpracownika, który właśnie wyszedł z pokoju przesłuchań.

Cechowała go elegancja w starym stylu; starannie i z namysłem dobierał słowa.

- Jestem tu, by reprezentować pana Merę. O ile wiem, w Miami miał obrońcę z urzędu i w obecności tego prawnika złożył pewne zeznania. Chciałbym zobaczyć się z panem Merą, porozmawiać z nim i przejrzeć wszystkie zeznania, jakie dotychczas składał — szeroko rozłożył ręce — na jakikolwiek temat.

Wrócił zastępca prokuratora okręgowego Waters i gdy tylko przedstawiono mu pana Firenze, zaczął mówić do niego po hiszpańsku.

- Panie Waters, z uwagi na pańskich kolegów sądzę, że byłoby lepiej, gdybyśmy rozmawiali wyłącznie po angielsku, dobrze?

Waters podejrzliwie rozglądał się po pokoju.

- Jak pán woli. Ma pan tam niezłego klienta. Czy ktoś już panu mówił o tej taśmie? Lepiej niech pan od razu wniesie o uznanie go winnym, mecenasie, i oszczędzi miastu wydatków.

- Taśma? O jakiej taśmie pan mówi?

Kapitan O'Connor, detektywi Dunphy i Torres, wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Otoczyli narwanego prokuratora i zabrali go do gabinetu kapitana na krótką odprawę. Żeby wysłuchał najświeższych informacji. Mówili właśnie wszyscy naraz, kiedy nagle do pokoju wpadł jeden z policjantów, z którymi wcześniej rozmawiała Miranda, ten starszy, inteligentniejszy, bardziej butny.

17

Był zupełnie błądy.

- Ej, Torres. Niech się pani pospieszy. Temu pani mordercy odbiło. Napadł na swojego

adwokata.

Kiedy Miranda w końcu zdołała dostać się do pokoju przesłuchań, Mera był już w kajdankach, przytrzymywany przez młodszego z mundurowych oraz dwóch detektywów z wydziału zabójstw. Kapitan O'Connor i detektyw Dunphy pomogli wstać panu Firenze, a następnie wyprowadzili go z pokoju przesłuchań. Miranda zdążyła zauważyć, że po jednej stronie zaczerwienionej i gładko ogolonej twarzy adwokata spływa krew. Wydawał się zmartwiony z powodu rozdarcia spodni swego kosztownego garnituru. Głosem piskliwym z emocji krzyczał:

- A to drań! Jeszcze tego pożałujesz! Nie wolno ci było tego zrobić!

Wykrzykiwał to po hiszpańsku.

- Kto go tu przysłał? - dopytywał się Mera. - Nie pozwólcie im się do mnie zbliżać. Macie mnie przecież ochraniać. O co tu, psiakrew, chodzi? Chcecie, żebym wam ułatwił zadanie? Żebym z wami współpracował, żebym się przyznał do winy? Chcecie, żebym wam opowiedział o tych wszystkich morderstwach, to o mnie dbajcie. Zrozumiano? Macie się mną opiekować.

Jeden z detektywów z wydziału zabójstw znał dostatecznie dobrze hiszpański, by wyłapać słowa „o wszystkich morderstwach”. Co do reszty, polegał na Mirandzie Torres, która wtrąciła:

- No dobrze, pozwólcie, że ja z nim porozmawiam. Nagrajcie to na magnetofon, przetłumaczę wszystko później prosto z taśmy.

- Czy chce pan ze mną spokojnie porozmawiać, panie Mera? Pozwolę, żeby zdjęli panu kajdanki, jeśli będzie pan ze mną rozmawiał spokojnie. Jeśli nie, niech pan tutaj siedzi i sam się uspokoi. Jak pan woli.

- Dobra, będę mówił. Tylko niech się tamci wyniosą. Bo to jego wina. Kto go tu przysłał? Czy ma pani pojęcie, kto go tu przysłał? Wie pani, co to za jeden?

176

- Nie. Nie mam pojęcia.

- Naprawdę? Bo wie pani. Temu łajdakowi to niczego nie brakuje. Zarabia mnóstwo forsy. Nie chcę, żeby on lub ktoś tego rodzaju się do mnie zbliżał, jasne?

- Tak. Ale czegoś tu nie rozumiem. Kto to taki ten Firenze? Mnie się też wydaje, że jest nadziany. Nie wiesz, kto go tu przysłał?

- Ja wcale nie mówiłem, ja... - Mera pochylił się nad złożonymi rękoma, potarł czoło. — Niech no pani posłucha, ja nic nie mówiłem. W ogóle go nie znam, wszedł tu ot tak, prosto z ulicy, jasne? Mogę tylko powiedzieć, tak samo jak i pani, że wysoko się ceni. Widać szmal, no nie? Jego ubranie, jego... To strzyżenie, ta woda kolońska, te buty. Widziała pani te jego buty? Warte ze dwieście, trzysta dolców.

- Nie znam się na butach. Ale wiem coś o teczkach. Dyplomatki, no wiesz, takie, jakie noszą dyplomaci. Jego była w dobrym gatunku. W bardzo dobrym gatunku.

- Tak? - Merę interesowało, co ile kosztuje. - A ile może kosztować taka w bardzo dobrym gatunku? No ile?

- Dobra, wykonana na zamówienie, jedyna w swoim rodzaju... może i z tysiąc dolarów. W najlepszym gatunku, o takiej właśnie mówię.

- O czym oni, do cholery, gadają, o butach i dyplomatkach? - denerwował się zastępca prokuratora okręgowego Waters.

Mógł śledzić tę rozmowę dzięki interkomowi na biurku kapitana O'Connora, ale była według niego zupełnie bez sensu.

Kapitan O'Connor i detektyw Dunphy nie rozumieli ani słowa po hiszpańsku, ale domyślali się, że Miranda próbuje wszystko załagodzić i uporządkować, uspokoić Merę, przygotować go, doprowadzić. Że się z nim bawi. Firenze, adwokat, wyszedł bez słowa wyjaśnienia. Ani nie musiał, ani nie miał zamiaru ich informować, kto go zatrudnił i dlaczego Mera zareagował na niego tak gwałtownie.

177

1

- To mnóstwo pieniędzy. Ale dla takiego drania - forsa nic nie znaczy. Te pieniądze przeciekają mu między palcami; psiakrew, taki to nie wie nawet, jak je wydać, rozumie pani.

Wszystko na zamówienie: garnitury, samochody, dziwki. Nawet dziwki na miarę. Śmieszne, nie? Ob-stalować sobie dziwkę: wielkość, kolor, kształt, specjalne sztuczki, specjalny zapach, specjalne ciuchy, wszystko specjalne, specjalne, specjalne. A co, do cholery, dziwka też ma prawo do godziwego zarobku, nie? I tak dobrze, że dostają jakąś dolę. Wychodzą na swoje, bo ci faceci bawią się własnym szmałem, tyle go mają.

Spojrzał na Mirandę. Ich spojrzenia spotkały się. Twarz Mery wykrzywił grymas, i dreszcz przebiegł przez napięte, muskularne ciało. Poruszał ustami odsłaniając zęby, duże, białe, lekko rozstawione.

- Ty suko. Jaki znowu numer chcesz mi tu wykręcić? Widzicie ją, zadaje pytania, wszystkie zadajecie pytania: „Dlaczego zabiłeś tę miłą młodą kobietę?” Miła, młoda kobieta. Może i ty jesteś miłą, młodą kobietą, co? Kiedy tak tu sobie siedzisz i gadasz ze mną jak z jakim przygłupem, a ty jesteś znowu taka sprytna i myślisz, że możesz robić ze mnie frajera, co? O to idzie?

Nić porozumienia zerwała się. Nie mając już nic do stracenia Miranda przeszła do rzeczy.

- O czym to my właściwie rozmawiamy, panie Mera? O tych pieniądzech. Wielkich pieniądzech. A skąd się one biorą, panie Mera? Dla kogo pracuje pan Firenze, skoro zarabia aż tyle pieniędzy? Dlaczego ktoś go tu przysłał, żeby był pańskim adwokatem? Czy miał panu do przekazania jakąś informację?

- Nie będę więcej z tobą gadał, ty suko.

Wstał i zaczął walić w drzwi.

- Zabierzcie ją stąd! - wrzeszczał do Dunphy'ego. -Zabierajcie ją stąd, póki jeszcze panuję nad sobą. Chcecie wiedzieć, czemu zabiłem tę kobietę z Barclay Street? I te inne? - Wychylił się do pokoju brygady i wrzasnął prosto w twarz detektywom z wydziału zabójstw: - Chcecie się

178

czegoś dowiedzieć o tych pozostałych? Tych trzech? Dobra. Ale trzymajcie tę sukę, i każdą inną, z dala ode mnie, jasne? Pieprzone suki, wszystkim im się należy. Zostawcie tylko nas samych, to jej dopiero pokażę!

Miranda siedziała w gabinecie kapitana O'Connora i tłumaczyła nagraną na taśmę rozmowę z Merą swemu przełożonemu, Dunphy'emu, detektywowi z wydziału zabójstw o nazwisku Teitel, a także zastępcy prokuratora okręgowego Watersowi. Nagranie kończyło się w momencie, kiedy detektywi wzięli przesłuchanie w swoje ręce i Mera przeszedł na angielski.

- No tak - powiedział kapitan O'Connor. Zapalił papierosa, zdjął swoje stare okulary i przetarł oczy. - A więc cóż my tu, do cholery, mamy?

Zaczął mówić Waters, ale O'Connor wstrzymał go gestem ręki.

- Zastanówmy się nad tym przez chwilę, dobrze, panie Waters? - Potem zwrócił się do Dunphy'ego: - Niech ktoś się zajmie tym Firenze. Kim on, u diabła, jest? Kto go przysłał? »

- Dzwoniłem już tu i tam, kapitanie. Sprawa w toku.

Tego właśnie oczekiwał O'Connor.

Waters, nieco zmieszany, rozejrzał się po pokoju.

- Pracuje pewnie dla jakiejś organizacji mniejszości hiszpańskojęzycznej. Wzięci adwokaci poświęcają część swego czasu sprawom, które...

O'Connor przerwał mu zwracając się do Mirandy:

- Detektywie Torres, a co pani o tym sądzi?

Miranda przyglądała się swoim dłoniom splecionym na kolanach. Powoli podniosła wzrok i popatrzyła wprost na O'Connora. Nieznaczny ruch ramion, mniej niż pewny ton, w którym jednak nie słyhać było wątpliwości.

- Narkotyki?

- O czym pani mówi? - zapytał Waters. - Jakie znowu narkotyki? Ten człowiek to morderca. Słyszała pani, co mówił. Widziała go pani. Facet, który siedzi w tamtym pokoju przyznaje się do popełnienia czterech morderstw

179

na różnych kobietach. No, detektywie - wskazał brodą na detektywa z wydziału zabójstw - pan też to słyszał. A pan przecież zajmuje się tymi zabójstwami, prawda? Ten facet to Bestia z Queens. I na takiego wygląda. Czy nie?

Detektyw wzruszył ramionami, nie odzywając się ani słowem.

- Co pani mówi, Torres? Narkotyki? Jakie narkotyki? Mamy tu przecież mordercę. Widziała go pani w akcji. Widziała pani taśmę wideo, prawda?

- Panie Waters, to detektyw Torres sama nam ją dostarczyła. I wolałbym, żeby pan tak nierozważnie o tej taśmie nie wspominał, kiedy...

- O? Wolałby pan? Rozumiem. Niech pan posłucha, reprezentuję tu biuro prokuratora okręgowego z Queens i w tej chwili... no, może z niewielką pomocą ze strony wydziału zabójstw, jestem już w stanie przedstawić cztery akty oskarżenia sądowi przysięgłych. - Waters szeroko rozłożył ręce, po czym klasnął w dłonie. - Niezłe żniwo. Czy to panu nie wystarcza? Dlaczego jesteście tak cholernie ponurzy? Może przydałby się wam wszystkim krótki urlop, o to chodzi? Upał daje wam w kość? A więc, łączę moją sprawę, wszystkie moje cztery sprawy, w jedną. Wygląda na to, że macie jakieś wątpliwości co do zeznań Mery dotyczących pozostałych zabójstw. A czego się spodziewaliście, że dostaniecie je wszystkie na taśmie wideo? No cóż, życie nie jest wcale takie łatwe, co? Jeśli wpadniecie na coś naprawdę ważnego, zadzwońcie do mnie do biura i zostawcie wiadomość. Mam dużo roboty.

Po wyjściu zastępcy prokuratora okręgowego w pokoju, zapanowała nagle cisza. Kapitan przetarł swoje porysowane szkła i założył je z powrotem.

- A co znowu takiego, do cholery, mówi ten Mera na temat pozostałych morderstw? - zapytał policjanta z wydziału zabójstw.

Powoli, z namysłem Teitel odpowiedział:

- Nie zajmowałem się pozostałymi morderstwami, kapitanie. Przesłuchuje go kilka grup dochodzeniowych. Mnie

180

10 ~

przydzielono zabójstwo Anny Grace. Tu mamy najwięcej dowodów.

- A co pan sądzi, tak na gorąco, o tym, że może Mera mówi prawdę? Że może rzeczywiście zabił te pozostałe kobiety?

Policjant z wydziału zabójstw, gruby, ciężki, spocony mężczyzna z małymi oczkami osadzonymi blisko siebie po obu stronach ryjkowatego nosa, zacisnął usta, wciągając powietrze, zanim odpowiedział. Miał zaskakująco słaby głos jak na tak szorstkiego i nieprzyjemnie wyglądającego mężczyznę.

- Nic nie sądzę, panie kapitanie, o niczym, co nie dotyczy bezpośrednio mojego śledztwa. Mogę jedynie mieć zdanie na temat sprawy, którą sam prowadzę, a jak mówiłem, uważam, że mamy go w garści. Jeśli chodzi o zabójstwo Anny Garce.

- W porządku, kolego, nikt przecież nie chce... Słuchajcie no wszyscy! Czy wy naprawdę nie macie nic lepszego do roboty, niż siedzieć tu przez całą noc? Dunphy, Torres, ile już wyrobiliście nadgodzin? Resztą zajmiecie się rano, jeśli nie ma już nic szczególnie ważnego do roboty. Oboje wyglądacie na zmęczonych.

Dunphy rzeczywiście wyglądał okropnie; Torres natomiast była opanowana, i szykowna. Tak właśnie ją określano. Wyglądała szykownie, zawsze przytomna, opanowana i spokojna. O'Connor zdał sobie sprawę, że się jej "przygląda, że taksuje ją, lecz ona wydawała się tego nie zauważać.

- A wy dwoje, rozliczyliście się już z delegacji na Florydę? Już to załatwiliście?

- Papiery są już złożone, kapitanie - odpowiedział Dunphy. Po czym znużonym głosem, wykorzystując swoją z nim przyjaźń, choć jak zwykle w odpowiednim momencie, zapytał: - Jak myślisz? Czy Torres i ja nie zasłużyliśmy na kilka dni z dala od tego wszystkiego? Na chwilę oddechu i refleksji?

O'Connor stał obok Dunphy'ego i obaj obserwowali wy-

chodzącą Mirandę Torres. Otoczył ramieniem plecy Dunphy'ego i spytał cicho:

- Powiedz no mi, mały, o co tu, u licha, chodzi? Ten facet to przyczajony gwałciciel-morderca, czyli Bestia z Queens, czy kto, do cholery?
- Coś tu na pewno nie gra, i w tym właśnie rzecz.
- Wydział zabójstw i prokuratura okręgowa aż się pała, żeby temu facetowi przyczepić niemal każdą zbrodnię popełnioną w Queens. A on, nie dość że jest pod ręką, to jeszcze gotów się przyznać do wszystkiego, co się da. Ten gość odstawia jakiś numer czy co?
- Ktoś tu na pewno rozgrywa jakąś grę, Bill. Muszę ci powiedzieć przy okazji tej sprawy, że cieszę się, że nie przeszedłem egzaminów promocyjnych. To by była dla mnie zbyt duża odpowiedzialność. A tak, ty mi mówisz, co mam robić, a ja to wykonuję, jak żołnierz.
- A jakim żołnierzem jest Torres?

Dunphy odsunął się, sięgnął ręką zdejmując O'Conno-rowi okulary z nosa, podniósł je pod światło i pokręcił głową.

- Jezu, nic dziwnego, że masz bóle głowy. Czemu nie nosisz tych nowych? Te z każdego zrobią ślepeca.
- Aaa. To jestem ślepy? Czyżby coś uszło mojej uwadze?

Między obu mężczyznami, starymi przyjaciółmi, których łączyły wspólnie przeżyte lata, wspólne tajemnice, plany i projekty, od dawna istniało głębokie porozumienie, nie wymagające słów, zadawania pytań i udzielania odpowiedzi.

W końcu Dunphy odezwał się:

- Bill, jeszcze nie pora, żeby cokolwiek mogło ujść twojej uwadze. Jeszcze na to nie czas, do cholery.
- Nie interesuje cię czy jak?
- Cóż, to bardzo interesująca dziewczyna. Ale powiem ci, że zapominasz o tym, kiedy z nią pracujesz. Bill, ta mała to stuprocentowy glina. I jest miła, wiesz? Potrafi współpracować z ludźmi.

- 182
- Czy coś jest między nią a Steinem?
- Wątpię. Bardzo wątpię.

O'Connor spojrział na niego sponad okularów.

- Ale z drugiej strony - dodał prędko Dunphy - ktoś to, do diabła, może naprawdę wiedzieć?

XXII

.Umówili się niezobowiązująco na kolację. Mike chciał się trochę przed nią popisać - dobra francuska restauracja, najlepsze jedzenie i wino, a potem jego mieszkanie. Ale telefon z Forest Hills zmienił jego plany. Musiał odwiedzić kogoś na Barclay Street.

To właśnie, między innymi, najbardziej mu się podobało w Mirandzie Torres. Wiedział, że się nie obrazi, że nie będzie przeciągłego milczenia, urażonego tonu ani dociekliwych pytań. Zaskoczyła go jednak jej reakcja.

- To dobrze - odrzekła. — Miałam właśnie do ciebie dzwonić. Powierzono mi znowu sprawę zabójstwa.
- W Forest Hills? Chyba nie...
- Nie, nie. To zupełnie inna sprawa.

Wiedział, że to już wszystko, co ma mu do powiedzenia. t

- A więc dobrze. Będę w kontakcie. Do zobaczenia, na razie.

W efekcie rozmowy, którą odbył przez telefon, Stein trafił do mieszkania Stone'ów, na trzecim piętrze od frontu. Roztaczał się stamtąd całkiem niezły widok na miejsce, w którym dokonano napaści: na lewo i w dół.

Mieszkali tam jedynie oni dwaj, ojciec i syn. Jason Stone, ojciec, był zawodowym muzykiem studyjnym, grał na kilku instrumentach. W noc śmierci Anny Grace miał sesję nagraniową z nowo powstałą, dobrze zapowiadającą się grupą. Nagranie przeciągnęło się aż do godzin porannych i kiedy wrócił do domu, z całego zamieszania na

Barclay Street pozostało jedynie kilku stojących tu i tam mundurowych, którzy wyglądali na znudzonych.

- Angelo czekał na mnie całą noc i opowiedział mi o tym, co się wydarzyło.

Angelo Stone był małym chłopcem na wózku inwalidzkim. Z wyglądu trudno było odgadnąć jego wiek - mógł mieć ze trzynaście lat. Ciało miał zdeformowane, bezkształtne i dziwaczne, ale porażenie mózgowe, z powikłaniami, nie dotknęło jego intelektu. Umysł Angela funkcjonował jakby w całkowitej izolacji, której nie zakłócała jakakolwiek aktywność fizyczna. Biorąc pod uwagę, że jego iloraz inteligencji przewyższał 170 punktów, przenikliwość, z jaką spoglądały jego przeogromne, jasnobrażowe oczy, mogła napawać niepokojem.

To Angelo, a nie jego ojciec, wyjaśnił sytuację.

- Można powiedzieć, że rozwinąłem swoje wrodzone zdolności intelektualne w podobnym stopniu, jak osoba niewidoma ma rozwinięty zmysł dotyku czy słuchu. To powszechnie znany fakt, że większość ludzi wykorzystuje swój potencjał intelektualny jedynie w dziesięciu procentach.

Sądzę, że być może to właśnie odróżnia tak zwanego geniusza od przeciętnego człowieka: wykorzystanie przynajmniej w części tych uśpionych dziewięćdziesięciu procent naszego potencjału. Nie miałem po prostu innego wyboru w życiu.

W jego głosie słychać było jakieś dziwne metaliczne brzmienie. Mike prędko poszperał w pamięci. Głos chłopca przypominał głos postaci z kreskówek, jakiegoś małego zwierzątka. Niczym parodia ludzkiego głosu, był cienki jak sygnał radiowy, ale zrozumiały.

Pomimo ułomności fizycznej Angelo doskonale dawał sobie radę w życiu. Cały jego pokój wypełniał sprzęt elektroniczny, który chłopiec potrafił obsługiwać używając opuszków palców prawej dłoni. Każde znajdujące się tu urządzenie - lampa, telefon, telewizor, magnetofon, komputery - zostało tak zaprojektowane, by mógł je bez trudu uruchomić mimo ograniczonych możliwości. Angelo

184

współpracował z inżynierami przy projektowaniu większości z nich. *

- Angelo to urodzony inżynier. Studiuje już w college'u. Chce w przyszłości projektować urządzenia dla ludzi niepełnosprawnych.

Angelo uśmiechnął się do ojca i pokiwał głową. Swym dziwnym piskliwym głosikiem powiedział:

- To ci dopiero facet, z tego Angela! A oto i jego ojciec, panie Stein. - Po czym nastąpiła seria cienkich dźwięków staccato: to śmiał się Angelo.

Nagle rozmowa się urwała i zapanowała pełna napięcia cisza.

- Panie Stone, to wszystko naprawdę robi wielkie wrażenie i jestem pewien, że pewnego dnia jeszcze usłyszymy o Angelo. Ale przecież nie dlatego zaprosił mnie pan do siebie.

Tym razem Angelo oddał głos swemu ojcu. '

- Panie Stein, Angelo był tutaj przy tym oknie, rozgryzając jakiś problem. Nazywa to miejsce swoim „miejscem rozmyślań”. I widział, jak napadnięto na tę kobietę, która została zamorodowana. Zobaczył, jak ten mężczyzna wyszedł zza zaparkowanych samochodów, jak chwycił tę kobietę, jak ją zaatakował. Nie widział go wystarczająco wyraźnie, lży móc go zidentyfikować, ale widział dokładnie, co tamten robi. Mówił mi, że dostrzegł błysk ostrza w świetle latarni. Domyślił się, że to nóż.

Stein przeniósł wzrok z ojca na syna. Nastąpiła dziwna przemiana. Wydawało się, że chłopiec w jakiś przedziwny sposób się skurczył. Jego ciało stało się jeszcze mniejsze. Głowa sprawiała wrażenie większej, wyglądała prawie jak nadmuchany balon, przechylona w prawo. Prawa dłoń chłopca, jedyny instrument, nad którym panował, zaczęła się trząść.

Angelo patrzył na podskakujące palce.

- Tak reaguję na napięcie - skomentował. Jego głos stał się jeszcze bardziej osobliwy: cieńszy, jak imitacja głosu małego dziecka. Zaczął ciężko dyszeć; oddechy chło-

185

h

pca stawały się coraz głębsze i głośniejsze, przerywane dziwnym śmiechem, jakby chiehotem.,

- Czy dobrze się czujesz, Angelo?

Jason Stone położył wielką dłoń na czole syna. Chłopiec odrzucił głowę do tyłu, a jego oczy spoczęły na twarzy ojca. Odnosili się do siebie z ogromną delikatnością. Dzięki latom praktyki dłonie ojca poruszały się powoli, cierpliwie wzdłuż szyi syna, jego pleców, czoła. Poklepał go lekko po policzkach.

- Tak właśnie jest, kiedy się spinam - wyjaśnił Angelo swym blaszanym głosikiem, dławiąc się, śmiejąc i kaszląc. - Wszystko to - wszystkie te - efekty dźwiękowe - są całkowicie - absolutnie - nie-kon-tro-lo-wa-ne.

- Pozwól, Angelo, że ja panu wszystko wytłumaczę - powiedział miękko Jason Stone. - Ty sobiść tu posiedzisz, prawda? Dobrze, Angelo? No więc, panie Stein, dowiedzieliśmy się od naszych sąsiadów, od mieszkańców tego budynku, że przeprowadza pan wywiady ze świadkami tego strasznego, strasznego wydarzenia. Jeden z nich, niejaki pan Lamont, który jest właścicielem sklepu z odzieżą przy Austin Street, chodzi po sąsiadach i wypytuje, z kim pan robił wywiad, jakie odnieśli wrażenie na pana temat, czego pan szuka. Zamierza zorganizować spotkanie tych wszystkich ludzi, <z którymi pan rozmawiał. Mówi, że chce pan wyciąć jakiś numer im, świadkom, zamiast zająć się prawdziwym winnym', mordercą. I policją. Pewnie sam pan wie, jaki Lamont ma do tego stosunek, rozmawiał pan z nim przecież.

- Owszem, rozmawiałem.

- Był tu u nas i rozmawiał z Angelo. Syn wysłuchał go uważnie i doszedł do takiego samego wniosku jak pan. A mianowicie, że wszyscy mieszkańcy tych domów przyglądali się, jak popełniano zbrodnię. Obserwowali napaść, po której ofiara jeszcze żyła, chociaż krwawiła. Patrzyli, jak ta młoda kobieta umiera, zamiast coś zrobić, cokolwiek, żeby jej pomóc.

- Zadzwoń pod 911 - powiedział Angelo wysokim,

186

skrzekliwym głosem. Jego dłonie zaczęły podskakiwać spazmatycznie, kiedy pokazywał telefon podłączony do urządzeń elektronicznych. - I wszystko nagrałem.

XXIII

W ciągu ostatnich czterech dni odnotowano w Nowym Jorku rekordową liczbę zabójstw popełnionych w afekcie. Psycholodzy kładli je na karb nie dającego się znieść stresu, wywołanego unoszącym się nad miastem smogiem: ciężkie i gęste od zanieczyszczeń powietrze przytłaczało ludzi, do tego stopnia, że zwykła czynność oddychania stawała się zadaniem ponad siły, a codzienne wybuchy emocji przeradzały się w katastrofy. Najzwyklejsze kłótnie rodzinne i nieporozumienia, czy to z powodu programu telewizyjnego, czy też dlatego, że ktoś wypił ostatnią puszkę piwa lub nie podał komuś soli, kończyły się zabójstwem - przy użyciu noża lub broni przechowywanej nielegalnie w szafce przy łóżku dla obrony przed jakimiś intruzami. Zdesperowani rodzice wyrzucali przez okno lub rozwalali o ścianę wrzeszczące, nie dające się utulić niemowlęta, aby mieć trochę spokoju.

Ktoś spojrział na kogoś w niewłaściwy sposób — wszystko jedno jak, czasami wystarczyło tylko, by skrzyżowały się spojrzenia - a nieświadomie rzucone wyzwanie kończyło się gwałtowną śmiercią.

Życie odbierano innym w sposób przypadkowy, bezmyślnie i bez jakiegokolwiek widocznej przyczyny. I nie tylko ci, co wykazują pewne skłonności do posługiwania się przemocą, folgując swym szczególnym potrzebom niezależnie od pogody czy ciśnienia atmosferycznego, ale, co najbardziej nieprawdopodobne, także i ci zazwyczaj cisi i łagodni wybuchali, dopuszczając się wprost niewiarygod-

187

nych aktów gwałtu wobec osób im znanych i kochanych albo całkowicie im obcych. Miasto Nowy Jork mogło posłużyć za podręcznik psychiatrii opisujący wszystkie typowe przypadki przemocy, do których doszło na skutek nadmiernego zanieczyszczenia powietrza.

Najpoważniejszy akt przemocy, jakiego dopuszczono się w mieście, nie był jednak przypadkowy, dokonany w afekcie czy nie zaplanowany. Było to dobrze przygotowane i obmyślane w każdym szczególe uderzenie mafii w pięciu różnych miejscach, a jego ofiarą padło pięć starannie

wybranych osób: dwie na Manhattanie, dwie w Queens i jedna w Brooklynie. Cios zadany pięciu bossom średniego szczebla został zaprogramowany i wyreżyserowany w taki sposób, że trafił wszystkie ofiary dokładnie w tym samym czasie, gdy właśnie spożywały mniej więcej podobne przystawki w swych ulubionych miejscowych włoskich restauracjach. Wyglądało na to, że nie zabójstwo stanowi tu przesłanie, lecz pora, w jakiej go dokonano. W ten sposób stwierdzano bez dyskusji: nie tylko potrafimy cię wyłuskać, ale też umiemy to zrobić akurat wtedy, gdy spożywasz wieczorny posiłek w swej ulubionej restauracji, w towarzystwie oddanych ci ludzi.

Detektywi z miejscowych komisariatów policji i detektywi z wydziału zabójstw wciąż wpadali na siebie, spiesząc z jednego miejsca zbrodni na drugie. Zbyt wielu policjantów miało właśnie urlop. Pilne telefony do miejsc ich wakacyjnego pobytu pozostawały bez odpowiedzi, skoro tylko dowiedzieli się o wszystkim z radia. Miejskie kostnice były przepełnione. Zaczęło brakować doświadczonych koronerów, potrzebnych do stwierdzenia zgonu osób zamordowanych przez zawodowców, ofiar zwykłych, codziennych zabójstw, a także niebywale licznej grupy tych, którzy zupełnie przypadkowo stali się ofiarami: uduszeni przez ludzi, którym nigdy dotąd nawet przez myśl nie przeszło, by użyć przemocy wobec bliźniego.

Zwłoki przrzucono z jednej dzielnicy do drugiej; kostnica na Manhattanie dawała tymczasowe schronienie

188

ofiaram z Brooklynu i Queens. W godzinie kryzysu przestały mieć znaczenie granice między dzielnicami i rejonami.

Wokół lotniska Kennedy'ego, na jego płaskich i podmokłych najdalszych krańcach, już poza pasami startowymi, powietrze było przesiąknięte nie tylko gęstymi oparami zrzucanego paliwa i spalinami odrzutowców, ale także smrodem śmieci rozkładających się na nieoficjalnym wysypisku, z którego od lat korzystali prywatni przedsiębiorcy zajmujący się wywózką śmieci. Zamiast dopełniać formalności, wymaganych celem uzyskania oficjalnego przydziału wysypiska, łatwiej było zatrzymać się przy bocznej drodze w pobliżu Rockaway Boulevard i wyrzucić z ciężarówki odpadki pochodzące z restauracji, supermarketów, szpitali, zakładów przemysłowych lub od innych klientów korzystających z usług prywatnych przewoźników.

Wysypisko wykorzystywano nie tylko do wyrzucania śmieci, było ono także dokładnie przetrzāsane i przeszukiwane przez handlarzy starzyzną specjalizujących się w zbieraniu starych gazet, kartonów i określonego typu pojemników. Byli tacy, co brnęli przez różnego rodzaju odpady, dopóki nie znaleźli tego, czym handlowali. Znajdowały się tam szczątki pogruchotanych samochodów, którymi wzgardzili nawet zawodowi handlarze złomem. Spotkać tam można było śmieciarzy, którzy z jakichś powodów zbierali szkło wszelkiego rodzaju: zbite, skruszone, zmiążdżone, jakie tylko się dało.

Była też i nowa generacja zbieraczy, odkąd weszła w życie ustawa dotycząca butelek: dzieciaki w wieku trzynastu, czternastu lat, które nie mogły znaleźć pracy, a potrzebowały pieniędzy na swoje wydatki, zawsze gotowe, chętne i umiejące pracować, a także takie, które same musiały znaleźć sobie źródło dochodów. To one właśnie odkrywały ukryte skarby w postaci butelek, puszek po piwie i wodzie sodowej, wyrzucanych przez ludzi, którym nie zależało na traconych w ten sposób groszach.

1

Trzech chłopców przeszukiwało góry i kotliny śmieci. Nosy i usta mieli osłonięte chustkami, jak kowboje, a przez ramię przerzucone plastikowe worki. Zbiór tego dnia okazał się niezły; przynajmniej w stopniu usprawiedliwiającym warunki ich pracy. Można już było kończyć robotę. Zaden z nich nie miał ochoty dać się tam zaskoczyć ciemnościom. Ich przywódca, wysoki smukły dzieciak, w przylepiającym się do ciała ubraniu przesiąkniętym potem i mułem, nagle poślizgnął się na dużym zielonym worku na śmieci i upadł na płask, wyrzucając w powietrze własny wór ze skarbami. Wygramolił się jakoś i stanął na nogi, by sprawdzić, jaką poniósł stratę. Jego dwaj przyjaciele gapili się wytrzeszczając oczy na rozerwany worek, na którym przed chwilą się poślizgnął.

Z rozdartego worka wystawała sztywna, podkurczona ludzka stopa. Obok leżał drugi wór, takiej samej wielkości i kształtu.

Chłopcy uciekli, zostawiając za sobą swój całodzienny zarobek. Biegli, póki starczyło im tchu w płucach, póki nie zakręciło im się w głowach, póki oczy nie wypełniły się łzami.

Wóz patrolowy jadący wzdłuż Rockaway Boulevard zatrzymał się, jakiś policjant przywołał ich do siebie i wtedy chłopcy zaczęli przekrzykiwać się ochryłymi głosami, pokazując za siebie w stronę wysypiska śmieci.

I chociaż policjanci o tym nie wiedzieli, znaleziono właśnie ciała Arabelli Vidales i Christine Valapo.

XXIV

Kapitan O'Connor udawał, że smród śmieci połączony z przenikliwym odorem zrzucanego paliwa samolotowego i duszącego zanieczyszczonego powietrza wcale mu nie przeszkadza. Wyjął papierosa, wybierając własną truciznę.

- Nie wzywałbym pani w tej sprawie - zwrócił się do

190

Mirandy Torres - ale przypomniałem sobie, co mi pani powiedziała o tej stewardesie, która wynajęła dla młodszej siostry mieszkanie przy Barclay Street. Dla tej, o której sąsiedzi mówili „ta Hiszpanka”.

Miranda oddychała płytko, udając, że nic jej nie obchodzi ani miejsce, ani te wstrętne wyziewy, ani ciała zamordowanych młodych kobiet w jej wieku. Skupiła się jedynie na tym, że zaskoczyły ją słowa O'Connora. Nie zawsze była do końca pewna, czy słucha, kiedy do niego mówi. Nie doceniła go. Zapamięta to sobie.

- Ich szef z Avianca zgłosił ich zaginięcie - dodał O'Connor. - Wspomniał także, że wypytywała pani o nie. Tak więc — kapitan obrócił się w kierunku pracujących techników - wygląda na to, że się już odnalazły.

Przyglądał się jej uważnie. Wszyscy to robili, kiedy sprawy przybierały zły obrót.

- Co było przyczyną ich śmierci? - zapytała Miranda.

- Ciała są w złym stanie. Ten upał i w ogóle. Ale najwyraźniej dziewczyny zostały uduszone.

Chyba obie także zgwałcono. I trochę przedtem poturbowano. A więc na podstawie pani dochodzenia i tego, co mówił ten facet z Avianca, można sądzić, że są to - zajrzał do swego notatnika - Arabella Vidales i Christine Valapo. Nie najlepiej wyglądają, ale można je chyba zidentyfikować. Czy wie pani o jakichś jeszcze krewnych Vidales, poza młodszą siostrą, którzy mogliby ją zidentyfikować?

Natychmiast pomyślała o Carlosie Galvezie, przerażającym, budzącym niepokój, stojącym ponad wszystkim. Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie. Skontaktuję się z tą dziewczyną.

- Dobrze. - Odwrócił się, by obserwować czynności przy zwłokach. - Chyba wszyscy ci ludzie zakończyli już wstępne oględziny. Ciała zostaną zabrane do kostnicy szpitala w Queens. Czy chce pani, żeby ktoś pojechał razem z panią po siostrę Vidales? Wszystko w porządku?

- Sama to załatwię, panie kapitanie. - Świadoma uważnego spojrzenia O'Connora Miranda patrzyła na

191

mw m

Mirandy Torres - ale przypomniałem sobie, co mi pani powiedziała o tej stewardesie, która wynajęła dla młodszej siostry mieszkanie przy Barclay Street. Dla tej, o której sąsiedzi mówili „ta Hiszpanka”.

Miranda oddychała płytko, udając, że nic jej nie obchodzi ani miejsce, ani te wstrętne wyziewy, ani ciała zamordowanych młodych kobiet w jej wieku. Skupiła się jedynie na tym, że zaskoczyły ją słowa O'Connora. Nie zawsze była do końca pewna, czy słucha, kiedy do niego mówi. Nie doceniła go. Zapamięta to sobie.

- Ich szef z Avianca zgłosił ich zaginięcie - dodał O'Connor. - Wspomniał także, że

wypytywała pani o nie. Tak więc - kapitan obrócił się w kierunku pracujących techników - wygląda na to, że się już odnalazły.

Przyglądał się jej uważnie. Wszyscy to robili, kiedy sprawy przybierały zły obrót.

- Co było przyczyną ich śmierci? - zapytała Miranda.

- Ciała są w złym stanie. Ten upał i w ogóle. Ale najwyraźniej dziewczyny zostały uduszone.

Chyba obie także zgwałcono. I trochę przedtem poturbowano. A więc na podstawie pani dochodzenia i tego, co mówił ten facet z Avianca, można sądzić, że są to - zajrzał do swego notatnika - Arabella Vidales i Christine Valapo. Nie najlepiej wyglądają, ale można je chyba zidentyfikować. Czy wie pani o jakichś jeszcze krewnych Vidales, poza młodszą siostrą, którzy mogliby ją zidentyfikować?

Natychmiast pomyślała o Carlosie Galvezie, przerażającym, budzącym niepokój, stojącym ponad wszystkim. Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie. Skontaktuję się z tą dziewczyną.

- Dobrze. - Odwrócił się, by obserwować czynności przy zwłokach. — Chyba wszyscy ci ludzie zakończyli już wstępne oględziny. Ciała zostaną zabrane do kostnicy szpitala w Queens. Czy chce pani, żeby ktoś pojechał razem z panią po siostrę Vidales? Wszystko w porządku?

- Sama to załatwię, panie kapitanie. - Świadoma uważnego spojrzenia O'Connora Miranda patrzyła na

11

pracowników obsługi układających ciała na noszach. -Wie pan co, panie kapitanie — powiedziała — to wcale nie jest w porządku. To nie jest w porządku, to... to, że zgwałcono, pobito i uduszono te młode kobiety. To wcale nie jest w porządku dla nikogo, ale jeśli w tym wszystkim chodzi panu o to, czy ja będę w porządku, to tak. Wykonam swoją pracę, jeśli o to właśnie pan pytał.

Nigdy dotąd nie widział jej rozgniewanej. Każdą, najmniejszą nawet iskierkę gniewu natychmiast w sobie tłumiała. Zachowywała się tak, jak mógł przewidzieć: była niezwykle opanowana, powściągliwa i, co zadziwiające, bardzo twarda. Natychmiast wyczuł, że tego właśnie potrzebowała Miranda Torres - pewnego wyzwania, wystawienia siebie samej na próbę. Przyjął więc wobec niej postawę wymagającego zwierzchnika.

- Świetnie, detektywie Torres. Teraz, kiedy już wyraziła pani, co jej leży na sercu, do roboty.

Skinęła energicznie głową, po czym wsiadła do samochodu i odjechała.

Chciała się skontaktować z Carlosem Galvezem. Przełamała w sobie niechęć do ponownej konfrontacji z tym mężczyzną czy choćby usłyszenia jego głosu. Telefon w mieszkaniu Galveza zadzwonił co najmniej dziesięć razy, zanim odłożyła słuchawkę. Nie było to wcale tak daleko od jej biura; dojazd nie zabierze jej więcej niż kilka minut. Jadąc wzdłuż Barclay Street zauważyła, że w oknie mieszkania Marii Vidales pali się światło.

W domkach szeregowych, stojących w dwu rzędach po obu stronach Inverness Street nocne życie najwyraźniej już zamierało: przyćmione światła na dziedzińcach, lampy w sypialniach, szarawe błyski telewizyjnych ekranów. Miranda od razu zauważyła, że przed domem Galveza nie ma żadnego samochodu, ani lincolna, ani cadillaca. Ani mercedesa. I ani w domu, ani na tarasie nie paliły się światła.

Miranda wysiadła z samochodu i próbowała zajrzeć przez okno do salonu. Było jednak zbyt ciemno i nie mog-

192

• ĺ

* éf m

ła nic zobaczyć. Odczuła zarówno ulgę, jak i żal. A teraz musi pojechać po Marię Vidales i zabrać ją na identyfikację zwłok.

Przez chwilę słuchała dźwięków muzyki, hard rocka, lekko tylko przytłumionych przez drzwi mieszkania. Muzyka była głośna i jakby nie kontrolowana, pozbawiona poczucia humoru i nie wywołująca pozytywnych odczuć. Po prostu hałaśliwa, przeszywana od czasu do czasu okrzykami i wybuchami śmiechu. Ktoś tam w środku wyraźnie był na luzie i na haju.

Maria otworzyła drzwi, a gdy tylko zobaczyła Mirandę, próbowała je zamknąć.

- No proszę, kogóż tu mamy. Nie. Nie może pani ze mną rozmawiać. Nie chcę pani widzieć, spływaj pani.

Młody mężczyzna o gęstych ciemnych włosach opadających mu na czoło odciągnął Marię na bok.

- Kto to? Czego pani chce?. Zabawimy się, kotku? Hej, Maria, kim ona jest, twoją siostrą? Ale z niej ślicznotka.

Otworzyły się drzwi po drugiej stronie korytarza, po czym zatrzasnęły się z głośnym echem.

Sąsiedzi byli wyraźnie poirytowani. Miranda wdarła się do mieszkania, zamykając «a sobą drzwi. Zaczęła mówić po hiszpańsku cicho, zdecydowanie i szybko.

- To ty zabieraj stąd jakie tam masz przy sobie nielegalne substancje, i spływaj. I to szybko, zanim cię aresztuję, tak dla przyjemności. Jestem oficerem policji, spytaj Marię.

- O co tu się, do diabła, rozchodzi? Jezu, nie możesz ot tak sobie wpaść tutaj i...

- Ależ tak, mogę. Właśnie to zrobiłam. Niech ci Maria powie. Powiedz mu. Powiedz mu, żeby stąd spływał.

Maria spojrzała na Mirandę. Patrzyły tak na siebie, a , ona, bez słów, wiedziała już. Wiedziała.

- Idź do domu, Peter. Proszę - wyszeptwała. - Nie, nie mów nic, nie pytaj... tylko już idź. To sprawa między mną i tą panią.

193

<r

ft

Było coś w nich obu, co zmroziło młodego człowieka: dwie kobiety połączone jakąś straszną tajemnicą, z którą on nie chce mieć nic wspólnego.

Miranda wyciągnęła dłoń, ujmując jego ramię.

- Czym pan tu przyjechał? Ma pan samochód?

- To nie pani sprawa, o co tu chodzi?

Maria odpowiedziała:

- Albo jeździ autobusem, albo chodzi piechotą. Nie ma samochodu.

Miranda puściła jego ramię. Podeszła do odtwarzacza stereo i wyłączyła muzykę.

- Zabiorę cię teraz do niej - powiedziała do Marii.

- Tak. Tak właśnie myślałam, że po to pani przyszła.

Twarz dziewczyny zapadła się, -ściągnęła usta, a jej oczy zaszyły mgłą, nie od narkotyków, ale jakby przesłoniła je jakaś chmura.

- Mario, czy jest ktoś, do kogo chciałabyś zadzwonić? Czy mam może zawołać tego chłopaka? Żeby z nami pojechał?

Maria spojrzała badawczo na Mirandę, a jej usta wykrzywił groteskowy grymas.

- Nie. To nikt ważny. Kiedy nie ma Arabelli, to nie mam już do kogo dzwonić.

- Co brałaś? Spidujesz czy płyniesz? Czy jak?

- Teraz, pani policjantko? W tej chwili? Wzięłam coś tak strasznego, co nie ma nazwy. Czy już możemy jechać? Czy mogłybyśmy nie rozmawiać?

O nic nie pytała Mirandy, a ona nic jej nie powiedziała. Wiedziała tylko, a raczej czuła, że jej siostra nie żyje, że wiozą ją teraz, by zobaczyła swoją martwą siostrę. Dziewczyna siedziała w samochodzie nie dotykając plecami oparcia fotela, sztywna, nieruchoma, bez wyrazu, obecna tylko ciałem - Maria odpłynęła w jakieś nieznane, odległe miejsce.

Kiedy przyjechały do szpitala ogólnego dzielnicy Queens i skierowano je do kostnicy w podziemiach, Miranda usłyszała, że Maria głośno oddycha i kaszle. Podtrzymała ją,

€ m ~

gdy ta pochyliła się do przodu, chwytając się za brzuch; próbowała jej pomóc.

Maria odwróciła się do niej plecami.

- Proszę mnie zostawić w spokoju. Wszystko w porządku. Proszę mnie nie dotykać. Niech mnie pani nie dotyka.

Kiedy tak stała, wydawała się mniejsza, zgarbiona pod ciężarem nieszczęścia. Jej cera pozbawiona była koloru, krwi, miała trupi odcień. Długie pasmo gęstych, ciemnych włosów opadło jej na twarz,

zasłaniając usta. Maria bezskutecznie próbowała odgarnąć kosmyk, jakby nie będąc w stanie dać sobie z nim rady.-

- Te włosy - powiedziała. - Chcę ściąć te włosy. Chcę je obciąć. Chcę to zrobić zaraz. Czy mogę teraz to zrobić?

- Później - odpowiedziała Miranda. - Później to zrobimy. Mario, sądzę, że lepiej by było, gdybyśmy...

Maria oswobodziła się od ręki Mirandy.

- Mówiłam już, niech mnie pani nie dotyka. Chcę to już mieć za sobą. Chcę ją zobaczyć. Proszę mnie zaprowadzić do mojej siostry. Chcę to zrobić, natychmiast!

Miranda skinęła głową i poszły przed siebie długim, ciemnym korytarzem, mijając ułożone piętrowo kawiarniane meble i wypełnione po brzegi worki ze śmieciami.

Kiedy mijaly małe pomieszczenie biurowe, przestraszył je nagły wybuch śmiechu. Niski, łysy mężczyzna w brudnym białym fartuchu, z podwiniętymi nogawkami spodni, wyszedł ku nim, wciąż zaśmiewając się z usłyszanego dopiero co dowcipu. Pokiwał w ich stronę głową, jakby i one wiedziały, co go tak rozbawiło.

- Zaczekaj tutaj - poleciła Miranda przed drzwiami do kostnicy. Ton jej głosu był oschły, oficjalny, bezosobowy, pozbawiony emocji.

- Nie ma ich tutaj - poinformował Mirandę urzędnik siedzący za biurkiem pokrytym gumoleum. - Przewieziono je na Manhattan. Mamy tu kilku facetów z mafii, których zastrzelono podczas kolacji - kurna, jednego to załatwiono w restauracji, do której zwykle zabieram żonę, ta-

l

i %

ki mały lokal przy bulwarze. Drugiego faceta zastrzelono w podobnej knajpie, tyle że przy autostradzie międzysta-nowej. Muszę się dowiedzieć o nazwę tego lokalu; ci faceci zawsze jadają tam, gdzie jest wyśmienite jedzenie. - Wyszczerył zęby. - Przynajmniej mieli porządną ostatnią wiesz, co? Jeden z nich, starszy facet, kurna, upadł do przodu, pac, prosto w pełen talerz spaghetti. Z początku myślałem, że to krew, ale kiedy go wytarli, mówię pani, pachniało to dużo lepiej, rozumie pani?

- Gdzie są ciała tych dwóch kobiet?

Zajrzał do rejestru, po czym obrócił go w stronę Mirandy, żeby sama mogła sprawdzić. Grubym palcem wskazał odpowiednią linijkę.

Są na Manhattanie. Przerzucamy truposzy gdzie się da, nie rozumiem, co się dzieje. To pewnie przez tę pogodę tak ludzie wariują, czy co? Wie pani, jednego dnia w zeszłym tygodniu siedzę tu sobie, pilnuję roboty, no i jak pani myśli, kogo mi tu dają? Mojego barmana. To znaczy tego faceta z baru, do którego chodzę na drinka może z piętnaście, może dwadzieścia lat, taka mała knajpa w Queens Village, przyjemny lokal, prawie jak w domu, i jakiś model, facet z sąsiedztwa, nie jakiś tam czubek z zewnątrz, ale stały klient, rozumie pani, wdaje się w kłótnię z byle powodu, idzie sobie do domu, po czym wraca do knajpy, celuje facetowi między oczy i rozwala go, wyobraża pani sobie? Willy'ego, tego barmana, znałem już ze dwadzieścia lat. Śmieszne, ale nie wiedziałem, jak się nazywa, póki nie wpisałem go do księgi. Wilson. Willy Wilson, rozumie pani? Niech no mi teraz pani powie, czy to jakieś wariactwo, czy co? Jezu drogi, człowiek sam nie wie, co go czeka, kiedy rano wstaje z łóżka, nie?

- Racja - powiedziała Miranda.

Ujęła Marię pod ramię i poprowadziła ją z powrotem wzdłuż ciemnego korytarza.

- Pomyliłam się — powiedziała trzymając się blisko dziewczyny. - Musimy jechać na Manhattan.

■ 196

Maria dokonała identyfikacji zwłok prędko, spokojnie i cicho. Tak. To jej siostra, Arabella Vidales. Zamglone oczy połyskujące spod opuchniętych powiek, obca twarz bez wyrazu, zniekształcona przez śmierć, piękne włosy, przyklepane i bez połysku, przypominające gnijącą roślinność - nic jednak nie było w stanie ukryć faktu. To była Arabella Vidales, jej siostra.

Miranda zaprowadziła Marię do poczekalni i wskazała jej plastikowe krzesło. W pokoju stały w

grupach po kilka plastikowe meble, przeznaczone dla pogrążonych w smutku krewnych. Oczy Marii były ogromne, czarne, błyszczące, puste. Dziewczyna odbywała swą narkotyczną podróż i Miranda nie chciała dopuścić, by się za bardzo oddaliła.

- Czy wiesz - zapytała - że ta dziewczyna, Anna Grace, wyglądała bardzo podobnie, kiedy była w kostnicy? Spójrz na mnie, mówię przecież do ciebie.

Maria patrzyła gdzieś poprzez Mirandę.

Miranda pochyliła się nisko nad Marią i uniosła jej brodę.

- Posłuchaj mnie. To mogłaś być ty, tam, w tym pudle, z otwartymi ustami i niewidzącymi oczyma. Nic nie widząca, nic nie czująca, na zawsze. On był przekonany, że to ciebie zabija, prawda?

Maria starała się od niej odsunąć, ale Miranda wzmocniła uścisk.

- Nie. Porozmawiajmy o tym teraz. Tutaj. Dopóki jeszcze możesz ze mną rozmawiać. Nie chcę stać nad twoim ciałem i patrzeć na twoje zwłoki.

Dziewczyna zaczęła jęczeć: . - Nie mów tak. Nie mów tak. Proszę, nie mów tak do mnie.

- Ale to prawda, tak? Mera sądził, że to ciebie dopadł, ale się pomylił. Wtedy dostało się Arabelli i Christine. Dlaczego? Powiedz mi, Mario, kto to zrobił? To nie sprawka Mery. Był w areszcie na Florydzie, kiedy to się stało. Wiesz, co to oznacza, prawda? Że ten ktoś jest nadal na
17

'U

4 4

Maria dokonała identyfikacji zwłok prędko, spokojnie i cicho. Tak. To jej siostra, Arabella Vidales. Zamglone oczy połyskujące spod opuchniętych powiek, obca twarz bez wyrazu, zniekształcona przez śmierć, piękne włosy, przyklepane i bez połysku, przypominające gnijącą roślinność - nic jednak nie było w stanie ukryć faktu. To była Arabella Vidales, jej siostra.

Miranda zaprowadziła Marię do poczekalni i wskazała jej plastikowe krzesło. W pokoju stały w grupach po kilka plastikowe meble, przeznaczone dla pogrążonych w smutku krewnych. Oczy Marii były ogromne, czarne, błyszczące, puste. Dziewczyna odbywała swą narkotyczną podróż i Miranda nie chciała dopuścić, by się za bardzo oddaliła.

- Czy wiesz - zapytała - że ta dziewczyna, Anna Grace, wyglądała bardzo podobnie, kiedy była w kostnicy? Spójrz na mnie, mówię przecież do ciebie.

Maria patrzyła gdzieś poprzez Mirandę.

Miranda pochyliła się nisko nad Marią i uniosła jej brodę.

- Posłuchaj mnie. To mogłaś być ty, tam, w tym pudle, z otwartymi ustami i niewidzącymi oczyma. Nic nie widząca, nic nie czująca, na zawsze. On był przekonany, że to ciebie zabija, prawda?

Maria starała się od niej odsunąć, ale Miranda wzmocniła uścisk.

- Nie. Porozmawiajmy o tym teraz. Tutaj. Dopóki jeszcze możesz ze mną rozmawiać. Nie chcę stać nad twoim ciałem i patrzeć na twoje zwłoki.

Dziewczyna zaczęła jęczeć: . - Nie mów tak. Nie mów tak. Proszę, nie mów tak do mnie.

- Ale to prawda, tak? Mera sądził, że to ciebie dopadł, ale się pomylił. Wtedy dostało się Arabelli i Christine. Dlaczego? Powiedz mi, Mario, kto to zrobił? To nie sprawka Mery. Był w areszcie na Florydzie, kiedy to się stało. Wiesz, co to oznacza, prawda? Że ten ktoś jest nadal na
17

wolności. Uważam, że jesteś w bardzo złym położeniu, i chyba o tym wiesz, myślę też, że potrzebujesz pomocy.

Dziewczyna zamrugnęła oczyma, cofnęła się, w końcu zwróciła się do Mirandy:

- Aaa, i to właśnie pani ma mi pomóc? Pani zapewni mi bezpieczeństwo, co?

- Tylko częściowo. Sama musisz sobie pomóc. Ja też się postaram. Zrobię, co tylko będę mogła, ale nic nie osiągnę bez twojej pomocy. Mario, na miłość boską, powiedz mi, co się stało.

- Jest pani taka sprytna, pani policjantko. Jest pani taka sprytna. Niech pani sama mi powie. Wszystko pani wie.

Miranda zaczęła mówić ściszym głosem, tak że Maria musiała się przysunąć, żeby ją usłyszeć.

- Więc dobrze. Arabella i Christine były przewoźniczkami. Kokainy, może heroiny. Przewoziły ją dla Mery. Sądzę, że Mera to nikt ważny... pośrednik, w jakiś tam sposób. I dlatego postanowił cię dopaść. By dać im nauczkę. Ale popełnił błąd. Dopadł nie tę dziewczynę, co trzeba. I wtedy...

- Tak? No i co potem? Tego już pani nie wie. Nic pani nie- wie, bo myli się pani we wszystkim. Moja siostra... moja siostra... związała się z jakimiś typami. Czasami się o nią bałam. Arabella... moja siostra... była taka łatwowierna, można by sądzić inaczej... ale ja się bałam. Mówiła coś o jakichś facetach, których gdzieś poznały, nie mam pojęcia gdzie. I przytrafiło im się ta wszystko, bo nie miała wystarczająco dużo rozumu. I tyle. Tyle, jeśli chodzi o pani historyjki, pani policjantko. Czy może przesiedziała pani całą noc wymyślając jeszcze jakieś inne historyjki, które opowiada pani ludziom?

- Mario, pracowałam w wydziale narkotyków przez wiele lat. Znam układy. Wiem, że przewoźnicy zgarniają trochę towaru dla siebie. I sprzedają go na boku. Uważnie obserwowała Marię. Dziewczyna zacisnęła zęby i twarz jej się wykrzywiła, jakby przygryzła jakiś nerw.

198

Afl

Miranda ciągnęła dalej, znajdując wskazówki w reakcjach Marii:

- A więc czasami zgarniają trochę za dużo i wpadają. Czasami to jest tylko odrobina, na początku, odrobina, by komuś pomóc. Może siostrze, której potrzeba kilku dodatkowych dolarów na szkołę. Nie zaszkodzi też szczypta kokainy, by mózg lepiej pracował, by jakoś przetrwać te trudne noce przed egzaminem. - Pokręciła głową. - Nie ma sprawy. Mario, sama chodziłam do szkoły wieczorowej, by zrobić dyplom, wiem, jak to jest. Wiem, jak to może pomóc. Tylko trochę, brane rozważnie, bez nadużywania. Mój Boże, czasami człowiek dałby wszystko za tę odrobinę pomocy, za coś tak przyjemnego, co ułatwi trudną pracę. Znam to, Mario. Sama to przeżyłam. Nie jestem tak całkowicie poza obrębem twojego świata, co? Jestem od ciebie starsza tylko o kilka lat. Byłam w samym środku tego wszystkiego. Odrobina jest dobra, pomaga. Mały handelek wśród przyjaciół, mój Boże, pokochają cię za to, bo przecież nie chodzi o pieniądze, tylko żeby im pomóc. Nie zdzierasz z nich skóry, nie zależy ci na wzbogaceniu się, masz tylko na pokrycie wydatków i trochę forsy ekstra. Jakaż byłaby z Arabelli siostra, gdyby nie uszczknęła trochę dla ciebie i twoich przyjaciół? Dobrze się tobą opiekowała, na pewno. Czemu nie? Małe dawki nikomu nie szkodzą.

- No to czemu robi pani z tego taką sprawę?

- Z powodu tych innych ludzi. Tych ważniejszych. Tych, dzięki którym, przyjemności, luz, wzajemna pomoc zamieniają się w coś złego. Tych ważniaków, którzy nie lubią, żeby młode kobiety w rodzaju Arabelli i Christine coś kombinowały na własną rękę, próbując zarobić jakiś grosz. Przypuszczam, że także Mera odkładał trochę towaru dla siebie i kiedy odkrył, że i one to robią, chciał zrzucić całą winę na nie. Chyba tak się właśnie stało. Zwalił na nie całą winę. Miał pewnie zamiar powiedzieć „tym innym”: „Widzicie, załatwiłem młodszą siostrę, by dać im nauczkę”. Ale kiedy odkrył, że się pomylił, prze-

199

1

straszył się i uciekł. Aż do Miami. A ci inni, ci ważni, postanowili zabić Arabellę i Christine, żeby się zabezpieczyć. Czy to wszystko ma dla ciebie sens?

Maria patrzyła na nią obojętnie.

- Ale jest jeszcze jedna niejasna sprawa, Mario. Mera dopadł nie tę dziewczynę, co trzeba. Miała pecha. Anna Grace umarła bez powodu, jedynie dlatego, że była do ciebie podobna i że Mera się pomylił. No i dzięki temu ty nadal chodzisz sobie po świecie. Chyba nie sądzisz, że pozwolą ci

dłużej tak sobie chodzić po tym świecie, co?

Maria Vidales wzięła głęboki wdech. Siedziała wyprostowana, ze sztywnym kręgosłupem i z zadartą brodą. Jej głos był zgrzytliwy, jakby z trudem wyrzucała słowa z zachrypniętego i obolałego gardła.

- Nie mam pojęcia, co mi pani tu pieprzy, pani policjantko. - Językiem wydobyla ostre, szydercze mlaśnięcie. - To straszne zobaczyć, co się przytrafia jednej z nas, kiedy zostaje jedną z nich. - Ostatnim słowem towarzyszył chropawy, syczący dźwięk: - Jesteś gorsza niż oni wszyscy do kupy wzięci. Wypinasz się na? takich samych jak ty.

Maria odwróciła od niej wzrok, wykrzywiając z pogardą usta. Nie zobaczyła, jak nagły skurcz bólu przebiegł po twarzy Mirandy Torres.

XXV

Sądząc, że nie ma już nic do stracenia, Miranda postanowiła zaryzykować.

- Muszę na chwilę wstąpić do mojego mieszkania, potem odwożę cię do domu - powiedziała do Marii. - Muszę coś sprawdzić.

Kiedy Miranda zatrzymała samochód przed swoim domem, przyjrzała się uważnie siedzącej obok niej dziewczynie. Była zimna jak kamień, nieruchoma, bez wyrazu. Słuchała, a zdawało się, że nie słyszy. Gdy Miranda po-

200

prosiła ją, żeby wstąpiła z nią na chwilę do mieszkania, Maria Vidales poszła za nią nie zadając żadnych pytań.

Miranda nie miała pewności, czy dobrze robi, ale była przekonana, że jest to jedyne, co jej pozostało. Jeśli straci teraz kontakt z Marią, to straci go ostatecznie, bez nadziei na jego ponowne nawiązanie.

Obserwowała obojętną twarz dziewczyny, szukając choćby śladu tego, co działo się w jej wnętrzu. Maria tak dalece pogrążyła się w sobie, że niemal zupełnie znikła.

- To zajmie tylko kilka minut - zapewniła ją Miranda.

— Jest coś, na co powinnaś rzucić okiem.

Nadal miała w domu odtwarzacz wideo i kopię taśmy z nagraniem morderstwem, którą dostała od Mike'a.

- Możesz przecież zachować sobie kopię - poradził jej.

- Niektórzy ludzie zapłaciliby fortunę za tę taśmę. Prawdziwy, najuczciwszy, autentyczny zapis zabójstwa. Samo życie.

Początkowo Maria patrzyła na ekran telewizora jakby nic nie widząc, ale kiedy usłyszała krzyk, pochyliła się do przodu, zmrzyła oczy, po czym odwróciła się.

Miranda zatrzymała wideo w obawie, że może coś niechcący wymazuje. Nie lubiła żadnych takich urządzeń. Nie podobało jej się także to, co właśnie robiła.

Maria wstała, ale Miranda podeszła do niej i położyła jej dłonie na ramionach.

- Nie. Siadaj tu i patrz. Nawet jeśli ma to trwać całą noc, będziesz tu siedzieć, aż zobaczysz wszystko. Od początku do końca. Obejrzyj sobie Merę i tę dziewczynę. Ty wiesz i ja wiem to, czego on nie wiedział. Że zabija nie tę dziewczynę. Sądził, że Anna Grace to ty.

Maria starała się uwolnić, wykręcić, jej twarz ponownie się ożywiła, a oczy wypełniły się łzami, które popłynęły po nagle zarumienionych policzkach.

- Nie! To jakaś sztuczka. Nie chcę tego oglądać, tego paskudztwa. To tylko jakaś sztuczka. Miranda miała nad nią przewagę, bardziej panowała nad sytuacją.

- Siadaj. Masz. Wypij to. - Przygotowała trochę mrożonej herbaty. Obawiała się podać dziewczynie coś mocniejszego. Nie wiedziała, jakie narkotyki zażywała Maria.

Maria wypila duszkiem herbatę, zachłystując się, szukając w zimnym napoju czegoś, czego tam nie było. Złapała Mirandę za rękę.

- Co to za taśma, ten film? Jaki kawał chcecie mi zrobić?

- To żaden kawał. Taśma jest prawdziwa. Nakręcił ją jakiś student mieszkający przy Barclay Street. Od pierwszego ciosu, jaki zadał jej Mera, aż do końca. Tak jak to się odbyło. Mario, to tobie

on zadaje ciosy. Wiesz o tym. Ty o tym wiesz.

Maria zwinęła się z powrotem w fotelu, podciągając pod siebie nogi, oplatając ciało ramionami, obejmując je. Rozchyliła usta i każdy straszny błysk noża zapierał jej dech w piersi, jęczała przy każdym krzyku. Zakryła oczy dłońmi. Miranda wyłączyła wideo. f

- Nie. Nie zakrywaj oczu dlatego, że jest to takie straszne. To wszystko trwało nadal. On nie zatrzymał się dlatego, że to było dłużej nie do zniesienia. Chciał, żebyś umarła, a ty walczyłaś z nim, kiedy zadawał ci cios za ciosem. Patrz na to, Mario, do cholery, patrz i słuchaj, żebyś nie zapomniała tego do końca życia. To tobie zadawał ciosy tamtej nocy. To ciebie zostawił, żebyś się wykrwawiła na śmierć, podczas gdy twoi sąsiedzi wyglądali sobie przez okno, gapiąc się, jak umierasz. Teraz ty to zobacz, od początku do końca, popatrz, co tam się działo. To się przydarzyło tobie. Dla Mery... tą dziewczyną byłaś ty.

Miranda przewinęła taśmę do początku, wcisnęła przycisk i scena morderstwa rozegrała się od nowa. Maria oglądała ją, prawie nie oddychając. Siedziała wpatrzona w ekran aż do chwili, gdy stał się szary, a potem długo jeszcze nie odrywała od niego wzroku.

- No dobrze. Wystarczy - powiedziała Miranda. -Przeżyłaś coś, czego nikt dotąd nie przeżył. Siedziałaś sobie oglądając na taśmie wideo, jak cię mordują. Każdy

202

cios, każda rana, każde okaleczenie przeznaczone było dla ciebie. Mario!

Dziewczyna zdawała się być w transie, znieczulona, jakby zahipnotyzowana pustym ekranem telewizyjnym. Miranda chwyciła torebkę dziewczyny i wysypała jej zawartość na biurko. Było tam pudełeczko do makijażu wypełnione kapsułkami, proszkami, różnego rodzaju substancjami do wywoływania najrozmaitszych odczuć. Znajdowała się tam również fiolka z kokainą. Ostrożnie, umiejętnie Miranda usypała dwie cienkie smużki na odwrocie koperty.

- Mario. Chodź tutaj. Tylko ten jeden raz, Mario. Reszta trafi do ubikacji, ale teraz tu podejdź. Zrób to.

Efekt nastąpił natychmiast: dziewczyna przypomniała sobie z pełną ostrością i mocą to, co przed chwilą zobaczyła. Zaczęła się trząść, szczękać zębami, ale nie z powodu narkotyku, który zażyła, tylko dlatego, że uświadomiła sobie w końcu, co zobaczyła i co to znaczy.

- Opowiedz mi o Carlosie Galvezie, twoim kuzynie. Jak on ma się do tego wszystkiego?

Maria wpiła się palcami w Mirandę i łapiąc ją za rękawy przyciągnęła do siebie.

- Tylko nie on - wyszeptała. - On nie istnieje. Nie wiem, o kogo pani chodzi. Proszę. Detektywie Torres, na miłość boską, błagam!

- No więc dobrze. Niech tak będzie, Mario. Na razie. Nie ma żadnego kuzyna. Powiedz mi o Merze. Paul Mera. Jaki on ma z tym związek? Dlaczego chciał cię zabić?

- Tak jak pani poprzednio mówiła. To, co pani zgadła. Tak jak pani powiedziała.

Miranda myślała szybko - przypominając sobie wszystko, starając się nakłonić dziewczynę, żeby podała fakty, które zastąpiłyby jej dotychczasowe przypuszczenia. Powoli, niechętnie Maria zaczęła opowiadać trochę chaotyczną historię, ścisząc głos do szeptu, popłakując, drżąc. Potem błagała o jeszcze trochę kokainy, lecz Miranda zignorowała jej prośbę. Odtwarzała chronologię wypadków.

X

Podczas niektórych lotów zarówno Arabella, jak i Christine przewoziły spore ilości kokainy, którą odbierał Mera. Z czasem zaczął podkradać towar. Pokazał stewardesom, jakie to łatwe, tyle że trzeba to robić szybko. Wyliczano go z czasu i dokładnie pilnowano. Potrzebował więc ich pomocy i płacił im za to niezłą premię.

To naprawdę było bardzo proste. Uznały, że to niepoważne, aby Mera dawał im jedynie małą sumę pieniędzy, kiedy to głównie one ponoszą ryzyko, więc kilka razy uszczknęły trochę towaru dla siebie. Twierdziły potem, że zostały przetrzymane na lotnisku Kennedy'ego z jakichś mało istotnych powodów, jakaś odprawa dla załogi. Mera bez trudu dał się na to nabrać.

- Kiedy Arabella do mnie zadzwoniła, powiedziała, że Mera pytał o mnie. Mówił, że ma pomysł. Czemu by mała siostrzyczka nie miała włączyć się do akcji? Przecież studiuje. Mnóstwo

tam klientów. Kazał Arze przyprowadzić mnie do jego mieszkania, a on już coś dla mnie wykombinuje.

I dlatego siostra ostrzegła Marię, żeby się trzymała z daleka; że dzieje się coś niedobrego. Że zajmie się tą sprawą, ale Maria ma się trzymać od tego wszystkiego jak najdalej.

- Niedługo potem znowu do mnie zadzwoniła. W środę w nocy. Kiedy on już tam był, na ulicy. Zabijając... tę dziewczynę. Zabijając... mnie. Ara powiedziała mi przez telefon, że dzieje się coś okropnego. Że nie powinnam wracać do domu, póki do mnie nie zadzwoni. I że sama wszystkim się zajmie.

- Co miała na myśli mówiąc, że wszystkim się zajmie?

>- Nie wiem. Nie wiem — odpowiedziała Maria drżącym głosem; wypowiadała słowa coraz wolniej. Pociągnęła nosem, zakaszłała i spojrzała na Mirandę. — Słuchaj, potrzebuję...

- Czy miałaś później jeszcze jakąś wiadomość od Arabelli? Po tym ostatnim telefonie? Maria pokręciła głową.

204

' * *

- I bałaś się o nią i o Christine. Co myślałaś, co mogło im się przytrafić?

Maria spojrzała na nią, tym razem ze złością, wykorzystując tę złość, by w ten sposób pokonać strach.

- Co ma znaczyć to pytanie? Co miałabym myśleć, że im się przytrafiło? Sama pani widzi, co się stało! Wie pani przecież, gdzie jest moja siostra.

- A jak tam trafiła? Carlos? Czy to ón jest następny w hierarchii, Carlos? Czy Mera dla niego pracował?

- Dla kogo?

I tak już miało pozostać: żadnych więcej informacji. Nie ma żadnego Carlosa. Krok w tył i wycofanie się. Od tej chwili same zaprzeczenia.

- Mario, chcę wystąpić do prokuratora okręgowego o nadzór prewencyjny dla ciebie. Jesteś bezpośrednio narażona na niebezpieczeństwo...

- Nadzór? Czy pani zwariowała? Myśli pani, że się na to zgodzę? Nie mam zamiaru iść do więzienia.

- Nie do więzienia. Będziesz w bezpiecznym miejscu.

- W bezpiecznym miejscu? - Maria roześmiała się. - A gdzie ono jest, to bezpieczne miejsce?

- Obiecuję ci, że znajdę bezpieczne miejsce, gdzie będziesz mogła się odprężyć. Gdzie nie będziesz musiała się niczego obawiać. Nie będzie to cela, Mario, tylko miejsce gdzie... Pozwól, że się tym zajmę. Przez cały czas miałabyś przy sobie kogoś, kto by cię chronił i...

- Nie ma mowy! Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Kto niby miałby mnie skrzywdzić? Niech pani posłucha, detektywie Torres, jacyś dranie umówili się na randkę randkę z moją siostrą i z Christine i coś musiało się między nimi popsuć. Czasami Ara nie postępowała rozsądnie. Może pani o to zapytać pierwszą lepszą dziewczynę, z którą pracowała. A więc pewnie trafiły na jakichś najprawdziwszych drani, no i czy ja wiem, może brali narkotyki i sprawy wymknęły się spod kontroli. I wtedy ci łajdacy wpadli w panikę i wyrzucili je tam. W tamtym miejscu, mówiła pani, koło lotniska Kennedy'ego i... Rozumie pani?

205

n

- O tak, rozumiem. To twoja wersja. Świetnie. Trzymaj się jej. Oficjalnie. Niech to będzie twoje zeznanie, twoja teoria, a policja się tym zajmie i postara się odnaleźć tych „najprawdziwszych drani”, z którymi umówiły się twoja siostra i Christine. Dobra. To znakomity temat na artykuł. Ale tymczasem zostaniesz bezpiecznie ukryta i...

- Nie! Nie ma mowy. Nie! Na razie chcę stąd wyjść. Natychmiast.

Miranda oparła się na kontuarze oddzielającym kuchnię od pokoju. Splotła ręce na piersi, uniosła odrobinę brodę i z uśmiechem powiedziała:

- Tam są drzwi. Idź..

Maria zawahała się przez chwilę, po czym znalazła swoją torbę i wrzuciła do niej wszystkie drobiazgi.

- Gdzie są moje... rzeczy? Nie szkodzi. Nieważne. Nie ma sprawy. Ale, gdzie my jesteśmy? W Queens?

- W Astorii. Jeśli chcesz, odwiozę cię do twojego mieszkania. Jeśli tam się wybierasz. Albo możemy wezwać taksówkę. Jest też metro.

- Nie pani sprawa, jakie mam plany. Zrobię, co będę chciała, do cholery. I nie ma tu pani nic do gadania. Ani policja, ani prokurator okręgowy, ani...

- Ani kuzyn Carlos?

Przez chwilę Maria stała w całkowitym bezruchu, w jej oczach najpierw pojawił się strach, a potem złość.

- Niech pani o nim zapomni, detektywie Torres. Ze względu na siebie i na mnie, niech pani o nim zapomni.

Wyszła z mieszkania Mirandy i zatrzymała taksówkę.

Detektyw Dunphy, który obserwował mieszkanie Mirandy, odkąd zadzwoniła do niego z kostnicy, pojechał za taksówką na Barclay Street i obserwował, jak Maria wchodzi do domu, potem zobaczył, jak w oknie zapaliło się światło. Zadzwonił z samochodu do swej współpracownicy, by jej powiedzieć, żeby się odprężyła i poszła do łóżka odpocząć. Będzie miał Marię na oku przez resztę nocy.

206

• 1 w

Nie zadawał Mirandzie żadnych pytań. Wiedział, że i tak powie mu wszystko, co tylko będzie chciał wiedzieć.

XXVI

Zastępca prokuratora okręgowego, Jerome mów-mi--Sonny Waters, rozglądał się po pokoju brygady, jakby szacował skład ławy przysięgłych. Wydawał się nie bardzo zadowolony z detektywów o kamiennych twarzach, którzy śledzili każdy jego ruch bez mrugnięcia okiem.

— Nie rozumiem postawy żadnego z was - powiedział. - Nie wiem, co wam się tu nie podoba. Mamy przecież faceta, który przyznaje się do popełnienia czterech morderstw. Jest chętny do współpracy, pomocny, otwarty, przekazał nam informacje, których szukaliśmy. Sami widzicie, że mamy go w garści, jeśli chodzi o sprawę Anny Grace, tak?

Nikt nie odezwał się słowem. Waters spojrział na kapitana O'Connora, który zdawał się patrzeć na coś ponad jego głową.

— Nie rozumiem, po co wy w ogóle przesłuchujecie go w związku z zabójstwem tych dwóch stewardes, które pozwoliły się ukatrupić i wyrzucić na wysypisko śmieci koło lotniska Kennedy'ego. Nie ma nic, zupełnie nic, co by go łączyło z tymi dwiema kobietami. Czy nie tak? Kapitan O'Connor westchnął, po czym odezwał się cicho:

- Nie ma nic, zupełnie nic, co łączyłoby Merę z tymi trzema pozostałymi morderstwami, popełnionymi w tym roku w Queens. Do popełnienia każdego z nich przyznało się pięć, sześć osób. Ich zeznania są tyle samo warte co zeznania Mery.

- No widzicie. O tym właśnie mówię! - zakrzyknął Waters do zgromadzonych w pokoju detektywów. - Mamy w garści najprawdziwszego mordercę, którego wina nie

207

podlega kwestii. Mamy go nagranych na taśmę wideo, mamy milion naocznych świadków, no i dodatkowo jego zeznanie. Powiedzmy, że ma pietra, że sumienie nie daje mu spokoju. Czy co tam jeszcze. Myśli więc sobie: „Mogą mnie wsadzić tylko raz, więc przy okazji oczyszcze swoje konto”. Przyznaje się więc do trzech pozostałych zabójstw. A wy nie chcecie uznać jego zeznań za wiarygodne. Dlaczego? Dlaczego? Bo zmienił swoje metody działania? Bo inne kobiety łapał w ciemności, gwałcił i podrzywał im gardło? No więc zrobił to inaczej w przypadku Anny Grace. Dlaczego nie miałby spróbować czegoś nowego? Niech pan posłucha, kapitanie, mówiono mi, że on zna takie szczegóły, jakie może znać jedynie morderca i...

- Ktoś mu przekazał te informacje - odpowiedział kapitan O'Connor. - To oczywiste. Nie

wiem, dlaczego ani....

Waters oparł dłonie na biurku O'Connora i pochylił się do przodu. Pokręcił głową, po czym rozejrzał się po pokoju, zatrzymując wzrok na detektywie z wydziału zabójstw.

- Wy! Wy jesteście z wydziału zabójstw, prawda? Jak się nazywacie?
- Sergeant - odpowiedział detektyw.

Waters zeszywniał. Chyba wszyscy się tu przysięgli, by mu utrudniać pracę

- Nie pytałem was o stopień. Pytałem o wasze nazwisko.

Detektyw z wydziału zabójstw odpowiedział:

- Nazywam się Richard Sergeant.

Waters utkwił w nim wzrok, rozważając tę informację w myślach. - No dobrze, już dobrze. Więc pracujecie w wydziale zabójstw, prawda, e...detektywie Sergeant? A on — prokurator wycelował palcem w stronę O'Connora, nie spuszczać oczu z detektywa z wydziału zabójstw - on oskarża waszych kolegów o...

Pięść kapitana O'Connora opadła ciężko na blat biurka. Rozległo się głośne trzaśnięcie, jakby łamanych kości.

Waters podskoczył, przestraszony.

208

+ * ~

- Wolnego, Waters. Nie oskarżałem o nic nikogo z wydziału zabójstw ani żadnego innego oficera policji. Informacje mogą przeciekać na wiele sposobów, kiedy ktoś jest przetrzymywany i można przy tej okazji ubić jakiś mały interes. Mnie niepokoi jedno, dlaczego ten facet, Mera tak chętnie przyznaje się do wszystkich zabójstw, ale jednocześnie, kiedy moi ludzie zaczęli wypytywać go o te dwie zamordowane stewardesy, to on...

- No, no, kapitanie - Waters przybrał kumplowski ton; był przecież jednym z nich. - Któż, u diabła, może wiedzieć, co się roi takiemu czubkowi w głowie? Tak bym to ujął, detektywie... tę panią i jej kolegę zaskoczyła reakcja Mery. Rozumiem, że go trochę poniosło i...

Detektyw Dunphy odebrał sygnał od O'Connora. Przerwał więc prokuratorowi okręgowemu:

- Ten pański facet dostał kompletnego świra. Walił głową w stół, potem tarzał się po podłodze, wierzgając nogami i tak dalej. Ale kiedy tylko moja koleżanka powiedziała mu, że zadzwoni do Kings, od razu wziął się w garść.

- No i? O czym to świadczy? To wariat, i taka będzie prawdopodobnie jego linia obrony. A więc, o co wam chodzi?

Miranda podchwyciła temat, który zaczął Dunphy. Dobrze im szło.

- Chodzi o to, panie Waters, że pan Mera tylko czasami wariuje. Kiedy nie chce akurat o czymś mówić, jak na przykład o zabójstwie dwóch stewardes z Avianca, wtedy robi przedstawienie i...

- Już dobrze, rozumiem. „Przedstawienie”. A ty, moje drogie dziewczę, poza tym że jesteś policjantką, jesteś, jak widzę, także i psychiatrą? Ekspertem od czubków i im podobnych przypadków? Wiele pieniędzy zaoszczędzi miastu taka policjantka-i-psychiatra w jednej osobie. Jest pani niebywale utalentowana. - Zwrócił się do O'Conno-ra: - Nie tylko jest seksowna. Ma też wiele innych zalet. Oszłamiająca.

209

Kapitan O'Connor miał sześć stóp i dwa cale wzrostu. Czasami wydawał się niższy, mniejszy, ale czasami, tak jak teraz, kiedy podnosił się powoli, z rozmysłem, wydawał się olbrzymem. W pewien specyficzny sposób prostował kręgosłup, podnosił wysoko głowę i cofał ją, spoglądając z góry. Zastępca prokuratora okręgowego odruchowo odsunął się o krok od biurka kapitana.

- No dobrze. Wystarczy. Ta kobieta to detektyw Torres, detektyw drugiego stopnia, ceniony pracownik mojej brygady. Nie wolno panu zwracać się do niej inaczej aniżeli posługując się jej tytułem, to znaczy: detektywie. A jeśli nie podoba się panu postawa któregokolwiek z pracowników

mojej brygady czy jakiegokolwiek innej osoby, która pracuje dla mnie w tej sprawie, może pan to ze mną omówić na osobności. I jeszcze coś panu powiem, Sonny. Nie podoba mi się pan ani też to, że zupełnie, ale to zupełnie nie daje pan sobie rady z całą tą sprawą. A więc może pan już stanąć przed sądem przysięgłych i postawić tyle oskarżeń, ile się panu podoba. To pańskie zada-' nie, nie moje. Ale to i tak będzie głównie warte, biorąc pod uwagę fakty.

Waters zacisnął pięści i zakotłuszył się do tyłu. Jego głos stał się piskliwy i cienki, z czego zdawał sobie sprawę, próbując go obniżyć, co mu się jednak nie udało.

- W porządku. Wystarczy. Świetnie. Dalej kiście się w tym wszystkim sami. I nie zapomnę, że odmówiliście mi poparcia. W wydziale policji miasta Nowy Jork są jeszcze inni ludzie, inni ludzie, których na pewno uradowałby fakt, że udało nam się zamknąć wreszcie sprawę tak zwanej Bestii z Queens. Obywatele tej dzielnicy, kobiety i dziewczyny, spaliby spokojniej wiedząc, że mamy tego faceta za kratkami. I że ja się do tego przyczyniłem. Nie proszę was wcale o opinie. Waszym zadaniem jest złożenie zeznań przed sądem przysięgłych w sprawie Anny Grace.

Mówiąc, trzymał głowę pochyloną, by w ten sposób modulować głos. Pozbierał swoje papiery rozrzucone na biur-

210

ku kapitana. Robił przy tym wszystko, by nie doszło do choćby najmniejszego kontaktu fizycznego między nim a O'Connorem, który stawał się coraz wyższy i wyższy.

- I nie zapomnę tego, co tu usłyszałem w tym pokoju, kapitanie O'Connor. - Spojrzał w górę, prosto w lodowate oczy O'Connora. - Nie, Nie zapomnę. Zapamiętam to sobie. - Puściły mu nerwy. Obrócił się gwałtownie zbierając się do wyjścia, ale uderzył się o róg biurka, potknął o krzesło, zaklął, po czym jednak zdołał wziąć się w garść, choć nie najlepiej wypadło jego wielkie wyjście.

- Pieprzony baran - mruknął O'Connor. Następnie, spoglądając w stronę Mirandy, z elegancją, którą wszyscy zachowywali w jej obecności, powiedział: - Przepraszam. Ten drań wytrącił mnie trochę z równowagi. Jezu drogi. -Zamaszystym ruchem wytarł sobie usta. - Jezu drogi.

- W porządku, żołnierze. Teraz spróbujemy uporządkować pewne sprawy. Chcę mieć więcej jasności. Co do dwóch rzeczy: Opowiedzcie mi jeszcze raz, jak zareagował Mera, kiedy zapytano go o Marię Vidales.

- Wpadł w panikę — odpowiedziała Miranda. — Przysięgał, że nigdy o niej nie słyszał. I powiedział: „Jeśli ona twierdzi, że mnie zna, to kłamie”.

O'Connor pochylił się nad biurkiem, zaskoczony.

- Ale ona wcale nie twierdzi, że go zna. Zaklinała się, że nigdy o nim nie słyszała. Tak nam pani mówiła.

- Rzeczywiście tak jest w jej oficjalnym zeznaniu.

Miranda sporządziła krótki raport z rozmowy, którą odbyła z Marią w kostnicy. O'Connor poszperał w papierach, znalazł go i pokiwał głową.

- Tak, pamiętam. A teraz niech mi pani przypomni w skrócie swoją teorię: o Annie Grace, Marii Vidales, Paulu Merze i stewardesach.

Miranda spojrzała na detektywa z wydziału zabójstw, a O'Connor skinął głową; w porządku, może mówić. Pokrótce przedstawiła im swoją teorię o pomyłce Mery, o powiązaniach narkotykowych. I po raz pierwszy wspomniała o Carlosie Galvezie.

211

- I nie może pani się z nim skontaktować w sprawie śmierci jego kuzynki?

- Nie. Jim i ja byliśmy na Inverness Street przed przyjazdem tutaj, dom jest ciemny. Jutro chcemy pogadać z sąsiadami, zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Dunphy wyjął kartkę z notatnika i podał ją przez biurko O'Connorowi. Była to informacja z biura ewidencji pojazdów na temat trzech samochodów zaparkowanych przed rezydencją Carlosa Galveza.

- Wszystkie zostały wynajęte. Na różne nazwiska. Jutro będziemy wiedzieć coś więcej.

Wszystkie zostały zwrócone; nawiasem mówiąc, nie znaleźliśmy nic specjalnego. Ten facet płaci

wszystkie rachunki.

- A co pani sądzi, Mirando, o tym, że Mera przyznał się do tych trzech morderstw, których nie popełnił? I że świruje, gdy tylko mowa o stewardesach, zaprzeczając jakimkolwiek z nimi powiązaniom?

- Myślę, że stara się trzymać jak najdalej od wszystkiego, co wiązałoby go z handlem narkotykami. Sądzę, że tak bardzo jest przestraszony tym, co zrobił, tak bardzo boi się ludzi, którzy chcieliby go dostać w swoje ręce i porachować się z nim za to, co zrobił, że raczej przyzna się do wszystkiego, co zmienia kategorię jego przestępstwa. Bestia z Queens nie zostanie umieszczony razem ze zwykłymi więźniami. Trzymany jest oddzielnie, w izolacji. Jest pod strażą, chroniony. Już teraz może domagać się specjalnego traktowania: specjalnych przywilejów, specjalnej ochrony. Dajcie mu tylko to, czego się domaga, a on przyzna się do każdego morderstwa, jakie chcecie. Coś za coś.

O'Connor dokładnie analizował jej słowa. Słuchał jej z szacunkiem, jaki jeden zawodowiec ma dla drugiego. W końcu, wzruszając ramionami, powiedział:

- No dobrze. Reszta z was ma pewnie jakąś robotę do wykonania, jakieś sprawy, którymi musicie się zająć? - A potem zwrócił się do Mirandy: - Przed wyjściem proszę się u mnie stawić, Torres.

212

Musiła odczekać dziesięć minut, zanim pokój opustoszeje. Pozostał tylko jeden detektyw, który siedział zgarbiony nad swoim biurkiem i przeglądał notatki, starając się je uporządkować. Przyćmione żółte światło skierowane było na jego maszynę do pisania. Miranda delikatnie zapukała do drzwi i weszła do gabinetu kapitana O'Connora.

- Proszę - powiedział wskazując jej krzesło. Zawahał się, jakby podejmując decyzję. - Jak się pani układa ze Steinem? - zapytał w końcu.

Miranda siedziała wyprostowana na twardym, drewnianym krześle. Poczowała przypływ energii, stała się czujna. Nie było to pytanie, na które można odpowiedzieć, więc czekała dalej.

O'Connor dorzucił oschle:

- Nie jest to pytanie osobiste, detektywie Torres.

- Nie jestem całkiem pewna, o co panu chodzi, kapitanie O'Connor.

- No dobrze. Postawmy sprawę jasno. Stein nie dostanie więcej żadnej informacji na temat tej sprawy ani żadnej innej, nad którą pracuje nasza brygada. Miał dostęp tylko do informacji dotyczących zabójstwa Anny Grace. O ile dobrze wiem, była to pełna i otwarta wymiana informacji. Przekazał nam dodatkowe dane na temat świadków, co miało większą wartość dla niego niż dla nas, a my daliśmy mu wgląd we wszystko, co robiliśmy w związku z tą sprawą. Tak właśnie było. Czy nie tak?

Miranda nieznacznie uniosła głowę. Ostry zarys jej brody dodatkowo podkreślał refleks światła odbijającego się od biurka kapitana. Była napięta i dzięki temu mogła w pełni kontrolować swój głos i wyraz twarzy.

- Czy naprawdę uważa pan, kapitanie O'Connor, że trzeba mi to było mówić?

O'Connor natychmiast zareagował na wyzwanie. Odnosił wrażenie, że Miranda wykorzystuje swą przewagę, fakt, że jest kobietą. Żaden mężczyzna, nawet Dunphy, nie rzuciłby mu wyzwania tak otwarcie. Lub z takim gniewem.

— Najwidoczniej uważam, że jest to potrzebne. Inaczej nie siedziałbym tu z panią przy biurku, detektywie Torres.

Zapadła chwila milczenia, zanim znów zaczęła mówić. Rozważnie.

- Nie jestem pewna, czego się pan po mnie spodziewa, kapitanie. Zapewnienia z mojej strony, że w pełni rozumiem, jakie są granice przywileju dostępności do informacji, z którego korzysta pan Stein? W pełni zrozumiałam wytyczne, które od pana otrzymałam na początku, i postępowałam zgodnie z nimi. - Odetchnęła powoli, głęboko, by się uspokoić. - Naprawdę nie rozumiem, kapitanie, czego dotyczy pańskie pytanie?

W rzeczy samej kapitan William O'Connor sam nie był pewien, o co mu chodzi. Ufał Mirandzie, tak jak ufał każdemu innemu detektywowi w swojej brygadzie: całkowicie. Ale nie bez zastrzeżeń.

Taka była ta robota. Lata doświadczeń, pracy z ludźmi w różnych sytuacjach, na które zwykli śmiertelnicy nie natkną się w całym swoim życiu.

Poza tym że była piękna, i to w sposób, którego nie potrafił do końca określić, Miranda Torres miała w sobie coś egzotycznego, intrygującego i pociągającego z powodu swej rezerwy i nieprzystępności. Dla żadnej kobiety nie żywił nigdy tak wielkiego szacunku jak dla niej. Była dla niego zagadką: inteligentna, lepiej wykształcona niż ktokolwiek inny w jego brygadzie, a mimo to otwarta i chętna, by się uczyć, przyswajając, słuchać i dzielić się z innymi swoją wiedzą, bez popisywania się, bez okazywania, że jest świadoma swej wyższości. Miała również poparcie kogoś wpływowego. Ale ani razu, przez cały czas swojej pracy w brygadzie, nigdy nie dała nikomu nawet w minimalnym stopniu odczuć, że zdaje sobie sprawę, iż wszyscy wiedzą o tym, że stoi za nią ktoś wpływowy, kto rozacza nad nią opiekę. Spodziewał się po niej pewnej arogancji, choćby zawołowanej,* ale w postawie Mirandy nie było nic takiego, co by świadczyło o posiadanych przez nią koneksjach.

214

*

Intrygowała go. Sam był zdumiony tym, że tak bardzo się nią interesuje.

Potem pomyślał o Mirandzie i Mike'u Steinie i oddając jej sprawiedliwość, przyznał, choć niechętnie, że dopóki nie łamie oficjalnych przepisów, dopóki nie podważa jego zawodowego zaufania do niej, dopóty nie ma prawa w nią wątpić.

Bo pytanie, które jej zadał, było osobiste, i on dobrze o tym wiedział.

Miranda również to wiedziała i w ten swój spokojny, ale zdecydowany sposób powiedziała mu, że to nie jego sprawa. Bez arogancji wynikającej z posiadanych znajomości, po prostu jak ktoś, kto korzysta z przysługujących mu praw.

- Mirando, niech już pani idzie do domu. Pani i Dunphy zajmiecie się sprawą Marii Vidales jutro. Czy pani wie, gdzie ona się teraz znajduje?

Od razu złapała, o co mu chodzi.

- O ile wiem, kapitanie, mieszka teraz w Parker Towers z kilkoma stewardesami. Zdaje się, że otoczyły ją opieką, ale sądzę...

O' Connor postukał palcem w raport napisany na maszynie.

- Ten wniosek w sprawie zastosowania wobec Marii Vidales nadzoru prewencyjnego. Zdaje sobie pani sprawę, że musi przejść przez prokuraturę okręgową? Musielibyśmy uzyskać poparcie naszego chłopczyka, Sonny'ego Waltersa.

- Tak, tak. Wiem.

- No, zobaczymy. Proszę mnie o wszystkim informować. I, Mirando...

Czekała. Kiedy zamachał ręką dając znak, że może już iść, skinęła głową. To, co się wydarzyło w tym krótkim momencie, było tak oczywiste, jakby to wypowiedział.

Przeprosił ją.

' 215

XXVII

Skończyły się upały, zanieczyszczone powietrze uniosło się w górę, niebo stało się boleśnie błękitne i mieszkańcy Inverness Street z radością powitali czyste promienie słoneczne. Ludzie, których zatrute powietrze uwięziło w domach, miotali się teraz po swych mikroskopijnych trawnikach, starając się przywrócić do życia ginące kwiaty, a także korzystali ze swych małych, lecz przyjemnych dziedzińców. Z uwagą przyglądali się dziwnej parze: wiele osobliwych rzeczy działo się wewnątrz i na zewnątrz tego szczególnego domu. Dziewczyna wyglądała na dużo młodszą od mężczyzny. Przynajmniej sądząc po jej przyjemnej twarzy. Mężczyzna spoglądał groźnie i marszczył brwi, ale kiedy zaczął mówić, wydał się całkiem sympatyczny.

Napięcie minęło, kiedy tych dwoje przedstawiło się jako oficerowie policji. Okazało się, że wszyscy są chętni do rozmowy o swych sąsiadach, rodzinie Galvezow.

- Na pewno wyjechali na dobre - oświadczyła rośla, siwa kobieta. - Muszę państwu powiedzieć, że w tym domu mieszkali już różni dziwacy, lecz ci byli z nich najdziwniejsi.

- Ale wyglądali przyjemnie, trzeba im to przyznać -powiedziała kobieta mieszkająca po drugiej stronie ulicy.

- A jaka to różnica, czy przyjemnie, czy nie - wtrąciła pani Wyman, najbliższa ich sąsiadka. — Mnie interesuje tylko to, co ci ludzie takiego zrobili, i tyle.

Mieszkańcy Inverness Street mieli złe przeczucia, kiedy wprowadziła się ta ostatnia rodzina. Przez wiele lat wynajmowano ten dom różnym niepewnym ludziom, poczynając od samotnych matek na garnuszkę opieki społecznej, z ich dziećmi i narzeczonymi, aż po firmę zajmującą się nielegalnie wynajmem limuzyn w rejonie, gdzie stały głównie domy jednorodzinne. Patrzyli więc z niepokojem, kiedy wprowadziła się rodzina Galvezow.

Ale rzeczywistość przeszła ich oczekiwania. Okazało

216

się bowiem, że są to ludzie spokojni, gustownie ubrani i uprzejmi. Dzieci piękne, dobrze ułożone, nieśmiało odpowiadały na powitania. Żona była naprawdę wspaniała, zawsze zadbana, zawsze uśmiechnięta, skinięcie głowy, dzień dobry.

A mąż?

Sąsiedzi mówili na zmianę: Był przystojnym, okazałym mężczyzną, dobrze ubranym, bardzo, no, jak to powiedzieć, szarmanckim, o manierach jakby ze starego filmu.

W dniu ich przyjazdu oszacowano ich meble: drogie. Nikt nigdy nie był u nich w domu, ale dla wszystkich stało się oczywiste, że ci ludzie umieją dobrze żyć.

Pozostawało tajemnicą, dlaczego zamieszkali przy Inverness Street. *

- Zaraz, zawołam panią Fergusson. Jej mąż pracuje w firmie ochroniarskiej Aleksandra. Pani Fergusson wiedziała, jak zdobyć informacje na ich temat. Chwileczkę.

Dunphy \ Torres popijali lemoniadę domowej roboty, zagryzając świeżo upieczonymi ciasteczkami i słuchali dalszych opowieści o rodzinie Galvezow.

A co do samochodów: po doświadczeniach z agencją wynajmu limuzyn działającą w ich cichej okolicy serca im zmarły, kiedy trzy duże czarne samochody stały przed frontem rezydencji Galvezow i domów przylegających do niej po obu stronach.

Pan Morris, sąsiad z lewej, był człowiekiem, który myśli dobrze o każdym, póki nie zdobędzie obciążających go dowodów. Podszedł kiedyś do pana Galveza na ulicy i wyjaśnił mu, w czym rzecz. Kobiety nie miały gdzie zaparkować samochodu, by wypakować z niego zakupy przed wstawieniem go do garażu na tyłach domu. Jego wielkie limuzyny zajmują tyle miejsca, czy może mógłby...?

- Pan Galvez przeprosił, och, jakże miło się zachował. Pracowali dla niego jacyś ludzie, prowadzili samochody, zawsze tak cicho, nigdy nie robiąc hałasu, a on do nich podszedł, powiedział im coś, oni skinęli głowami, z wielkim szacunkiem, i tyle. Od tej pory samochody nie spra-

217

wiały więcej żadnego kłopotu. Zatrzymywały się tuż przed wejściem do domu, rodzina wychodziła, wsiadała do samochodu i odjeżdżali. I tak samo wyglądał ich powrót. Od frontu parkowali tylko czasem w nocy. I nie za często. Bardzo byli uczynni. Sympatyczny z niego gość.

To właśnie pani Fergusson, żonie byłego policjanta, udało się dowiedzieć czegoś więcej.

Rozmawiała z ich gospodynią, plotkowały sobie, kiedy ta rozwieszała pranie w małym ogródku na tyłach domu. Pani Fergusson podzieliła się z nią pomidorami, które wyhodowała oraz kwiatami, i w ten właśnie sposób zdobyła informacje. W największej tajemnicy, no i nie od razu.

Galvez - to nie było ich prawdziwe nazwisko. Tego prawdziwego nigdy się nie wymawiało. Byli uchodźcami politycznymi z jakiegoś kraju w Południowej Ameryce, w którym władzę przejął komunistyczny dyktator. Pan „Gal-vez” był bardzo ważnym członkiem obalonego rządu: jeśli nie prezydentem, to szarą eminencją. Generałem lub kimś równie ważnym.

Kierowcy także ujawnili kilka szczegółów dotyczących Galveza panu Morrisowi, przyjaźnie nastawionemu sąsiadowi, kiedy podziwiał ich samochody. Dlaczego rodzina, która zawsze trzyma się razem, rozdzieliła się wsiadając do trzech różnych wozów, kiedy się gdzieś wybierają?

Dla bezpieczeństwa. Tylko tyle mu powiedziano. Dla bezpieczeństwa.

- Czasami używali także innych samochodów - powiedziała pani Fergusson. - Zaobserwował to mój mąż, kiedy miał wolne dni. Bywało tak, że przed domem zatrzymywały się zwykle chevrolety i ford, rodzina prędko do nich wsiadała, po czym za zakrętem przyłączały się do nich trzy wielkie limuzyny. Obstaw. Ci faceci byli goryłami.

Nikt nigdy nie rozmawiał z żoną Galveza. Dzieci nigdy nie wychodziły z domu bez kogoś starszego. No i któregoś wieczora, tydzień temu podjechała ciężarówka firmy zajmującej się przeprowadzkami, wieżorem, tuż przed zapadnięciem zmroku, i prędko, bezszelestnie wyniesiono 218

wszystko z domu, porządnie zapakowane w pudła i zawinięte.

Potem cała rodzina - tym razem także i gospodyni - wsiadła do samochodu i zniknęła. Na zawsze.

- I Bóg jeden wie - powiedział ze smutkiem pan Morris. - Bóg jeden wie, kto się tu wprowadzi jako następny!

Ta właśnie sprawa najbardziej zaprzętała ich myśli. Biorąc pod uwagę przeszłość tego domu, mieli wszelkie powody, by się tym niepokoić.

XXVIII

Zasłodzeni lemoniadą i ciasteczkami, zarówno Miranda, jak i Dunphy podziękowali za kawę, którą zaproponował im kapitan O'Connor. Oboje odczuwali mdłości przyglądając się, z jakim apetytem kapitan atakuje kanapkę z ostro przyprawioną pastrami.

- Więc dobrze - odezwał się O'Connor, podnosząc w górę dłoń, zarazem przeżuając i przetykając. — Rany boskie, od tygodni nie jadłem pastrami. Moja żona ciągle czyta te wszystkie artykuły. Mówię wam, jeśli mam umrzeć, niech to będzie z powodu zjedzenia zbyt dużo niż zbyt mało pastrami. No i cóż u diabła my tu mamy?

Oboje detektywi spojrzeli na siebie. Było całkiem jasne, że nie zgadzają się ze sobą. Dunphy skłaniał się ku wersji o uchodźcy politycznym - do pewnego momentu. Zaczął już zbierać dalsze informacje poprzez różne agencje federalne.

- Naturalnie, jeśli ta wersja jest prawdziwa, nie zdziwiłbym się, gdyby dobrze poinformowane agencje nie chciały jej potwierdzić. Skoro ten facet jest tutaj incognito, dostał azyl, i jeśli zagrażają mu jego polityczni wrogowie, to raczej nie powiedzą nam o nim zbyt wiele.

- Na pewno nie więcej, niż pozwolił swoim pracownikom ujawnić mieszkańcom Inverness Street, a co oni

219

uważają, że sami odkryli. Tu coś jest nie tak - stwierdziła zdecydowanie Miranda.

- Aha - powiedział Dunphy, patrząc prosto przed siebie.

Coś ostrego zabrzmiało w jego głosie; napięcie, które wyczuwało się w zachowaniu obojga detektywów spowodowało, że kapitan O'Connor zawiązał resztę kanapki, odkładając ją na później. Skoro w końcu ma okazję zjeść sobie pastrami, to chciałby, do cholery, przynajmniej mieć z tego jakąś przyjemność.

- Detektywie Torres, a co pani sądzi o tym Galvezie? Wie pani tylko od tej dziewczyny, Marii Vidales, że jest jej kuzynem i że mógł otrzymać jakąś wiadomość od jej siostry stewardesy tej nocy, kiedy zginęła Anna Grace. Pani się z nim widziała i co z tego wynikło? Nic, prawda?

Miranda zawahała się. Przyglądała się uważnie końcom swych palców, po czym podniosła wzrdek na kapitana.

- Rzeczywiście widziałam się z nim. I z tego spotkania nie wyniosłam nic poza wrażeniami. Poczulałam się wtedy bardzo nieswojo, bardzo... - Wzruszyła ramionami szukając właściwego słowa. Nie chciało się pojawić. - Było coś takiego... trudno znaleźć na to odpowiednie słowo, ale coś było nie tak z Galvezem. Coś... bardzo nie tak.

Głos O'Connora był równie obojętny jak jego twarz.

- Coś bardzo nie tak. Co? Nie umie pani powiedzieć. I odtąd nie widziała go pani więcej. Wyniósł się stamtąd, zanim znaleziono ciało jego kuzynki, tak?

- Nie sądzę, żeby siostry Vidales były jego kuzynkami. Rzeczywiście w kostnicy Maria przyznała... ale i tak nie powtórzy tego, co powiedziała tam i potem w moim mieszkaniu. Wszystkiemu zaprzecza. Nie mam na to żadnych dowodów.

- Skoro mówi mi pani, Mirando, że Maria Vidales coś pani powiedziała, to wierzę pani. Niekoniecznie w to, co powiedziała, ale że w ogóle to zrobiła. Dlaczego tak bardzo się boi tego faceta, obojętne, czy jest jej kuzynem, czy nie, nie wiem, ale...

220

*

uważają, że sami odkryli. Tu coś jest nie tak - stwierdziła zdecydowanie Miranda.

- Aha - powiedział Dunphy, patrząc prosto przed siebie.

Coś ostrego zabrzmiało w jego głosie; napięcie, które wyczuwało się w zachowaniu obojga detektywów spowodowało, że kapitan O'Connor zawiązał resztę kanapki, odkładając ją na później. Skoro w końcu ma okazję zjeść sobie pastrami, to chciałby, do cholery, przynajmniej mieć z tego jakąś przyjemność.

- Detektywie Torres, a co pani sądzi o tym Galvezie? Wie pani tylko od tej dziewczyny, Marii Vidales, że jest jej kuzynem i że mógł otrzymać jakąś wiadomość od jej siostry stewardesy tej nocy, kiedy zginęła Anna Grace. Pani się z nim widziała i co z tego wynikło? Nic, prawda?

Miranda zawahała się. Przyglądała się uważnie końcom swych palców, po czym podniosła wzrok na kapitana.

- Rzeczywiście widziałam się z nim. I z tego spotkania nie wyniosłam nic poza wrażeniami. Poczulałam się wtedy bardzo nieswojo, bardzo... - Wzruszyła ramionami szukając właściwego słowa. Nie chciało się pojawić. - Było coś takiego... trudno znaleźć na to odpowiednie słowo, ale coś było nie tak z Galvezem. Coś... bardzo nie tak.

Głos O'Connora był równie obojętny jak jego twarz.

- Coś bardzo nie tak. Co? Nie umie pani powiedzieć. I odtąd nie widziała go pani więcej. Wyniósł się stamtąd, zanim znaleziono ciało jego kuzynki, tak?

- Nie sądzę, żeby siostry Vidales były jego kuzynkami. Rzeczywiście w kostnicy Maria przyznała... ale i tak nie powtórzy tego, co powiedziała tam i potem w moim mieszkaniu. Wszystkiemu zaprzecza. Nie mam na to żadnych dowodów.

- Skoro mówi mi pani, Mirando, że Maria Vidales coś pani powiedziała, to wierzę pani. Niekoniecznie w to, co powiedziała, ale że w ogóle to zrobiła. Dlaczego tak bardzo się boi tego faceta, obojętne, czy jest jej kuzynem, czy nie, nie wiem, ale...

220

- To przerażający człowiek - powiedziała Miranda. I na tym stanęło: na stwierdzeniu, które prowadziło donikąd. Po chwili odezwała się znowu: - Bez względu na to, dlaczego Maria Vidales tak bardzo się go boi, dobrze rozumiem jej strach. Ale mimo to muszę ją nakłonić, żeby potwierdziła to, czego się dowiedzieliśmy.

- Jeśli rzeczywiście jest uchodźcą politycznym, jakąś ważną osobistością związaną niegdyś z reżimem posługującym się przemocą, czyż nie byłby to wystarczający powód, by młoda dziewczyna odczuwała przed nim strach? Czy ktokolwiek inny?*

Była to rozsądna sugestia, ale mimo to Miranda wiedziała, że Dunphy nie ma racji. Pokręciła głową.

- Dlaczego nie wierzy pani w historię, która krąży po Inverness Street? - zapytał kapitan O'Connor.

- Bo gdyby to była prawda, te informacje nigdy by nie wyszły na jaw. Te informacje, cała ta historia została specjalnie spreparowana. Galvez dobrze wiedział, że mieszkańcy tej ulicy to ludzie naiwni, mili, uprzejmi i spokojni, których interesuje on, jego rodzina, samochody i podróże. Że są to ludzie prości, ciekawscy, którym się wydaje, że są bardzo sprytni, skoro udało im się zdobyć te wszystkie bardzo poufne informacje. Gdyby był tym, za kogo się podawał, to pozostałby

niewidoczny, i jego rodzina...

- Mamy tu wśród nas, panie kapitanie — wtrącił Dunphy - nie tylko eksperta od spisków narkotykowych, ale także od międzynarodowych intryg. Ona wie doskonale, jak tacy ludzie żyją. Może chcesz coś jeszcze wytłumaczyć przyglupom z Queens, żebyśmy...

Miranda obróciła się na krześle, tak by spojrzeć w twarz Dunphy'emu.

Zaczęła mówić cicho, i dobitnie:

- Nie dlatego opowiadam wam o tym wszystkim. Znam pewne sprawy od podszewki. Staram się wam to przedstawić jak najdokładniej, tak żeby wymieniając się informacjami...

221

- To przerażający człowiek - powiedziała Miranda. I na tym stanęło: na stwierdzeniu, które prowadziło donikąd. Po chwili odezwała się znowu: - Bez względu na to, dlaczego Maria Vidales tak bardzo się go boi, dobrze rozumiem jej strach. Ale mimo to muszę ją nakłonić, żeby potwierdziła to, czego się dowiedzieliśmy.

- Jeśli rzeczywiście jest uchodźcą politycznym, jakąś ważną osobistością związaną niegdyś z reżimem posługującym się przemocą, czyż nie byłby to wystarczający powód, by młoda dziewczyna odczuwała przed nim strach? Czy ktokolwiek inny?

Była to rozsądna sugestia, ale mimo to Miranda wiedziała, że Dunphy nie ma racji. Pokręciła głową.

- Dlaczego nie wierzy pani w historię, która krąży po Inverness Street? - zapytał kapitan O'Connor.

- Bo gdyby to była prawda, te informacje nigdy by nie wyszły na jaw. Te informacje, cała ta historyjka została specjalnie spreparowana. Galvez dobrze wiedział, że mieszkańcy tej ulicy to ludzie naiwni, mili, uprzejmi i spokojni, których interesuje on, jego rodzina, samochody i podróże. Że są to ludzie prości, ciekawscy, którym się wydaje, że są bardzo sprytni, skoro udało im się zdobyć te wszystkie bardzo poufne informacje. Gdyby był tym, za kogo się podawał, to pozostałby niewidoczny, i jego rodzina...

- Mamy tu wśród nas, panie kapitanie - wtrącił Dunphy - nie tylko eksperta od spisków narkotykowych, ale także od międzynarodowych intryg. Ona wie doskonale, jak tacy ludzie żyją. Może chcesz coś jeszcze wytłumaczyć przyglupom z Queens, żebyśmy...

Miranda obróciła się na krześle, tak by spojrzeć w twarz Dunphy'emu.

Zaczęła mówić cicho, i dobitnie:

- Nie dlatego opowiadam wam o tym wszystkim. Znam pewne sprawy od podszewki. Staram się wam to przedstawić jak najdokładniej, tak żeby wymieniając się informacjami...

O'Connor machnął gwałtownie ręką, przewracając pojemnik z kawą. Zamoczyła resztę kanapki z pastrami.

- Niech to szlag, do cholery jasnej. - Wyjął garść chusteczek jednorazowych i zaczął to wszystko wycierać. Osuszył kanapkę, po czym ugryzł duży wilgotny kęs, krzywiąc się z niesmakiem. W końcu powiedział: - Poczekamy jeszcze na weryfikację, jakiegokolwiek potwierdzenie lub informacje z Waszyngtonu. Chciałbym panią zapewnić, detektywie Torres, że mam ludzi w biurach federalnych w Waszyngtonie, którzy skłonni są przekazać mi poufne informacje, jeśli takie będą mi potrzebne. Nie martwię się więc o to. Pozwoli pani, że odtąd ja się tym wszystkim zajmę, dobrze? Czy najświeższe raporty są już gotowe?

- Leżą na pańskim biurku, kapitanie. — Dunphy wskazał tekturową teczkę poplamioną kawą. Wyciągnął kilka napisanych na maszynie stron i strząsnął z nich kawę. -Przyniosę panu czysty egzemplarz.

- Dobrze. A potem do domu. Oboje. Po prostu idźcie już do domu. Dajcie mi skończyć to świństwo w spokoju.

Przed wyjściem z biura tego wieczoru kapitan O'Connor odebrał telefon of pewnego urzędnika federalnego wysokiego szczebla w Waszyngtonie. Bez żadnych dodatkowych wyjaśnień powiedziano mu, że sprawą Galveza zajmują się najwyższe czynniki rządowe. O'Connor i jego ludzie mają się z niej wycofać.

Następnie zadzwonił przyjaciel O'Connora, dobrze zorientowany w takich sprawach, który

poinformował go, że brak jest jakichkolwiek danych na temat człowieka o nazwisku Gal vez. Wyglądało na to, że nikt nie wie, kiedy, gdzie, dlaczego i w jaki sposób Galvez i jego rodzina znaleźli się w Stanach Zjednoczonych. I czy rzeczywiście przybyli do Stanów. Przyjaciel powiedział mu w istocie, żeby zapomniał o całej sprawie.

Kapitan William O'Connor długo siedział i gapił się na telefon na biurku, zanim nakręcił numer Jima Dunphy'ego-

222

go. Mówił cichym, monotonnym głosem, prawie wcale go nie modulując. Ton jego głosu nie wyrażał nic: ani jego uczuć, ani opinii, ani złości, ani też rezygnacji. Następnie zapytał Dunphy'ego, czy sam zadzwoni do swej koleżanki i przekaze jej te informacje, czy on ma to zrobić.

- Ja do niej zadzwonię, kapitanie - odpowiedział Dunphy bardzo oficjalnie.

- W porządku. I... to dotyczy was dwojga. Weźcie sobie kilka dni wolnego. Oboje na to zasłużyliście. Zameldujcie się w poniedziałek. Albo wtorek. Wszystko jedno.

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiedział mu detektyw Jim Dunphy.,

XXIX

Ostrzegła go, że nie będzie w niej miał najlepszej towarzyszki. On obiecał jej, że wspólnie spędzony długi weekend otworzy przed nią nowe perspektywy. Powiedziała mu, że nie w tym rzecz, żeby miała coś przeciwko kilku dniom wolnego, lecz chodzi o to, że jej kazano wziąć urlop. Miranda nie chciała rozmawiać na jakikolwiek temat związany z prowadzonym przez nią śledztwem. Były to sprawy, do których Mike Stein nie miał dostępu. Nie za bardzo też się nimi interesował. Miał własne kłopoty. Kiedy dojechali do jego domu w Bridgehampton, posadził ją na olbrzymiej, bezkształtnej, ale wygodnej kanapie i otoczył pięknymi poduszkami o wszelkich możliwych kształtach, wielkościach i kolorach.

- Zdejmij sandały, oprzyj się i zrelaksuj, a ja przygotuję dla nas coś lekkiego, szybkiego i wspaniałego. I dam ci coś do czytania, kiedy będziesz na mnie czekać.

Spodziewała się, że będzie to jego pierwszy sensacyjny artykuł: już jej o nim wspominał. A mimo to zapało jej dech w piersiach.

223

DZIEWCZYNA, KTÓRĄ ZABITO DWA RAZY

■
artykuł Mike'a Steina (pierwszy z sześciu)

W zapowiedzi na pierwszej stronie zamieszczono fotografię Anny Grace z podpisem, że jest ofiarą zbrodni. Obok jej fotografii, co zaszokowało Mirandę, znajdowało się zdjęcie Marii Vidales. Obie wyglądały trochę sennie, : mdło i nieprawdziwie. Na zdjęciach, tak obok siebie, mogły uchodzić za bliźniaczki.

Pod nazwiskiem Marii Vidales umieszczono podpis: : MATKA OFIARY „SĄDZIŁA, ŻE TO TA HISZPANKA”.

Było tam także zdjęcie Paula Mery z podpisem: CZŁOWIEK, KTÓRY ZABIŁ JĄ PO RAZ PIERWSZY. Przypis odsyłał czytelników na rozkładówkę, gdzie zamieszczono zdjęcia „pozostałych morderców”.

Na obu stronach rozkładówki znajdowały się zdjęcia wszystkich mieszkańców Barclay Street, z którymi przeprowadzono wywiady. TO SĄ LUDZIE, KTÓRZY ZABILI ANNE GRACE PO RAZ DRUGI.

Mike "zebrał sporo materiałów na temat każdej osoby opisanej w artykule. Wstęp poświęcony był Annie Grace: przedstawił jej pochodzenie, życie, małżeństwo, jej wielkie przywiązanie do męża i matki, zawodową pasję. „A jednak odrzucili ją całkowicie, dali jej umrzeć, i to nie tylko obcy ludzie, ale także osoba, która pozwoliła, by jej próżność, i chyba także uprzedzenia, zniszczyły matczyną miłość”.

Miranda pobieżnie przeczytała artykuł, zaskoczona tym, jak wiele informacji udało się Mike'owi zebrać i skondensować. Była to dobra robota biorąc pod uwagę charakter artykułu: sensacyjny,

intrygujący, sprawiający, że czytelnik czeka na dalszy ciąg.

- Skończyłem już te artykuły - powiedział jej. - Kilka wolnych dni z dala od tego wszystkiego, a potem zabieram się za książkę. Dano mi krótki termin i mam mnóstwo roboty.

224

- Czy książka bardzo się będzie różniła od artykułów? - zapytała.

- Będzie bardziej analityczna. Nawiązałem kontakt z ludźmi, którzy są „ekspertami” od ludzkich zachowań. Przygotowują dla mnie analizy: dlaczego tamci ludzie nic nie zrobili, dlaczego teraz próbują się bronić. Ci dranie chcą wytoczyć sprawę mnie, mojej gazecie i wydawcy. Ale to mi wyjdzie tylko na dobre. Więcej reklamy.

- Czy mają jakieś podstawy do wytoczenia procesu? Nazwał ich pan wszystkich mordercami. Nie uważa pan, że to wystarczy, żeby wytoczyć sprawę?

Mike Stein uśmiechnął się.

- Mirando, nie rozmawiajmy już o tym, dobrze? Pamiętasz, co ci powiedziałem, kiedy do mnie zadzwoniłaś?

- Tak. Że zamierzał pan do mnie zadzwonić i zapytać, czy mogę wziąć kilka dni wolnego. Żeby tu z panem przyjechać. Żeby się odprężyć. Żeby być jak najdalej od wszystkiego i wszystkich i* żeby...

- I żeby.

- A ja powiedziałam, że to świetny pomysł, panie Stein. I myślę, że to jest świetny pomysł. Zabrał jej artykuły.

- Więc zapomnijmy o tym. A teraz, moja pani, powiedz mi, dlaczego uparcie mówisz do mnie „panie Stein”?

Powiodła czubkiem palca wzdłuż jego ust, wywołując uśmiech połaskotaniem ich kącików.

- Bo mi się tak podoba, panie Stein.

- Mirando, Mirando. Przyjemnie jest wymawiać twoje imię. To takie Subtelne, zmysłowe doznanie. Miranda -powiedział miękko.

- Jakże łatwo sprawiamy sobie przyjemność.

- Niezupełnie.

- To był wstęp do przyjemności. Krok po kroku, wkraczamy w obszary przyjemności, po kolei, do każdego z osobna. Tb, które można wyrazić słowami i te, nie dające się zwerbalizować, igrając z nimi lekko i delikatnie. Przygotowując się do tych wszystkich przyjemności powoli, powoli.

225

Jej zmysłowość zdawała się wszechogarniająca. Była jedną z niewielu kobiet, jakie znał, która naprawdę potrafiła cieszyć się swoim ciałem, przeciągając się długo i powoli, co ją czyniło w pełni świadomą każdej kości, każdego mięśnia, każdego skrawka skóry.

Fascynowała go barwa jej skóry: gra światła we wklęsłościach i na wypukłościach, jej tajemniczy, ciemny odcień połyskujący złotawo z przebłyskami cynamonu i brązu. Pod każdym względem wydawała się nie tylko oszałamiająco zmysłowa, lecz także jakby znajoma: tyle że z innego czasu, miejsca i wymiaru. Z jakiegoś egipskiego malowidła nagrobnego, z jakiegoś egzotycznego miejsca z odległej przeszłości. Była - jak u Majów i Azteków - ostrożną boginią, a nie uległą dziewczicą czekającą, by spłonąć na stosie.

Miranda: jej wystające kości policzkowe i mocno zarysowana szczęka; czarne brwi nad jeszcze czarniejszymi oczyma; szerokie, pełne wargi o zadartych kącikach, uśmiechające się zagadkowo, z rozbawieniem; długi piękny nos.

Potargał jej krótkie czarne włosy, przylegające do czaszki, okalające policzki. Odgarnął je do tyłu, by ujrzeć szerokie czoło, wilgotne i pogodne.

- Miranda - wypowiedział jej fmię. Cieszył się jego smakiem, odczuciem, jakie wywoływało w jego ustach, a potem jej smakiem; napawał się jej ciałem, ogarniając je, i czuł się przez nią zniewolony, jak gdyby oboje poznawali jakąś wspólnie uzgodnioną tajemnicę, starodawny, święty obrządek.

Miranda.

Wymieniali między sobą sekrety i marzenia, ostrożnie. Opowiadał jej, kiedy spacerowali trzymając się za ręce wzdłuż brzegu morza, co znaczą dla niego artykuły, książka, ewentualny film. Jeszcze jedną szansę.

- Za miesiąc kończę pięćdziesiątkę, Mirando, a czuję się, jakbym miał sto lat. Wydawało mi się, że to już koniec, że wszystko mam już za sobą. Że minął mój czas, że

226
go już wykorzystałem, zaprzepaściłem, zmarnowałem. To jeszcze jedna szansa, której się nie spodziewałem. Jestem teraz chyba mądrzejszy. Będę się delektować tym, co jeszcze przede mną. Stali na plaży, spoglądając w górę na dom.

- Moja była żona wyznaczyła Dzień Pracy jako ostateczny termin: mogłem go sprzedać lub kupić. Teraz jest mój. Naprawdę mój.

- Ten dom wiele dla ciebie znaczy. Jest ważną częścią ciebie. Jest to, v jak by to powiedzieć, twoje „miejsce”, gdzie czujesz się u siebie.

- Masz rację. To jest miejsce, dokąd zawsze chcę wracać, niezależnie od tego, gdzie jestem. Naprawdę bałem się, że mogę go stracić.

- No to cieszę się za pana, panie Stein.

- O czym marzysz, Mirando? Musisz mieć już całkiem dość swojej pracy. Jak długo jeszcze zamierzasz to robić, poruszać się w „podziemiach” tego miasta?

Wzruszyła ramionami.

- Jeszcze jakiś czas.

- A potem?

Przyjrzała mu się uważnie, zanim odpowiedziała:

- Studia prawnicze.

Objął ją ramieniem, tak zwyczajnie, po przyjacielsku, i uśmiechnął się do niej. Pokręcił głową.

- Och, Mirando. Czyżbyś chciała zostać zbawczynią tych wszystkich wielkich nie domytych? Bronić ich w sądzie i doprowadzić do tego, by wrócili znowu na ulicę? Mimo że tyle o niej wiesz?

- Ciągle przyjmuje pan pewne założenia, panie Stein. Jest pan prędko w formułowaniu powierzchownych ocen. Ale czasami nie ma pan racji. I tu też pan się myli. Zamierzam się specjalizować w prawie konstytucyjnym. Pewnego dnia chciałabym rozpocząć praktykę w Sądzie Najwyższym. U samych źródeł Konstytucji, panie Stein, gdzie ma swój początek wszystko, co dotyczy tego kraju. Czy znany jest panu w szczególach ów dokument naszego kraju?

227

Oparł głowę na jej ramieniu i przyciągnął ją do siebie. Kiedy się od niej odsunął, zaczęła się z niego śmiać, przedrzeźniając go.

- Masz rację, poczyniłem pewne założenia. Przy tobie muszę się tego oduczyć. Nie jesteś podobna do nikogo ze znanych mi osób. Ty...

- Ja to ja. Niech mi pan pozwoli być tym, kim jestem, a nie tym, kim według pana powinnam być. Dobrze?

- O, tak. Tak, Mirando.

Miała dla niego jeszcze jedną niespodziankę. Była świetną pływaczką i traktowała pływanie bardzo serio. Nie dostosowała się do tempa jego mało sportowego kraula. Pływanie było dla Mirandy sportem, któremu się oddawała w samotności. Czymś, czego nie chciała z nikim dzielić. Mike prędko się zmęczył i usiadł na plaży obserwując ją. Jakkolwiek by się poruszała, zawsze znajdował przyjemność w patrzeniu na nią.

Kiedy wyszła z wody zadyszana, uśmiechnięta, wyczerpana, ale szczęśliwa, przyciągnął do siebie jej chłodne, mocne ciało, podtrzymując jej głowę dłońmi. Potem lekko ją odsunął, by przyjrzeć się jej twarzy, lekko rozchylonym ustom, błyskowi białych zębów, ledwie dostrzegalnym oddechem, iskierkom rozbawienia w oczach, jej uśmiechowi. Tajemnicom kryjącym się pod tą twarzą. Miranda.

Kupili sporo jedzenia w trzech lub czterech znajdujących się w mieście luksusowych sklepach dla smakoszy. Przeznaczonych specjalnie dla letników, którzy tu przybyli z Upper East Side.

- Wolalabym świeże warzywa - powiedziała Miranda, kręcąc nosem na egzotyczne i drogie

potrawy.

- Już i tak jesteś zbyt zdrowa. Jeśli chcesz jeść zwyczajne, proste jedzenie, proszę bardzo. Ale wtedy ty będziesz gotować. Kiedy ja jestem kucharzem, będziemy jadać drogie rzeczy. Jedli, kochali się, brali prysznic, kochali się, słuchali muzyki i zasypiali w swych objęciach. Obudzili się około dziesiątej wieczorem i zaczęli sprzątać ten nowoczesny

228

*

dom o wysokich sufitach. Miranda spojrzała w górę: prawie we wszystkich pokojach były świetliki. Popatrzyła na gwiazdy i poczuła lekkość, spokój i szczęście. Z pełną świadomością odsunęła wszystkie niepokojące ją myśli. Nauczyła się tego, był to rodzaj wyuczonej medytacji, by uwolnić umysł choćby na krótki czas.

Mirandzie nie bardzo podobał się ten dom, ale czerpała przyjemność z przyjemności, jaką sprawiał Mike'owi. Był to ładny dom. Kiedy go zbudowano, był jedyny w swoim rodzaju w tej okolicy. Obecnie stał się tylko jednym z setki wariacji na temat, a wszystkie wyglądały mniej więcej podobnie. Nad oceanem widziałyby raczej coś prostszego - drewnianą chatę, letni domek. Ten wyglądał zbyt okazale: miał za ostre kanty, był zbyt otwarty, stworzony bardziej dla efektu niż dla wygody.

Z podziwem patrzyła na ciało Mike'a: długie i smukłe, dobrze umięśnione. Trochę zbyt blade; nie wystawiał go na słońce przez całe lato i musiał przejść wszystkie odcienie czerwieni, zanim się opalił. Jego białe włosy, które przybrały taki kolor, kiedy dobiegał trzydziestki, okalały nadal młodzieńczą twarz. Dziwnie chłopcęją twarz, o wypłowiałych, przezroczystych, błękitnych oczach. Choć Miranda zdawała sobie sprawę, że ta chłopcęją jest wystudiowana i nieszczerą, wydawała jej się sympatyczna, i miło było na niego patrzeć i go dotykać. Potrafił cieszyć się swą fizycznością podobnie jak ona. Równie chętnie słuchał i uczył się od kogoś, jak przewodził i uczył innych. Był interesującym mężczyzną i Miranda cieszyła się, że przyjechała z nim do jego domu w Bridgehampton. Czowała się lepiej, bardziej spokojna, mniej spięta, znowu gotowa wyładować swą energię w pracy.

Zajrzała do torby, by sprawdzić, czy o niczym nie zapomniała.

I wtedy wszystko się między nimi zmieniło.

- Aż trudno uwierzyć, że można być aż tak roztrzepaną - powiedziała. - Noszę to przy sobie od tygodnia. Wi-

229

dzisz, co ze mną wyprawiają ci ludzie, z którymi pracuję. Z reguły jestem bardzo sprawna. Chyba rzeczywiście kapitan miał rację. Naprawdę potrzebowałam kilku dni odpoczynku.

- Czy teraz czujesz się jeszcze sprawniejsza? - zapytał.

Oboje byli zajęci porządkami, jakie zwykle robi się w ostatniej chwili przed' odjazdem. Mike sprawdzał, czy lodówka jest pusta i czysta, by następnym razem nie poraził go straszliwy odór rozkładającego się jedzenia, które niegdyś było smakowite. .

Spojrzał na nią i zobaczył jej twarz: spiętą i poważną.

- Co? - zapytał. - Co to za papiery? ,

- Akty zgonu - odpowiedziała. Ścisłym głosem prędko przeczytała listę ran zadanych Arabelli Vidales. Całą listę okropności i poniżeń, którą zamykało uduszenie. Akt zgonu Christine Valapo zawierał niemal identyczne informacje, ale Miranda odczytała każde słowo, tak samo prędko i sprawnie. Tak jakby czuła się zobowiązana wobec tej zamordowanej kobiety, że nie pominie żadnego szczegółu dotyczącego jej śmierci.

- Cały czas je przy sobie noszę. A także kopię aktu zgonu Anny Grace. Wykaz zadanych ran, wyrządzone jej szkody i... - Miranda nagle umilkła. Zmrużyła oczy i podeszła z kartką do lampy stojącej na podłodze. Wskazując palcem słowa, spojrzała na niego.

- Mike - odezwała się.

Wymówiła jego imię w jakiś szczególny sposób: było w tym zdziwienie, oszołomienie, prośba o wyjaśnienie.

- Przynajmniej nie była seksualnie maltretowana i bita jak te dwie biedne stewardesy. I nie

wyrzucono jej na wysypisko śmieci w...

Zastygł, przestając zbierać rzeczy, paczki, walizki, torby z jedzeniem.

- Mirando, o co chodzi?

Nie odpowiedziała, tylko wyciągnęła w jego stronę akt zgonu. Nie zdając sobie z tego sprawy, nie podała mu go,

230

lecz wskazała jedynie słowa na samym dole strony: „Przyczyna zgonu, jaką wykazała sekcja zwłok Anny Grace: tętniak mózgu”.

Reakcja Mirandy zmieszała go. Stała się znowu spięta, ostrożna i niespokojna, jak w pierwszych kilku godzinach ich znajomości.

- Mirando, o co, u licha, chodzi? To błąd i tyle. Źle spisane z jakiegoś innego aktu zgonu. Boże drogi, w ciągu ostatnich - ilu? - siedmiu dni, w Queens miało miejsce ze dwadzieścia pięć nagłych zgonów. O których nawet nikt nie wie. Sama mówiłaś, że muszą przewozić zwłoki z miejsca na miejsce. Czy nie mówiłaś sama, że stewardesy przewieziono na Manhattan i nikt cię nawet o tym nie powiadomił? No, na pewno się to wyjaśni.

Przeczytała inny fragment dokumentu.

- Piszą tu, że żadna z zadanych ran nie była śmiertelna. - powiedziała. - Żaden ważny narząd nie został przebity ani nie nastąpił wewnętrzny krwotok...

- Mirando, na rany Chrystusa. Gdybyś wiedziała, ile błędów popełnia się codziennie w gabinetach lekarzy sądowych w całym kraju, to...

- Pamiętasz moją rozmowę z lekarką, zapomniałam, jak się nazywa, w szpitalu, gdzie pracowała Anna Grace? Zapytałam, dlaczego tego wieczora Anna wyszła do domu wcześniej, a ona mi powiedziała o tych strasznych bólach głowy i... „

- A ja pamiętam - odpowiedział Mike niecierpliwie - że w jakimś raporcie wspominasz, że lekarz, który miał dyżur tej nocy, gdy zamordowano tę Grace, jakiś Hindus, nie bardzo się przejął tym „bólom głowy”. Sądził, że to tylko taka wymówka, żeby pójść wcześniej do domu.

- Ale ona nie miała powodów, żeby tak postąpić. Przecież mogło być tak, jak powiedziała doktor Ruggiero, o, tak właśnie się nazywa. Ból głowy stał się tak silny, że aż przestraszył Annę. Była pielęgniarką, wiedziała co nieco o swoim stanie.

- Jezu - westchnął Mike, rozglądając się dookoła, jak-

231

by zwracał się do ścian, mebli, książek, pustej przestrzeni. - Teraz znowu ta zamordowana dziewczyna była w jakimś „stanie”. Świetnie. Wspaniale. Co jeszcze?

Miranda nagle zamilkła.

Żadne z nich się nie odzywało, a ona obserwowała jego zachowanie: potrzebę poruszania się po tym wielkim pokoju z wysokim sufitem. Ciągłe dotykał jakichś rzeczy, stołów, poduszek, artystycznych drobiazgów, jakby starając się uspokoić.

- Mike - odezwała się - doktor Ruggiero podejrzewała u Anny Grace coś poważnego: może guz mózgu. Próbowала ją namówić na przeprowadzenie badań. Odniosła wrażenie, że Anna Grace stara się uniknąć ostatecznej diagnozy. Lekarka powiedziała, że nie da się wykluczyć, że gdyby nawet nie napadnięto jej tej nocy, to i tak miałyby coś w rodzaju... ataku. Chyba... - Miranda spojrzała na akt zgonu - chyba słowo tętniak jest odpowiednie.

Wyrwał jej z ręki akt zgonu i pomachał nim przed nią.

- To pomyłka. I tyle. Zwyczajny cholerny błąd urzędnika, który musimy zaraz sprostować. Jeden telefon wyjaśni wszystko. Jezu Chryste, Mirando. To jest pomyłka. Chryste, czy nie możesz przynajmniej skinąć głową, powiedzieć choć małe „Tak, panie Stein, to pomyłka”?

Nie odpowiedziała mu, a jego głos stał się głuchy.

- Słuchaj, Mirando. W takim razie dobrze, przyjmijmy, że Anna Grace rzeczywiście miała tętniaka mózgu. No i nie żyje, prawda? A my wszyscy oglądaliśmy na taśmie, jak Mera dźgał ją nożem, jak ją zabijał i...

Powoli pokręciła głową.

- Co? Co? - Też pokręcił głową, naśladując ją. - Co: nie? Mirando!

- Jeśli umarła... z tego powodu, o jakim mówi akt zgonu, to on jej nie zamordował. Można go jedynie oskarżyć o usiłowanie zabójstwa. Mike, to jest duża różnica. Sam o tym wiesz.

- Czy zdajesz sobie sprawę, albo czy przynajmniej zaczynasz zdawać sobie sprawę, co ta „różnica” oznacza?

232

' W m

Dla moich artykułów o porządnych mieszkańcach Barclay Street, którzy...

- Nie, Mike, nie. W żaden sposób nie usprawiedliwia to ich zachowania. Niezależnie od wszystkiego postąpili tak, a nie inaczej. Obserwowali, odmówili pomocy, oni po prostu...

- Oni po prostu co, Mirando? Przyglądali się, jak pewna młoda kobieta, której akurat zadano kilka ran kłutych, ale nie śmiertelnych, siedzi, oparta o latarnię i umiera na tętniaka mózgu?

„Dziewczyna, którą zamordowano dwa razy”, Mirando, to tytuł decydujący o mojej przyszłości. A nie: „Dziewczyna, którą może zamordowano dwa razy, o ile w ogóle zamordowano ją choć raz”.

Tak, naturalnie, trochę ją posiekano, ale i tak nikt już nie był w stanie nic zrobić od momentu, gdy wyszła z pracy z zabójczym bólem głowy. Dajże spokój, Mirando. Słuchaj, to pomyłka, ten cholerny akt zgonu. Tylko tyle, cholerna pomyłka.

- No to powiedz mi, Mike, dlaczego w to wierzysz?

Opadła mu szczęka, w gardle czuł suchość i mocne pieczenie.

Wyciągnęła rękę po akt zgonu Anny Grace.

- Boże drogi, i ty tak o mnie myślisz? Że ja...? Słuchaj, są przecież kopie. Poza tym znajduje się w oficjalnych rejestrach, i tak dalej. Chcę go zatrzymać na wypadek gdybym potrzebował informacji, kiedy będą sprawdzać tę pomyłkę, żebym wiedział o czym mówię. Rozumiesz? Chcesz go z powrotem? W porządku. Masz.

Gwałtownym ruchem sięgnął po jej torbę na ramię, przez chwilę mocował się z kłapą, starając się do niej dostać, znaleźć miejsce, w które mógłby wepchnąć pomięty raport. Miranda zdjęła torbę z ramienia i przytuliła do ciała.

- Nie. Ty go zatrzymaj. Są inne kopie. I akta. I... - podarowała mu te słowa jako nadzieję, znak, że rozumie jego zdenerwowanie - i, tak. Chyba masz rację. Jestem tego pewna. To musi być pomyłka.

233

0

Gdyby dodała: „panie Stein”, może wówczas by jej uwierzył.

XXX

Mike spojrzał na zegarek: siódma rano. Pora by zadzwonić do pewnego staruszka, który mieszka w północnej części stanu Nowy Jork na małej farmie, gdzie hoduje się konie. Prowadzi on bardzo uregulowany tryb życia: pobudka o piątej, godzinna przejażdżka na ulubionym rumaku, śniadanie, gazety, a potem od siódmej przyjmuje telefony. Dzwoni do niego dość dużo osób z całych Stanów Zjednoczonych.

Doktor Aaron Toledo był powszechnie uznanym autorytetem w dziedzinie patologii; byłym naczelnym lekarzem miasta Nowy Jork, byłym głównym konsultantem czołowych szpitali i uniwersytetów nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz i na całym świecie, autorem sześciu podręczników z dziedziny patologii i metodologii.

To właśnie doktor Aaron Toledo, zdyskredytowany, skompromitowany-i zapomniany w wyniku jakiegoś skandalu politycznego sprzed piętnastu lat, zyskał ponownie rozgłos mniej więcej dziesięć lat temu, kiedy przeprowadził bardzo dokładną i zasługującą na uznanie sekcję zwłok Arthura Cordovana juniora, syna Szefa Operacyjnego Wydziału Policji miasta Nowy Jork. To dzięki książce Mike'a Steina, uhonorowanej nagrodą Pulitzera, a poświęconej c&tej tej sprawie, przypomniano sobie o nim; doktor Toledo ponownie wrócił do łask i w efekcie zmartwychwstał jako wybitny naukowiec i specjalista w swej dziedzinie. W wieku osiemdziesięciu ośmiu lat doktor Toledo służył

radą jako konsultant. Już przy pierwszym sygnale telefonu podnosił słuchawkę, a głos miał mocny, ostry i autorytatywny. Przejdźmy do rzeczy, zajmijmy się interesującą nas sprawą.

234

Mike Stein potrafił wyobrazić sobie tego starego mężczyznę: jego małą łysą głowę przechyloną w stronę prawego ramienia, chude policzki, wsysane i wysysane, kiedy zaciskał usta na długich, żółtych zębach. Oczy starego człowieka, małe jak paciorki i błyszczące, odznaczały się doskonałym wzrokiem; zakładał okulary jedynie do pracy wymagającej małej odległości. Koncentrując się, mrużył powieki. Jego ciało o cienkich kościach, prawie nie umięśnione, było z pewnością napięte, Kiedy wysłuchiwał szczegółów jakiejś sprawy, miał zwyczaj zginać ręce w stawach, potem nogi. Przerywał rozmówcy głębokim, mocnym kaszlnięciem, zadawał jakieś pytanie, akceptował odpowiedź albo domagał się dalszych wyjaśnień, po czym pozwalał mu mówić dalej. Jego umysł zaskakiwał, gromadził informacje i łączył je ze sobą jak komputer.

Mike wyjaśnił mu wszystko; zaczął od opisu morderstwa, po czym przeszedł do sprawy swoich artykułów i książki, mówiąc, że dzięki nim otworzyła się przed nim przyszłość, która zdawała się raz na zawsze zamknięta. Doktor Toledo doskonale wiedział, jak to jest.

Mike niczego nie pominął. Powtórzył to, co doktor Ruggiero powiedziała Mirandzie; o hinduskim lekarzu, który wysłał do domu kobietę z niewiarygodnym wprost bólem głowy. Opisał scenę śmierci, którą tyle razy oglądał na taśmie wideo: jak głowa kobiety drgnęła i opadła, a potem nastąpił bezruch.

- Pewnie, że to wszystko jest możliwe, do diabła. I prawdopodobny - przyznał doktor Toledo.
- No dobrze, powiedz mi jeszcze jedno. Kiedy ona tak siedziała w tym miejscu, gdzie umarła, czy było tam dużo krwi? Zaczekaj, nie odpowiadaj, jeszcze nie skończyłem. Nie chodzi mi o taką ilość krwi, jakiej się można spodziewać po serii ran kłutych, ale chodzi mi o wielki upływ krwi.

- Nie.

- Mógł więc nastąpić krwotok wewnętrzny. Czasami osoby, które umarły z powodu wykrwawienia, wyglądają na zewnątrz całkiem czysto, ale wystarczy jedno nacięcie, a krew chlusta ci w twarz. Wewnętrzny krwotok. Musiała być wypełniona krwią, która nie znajdowała ujścia. Człowiek ma przeciętnie pięć, może sześć litrów krwi. Może przeżyć utratę, no, około dwóch litrów, jeśli szybko nadejdzie pomoc i poda się płyny. A więc jeśli ktoś leży na chodniku i nie widać zbyt dużo krwi, może mieć miejsce wewnętrzny krwotok.

Doktor Toledo nie zwykł snuć domysłów. Konstruował tak swój wywód, by wszystko dokładnie wytłumaczyć.

- Widzisz - powiedział do Mike'a - osoba, która nie żyje, nie krwawi. Nie ma akcji serca, które działa jak pompa rozumiesz? Krwawienie ustaje i krew' z całego ciała spływa w stronę ziemi. Jeśli ofiara leży twarzą w dół, wtedy cały przód jest ciemny, czarny. Jeśli twarzą do góry, masz czarną dupę i tylną stronę kończyn. Jeśli ta kobieta siedziała tam nieżywa przez jakiś czas, to pewnie miała mocno czarny tyłek.

- Nie wiem. Nie widziałem.

- Ty nie, ale widział ją lekarz prowadzący sekcję. No dobra, jest jeszcze coś, co chciałbyś pewnie wiedzieć, ale masz za małą wiedzę, żeby o to zapytać. Po pierwsze, tętniak nie powstaje w wyniku zadanych ran. To jest fakt. Jest to taka cienka warstwa tkanki,' która robi się coraz cieńsza i cieńsza, kiedy przepompowuje się przez nią krew. Narażona jest na przeciążenie i w każdej chwili może pęknąć. Z tego, co mówisz, wynika, że ta dziewczyna miała też inne objawy. Jest całkiem możliwe, że miała guz mózgu. Wskazane byłoby prześwietlenie mózgu skanerem, zaprzyjaźniona z nią lekarka miała rację, ale i ten Hindus miał rację, w pewnym sensie... tak jej było pisane. To wszystko, co da się powiedzieć w sytuacji, kiedy tętniak daje kopa, pęka.

- Więc jest taka możliwość, że ten skurwysyn siekał i dźgał nożem martwą kobietę. Była prawdopodobnie martwa, kiedy jeszcze stała: chodzący trup. Tętniak, jeśli to był tętniak, był tak zaprogramowany, że mógł pęknąć kiedy bądź i gdzie bądź. Jasno mi to wyłożyłeś.

236

- Wygląda na to, że jesteś teraz w kłopotcie. Ale da się temu zaradzić, jeśli po to właśnie dzwonicz. Już ci powiedziałem, na czym możesz oprzeć przeświadczenie, że ci wszyscy porządni

ludzie patrzyli przez około piętnaście, dwadzieścia minut, jak ta dziewczyna umiera. Kiedy najprawdopodobniej wykrwawiała się na śmierć. Wewnętrznie. Na podstawie tego, co mówi nam sekcja zwłok, nawet gdyby karetka przyjechała w ciągu sekundy, i tak rue dałoby się jej uratować. O ile, oczywiście, ten wstępny raport z sekcji zwłok jest prawidłowy.

- A w jaki sposób można sprostować ten wstępny, błędny dokument? - zapytał Mike.

- To dla ciebie ważna sprawa, prawda, Mike? Otwiera przed tobą nowe perspektywy. Wiem, co to znaczy Mój Boże, wiem, co to. znaczy. No więc, mały, jest jednak coś, do czego można by się przyczepić. Skup się i posłuchaj. Da się sprostować ten raport. Ludzie są nieuważni, czasem mieszają informacje wprowadzając je do całkiem innego wyniku sekcji, rozumiesz? Mogę ci polecić kogoś na Manhattanie, kto zrobi, co trzeba. Ten młody człowiek, można powiedzieć, mój protegowany, jest skoliigacony z moją rodziną poprzez małżeństwo i tak dalej. A więc będzie bardziej niż szczęśliwy, że może wyświadczyć staruszkowi przysługę. Nie ma sprawy, naprawdę. Ale... polecenie musi wyjść od samego szefa Cordovana. Prośba o skorygowanie tego dokumentu.

- Od Arthura Cordovana? Dlaczego? Przecież nie ma to nic wspólnego z Arthurem. On nic o tym nie wie. Dotyczy to mnie, doktorze.

- No tak, śmieszny ze mnie gość - powiedział stary człowiek ostrym, skrzekliwym głosem. - To przecież Arthur Cordovan wyświadczył mi przysługę, wybierając mnie, żebym przeprowadził sekcję zwłok jego syna. Odzyskałem wiarygodność, należne mi miejsce, można powiedzieć, właśnie dzięki niemu. Wiem, że napisałeś książkę i tak dalej, ale muszę ci powiedzieć, Mike, że ten stary człowiek też coś zawdzięcza Cordowanowi. I - dodał ostrożnie

237

- chcę, żeby mój młody kuzyn, o którym ci wspomniałem, miał kogoś, kto go będzie popierał w wydziale policji. Ciężko tak żyć samemu. Niech Art zadzwoni do mnie i tylko poprosi o bardziej klarowny wynik sekcji zwłok Anny Grace. Bo widzisz, jeśli serce tej dziewczyny zostało przekłute choćby nieznacznie, minimalnie, to cała krew spłynęła i wypełniła jamy ciała. I tak jak mówiłem, pierwsze nacięcie podczas sekcji spowoduje nagły wylew krwi. Bo nie cała krew wycieka z ciała. No i masz, co chciałeś. Wykrwawiła się na śmierć, dokładnie tak, jak napisze stary zacny Mike Stein w swym artykule opisującym okrutną obojętność wszystkich mieszkańców Forest Hills. Daj im popalić, synu, zasłużyli na tó.

- Doktorze Toledo - zaczął Mike. Stary człowiek przerwał mu natychmiast.

- Mam nadzieję, że nie sprawi ci to zbyt wiele kłopotu, synu, ale pal sześć. Arthur Cordovan wiele ci zawdzięcza. A więc wykorzystaj to, by wyrównać rachunki. Tak to się właśnie odbywa. Jak sam dobrze wiesz.

XXXI

— t

Arthur Cordovan siedział nieruchomy na kanapie obitej jasnym lnem, kiedy Mike Stein wyjaśniał mu powód swej wizyty. Słuchał w całkowitym skupieniu, typowym dla dobrze wyszkolonego, doświadczonego, zawodowego policjanta, którego nic nie jest w stanie zadziwić. Słuchał nie zmieniając wyrazu twarzy, nie okazując choćby śladu emocji.

- Istota wszystkiego, co napisałem i co zamierzam jeszcze napisać, opiera się na założeniu, że Annę Grace można było uratować. Umarła, ponieważ nikt nic nie zrobił, żeby ją uratować. Kiedy zabraknie tego założenia, Arthur, moje artykuły nie odniosą takiego skutku, jaki planowałem.

238

Cordovan całkowicie rozumiał sytuację. Nie usłyszał jednak jeszcze, co on ma z tym wszystkim wspólnego. Odezwał się niskim, twardym głosem, jak śledczy zmęczony oczekiwaniem na podstawowe fakty:

- No dobrze, Mike. Wszystko jasne. Rozumiem. Także i to, że proponowany przez gubernatora projekt ustawy może stracić poparcie obu partii w Kongresie, które zawdzięcza przecież twoim artykułom. Ale nie przyszedłeś tutaj, żeby mnie o tym wszystkim poinformować. Po raz pierwszy, odkąd poznał Steina, wyczuł w nim niepewność. Mrużąc oczy przyglądał mu się w niebywałym skupieniu.

- O co chodzi? Powiedziałeś, że popełniono pomyłkę w raporcie z sekcji zwłok. „Nie jest to

rzecz, której się nie da sprostować". A więc? W czym problem?

- To delikatna sprawa, Art. Trzeba to zrobić... ostrożnie...

Od momentu, gdy Mike Stein wspomniał, że dzwonił do tego „staruszką” mieszkającego na północy stanu, system alarmowy Cordovana znajdował się w pełnej gotowości. Podniósł w górę dłoń i przerwał Mike'owi w połowie zdania.

- To, co proponujesz jest nielegalne, i obaj o tym wiemy. Zarzut stawiany Merze, biorąc pod uwagę wynik sekcji zwłok, który obecnie spoczywa w aktach, trzeba by zmienić na napad z zamiarem popełnienia i...

- Art, ten facet przyznaje się nie tylko do zabicia Anny Grace, ale także do popełnienia trzech innych jawnych gwałtów i morderstw w Queens. Wierzą mu. Już właściwie mają całą sprawę gotową. Wystarczająco dużo w każdym bądź razie, żeby zamknąć dochodzenie. Ten facet to morderca, jeśli chodzi o jego zamiary i cele.

- To za mało. „Zamiary i cele” nie tworzą faktów. Jego adwokat bez trudu dotrze do prasy, o ile...

- O ile kiedykolwiek wpadnie mu w ręce „błędny raport z sekcji zwłok.

Cordovan siedział nieruchomo i wygodnie, otoczony luksusem własnego domu. Jego druga żona, plastyczka, miała dobry gust i Cordovanowi podobał się

wyrafinowany styl mieszkania na Manhattanie. W jego bezruchu czuło się wyczekiwanie. Był policjantem przez całe swoje dorosłe życie. Udawało mu się wychodzić obronny ręką z jednej wydziałowej czystki po drugiej. Trzymał się z dala ęd każdego skandalu. Zajmował się własną karierą, pogłębiając wiedzę, zdobywając kolejne dyplomy, przygotowując się do kolejnych awansów. Jako jeden z pięciu wysokiej rangi szefów stojących na czele wydziału policji był człowiekiem rozważnym i mądrym.

- No, dobrze, Mike - odezwał się stanowczo. - Ciągłe trzymasz w ukryciu to najważniejsze, co? Swojego asa. Zastanawiasz się, kiedy go wyłożyć na stół. Właśnie nadszedł czas. Dawaj go.

- Z jakichś tam powodów nasz staruszek, który ma pewnego młodego protegowanego, lekarza medycyny sądowej, domaga się, żeby prośba o „skorygowanie” tego raportu z sekcji zwłok wyszła od ciebie. Wystarczy jeden twój telefon do niego. Jedno „halo, doktorze”. Wówczas ten młody facet, który wprowadzi poprawki, będzie wiedział, że ma w tobie przyjaciela.

Cordovan wcale nie okazał żadnego zdziwienia, bowiem nie był zdziwiony. Ani zaszokowany. Spokojnym, miękkim głosem, szykując się na najgorsze, zapytał:

- A dlaczego miałbym wykonać taki telefon, Mike?

Zapis rozmowy Angela Stone'a z numerem 911 był porażający. Kiedy obaj mężczyźni słuchali nagrania, Arthur - zaskoczony, skupiony, pochylony do przodu, żeby wyłapać słowa, które ginęły wśród innych dźwięków, oddechów, pokastywań, niestosownych śmiechów i uporczywych pisków - obrócił się w stronę Mike'a.

Mike Stein pochylił się i wyłączył magnetofon. Wręczył Cordovanowi złożoną kartkę z zapisem rozmowy telefonicznej, wskazał palcem odpowiednią linijkę tekstu i ponownie włączył magnetofon.

2

«

Twarz szefa policji stała się śmiertelnie blada, gdy tak czytał i słuchał jednocześnie.

- Nie, proszę, musicie mnie wysłuchać. Dzieje się coś okropnego na samym środku ulicy. Ten mężczyzna, on ma nóż, och, proszę pani, on jej robi krzywdę...

W głosie telefonistki, który początkowo był twardy i pozbawiony intonacji, pojawiła się pretensja i sarkazm.

- Czy ty sobie aby nie robisz z nas żartów, synku?

- Ależ nie, postaram się mówić wolniej, wyraźniej...

Dyszając, usilnie starając się panować nad swym głosem,

Angelo Stone rzeczywiście opisał szczegółowo napaść na Annę Grace, dokładnie to, co się się wydarzyło. Podał swoje nazwisko, numer telefonu, adres, miejsce zdarzenia, które, w tym właśnie

momencie rozgrywało się za oknem jego mieszkania przy Barclay Street w Forest Hills. Telefonistka odbierająca telefony pod numerem 911 całkowicie zignorowała jego informacje. Tylko dlatego, że jego głos brzmiał jak piski Myszkki Miki albo Kaczora Donalda.

- Chcę mówić z twoim ojcem. Lub z matką. Natychmiast. A może jesteś zupełnie sam w mieszkaniu, synku?

- Jestem sam. Ale jaka to różnica? Ach, proszę pani, wiem, że trudno mnie zrozumieć. Nic na to nie mogę poradzić, że... Proszę pani, to z powodu PM. i...

Głos telefonistki nie był dotąd jeszcze tak ostry i wyrazisty. Jego dźwięk mógł zabić.

- Z powodu P.M.? Co oznacza ten skrót? Partię maoi-stowską? Jesteś maoistą? Czy każą ci to robić dla zabawy? Blokować linię?

- Porażenie mózgowe... porażenie! Na miłość boską, niech mnie pani wysłucha...

Telefonistka głosem pełnym oburzenia i przekonania o własnej słuszności powiedziała:

- Nie używaj imienia Pana Boga nadaremno. I słuchaj, ty mały... może wydaje ci się to zabawne, dzwonienie pod 911 i odstawianie wariata. Słyszę, jak tam z tyłu śmieją się twoi kumple i tylko tyle ci powiem: nie waż się

241

więcej dzwonić pod numer 911, nie waż się. Bo wiesz, co ci powiem? Mamy sposoby, żeby ustalić numer twojego telefonu i wsadzamy do więzienia takich, co...

W tym miejscu Cordovan przerwał czytanie zapisu rozmowy. Taśma prawie dobiegła końca.

Chłopiec bezskutecznie starał się wezwać pomoc do ofiary, która podczas rozmowy z telefonistką spod numeru 911 cały czas otrzymywała ciosy nożem i była maltretowana przez Paula Merę. I pozostawiona na ulicy, gdzie umarła.

— Musiałem przesłuchać taśmę kilka razy, żeby spisać słowa chłopca, Art. A co do telefonistki, nie ma żadnego problemu ze zrozumieniem jej. Kiedy się widzi ten zapis, cała ta rozmowa jest przerażająca. Bo oto, ten dzieciak robi to, co wy każecie ludziom robić, to, co nakazuje prawo w myśl ustawy o Odpowiedzialności Świadców Przystępstwa, no i masz tu tego dzieciaka rozmawiającego z numerem 911. Jezu drogi.

Cordovan darzył wydział policji miasta Nowy Jork taką samą intensywną miłością, jaką rezerwował jedynie dla swej nie żyjącej już żony, zamordowanego syna i swego obecnego małżeństwa. Kochał wydział policji mimo wszelkich jego słabości, kłopotów, popełnianych tam błędów. To wydział pozwolił mu przetrwać tragedie i Cordovan kochał go za jego siłę, panujący tam duch koleżeństwa, za jego zwartość, pomimo ciągłych walk, przetasowań i przepychanek pomiędzy najróżniejszymi jego działami. W sprawach istotnych zwierali szeregi i potrafili się bronić. Kochał swój wydział miłością, jakiej nie potrafiłyby zrozumieć nikt z zewnątrz. Cierpiał z powodu każdego błędu, ponieważ błędy wydziału policji były zawsze ujawniane, dokładnie badane i osądzone przez opinię publiczną, przez ludzi, którzy tak naprawdę nic nie wiedzieli o wywieranych naciskach, o żądaniach, nigdy nie wyrażonych, nigdzie nie zapisanych ani nie uzgodnionych, jakie stawiano każdemu poszczególnemu policjantowi. Tak jak ochrania się własną rodzinę przed niebezpieczeństwami z

2

zewnątrz, tak samo Cordovan instynktownie chronił swój wydział, kiedy tylko i jak tylko mógł. Nie patrząc na Mike'a wyciągnął do niego dłoń.

- Daj mi numer tego staruszka.

Wziął skrawek papieru nawet na niego nie spojrzawszy; schował go do kieszeni swego kaszmirowego blezera.

- A tu - powiedział Mike - masz taśmę, Art. To jedyna kopia. Naturalnie, poza oficjalnym zapisem rozmów przeprowadzanych z numerem 911, który wy...

Cordovan powoli uniósł twarz, obojętną i uprzejmą, wyrażającą zgodę na udział w spisku.

- O jakim oficjalnym nagraniu mówimy?

Przez chwilę każdy z nich rozważał w myślach ten temat, po czym Mike Stein skinął głową.

Kiedy dziennikarz wyciągnął dłoń na pożegnanie, zdziwił go mocny, długi uścisk dłoni przyjaciela. Zatrzymał go także jego przenikliwy, nieruchomy wzrok, zagładający mu prosto w duszę.

- No, Art. Dajże spokój, stary. Zbyt wiele wspólnie przeżyliśmy, ty i ja. Psiakrew, przecież mieliśmy przeciwko sobie całą cholerną armię Stanów Zjednoczonych, a jednak udało nam się oczyścić twego syna...

Cordovan opuścił dłoń i cofnął się o krok, badając wzrokiem efekt słów, które były twarde i ostre jak stalowe kule:

- Ale teraz już jesteśmy kwita, Stein - powiedział. - Mam nadzieję, że to wszystko warte było twojego zachodu?

XXXII

Kapitan O'Connor upewnił się, czy każdy ma poprawioną kopię aktu zgonu Anny Grace. Aby zaistniała pomyłkę wytłumaczyć, przedstawił im także błędny akt zgonu wystawiony na nazwisko niejkiej Maeve Wendell, lat

23

osiemdziesiąt siedem, zamieszkałej przy Queens Boulevard. Nie było przy niej lekarza, kiedy zmarła, następnego ranka po śmierci Anny Grace. Jak tego wymaga prawo, przeprowadzono sekcję zwłok.

- Ta kobieta, bez jakichkolwiek śladów obrażeń ciała - mówił im O'Connor - zgodnie z pierwszym aktem zgonu, cała pokryta była ranami kłutymi, ciętymi i tak dalej. Przewożono te ciała z miejsca w miejsce, a notatki z przeprowadzonej sekcji i inne dane przesłano do niewłaściwej dzielnicy... niezły bałagan. Popelniono więcej niż te dwie pomyłki. Tak więc to wyjaśnia ostatecznie błędy w akcie zgonu. Anna Grace w rzeczywistości zmarła na skutek silnego wewnętrznego krwotoku wywołanego mikroskopijnym przedziurawieniem prawej komory serca, co z kolei było przyczyną wspomnianego krwotoku. Wszystko to odpowiada zewnętrznym obrażeniom jej ciała, z których większość to rany cięte. Jedynie dwie spośród osiemnastu zadanych ran były rzeczywiście wyraźnie głębsze od pozostałych. Natomiast ta staruszka, Maeve Wendell, zmarła z powodu tętniaka mózgu.

Kapitan rozejrzał się po sali czekając na jakieś reakcje, pytania, stwierdzenia, cokolwiek. Powrócił wzrokiem do Mirandy Torres. Siedziała z aktami sprawy na kolanach, w ręku trzymając raport.

- Detektywie Torres, czy ma pani jakieś pytania?

- Panie kapitanie, przeglądając ponownie akta sprawy przeczytałam zeznanie złożone przez panią doktor Ruggiero, pracującą razem z Anną Grace. Niepokoiło ją to, że może Anna Grace ma jakieś problemy kliniczne z mózgiem; mógł to być guz, jak powiedziała. No i tamtej nocy Anna Grace wyszła ze szpitala wcześniej, skarżąc się na silne bóle głowy i...

- I to wszystko pozostanie akademickim problemem, prawda, detektywie Torres? Jakie znaczenie mogą mieć teraz podobne spekulacje?

- Wczoraj wieczorem zadzwoniłam do doktor Ruggiero. Żeby zadać jej kilka pytań na temat stanu zdrowia

244

Anny Grace. W związku z tym pierwszym aktem zgonu i jej wcześniejszym zeznaniem.

O'Connor spojrzął na Mirandę sponad okularów.

- Dlaczego?

- Z ciekawości.

Czekał.

- Tak? I co?

- Doktor Ruggiero powiedziała mi, że się myłę. Że nigdy w rozmowie ze mną nie wspomniała ani nie sugerowała, cytuję z notatek, jakie zrobiłam wczoraj wieczorem, żeby Anna Grace miała jakieś tego rodzaju problemy. Powiedziała, że nie rozumie, o czym mówię. Wydawała się... poirytowana.

- Tak? Więc co? Zaraz, zaraz. Czy ma pani zeznanie podpisane przez doktor Ruggiero? Czy podpisała cokolwiek, co potwierdzałoby, że rozmawiała z panią?

- Nie mam żadnego podpisanego przez nią oświadczenia. Mam jedynie swój raport z tej rozmowy. Ponieważ tej nocy, kiedy zginęła Anna Grace, doktor Ruggiero nie miała dyżuru i ponieważ posiadam oświadczenie lekarza, który wówczas pełnił dyżur, stwierdzające, że pani

Grace wyszła wcześniej z powodu silnego bólu głowy... Nie. Nie mam żadnego oświadczenia podpisanego przez doktor Ruggiero mówiącego o tym, że Anna Grace miała jakieś schorzenie mózgu.

- Świetnie. Wobec tego nie jest to istotne dla sprawy, prawda? Żadna z tych informacji nie może być przedstawiona sądowi przysięgłych. Myślałem, że wszyscy to rozumieją, że zebraliśmy się tutaj, by omówić, w jaki sposób przedstwiemy tę sprawę ławie przysięgłych, tak byśmy jak najlepiej wypadli, kiedy ten gnojek Sonny Waters, najnowszy zastępca prokuratora okręgowego z Queens, zechce dać nam w kość. - Zajrzał do notatek, potem podniósł na nich wzrok i powiedział: - No co, Mirando? Czy jest jeszcze coś, co by pani chciała dodać na ten temat?

- Tak, panie kapitanie. Dziś rano zadzwoniłam ponownie do doktor Ruggiero. Pomyślałam sobie, że może wczoro-

#

raj miała ciężki obchód i że wybrałam nie najlepszy moment na rozmowę. Powiedziała mi, żebym więcej do niej nie dzwoniła. Że tylko tracę czas. Więc tym razem zadzwoniłam więc do niej do domu. Oświadczyła, że zrezygnowała z pracy w szpitalu Św. Jana. Że ma nową posadę. Bardzo odpowiedzialną nową posadę.

Detektywi zgromadzeni w pokoju ożywili się: zapalali papierosy, popijali kawę z poplamionych kubków, wkładali do wyschniętych ust miętowe pastylki.

Nikt, nawet jej współpracownik, nie wiedział, dokąd to wszystko zmierza i dlaczego.

O'Connor patrzył na nią przez jakiś czas, po czym powiedział:

- W porządku. Robimy przerwę. Piętnaście minut. Niech nikt się nie oddała, dobrze, panowie? Rozprostujcie kości. Mirando, woli pani rozmawiać w cztery oczy czy też w obecności swego kolegi?

Miranda wyglądała na zakłopotaną i nie odpowiedziała. Dunphy wzruszył ramionami: nie ma sprawy, do diabła.

Kiedy już wszyscy wyszli, Miranda usiadła na brzegu krzesła, pochyliła się do przodu i zaczęła mówić prędko i z przejęciem:

- Gdyby pomylili wyniki sekcji zwłok Anny Grace z wynikami autopsji ofiary, która zmarła w wyniku ran postrzałowych, albo kogoś, kto się utopił lub zmarł śmiercią naturalną, czy zginął w wypadku samochodowym, to rozumiem, zdarzają się takie zamiany. Ale, panie kapitanie, jak w ogóle można wierzyć, że popełniono pomyłkę, skoro o przyczynie śmierci Anny Grace dowiedziałam się od jej lekarza? To był właśnie ten powód, dla którego wyszła wcześniej: bardzo silny ból głowy, symptom, biorąc pod uwagę jej przypadłości, choroby, która mogła być rzeczywistą przyczyną śmierci, jak na to wskazuje pierwszy akt zgonu.

O'Connor patrzył na nią obojętnym wzrokiem. Potem niecierpliwie wyciągnął rękę po raport dotyczący jej roz-

246

%

m

m

mowy z doktor Ruggiero, przeprowadzonej w dzień po zamordowaniu Anny Grace. Przejrzał go pobieżnie, zapamiętując niektóre fragmenty. W końcu podniósł wzrok na Mirandę.

- Tak więc zgadza się to z tym, co powiedział ten hinduski lekarz: „Każdemu jest pisane”. Z całą pewnością było Annie Grace pisane, że umrze tamtej nocy.

- W taki czy inny sposób — powiedziała łagodnie, ale z uporem Miranda.

O'Connor nie należał do ludzi, którzy sami szukają guza. Każdy dzień niósł wystarczająco dużo kłopotów i rozmaitych zagrożeń, które pochłaniały całą jego energię, inteligencję, pomysłowość i instynkt przetrwania. Dziewczyna siedząca po drugiej stronie biurka spenetrowała tę sprawę dokładnie, a im głębiej ją badała, tym ciemniejsze i bardziej pogmatwane rzeczy wychodziły na jaw.

- Mirando, czy sugeruje pani jakiś spisek? Czy sugeruje pani, że z jakiegoś powodu, w wyniku zmywy, ktoś w biurze lekarza generalnego został zmuszony, do popełnienia przestępstwa polegającego na zmianie treści aktu zgonu?
 - Jeśli Anna Grace zmarła z powodu tętniaka...
 - Detektywie Torres, w pełni zdaję sobie sprawę z wszelkich tego konsekwencji. Wszystkich. A jest ich wiele. Więcej niż może ich być w sprawie bardziej normalnej od tej. Przestępstwo zmywy. Czy czego tam jeszcze.
 - Panie kapitanie, poszłam jeszcze dalej. Jeśli chodzi o doktor Ruggiero. Zasięgnęłam o niej informacji. Opuszcza ostatecznie szpital Św. Jana. Z dniem piętnastego września rozpoczyna nową pracę w Służbie Zdrowia Stanów Zjednoczonych. Otrzymała ważne stanowisko kierownicze, dające jej nieporównanie więcej pieniędzy, niż dotychczas zarabiała.
 - Nie marnowała pani czasu!
- Na razie na tym stanęło. Pocierając dolną wargę, przyglądał się jej zranionej twarzy: znieważona wrażliwość. Zaskoczyło go to, ujęło, że po ponad sześciu latach pracy,
- 247

■

m

ciągle w kontakcie z brutalnym życiem, w kontakcie ze światem istniejącym pod powierzchnią normalnego życia, jej uczucia pozostały tak prawdziwe.

- Cóż więc sugeruje pani, żebyśmy zrobili, detektywie Torres? Powiedzmy, że jest to najlepszy ze światów, gdzie wszystko co dobre i prawdziwe można osiągnąć dzięki kryształowemu sercu. Co pani zdaniem należałoby teraz zrobić?

Odpowiedziała mu bez wahania:

- Jeszcze jedną sekcję zwłok Anny Grace. Przy której obecna będzie nie zainteresowana strona.

- Rozumiem. Jeszcze coś? Chodzi mi o to, w jakim kierunku, pani zdaniem, powinno dalej zmierzać śledztwo?

- Jeśli ten pierwszy raport z sekcji zwłok był zgodny z prawdą, Paul Mera może być jedynie oskarżony o usiłowanie morderstwa. Wpłynie to zapewne na jego historyjki o tych trzech pozostałych zabójstwach. Jestem pewna, że przyznaje się do winy, by zapewnić sobie taki rodzaj ochrony, o jaki mu chodzi. Jeśli natomiast wykorzystamy tę nową okoliczność, że Mera nie będzie już traktowany w specjalny sposób, może uda nam się ustalić powiązanie między nim i Marią Vidales, i tymi dwiema stewardesami, które zamordowano. Sądzę, że ten właśnie kierunek powinniśmy obrać. I...

- A ja sądzę, że pozwalam pani zajmować sobie czas już o piętnaście minut za długo. - Oparł się łokciami na biurku, nieuprzejmym gestem powstrzymał mężczyzn stojących w drzwiach, by zaczekali, aż wezwie ich ponownie do pokoju. - Detektywie Torres, jest pani na nogach od wielu godzin, zajmując się tym wszystkim. Dzwoniąc. Rozważając najróżniejsze teorie i możliwości. I wymyślając bajki. Może sobie pani teoretyzować do woli: w wolnym czasie. I niech pani to zachowa dla siebie. Powiedziała mi pani wszystko, a teraz już zapomnijmy o tym. Rozumie pani? Zajmiemy się tym, co mamy do zrobienia, to znaczy przygotujemy się do starcia z zastępcą prokura-

248

tora okręgowego i do jego wystąpienia przed sądem przysięgłych. I tyle. Czy to jasne?

Miranda podniosła głowę, unosząc brodę trochę za wysoko, a jej wzrok był pełen gniewu, zimna i wściekłej pogardy, i nagle... pewności co do swych podejrzeń. O'Connor poczuł się jak oskarżony. Wycelował w nią palcem wskazującym.

- I niech pani posłucha, nie jest pani jedyną, co tu rusza głową. Wszyscy się tym zajmujemy, więc niech pani wstąpi do szeregu. I — dorzucił — niech pani nie rozmawia na ten temat ze swoim przyjacielem, tym dziennikarzem.

Miranda wyprostowała się i starając się panować nad głosem, powiedziała:

- Skoro, kapitanie, rozmawiamy jak jedna „ruszająca głowa” z drugą „ruszającą głową”, to zdaje sobie pan chyba sprawę, że Mike Stein jest ostatnią osobą na świecie, która byłaby zainteresowana moimi „teoriami”.

Pozostali detektywi w milczeniu wchodzili do pokoju, unikając zarówno wzroku Mirandy, jak i kapitana. Do końca odprawy wszelkie pytania zadawano ściszym głosem, w uprzejmy sposób, a dotyczyły one spraw formalnych.

Miranda Torres nie odzywała się wcale, jej twarz była pozbawiona wyrazu.

Nie miała nic więcej do powiedzenia.

XXXIII

"Artykuły Mike'a Steina miały sensacyjny wydźwięk. Każdego ze świadków zapowiadały jego własne słowa wydrukowane dużymi czarnymi literami: JA TYLKO TĘDY PRZEJEŹDŹAŁEM - kierowca autobusu musiał się trzymać rozkładu jazdy; TO BYŁA ICH OSOBISTA SPRAWA - małżeństwo w średnim wieku przyglądało się z „zaciekawieniem”; ZROBIŁEM TO CO AMERYKANIE. NIC -

249

stwierdzał rosyjski imigrant ubiegający się o obywatelstwo.

Miranda przeglądała artykuły, które dopiero miały się ukazać. Wszystkie trafią na pierwszą stronę gazety, o ile nie wydarzy się jakaś wielka lokalna lub ogólnokrajowa katastrofa, która mogłaby zakłócić rytm ukazywania się tego cyklu.

Ktoregoś dnia pojechała do domu Mike'a nad morzem, gdzie się zaszył pracując nad książką.

- Cieszę się, że przyjechałaś — powiedział. — Bałem się, że tego nie zrobisz. Wyglądasz na zmęczoną, Mirando.

- Jestem zmęczona.

- Wydajesz się smutna.

- Jestem smutna.

- Nie bądź smutna. Chwileczkę. Zaraz dowiesz się o czymś, co cię uszczęśliwi, dobrze? Jest to jedyny przyjemny moment w całej tej historii. Przeprowadziłem wówczas także rozmowę z pewnym chłopcem. Nie mówiłem ci o nim. Angelo Stone.

Opisał Angela: jego życie, kalectwo, jego niebywałe uzdolnienia i inteligencję. Zmienił jednak najważniejsze szczegóły.

- Tak więc ten chłopak był wtedy sam w domu i tylko on, on jeden próbował zadzwonić pod 911. Angelo jest tak ograniczony w ruchach, że wszystko zależy od dokładnej synchronizacji, precyzyjnego współgrania elementów wspomagających go urządzeń.

Mike powiedział Mirandzie, że Angelo, mocno poruszony widokiem napaści na Annę Grace, obrócił się w swym wózku inwalidzkim, kierując się w stronę specjalnie dostosowanego telefonu, ale wózek przewrócił się i chłopiec nie był w stanie nic zrobić aż do powrotu ojca, wiele godzin później. Do tego czasu, naturalnie, usunięto już ciało Anny Grace.

- I to z tego powodu mam się czuć szczęśliwa?

- Nie. Dopiero z tego.

Mike'a poruszyła szczerść tego chłopca i jego przera-

250

* ~

żenie wywołane niehumanitarnym zachowaniem sąsiadów, a także to, że ten kaleki młodzieniec próbował przekonać go, iż nie jest wcale ułomny, jeśli chodzi o ludzkie odczucia. Mike spędził z Angelo trochę czasu i jego niebywałe zdolności zrobiły na nim ogromne wrażenie. Tak się składa, że Mike ma przyjaciela pracującego w IBM.

- Złożył wizytę Angelo i jego ojcu... i tu następuje optymistyczny kawałek mojej opowieści... i jego dział planuje udoskonalanie wynalazków i urządzeń adaptacyjnych Angela. Nie dali dzieciakowi jakiegoś tam stypendium, ale etat konsultanta zajmującego się projektami urządzeń ułatwiających życie osobom niepełnosprawnym. Przed Angelo stoi wielka przyszłość. No i co, jesteś zadowolona?

- Tak - odpowiedziała Miranda. - To dobra wiadomość.

- Świetnie. Czy łożysz w takim razie spróbować nie robić takiej smutnej miny? Nic nie zjadł, nie chcesz iść na spacer po plaży. Chciałem ci zaproponować, Mirando, długi, przyjemny i relaksujący masaż, ale widzę, że nie o to ci chodzi. - Nastąpiła długa cisza. Mike zaczerpnął powietrza, po czym zapytał: - A więc o co ci chodzi, Mirando? Po co tu przyjechałaś?

- Żeby porozmawiać.

Opadł na fotel stojący naprzeciwko kanapy i przyglądał się jej uważnie. Piękna Miranda. Wspaniała, żarliwa młoda kobieta, w której był trochę zakochany i której trochę się bał. Nigdy dotąd w swoim życiu nie spotkał się z tak zdecydowaną, niezachwianą uczciwością, z taką niewinnością prosto z ulicy. Miranda wyglądała na zranioną, bezbronną i cierpiącą. Bo ona wierzyła w coś, w zasady i słuszność postępowania - cokolwiek, do diabła, mogło to znaczyć. Bardzo cierpiała, a on nie był w stanie jej pomóc. Mimo to spróbował.

- Mirando, mówiłem ci, że popełniono błąd. Czy nie widziałaś poprawionej wersji raportu z sekcji zwłok, który otrzymał kapitan O'Connor?

251

żenie wywołane niehumanitarnym zachowaniem sąsiadów, a także to, że ten kaleki młodzieniec próbował przekonać go, iż nie jest wcale ułomny, jeśli chodzi o ludzkie odczucia. Mike spędził z Angelo trochę czasu i jego niebywałe zdolności zrobiły na nim ogromne wrażenie. Tak się składa, że Mike ma przyjaciela pracującego w IBM.

- Złożył wizytę Angelo i jego ojcu... i tu następuje optymistyczny kawałek mojej opowieści... i jego dział planuje udoskonalanie wynalazków i urządzeń adaptacyjnych Angela. Nie dali dzieciakowi jakiegoś tam stypendium, ale etat konsultanta zajmującego się projektami urządzeń ułatwiających życie osobom niepełnosprawnym. Przed Angelo stoi wielka przyszłość. No i co, jesteś zadowolona?

- Tak - odpowiedziała Miranda. - To dobra wiadomość.

- Świetnie. Czy możesz w takim razie spróbować nie robić takiej smutnej miny? Nic nie zjadł, nie chcesz iść na spacer po plaży. Chciałem ci zaproponować, Mirando, długi, przyjemny i relaksujący masaż, ale widzę, że nie o to ci chodzi. - Nastąpiła długa cisza. Mike zaczerpnął powietrza, po czym zapytał: - A więc o co ci chodzi, Mirando? Po co tu przyjechałaś?

- Żeby porozmawiać.

Opadł na fotel stojący naprzeciwko kanapy i przyglądał się jej uważnie. Piękna Miranda. Wspaniała, żarliwa młoda kobieta, w której był trochę zakochany i której trochę się bał. Nigdy dotąd w swoim życiu nie spotkał się z tak zdecydowaną, niezachwianą uczciwością, z taką niewinnością prosto z ulicy. Miranda wyglądała na zranioną, bezbronną i cierpiącą. Bo ona wierzyła w coś, w zasady i słuszność postępowania - cokolwiek, do diabła, mogło to znaczyć. Bardzo cierpiała, a on nie był w stanie jej pomóc. Mimo to spróbował.

- Mirando, mówiłem ci, że popełniono błąd. Czy nie widziałaś poprawionej wersji raportu z sekcji zwłok, który otrzymał kapitan O'Connor?

251

żenie wywołane niehumanitarnym zachowaniem sąsiadów, a także to, że ten kaleki młodzieniec próbował przekonać go, iż nie jest wcale ułomny, jeśli chodzi o ludzkie odczucia. Mike spędził z Angelo trochę czasu i jego niebywałe zdolności zrobiły na nim ogromne wrażenie. Tak się składa, że Mike ma przyjaciela pracującego w IBM.

- Złożył wizytę Angelo i jego ojcu... i tu następuje optymistyczny kawałek mojej opowieści... i jego dział planuje udoskonalanie wynalazków i urządzeń adaptacyjnych Angela. Nie dali dzieciakowi jakiegoś tam stypendium, ale etat konsultanta zajmującego się projektami urządzeń ułatwiających życie osobom niepełnosprawnym. Przed Angelo stoi wielka przyszłość. No i co, jesteś zadowolona?

- Tak - odpowiedziała Miranda. - To dobra wiadomość.

- Świetnie. Czy możesz w takim razie spróbować nie robić takiej smutnej miny? Nic nie zjadł, nie chcesz iść na spacer po plaży. Chciałem ci zaproponować, Mirando, długi, przyjemny i

relaksujący masaż, ale widzę, że nie o to ci chodzi. - Nastąpiła długa cisza. Mike zaczerpnął powietrza, po czym zapytał: - A więc o co ci chodzi, Mirando? Po co tu przyjechałaś?

- Zeby porozmawiać.

Opadł na fotel stojący naprzeciwko kanapy i przyglądał się jej uważnie. Piękna Miranda. Wspaniała, żarliwa młoda kobieta, w której był trochę zakochany i której trochę się bał. Nigdy dotąd w swoim życiu nie spotkał się z tak zdecydowaną, niezachwianą uczciwością, z taką niewinnością prosto z ulicy. Miranda wyglądała na zranioną, bezbronną i cierpiącą. Bo ona wierzyła w coś, w zasady i słuszność postępowania - cokolwiek, do diabła, mogło to znaczyć. Bardzo cierpiała, a on nie był w stanie jej pomóc. Mimo to spróbował.

- Mirando, mówiłem ci, że popełniono błąd. Czy nie widziałaś poprawionej wersji raportu z sekcji zwłok, który otrzymał kapitan O'Connor?

251

zenie wywołane niehumanitarnym zachowaniem sąsiadów, a także to, że ten kaleki młodzieniec próbował przekonać go, iż nie jest wcale ułomny, jeśli chodzi o ludzkie odczucia. Mike spędził z Angelo trochę czasu i jego niebywale zdolności zrobiły na nim ogromne wrażenie. Tak się składa, że Mike ma przyjaciela pracującego w IBM.

- Złożył wizytę Angelo i jego ojcu... i tu następuje optymistyczny kawałek mojej opowieści... i jego dział planuje udoskonalanie wynalazków i urządzeń adaptacyjnych Angela. Nie dali dzieciakowi jakiegoś tam stypendium, ale etat konsultanta zajmującego się projektami urządzeń ułatwiających życie osobom niepełnosprawnym. Przed Angelo stoi wielka przyszłość. No i co, jesteś zadowolona?

- Tak - odpowiedziała Miranda. - To dobra wiadomość.

- Świetnie. Czy możesz w takim razie spróbować nie robić takiej smutnej miny? Nic nie zjadłaś, nie chcesz iść na spacer po plaży. Chciałem ci zaproponować, Mirando, długi, przyjemny i relaksujący masaż, ale widzę, że nie o to ci chodzi. - Nastąpiła długa cisza. Mike zaczerpnął powietrza, po czym zapytał: - A więc o co ci chodzi, Mirando? Po co tu przyjechałaś?

- Zeby porozmawiać.

Opadł na fotel stojący naprzeciwko kanapy i przyglądał się jej uważnie. Piękna Miranda. Wspaniała, żarliwa młoda kobieta, w której był trochę zakochany i której trochę się bał. Nigdy dotąd w swoim życiu nie spotkał się z tak zdecydowaną, niezachwianą uczciwością, z taką niewinnością prosto z ulicy. Miranda wyglądała na zranioną, bezbronną i cierpiącą. Bo ona wierzyła w coś, w zasady i słuszność postępowania - cokolwiek, do diabła, mogło to znaczyć. Bardzo cierpiała, a on nie był w stanie jej pomóc. Mimo to spróbował.

- Mirando, mówiłem ci, że popełniono błąd. Czy nie widziałaś poprawionej wersji raportu z sekcji zwłok, który otrzymał kapitan O'Connor?

251

zenie wywołane niehumanitarnym zachowaniem sąsiadów, a także to, że ten kaleki młodzieniec próbował przekonać go, iż nie jest wcale ułomny, jeśli chodzi o ludzkie odczucia. Mike spędził z Angelo trochę czasu i jego niebywale zdolności zrobiły na nim ogromne wrażenie. Tak się składa, że Mike ma przyjaciela pracującego w IBM.

- Złożył wizytę Angelo i jego ojcu... i tu następuje optymistyczny kawałek mojej opowieści... i jego dział planuje udoskonalanie wynalazków i urządzeń adaptacyjnych Angela. Nie dali dzieciakowi jakiegoś tam stypendium, ale etat konsultanta zajmującego się projektami urządzeń ułatwiających życie osobom niepełnosprawnym. Przed Angelo stoi wielka przyszłość. No i co, jesteś zadowolona?

- Tak - odpowiedziała Miranda. - To dobra wiadomość.

- Świetnie. Czy możesz w takim razie spróbować nie robić takiej smutnej miny? Nic nie zjadłaś, nie chcesz iść na spacer po plaży. Chciałem ci zaproponować, Mirando, długi, przyjemny i relaksujący masaż, ale widzę, że nie o to ci chodzi. - Nastąpiła długa cisza. Mike zaczerpnął powietrza, po czym zapytał: - A więc o co ci chodzi, Mirando? Po co tu przyjechałaś?

- Żeby porozmawiać.

Opadł na fotel stojący naprzeciwko kanapy i przyglądał się jej uważnie. Piękna Miranda. Wspaniała, żarliwa młoda kobieta, w której był trochę zakochany i której trochę się bał. Nigdy dotąd w swoim życiu nie spotkał się z tak zdecydowaną, niezachwianą uczciwością, z taką niewinnością prosto z ulicy. Miranda wyglądała na zranioną, bezbronną i cierpiącą. Bo ona wierzyła w coś, w zasady i słuszność postępowania - cokolwiek, do diabła, mogło to znaczyć. Bardzo cierpiała, a on nie był w stanie jej pomóc. Mimo to spróbował.

- Mirando, mówiłem ci, że popełniono błąd. Czy nie widziałaś poprawionej wersji raportu z sekcji zwłok, który otrzymał kapitan O'Connor?

Spojrzała mu prosto w twarz.

- Pozostają jednak pytania, Mike. Nasuwają się pytania. Wiele... problemów się nasuwa. Doskonale rozumiała jego spokój. Jest bezpieczny. Jego artykuły są bezpieczne. Jego książka jest bezpieczna. Jego film jest bezpieczny. Jego przyszłość jest bezpieczna. Mógł sobie pozwolić na cierpliwość i na protekcyjny ton. Był przecież wielkoduszny.

- No, Mirando. Przeleć sobie tę swoją listę. To są akademickie problemy. Popełniono błąd i sprostowano go. Czy nie możesz się z tym pogodzić?

- Możliwości popełnienia błędu, jeśli chodzi o przyczynę śmierci Anny Grace, biorąc pod uwagę, że jej lekarka mówiła mi o tętniaku... możliwości te są Tównie wielkie jak szanse wygrania na loterii.

- A jednak zawsze jest ktoś, kto wygrywa na loterii, Mirando.

- To ty wygrałeś w tej loterii, tak?

Pokręcił głową, wzruszył ramionami.

- Co jeszcze? Czy jest jeszcze coś, o czym mi nie mówiłaś, a co cię niepokoi?

- Tak. Uważam, że Bill Grace ma prawo znać przyczynę śmierci swojej żony. I sądzę, że trzeba mu to powiedzieć, prywatnie, tak by nie spędził reszty życia w przekonaniu, że nadal żyła, gdyby ktoś wezwał pomoc. Niech wie: bez względu na to, co się wydarzyło, jej śmierć była nieunikniona. Wtedy będzie mógł dalej spokojnie żyć. I jej matka...

- I jej matka? Która sądziła, że „to ta Hiszpanka”, więc niech sobie krzyczy, płacze, błaga, ta zasztyletowana dziewczyna na ulicy? I co ty chcesz dać jej matce, Mirando?

- Prawdę - odpowiedziała cicho Miranda. - I tak niczego to nie zmieni. Niczego. Ale przynajmniej dowie się... prawdy.

- I ta prawda ją uwolni?

- Nie. Nic jej nie uwolni. Ten artykuł o matce Anny Grace ma być ostatni?

- O tak. Będzie to najważniejszy artykuł, zamykający cały cykl. Tak, właśnie. - Odczekał. - Czy jeszcze coś?

- Tak. Jeszcze coś.

Natarła na niego z taką zaciekłością, że nie był w stanie się ruszyć, mrugnąć okiem, odwrócić wzroku.

- Pytałeś mnie na samym początku, pytałeś mnie, co mnie porusza. Byłeś zaskoczony, wściekły z powodu zachowania tych ludzi z Barclay Street. Teraz ci powiem, co mnie zaskoczyło. To, że ktoś taki jak ty... a czytam twoje artykuły od tak dawna, jak sięgnę pamięcią. Ciągłe pisanie o potrzebie uczciwości, demaskowania kłamców i oszustów, oczyszczenia rządu, by nam wszystkim było łatwiej żyć. O potrzebie odwagi, o wyborze trudnej drogi, jeśli jest to konieczne. A potem, kiedy zdarza się coś, co nie odpowiada twoim własnym potrzebom, co nie wygląda tak, jak początkowo się wydawało, co może zmienić to, co chciałbyś osiągnąć - wówczas odrzucasz to wszystko, co zdawało się być treścią twego życia.

Wyciągnął do niej rękę, jakby przemawiał do roztargnionego dziecka:

- Mirando. Mylisz się. Popełniono błąd. I sprostowano ten błąd.

- To jest to, czego ja nie mogę... że aż tyle, Boże, ile osób jest w to zamieszanych? Ilu do tego trzeba było ludzi, ile układów, ile przysług, żeby coś takiego zrobić? Żeby zamienić wyniki sekcji zwłok, tak by pasowały do jakiejś teorii, by odpowiadały potrzebom jakiegoś dziennikarza? i

Mike nagle wstał, zmęczony ciągłą obroną. Zaczął chodzić po ogromnym pokoju, przerzucił poduszkę z jednego fotela na drugi, po czym pochylił się nad Mirandą i postawił ją na nogi. Skończyło się udawanie; nadszedł czas szczerości.

- Zaraz ci powiem, Mirando, jakie są potrzeby dziennikarza. Dwa razy w tygodniu przygotowywałem te rutynowe, gównowo wartościowe artykuły o wyrzutkach społeczeństwa. Zarówno o ofiarach, jak i przestępcach. Wszyscy są jedna-

kowi, ich życiorysy są mało ważne i nieciekawe, i wszyscy kończą tak samo. Wcześniej czy później. Ja jedynie podstawiłem różne nazwiska. Podaj mi szczegóły przestępstwa, a ja ci powiem, kto je popełnił, dlaczego i jak, i kogo to, do cholery, w ogóle obchodzi? Taka jest właśnie szczerą prawdą. Na tym polega uczciwość, w której nurzałem się przez wiele lat. Nic mnie nie było w stanie ruszyć czy zrobić na mnie wrażenia, ani jedna ofiara, ani jeden kutas, który za to, że maltretowano go w dzieciństwie, odbija sobie popełniając sadystyczny czyn wobec swojej ofiary.

- Mogłeś przecież pisać o czymś innym. Znasz inne dziedziny życia i...

- Wszędzie jest tak samo. Wszędzie są sprawcy i ich ofiary. Widziałaś tych facetów u Pisaniego? Czy dobrze im się przyjrzałaś? Czy naprawdę dokładnie, Mirando? Czy zajrzałaś im w oczy? To wszystko jest w ich oczach. Strach, by nie stać się ofiarą, by nie przegrać w życiu, by nie wydać się przegrany. Facet może być największym kutasem w historii świata, jakimś byle jakim dwudziestoczteroletnim wiceprezesem jEckiej sieci telefonicznej, który sądzi, że jego pomysł, by pewna liczba domostw komunikowała się między sobą, jest największą sprawą od czasów Thomasa Edisona... i ten kutas 'zdobywa władzę. Bo nie tylko pieniądze się liczą, Mirando. Lecz władza, która wraz z nimi przychodzi.

- Ale ty osiągnęłaś najprawdziwszy sukces, Mike. Dzięki swojej książce, tej o Wietnamie.

- Prawdziwy sukces nie oznacza wcale szmalu. Nie jest to prawdziwy-prawdziwy sukces.

- Tak jak go rozumieją twoi przyjaciele z Bronxu.

- Równie dobre rozumowanie jak każde inne. I jeszcze coś ci powiem. Jednym z powodów, dla których zacząłem fiksować po czterdziestce, zeniąc się z dwudziestoletnią gówniarą, której nawet dobrze nie znałem, i zostając ojcem małego chłopaka, którego prawie nie widuję, było to, że wpadłem w panikę. Sądząc, że wszystko jest już poza

mną. Odrzucałem wszystkie gówniane oferty, jakie dostawałem po otrzymaniu nagrody Pulitzera: pomysły na serial telewizyjny, na filmy sensacyjne, kiedy potrzebne im było jedynie moje nazwisko. Byłem uczciwy wobec siebie, Mirando, i w ten sposób straciłem miliony dolarów.

Zamiast tego uczyłem dzieciaki, którym się zachciało zostać komentatorami telewizyjnymi, i pisałem o szumowinach chodzących po tej ziemi, które ściągają nas wszystkich w dół. Nic innego

nie miało znaczenia. Moja smarkata panna młoda rozwiodła się ze mną i znalazła sobie smarkatego pana młodego. Mój najstarszy syn ojcuje memu najmłodszemu synowi, pozbawionemu ojca. A ja wypluwam z siebie kolejne okropności: kto-co-kiedy-gdzie-jak? A kogóż to, do cholery, obchodzi?

- Aż do tej nocy na Barclay Street?

- Aż do tej nocy na Barclay Street! Coś się we mnie otworzyło. Wywołując uczucie oburzenia, którego nawet się po sobie nie spodziewałem. Uczucie wściekłości. Potrzebę opisanego tego, zgłębienia, wyrzucenia z siebie.

- Ależ Mike, twoja wściekłość jest tu całkiem na miejscu. Rzeczywista przyczyna śmierci Anny Grace niczego nie zmienia. Nadal mogłeś...

- Zmienia wszystko! Czy ty tego nie rozumiesz, mała? Wściekłość dla nich tam - zatoczył ręką wokół pokoju - jest bardziej jak uczucie ulgi. „Cholera, dobrze, że to się nie wydarzyło pod moim oknem”. To taka wściekłość w zastępstwie czegoś innego, sposób na wytłumaczenie własnej obojętności. Wiesz, w czym tkwił haczyk, Mirando? W tytule: „Dziewczyna, którą zamordowano dwa razy”. Och, Mirando. Miałem propozycje wielu prac, wielu zleceń, wielu innych sposobów zrobienia pieniędzy. Za dwa tygodnie kończę pięćdziesiątkę i jest to tylko jeszcze jedna cyfra. Bo mam przed sobą przyszłość. Przyjmuję wszystko, co mi niesie los.

- Więc możesz wejść do Pisaniego, a oni będą na ciebie spoglądać z obawą i obejmować cię z zawiścią, ale nie z miłością.

- Trafiłaś w dziesiątkę, mała.

Miranda pokręciła głową i wyszła na taras. Było mokro, lepko i mglisto, w powietrzu unosiła się wilgoć, a słaba bryza wiała od oceanu. Mike stanął za nią i obrócił ją twarzą do siebie. Przesunął ustami wzdłuż jej policzka, w kierunku ucha, wyszeptał coś podnoszącego na duchu, po czym musnął jej wargi. Zesztywniała, kiedy próbował zaprowadzić ją z powrotem do domu.

- Mirando. Wyjedź ze mną. Na tak długo, jak możesz. Weź urlop. Pojedź ze mną na wybrzeże. Mirando, czy w całym swoim życiu nigdy nie zrobiłaś czegoś ot tak? Dla przyjemności?

- Nie dostąpiłam tego luksusu.

- To ci go teraz daję. Wielki nowy świat, Mirando.

Smutno potrząsnęła głową i patrząc na niego, stała nieruchoma jak posąg. W końcu uświadomił sobie, dlaczego zawsze wydawała mu się tak dziwnie znajoma. Nefre-tete: dumna, piękna, mistyczna, silna, niewinna, ale znająca życie, nieugięta twarz królowej. Miranda.

- W samym centrum mojego świata, panie Stein, musi być prawda. Nie jestem w stanie istnieć bez tego centrum. - Zmarszczyła na chwilę brwi, po czym uśmiechnęła się, podniosła rękę, i pstryknęła palcami: - A co do pobytu na wybrzeżach, którą to ofertę otrzymałam od pana w podarunku, to powtórzę panu, co już tyle razy mówiłam: wszędzie jest Wschodni Harlem.

XXXIV

Miranda podeszła do komody, otworzyła szufladę i wyjęła z niej małe ceramiczne pudełko, z wymalowaną na wieczku głową kota. Wyjęła z niego wizytówkę, którą ponad rok temu dał jej senator John Collins. Patrzyła na numer telefonu, który zapisał atramentem na odwrotnej stronie tej prostej, ale wywołującej odpowiednie wrażenie

256

wizytówki. Oddychała prędko i czuła suchość w ustach. No tak. Teraz zobaczy, jak to działa.

Uważnie wykręciła numer.

Odebrał telefon po drugim sygnale.

Dzwoni w dobrym momencie. Waśnie przyjechał do Nowego Jorku, by wziąć udział w uroczystym obiedzie, zatrzymał się jednak w biurze, aby zabrać jakieś dokumenty. I właśnie dlatego tak prędko odebrał telefon. Zostanie w Nowym Jorku kilka dni.

Miranda czuła się niezręcznie i niepewnie, wahając się, od czego zacząć. Miała go właśnie zapytać, czy mogłaby złożyć mu wizytę w biurze, kiedy zaproponował, że sam do niej wpadnie.

- Mam przeczucie, że to dość ważna sprawa i najlepiej będzie ją omówić w cztery oczy, prawda?

Miał na sobie garnitur wieczorowy. Był wyższy, bardziej ożywiony i przystojny, niż go sobie zapamiętała, charyzmatyczny jak gwiazdor filmowy. Pełen gracji, czarujący i uprzejmy, dziwnie staroświecki i szarmancki, okazujący zainteresowanie, poświęcający jej całą swoją uwagę. Od czasu do czasu prosił, żeby mówiła wolniej -robił bowiem notatki.

- Musi pani pamiętać," Mirando, że pani jest w samym środku tego wszystkiego, a dla mnie to zupełnie nieznaną sprawą. Na pewno jest tak, jak pani mówi, choćby te narkotyki. To początek i źródło wszystkiego, co się później stało, prawda? ,

Od razu wszystko pojał. Nie musiała mu nic wyjaśniać. Był szybki, inteligentny i bystry. Z łatwością kojarzył fakty, które mu przedstawiała. W końcu zamknął notatnik.

Opowiedział raz jeszcze wszystko, co od niej usłyszał, odtwarzając to z pamięci, sprawdzając, czy dobrze zrozumiał.

- Tak więc najprawdopodobniej Bestia z Queens nadal przebywa na wolności, wbrew temu, co twierdzi ten Mera. Tak. No i rozumiem wynikające stąd zachowanie wszystkich, zwłaszcza Mike'a Steina. Jego artykuły stra-

ciłyby sens, jeśli ona zmarła z powodu tętniaka mózgu. Nikt na świecie nie mógł jej pomóc. Tak więc całe przesłanie tych artykułów, łącznie z twierdzeniem, że mieszkańcy Barclay Street są

mordercami tej młodej kobiety, także trafia szlag. Upada teoria, że mogli ją uratować jednym telefonem, gdyby tylko to zrobili. Skoro zmarła z powodu tętniaka mózgu.

Miranda skinęła głową. Wysłuchał uważnie, dokładnie, a na jego twarzy malowało się zrozumienie. Jego umysł pracował jak umysł gliniarza, jak niegdyś działał umysł jego brata, kiedy miał dobry dzień.

- Czyż los Kevina nie zakrawa na ironię? — powiedział senator wspominając swego brata. — Po tych wszystkich latach, kiedy choroba doprowadzała go niemal do samobójstwa, teraz gdy w końcu udało się znaleźć odpowiednią dla niego terapię, kiedy w końcu zaczął dawać sobie ze wszystkim radę, cieszyć się życiem... straciliśmy go. Wigilia Bożego Narodzenia to straszny moment na atak serca. To smutne. Czy już podziękowałam pani, Mirando, za list i kondolencje?

- Tak, panie senatorze, otrzymałam pańską kartkę. Ale mimo wszystko cieszę się, że Kevin miał choć trochę czasu, by widzieć życie bez tego bólu, w jakim żył z powodu swej choroby. Jego surowa twarz policjanta zmiękła i złagodniała, kiedy wspominał dobre chwile w życiu swego brata i jego współpracowniczkę.

- Była pani dobra dla Kevina. Lubił z panią pracować. Była pani dla niego oparciem, Mirando, i dała mu pani więcej, niż zdaje sobie pani sprawę. Naprawdę. Tak właśnie sędzę. Przyjęła to, co powiedział, jako coś oczywistego: ona i Kevin Collins byli dobrymi współpracownikami.

- No a teraz - odezwał się senator - pora udać się na kolację. Prawo powinno kategorycznie zabraniać ubierania się w taki sposób w taką pogodę. No, ale to jakby część mojej pracy.

258

Spojrzał na nią z' góry, uśmiechając się przy tym krzywo, jak Kevin.

- Niech się pani nie martwi, Mirando. Wszystko wyjaśnimy. Obiecuję pani. Niech mi pani da kilka dni. Trzeba się zająć wielu sprawami. I trzeba to zrobić dyskretnie; musi to pozostać między nami. Zadzwońię do pani, powiedzmy, w środę wieczorem. Koło dziewiątej.

Nachylił się ku niej, pocałował ją po bratersku w policzek i szepnął:

- Mirando. Wszystko będzie dobrze. Niech panią Bóg błogosławi.

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Miranda czuła się bezpieczna. Przekazała swój ciężar komuś, kto był bardziej niż ona predestynowany, by się z nim uporać. Doznała wspaniałego, ogarniającego ją całą uczucia ulgi. Sięgnęła po telefon..? i wówczas to wspaniałe uczucie znikło. Mike Stein był jedyną osobą, z którą naprawdę chciała rozmawiać, by mu opowiedzieć, podzielić się z nim wszystkim. Zamiast do niego, zadzwoniła na Florydę i rozmawiała ze swoją matką, która wydawała się poirytowana, jakby Miranda jej w czymś przeszkodziła.

Potem rozmawiała ze swoim synem, który mówił głosem oficjalnym, grzecznym i obojętnym, a w końcu dało się w nim słyszeć uczucie ulgi, kiedy poprosiła, żeby zawołał babcie.

- Mamo, może niedługo was odwiedzę, chciałabym zobaczyć ciebie i Mannie'ego. Chyba czuję się trochę osamotniona.

Matka odpowiadała niejasno, wymijająco i wcale nie na temat odczuć Mirandy.

- Planujemy wycieczkę, wszystko już przygotowane. Emmanuel, jego wuj i ojciec szukają czegoś na wyspach, więc Mannie, my wszyscy jedziemy tam, obejrzeć i...

- Chyba nie mówisz o Porto Rico? - Mirandę ogarnęła

panika. To za daleko, za daleko. - Mamo, chyba nie chcecie się tam przeprowadzić, wszyscy?

Matka odpowiedziała ostro i energicznie:

- Mirando, nic podobnego nie mówiłam. Nie słuchasz mnie. To tylko wizyta, a mężczyźni zajmą się przy okazji także interesami. O, właśnie przyszedł mój mąż, Mirando. Jesteśmy umówieni...

- Tak, rozumiem. Zadzwońię kiedy indziej i wtedy sobie długo porozmawiamy. Przesyłam ci ucałowania, mamo, i uściski dla Mannie'go, i...

- Tak - powiedziała matka - tak, tak. Ja też. - I odłożyła słuchawkę.

Miranda też położyła słuchawkę na miejsce i kiedy zadzwonił telefon, aż podskoczyła - może to jej matka do niej dzwoni, pyta: Mirando, o co chodzi? Powiedz mi, porozmawiaj ze mną, pocieszę cię,

dodam ci otuchy...

A może to Mike Stein? Mówi: Mirando, chcę cię zobaczyć, przytulić, porozmawiać z tobą, powiedzieć ci, że jakoś musimy sobie dać z tym wszystkim radę, tak żeby było dobrze, tak jak być powinno.

Dzwonił znajomy, mężczyzna, którego dość dawno nie widziała. Był radosny, ale wyczuł jej smutek, rozczarowanie, więc wycofał się. Nie, nie może się z nim umówić na kolację, nie, nie wie, kiedy będzie na to odpowiedni moment, słuchaj, proszę, dzieją się różne rzeczy, ma problemy, o których nie chce mówić. Może to ona się z nim skontaktuje, kiedy sprawy przyjmą lepszy obrót? Przyjaciele są po to, by przy nas trwać, nie wtrącać ' się, lecz tylko przy nas trwać. Ma to gdzieś, czy starczy mu cierpliwości, czy nie. Ma to gdzieś.

i

Przez następne kilka dni Miranda poruszała się jak w transie. Nie czytała artykułów Steina. Widziała je już przecież w maszynopisie. Stały się tematem wywiadów w telewizyjnych wiadomościach, nadawanych o piątej, szóstej i jedenastej, a także różnego rodzaju programów dyskusyjnych, emitowanych późno w nocy, specjalnych pro-

260

gramów porannych i niedzielnych. Eksperti wypowiadali najróżniejsze opinie. Rosło napięcie, kiedy eksperci krzyżowali szpady. Mieszkańcy Barclay Street wypowiadali się poprzez swoich adwokatów. Wytoczyli sprawę Mike'owi Steinowi, dziennikowi „The New York Post”, wydawcy jego książki oraz wytwórni filmowej, która wykupiła prawa do jego nie skończonej jeszcze książki. Nagabywani przez dziennikarzy, mieszkańcy Barclay Street chowali twarze za złożonymi gazetami lub zakrywali dłońmi, choć niektórzy z nich, zbuntowani, rozeźleni i mający już tego wszystkiego dość, stawali z odkrytym czołem przed kamerami i mikrofonami, przypominając swym dręczycielom:

- To nie my zasztyletowaliśmy tę dziewczynę. Idźcie sobie stąd! Róbcie wywiady z mordercami i złodziejami, co się z wami, ludzie, powyprawiało? Zostawcie nas w spokoju! Syndrom Barclay Street znalazł się w słowniku nie tylko specjalistów z całego świata, ale także zwykłych przechodniów z ulicy. Organizowano debaty, dyskusje, panele spotkania obywateli, ale wymieniano także opinie podczas lunchu w barze przy okazji spożywania kanapki, między biurkami w biurze, między mężem i żoną. Ukazały się nawet ekspresowo wydane książki na ten temat.

Projekt Ustawy Anny Grace, znanej także pod nazwą Ustawy o Odpowiedzialności Prawnej Świadków Przystępstwa, miał się stać tematem specjalnej debaty w Kongresie. Nikt nie wątpił, że ustawa zostanie prędko przyjęta. Ci, którzy pozwolili, żeby ta młoda ranna kobieta umarła na ich oczach na chodniku w dzielnicy zamieszkałej przez klasę średnią, w tak zwanej kulturalnej dzielnicy, mieli zostać unieśmiertelnieni za pomocą ustawy noszącej imię ofiary.

Senator Collins zadzwonił do Mirandy na minutę przed dziewiątą w środę wieczór, tak jak obiecał.

- Mirando, tu John Collins. Jak się pani ma? Czy mniej jest pani spięta niż wtedy, gdy widzieliśmy się ostatnio?

Jego głos był pełen troski, choć przyjemny i swobodny. Czuło się w nim jednak wymuszoną zdawkowość i jej dobrze wyszkolone ucho, jej analityczny umysł detektywa wyłapały, że ton głosu senatora nie współgra z przyjaznymi pytaniami o jej samopoczucie. Miranda poczuła, jak dreszcz przebiega jej po plecach, tak prędko i zniecka, że zadrżała na całym ciele. Nie wiedząc czeiń, poczuła strach.

- A więc, zdażyłem wszystko sprawdzić, a mam na myśli wszystko, o czym mówiliśmy tamtego wieczora. Moi pracownicy udali się tu i tam, i mogę pani przedstawić wyniki ich zabiegów. I, Mirando, może być pani spokojna, że wszystko zostało przeprowadzone w sposób jak najbardziej dyskretny. Nikt nie wie, dlaczego ani dla kogo zbierano te informacje. Nawet moi pracownicy nie mają pojęcia o zasięgu przeprowadzonego wywiadu.

To dobrze. Była to jedna ze spraw, które ją niepokoiły. To dobrze.

A więc. Po pierwsze: rzeczywiście doszło do zamiany sprawozdań z sekcji zwłok. Prawdę mówiąc,

w Biurze Medycyny Sądowej panował taki bałagan, że była to tylko jedna z wielu popełnionych ostatnio pomyłek, niemal katastrof, które wyszłyby na jaw w wyniku dokładniejszego dochodzenia, jakie i tak odbędzie się w najbliższej przyszłości. Nawiasem mówiąc, zostanie ono przeprowadzone przez różne agencje rządowe.

- To doprawdy niewyobrażalny zbieg okoliczności, że błędnie podano tętniak mózgu jako przyczynę zgonu. W świetle pani wcześniejszej rozmowy z doktor Ruggiero.

Która to, nawiasem mówiąc, już od dawna czekała w kolejce do tego stanowiska, które dopiero niedawno stało się osiągalne. Zdaje się, że już od dawna nie była zadowolona z pracy w szpitalu Sw. Jana. Co do jej obcesowego i szorstkiego zachowania wobec Mirandy, to inni pracownicy szpitala również je ostatnio zauważyli. Więc odetchnęli z ulgą, kiedy ta nowa posada stała się osiągalna.

Wszystko okazało się takie proste.

262

I

Miranda nie odzywała się. Senator Collins zdawał się tego nie zauważać. Ciągnął dalej zgodnie z listą, punkt po punkcie.

- A co do Mery. Złapano go podczas obławy na handlarzy kokainą w Miami. Można powiedzieć, że był „obcym w tym mieście”, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Ludzie do walki z narkotykami z Miami nie sądzą, by był osobiście zamieszany w handel i odnieśli wrażenie, że zbyt wielki z niego tchórz, żeby być zamieszany w cokolwiek poważnego. Śmiertelnie się boi handlarzy. Jest Kolumbijczykiem, więc wie dobrze, jak działają. Wolał oddać się w ręce policji nowojorskiej i zostać oskarżony o morderstwo, niż być zamieszany w jakikolwiek sposób w kolumbijski handel narkotykami. O ile dobrze rozumiem - dodał senator - istnieje jakaś taśma wideo, na której Mera zabija tę biedną Grace. Czy to prawda?

- Tak, to prawda.

- Niebawem. No, ale z drugiej strony, żyjemy w dziwnych czasach.

- A teraz - senator dalej sprawdzał listę - morderstwem tych dwóch stewardes z Avianca zajmują się właśnie ludzie z wydziału zabójstw w Queens. O ile wiem, istnieją pewne poszlaki. Wygląda na to, że te dwie młode kobiety poznały podczas swego ostatniego lotu dwóch „dżentelmenów”. Powiedziały jednej z koleżanek, że chyba udało im się „złapać dwóch nadzianych jeleni”. Widać zabrakło im szczęścia. Uważam, że ta brygada dobrze pracuje, Mirando. I sądzę, że dobrze wykonają swoje zadanie.

- Tak, są dobrzy.

- No to popatrzmy, co tu jeszcze mamy. Zaraz, zaraz. A tak. Jest to sprawa, którą poruszam z pewnym wahaniem. Omówmy ją pokrótce i zapomnijmy o niej. To sprawa „polityczna”, Mirando. Ten kuzyn z Inverness Street, rozumie pani? Cała rodzina gdzieś się zaszyla. Zastosowane przez nich środki bezpieczeństwa okazały się niewia-

rygodnie nieskuteczne, niemal śmieszne. Mogę pani jedynie powiedzieć, że są „nasi”, w tym sensie, że to nasz rząd jest odpowiedzialny za ich bezpieczeństwo. Najwyraźniej z powodów, których możemy się jedynie domyślać, to ich własni ludzie spalili stworzoną im kryjówkę. Wyjechali, Mirando. Wszyscy. Nie istnieją. Rozumie pani?

- Tak, panie senatorze. Rozumiem.

- To dobrze. Cóż więc nam jeszcze zostało? Tak. Maria Vidales. Mamy informacje, że przebywa gdzieś na północy stanu ze swoim chłopakiem. Potwierdzają to stewardesy z Parker Towers; miały od niej wiadomość. Jak pani widzi, Mirando, zająłem się każdą sprawą, która panią niepokoiła. Bardzo dokładnie, jak pani sama widzi.

Bardzo dokładnie. Bardzo gładko.

- No tak - ciągnął dalej - wracamy znowu do pana Mery i tych trzech nie wyjaśnionych zabójstw w Queens, do których popełnienia się przyznaje. Oficerowie śledczy mieli początkowo podobne jak pani wątpliwości, ale zdaje się, że podał im informacje, jakie mógł posiadać jedynie morderca. Czy pani wie, że każda ze znalezionych kobiet miała wciśnięty w dłoń klucz do domu?

Oczywiście, nie zrobił tego w przypadku tej Grace, ponieważ ona już i tak trzymała w dłoni klucz do mieszkania swojej matki. Czy znała pani ten fakt, dotyczący pozostałych ofiar, Mirando?

- Nie. Nie wiedziałam o tym.

- I nikt inny o tym nie wiedział, poza mordercą. No i oczywiście poza detektywami zajmującymi się tą sprawą. - Zrobił znaczącą pauzę. - Ale Mera o tym wiedział. To tyle na temat klucza.

- A teraz i pan o tym wie. I ja też.

W słuchawce zapanowała głucha cisza, podczas gdy jej ostatnia uwaga podlegała ocenie. Miranda straciła czucie aż po pięty. Odczuwała mdłości i kręciło jej się w głowie.

Ciszę przerwał ciszą głos senatora, radosny, pewny siebie i uspokajający.

- Tak więc jesteśmy na bieżąco, Mirando. Wszystko,

264

co panią niepokoiło, napawało troską i czym się pani tak przejmowała, zostało wnikliwie ocenione, zbadane i przedstawione pani w formie sprawozdania. W pełni rozumiem, jak bardzo to panią dręczyło. Zawsze pojawia się niepokój, gdy stajemy przed pytaniami, na które nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Miała pani rację dzwoniąc do mnie. Ale, Mirando, to mi nasuwa całkiem inny temat. Sprawa jest bardzo osobista i, mam nadzieję, ważna dla pani. Coś, co Kevin poparłby z całego serca. Opowiadał mi, jak bardzo go pani zawsze podtrzymywała na duchu, jak dobrą, porządną i odważną miał w pani współpracowniczkę. Mirando, należą do tych, co pomagają bliskim mi ludziom. I wierzę, że postępuję słusznie pomagając tym, którzy byli dobrzy dla mojej rodziny. A pani jest taką właśnie osobą, Mirando. Przecież uratowała pani Ke-vinowi życie.

- Tak — odpowiedziała cicho, czekając.

- Czy to pani mi mówiła, czy może Kevin, że zamierza pani kiedyś rozpocząć studia na wydziale prawa? Prawo konstytucyjne?

A może to Mike Stein mu to powiedział, pomyślała sobie.

- Tak. Może kiedyś.

- Mirando, musiała pani słyszeć o programie L.E.A.A., w ramach którego rząd federalny opłaca wyższe studia wyróżniającym się oficerom policji o odpowiednim wykształceniu i kwalifikacjach intelektualnych. Mirando, co by pani powiedziała na to, żeby wystartować? Pracownicy wydziału w ciągu ostatnich piętnastu lub więcej lat byli wysyłani na studia, by robić doktorat na takich uczelniach, jak Berkeley, Uniwersytet Chicagowski czy na innych uniwersytetach i wydziałach prawa w całym kraju. W ramach programu otrzymywali pełnopłatne stypendia, nie tracąc zarazem swojej pensji w policji. Czy brzmi to zachęcająco?

Z pewnym wahaniem, odpowiedziała:

- Trochę już za późno na złożenie wniosku, prawda?

co panią niepokoiło, napawało troską i czym się pani tak przejmowała, zostało wnikliwie ocenione, zbadane i przedstawione pani w formie sprawozdania. W pełni rozumiem, jak bardzo to panią dręczyło. Zawsze pojawia się niepokój, gdy stajemy przed pytaniami, na które nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Miała pani rację dzwoniąc do mnie. Ale, Mirando, to mi nasuwa całkiem inny temat. Sprawa jest bardzo osobista i, mam nadzieję, ważna dla pani. Coś, co Kevin poparłby z całego serca. Opowiadał mi, jak bardzo go pani zawsze podtrzymywała na duchu, jak dobrą, porządną i odważną miał w pani współpracowniczkę. Mirando, należą do tych, co pomagają bliskim mi ludziom. I wierzę, że postępuję słusznie pomagając tym, którzy byli dobrzy dla mojej rodziny. A pani jest taką właśnie osobą, Mirando. Przecież uratowała pani Ke-vinowi życie.

- Tak - odpowiedziała cicho, czekając.

- Czy to pani mi mówiła, czy może Kevin, że zamierza pani kiedyś rozpocząć studia na wydziale prawa? Prawo konstytucyjne?

A może to Mike Stein mu to powiedział, pomyślała sobie.

- Tak. Może kiedyś.

- Mirando, musiała pani słyszeć o programie L.E.A.A., w ramach którego rząd federalny opłaca wyższe studia wyróżniającym się oficerom policji o odpowiednim wykształceniu i

kwalifikacjach intelektualnych. Mirando, co by pani powiedziała na to, żeby wystartować? Pracownicy wydziału w ciągu ostatnich piętnastu lub więcej lat byli wysyłani na studia, by robić doktorat na takich uczelniach, jak Berkeley, Uniwersytet Chicagowski czy na innych uniwersytetach i wydziałach prawa w całym kraju. W ramach programu otrzymywali pełnopłatne stypendia, nie tracąc zarazem swojej pensji w policji. Czy brzmi to zachęcająco?

Z pewnym wahaniem, odpowiedziała:

- Trochę już za późno na złożenie wniosku, prawda?

2

Nie przystępowałam do egzaminów ani nie ubiegałam się...

Senator Stanów Zjednoczonych, John Collins, roześmiał się. Był to śmiech ulgi, przełamania lodów.

— To się da załatwić, Mirando - powiedział lekko. — Niech mi pani powie, gdzie chciałaby pani studiować? Tutaj, w Nowym Jorku na uniwersytecie Columbia, na Uniwersytecie Nowojorskim, w Fordham? Czy może na którejś z uczelni Ivy League, w Harvardzie, Yale, a może na wybrzeżu... - Przez chwilę się wahał, by obudzić jej czujność, by się upewnić, czy rozumie, że wie o niej wszystko, co tylko chce wiedzieć. - A może Uniwersytet Florydy, albo w Miami, czy mają tam jakiś dobry wydział prawa? Byłaby pani w pobliżu swojej rodziny.

Miranda zasłoniła słuchawkę dłonią. Rozejrzała się po pokoju, przesuując oczyma po obrazach, książkach i płytach, meblach, różnych częściach garderoby. Próbowała się skupić, zakotwiczyć w swojej własnej rzeczywistości.

— Senatorze, ja... Za co mi pan chce zapłacić? Na nic się jeszcze nie zgodziłam.

Cisza stała się teraz pełna wrogości, a gdy znowu zaczął mówić, jego głos zrobił się twardy i groźny:

— Mirando, nie mam zamiaru pahi na to odpowiadać. Chcę tylko powiedzieć, że jest pani wyczerpana, że pracowała pani bardzo ciężko, że jest pani bardzo oddana swojej pracy. Dobrze o tym wiem. Kevin ogromnie panią lubił; był z pani bardzo dumny. Z pani zdecydowania, nieustępliwości i uczciwości, tam gdzie tak łatwo kogoś skorumpować. Uczciwość, Mirando, ma swoje granice. Wówczas gdy napotyka twarde realia życia. Kiedy już nic nie da się zmienić, kiedy nikt nie może już nic w żaden sposób zyskać. I kiedy nie ma już nic, co można by „uratować” czy odsłonić, dla czego można by pracować. Niech pani posłucha, Mirando, będę tu jeszcze przez mniej więcej godzinę. Wiem, że ta propozycja przyszła tak nagle i niespodziewanie. Zdaję sobie sprawę, że jest pani zaskoczona i zmieszana. Ale ta propozycja nie narzuca pani

266

Nie przystępowałam do egzaminów ani nie ubiegałam się...

Senator Stanów Zjednoczonych, John Collins, roześmiał się. Był to śmiech ulgi, przełamania lodów.

- To się da załatwić, Mirando - powiedział lekko. - Niech mi pani powie, gdzie chciałaby pani studiować? Tutaj, w Nowym Jorku na uniwersytecie Columbia, na Uniwersytecie Nowojorskim, w Fordham? Czy może na którejś z uczelni Ivy League, w Harvardzie, Yale, a może na wybrzeżu... - Przez chwilę się wahał, by obudzić jej czujność, by się upewnić, czy rozumie, że wie o niej wszystko, co tylko chce wiedzieć. - A może Uniwersytet Florydy, albo w Miami, czy mają tam jakiś dobry wydział prawa? Byłaby pani w pobliżu swojej rodziny.

Miranda zasłoniła słuchawkę dłonią. Rozejrzała się po pokoju, przesuując oczyma po obrazach, książkach i płytach, meblach, różnych częściach garderoby. Próbowała się skupić, zakotwiczyć w swojej własnej rzeczywistości.

- Senatorze, ja... Za co mi pan chce zapłacić? Na nic się jeszcze nie zgodziłam.

Cisza stała się teraz pełna wrogości, a gdy znowu zaczął mówić, jego głos zrobił się twardy i groźny:

- Mirando, nie mam zamiaru pahi na to odpowiadać. Chcę tylko powiedzieć, że jest pani wyczerpana, że pracowała pani bardzo ciężko, że jest pani bardzo oddana swojej pracy. Dobrze o tym wiem. Kevin ogromnie panią lubił; był z pani bardzo dumny. Z pani zdecydowania, nieustępliwości i uczciwości, tam gdzie tak łatwo kogoś skorumpować. Uczciwość, Mirando, ma

swoje granice. Wówczas gdy napotyka twarde realia życia. Kiedy już nic nie da się zmienić, kiedy nikt nie może już nic w żaden sposób zyskać. I kiedy nie ma już nic, co można by „uratować” czy odsłonić, dla czego można by pracować. Niech pani posłucha, Mirando, będę tu jeszcze przez mniej więcej godzinę. Wiem, że ta propozycja przysłała tak nagle i niespodziewanie. Zdaję sobie sprawę, że jest pani zaskoczona i zmieszana. Ale ta propozycja nie narzuca pani

żadnych zobowiązań, Mirando. I pragnę, żeby pani wiedziała: kiedy pani ukończy studia, będzie pani mogła wrócić do pracy w wydziale policji. Jeśli pani z niej zrezygnuje, to i tak niezliczona liczba agencji sądowiczo-kryminalnych, federalnych i prywatnych, w całym kraju uzna za zaszczyt, że może panią zatrudnić, biorąc pod uwagę pani wykształcenie i referencje. Tak właśnie będzie, Mirando. Jest pani w stanie osiągnąć najwyższe stanowiska w tym kraju. Mieć w tym swój prawdziwy udział. Dołożyć swój wkład. Mirando. Niech to pani sobie przemyśli, dobrze? I zadzwoni do mnie za... powiedzmy, dwie godziny. Dobrze?

- Tak. Tak, panie senatorze. Dziękuję panu. Za dwie godziny.

Czy aż tyle mogli? Czy rzeczywiście wystarczyło tylko wyciągnąć rękę i poprzesuwać ludzi, zmieniając im pracę i stojące przed nimi możliwości, pomóc komuś w karierze wysyłając go na studia prawnicze, w pełni opłacone, wszystkie koszty przy zachowaniu całej pensji? Czy rzeczywiście aż tyle mogli - przypiąć każdemu metkę z ceną, zapłacić żadaną sumę? W zamian za co? Czego od niej chcieli?

Milczenia. I nic więcej. I nic mniej. Chcieli skorumpować ją poprzez milczenie. Mike Stein czerpał korzyści z układu z nimi, i doktor Ruggiero też; także gubernator mógł na tym politycznie skorzystać forsując ustawę. Nie była w stanie wyobrazić sobie, kto jeszcze i za jaką cenę.

Wiedziała jedynie to, że Miranda Torres nie skorzysta z tego układu. Coś wewnątrz niej - coś, niech ktoś inny to nazwie - nie pozwalało jej na to.

Senator podniósł słuchawkę przy pierwszym sygnale; czekał na jej telefon.

- Miranda? - W głosie Collinsa dało się słyszeć napięcie i niepewność, a jego poprzednia swoboda i przyjaciel-skość gdzieś znikły. Zastanowiło ją, jak to możliwe, że się
267

jej boi. Nie była tego pewna, ale wyczuwała jego strach, który ją zaskoczył.

- Tak. To Miranda. Senatorze, dziękuję panu za wszystko, co mi pan zaproponował. Zaległo milczenie.

- Ale - odezwał się po chwili, po czym z życzliwością, cierpliwością i z nadzieją powiedział: - Mirando, niech się pani dobrze zastanowi. Proszę przyjąć tę ofertę. Proszę ją przyjąć i jak najwięcej z niej skorzystać, przeżywając swoje życie najlepiej jak pani potrafi.

- Uważam, że jeśli mam jak najlepiej przeżyć swoje życie, to nie mogę przyjąć dyplomu prawnika jako zapłaty za moje milczenie. Nie wiem dokładnie, przynajmniej na razie, co zrobić. Ale na pewno nie stanę się częścią tego, na co wszyscy zdecydowaliście się przystać. Bo to zła sprawa.

- Mirando. Z pani powodu jest mi tak... tak smutno. Pragnąłem, żeby...

- Sądzę, panie senatorze - powiedziała do niego życzliwie, przejęta, że aż tak wytrąciła go z równowagi - że teraz jesteśmy już kwita. Próbował pan. Dziękuję.

W głosie senatora nie było już słyhać poprzedniej złości. Zdawało się, że jest mu jej żal, albo siebie, albo ich obojga. Poddał się losowi.

- Mirando, nie mam już nic więcej pani do powiedzenia. Skoro czuje pani, że musi rozwiązać tę sprawę po swojemu, to niech tak będzie. Sądzę, że jest pani bardzo niemądra. No ale, z drugiej strony, każde z nas musi żyć w zgodzie z samym sobą. Powodzenia, Mirando. I do widzenia.

- Do widzenia, senatorze Collins.

XXXV

Kapitan O'Connor wezwał ich do swego biura późnym popołudniem. Miranda zostawiła w maszynie do pisania

nie dokończony raport na temat włamania w Forest Hills Gardens. Nagle urwały się rozmowy

telefoniczne. Kapitan wyglądał na podenerwowanego, i kto tylko z brygady był akurat obecny, cicho zjawiał się w jego zatłoczonym gabinecie. Było gorąco, lepko i zalatywało kwaśnym powietrzem z urządzeń klimatyzacyjnych, resztkami kanapek, lichym jedzeniem i zużytymi pojemnikami do kawy.

Kapitan stał za swoim biurkiem. Z jego zachowania, postawy, wyraźnego napięcia wywnioskowali, że cokolwiek teraz nastąpi, potrwa krótko i na pewno nie będzie przyjemne.

- Właśnie otrzymałem wiadomość z aresztu w Queens. - Jego głos był oficjalny i suchy, kiedy czytał prosto z kartki. - Około pierwszej trzydzieści po południu, data dzisiejsza, znaleziono nieżywego Paula Merę w jego pojedynczej celi, gdzie został umieszczony na własne życzenie i dla własnego bezpieczeństwa. - Podniósł wzrok, ale nikt się nie poruszył ani nie wydał najmniejszego dźwięku. Kapitan odłożył notatnik na zaśmiecony blat biurka. Gwałtownym gestem otarł usta grzbietem dłoni. - Podobno tak to się stało - powiedział - że nasz pan Mera jadł właśnie późny-lunch. Był to całkiem dobry późny lunch, który mu opłacała jakaś liga, lub coś w tym rodzaju, interesująca się jego sprawą. Może byłoby lepiej, gdyby nie byli dla niego aż tak dobrzy. Najwyraźniej pan Mera za-krzuszył się nie przeżutym kawałkiem steku. Czy są jakieś pytania? Milczenie. '

- To dopiero ciekawe - zauważył kapitan. - Mam tu gabinet pełen doświadczonych dochodzeniowców i nikt spośród was nie ma ani jednego pytania. - Powiódł wzrokiem dokoła pokoju, zatrzymując się na Mirandzie. - Detektywie Torres? Może pani chciałaby o coś zapytać? Czy nic nie wydaje się pani dziwne, szczególne, wątpliwe? Miranda nie poruszyła się, nie mrugnęła okiem, nie zareagowała w jakikolwiek sposób. Chłonęła jego gniew rozumiejąc, że musi znaleźć dla niego jakieś ujście.

- Oczywiście — kontynuował O'Connor - kilka rzeczy przychodzi mi do głowy. Ale sami rozumiecie, że kwestionowanie wszystkiego leży w naturze policjanta. Podejrzliwość co do najbardziej niewinnie wyglądających faktów. W końcu, przecież to oczywiste, tego rodzaju rzeczy zdarzają się w restauracjach na całym świecie każdego dnia tygodnia. Podczas bankietów, przyjęć rodzinnych czy podczas kolacji zjadanej w kuchni jakiś biedny skurwiel odgryza kęs większy, niż jest w stanie przeżuć, i dławi się nim na śmierć. Na oczach kochającej rodziny i przyjaciół. Większość z nich nie zna techniki Heimlicha ani innych szeroko nagłaśnianych, dostępnych sposobów ratowania życia. Naturalnie, można założyć, że w areszcie w Queens... O'Connor odwrócił się plecami do swych pracowników. Wyprostował się. Wyglądało to tak, jakby rozciągał kręgosłup, znajdując środek ciężkości. Ponownie obrócił się do nich twarzą.

- Jestem pewien, panowie, i pani, że wszystkie te pytania nie tylko mnie przemknęły przez myśl, ale i wam też. Wszelkie możliwe hipotezy będą, oczywiście, dogłębnie zbadane przez Biuro Medycyny Sądowej. Wstępnie jednak uznano za przyczynę śmierci „przypadkowe zadławienie się”. Niech i'tak będzie. A teraz, jakie bądź tam macie pytania, komentarze, uwagi, obserwacje, insynuacje, podejrzenia, mądrości czy co tam jeszcze, do cholery, chodzi wam po głowie, wysłuchajmy tego. Teraz. Tutaj.

Nikt się nie odezwał. I nikt nie patrzył mu prosto w oczy.

To O'Connor musiał przerwać milczenie.

- No to tyle w takim razie. Kiedy znajdziecie się po drugiej stronie - wskazał na drzwi - to sprawa jest już zamknięta i zakończona. Skoro nie macie nic do powiedzenia tutaj, to nie macie nic do powiedzenia. I kropka. Zrozumiano? - Nie chciał pogodzić się z ich milczeniem. -Pytam was, ludzie, rozumiano?

Odezwały się pierwsze głosy, ciche, zażenowane, nieswoje: Tak jest. Zrozumiano, kapitanie. Taa. Jasne.

Miranda siedziała z pochyloną głową, a on nie próbował ponownie jej zaczepiać.

- No to dobrze. Wynoście się stąd wszyscy, do jasnej cholery, i skończcie, co macie jeszcze do zrobienia przed końcem służby. Czy ktoś chce ze mną rozmawiać na osobności? O czymkolwiek? Milczenie.

- No to jazda. Wynoście się stąd, do diabła.

Wszyscy pracownicy brygady opuścili gabinet kapitana. Nikt nie miał mu nic do powiedzenia.

XXXVI

Nie bardzo ją zaskoczył telefon od Marii Vidales. Wiedziała, że jeśli Maria żyje, to do niej zadzwoni. Wiedziała, że sprawa nie jest jeszcze zamknięta. Wiedziała, że nie może ot tak po prostu zająć się nowym zadaniem, prowadzić następne śledztwo, napisać na maszynie następny raport i włożyć go do akt, dokonać kolejnego aresztowania czy złożyć oświadczenie w następnej sprawie. Tamto dochodzenie nie było jeszcze zamknięte.

Głos dziewczyny był cichy i pełen napięcia; oddech prędko, płytko, głośny. Dziwne westchnienia przerywały wypowiedane przez nią słowa.

- Mówiła mi pani, że bym zadzwoniła, kiedy będę gotowa. Teraz jestem już gotowa.

- Gdzie jesteś? Gdzie dotąd byłaś? W którym towarzystwie?

- Byłam... na północy stanu. Z moim chłopakiem. W pewnym miejscu, razem z nim. Zaraz po pogrzebie. Powiedziałam stewardesom z Parker Towers, że wszystko będzie dobrze. Nie wiedziały, gdzie jestem. Nikt nie wiedział.

- A skąd dzwoniisz?

- Jestem na lotnisku Kennedy'ego. Mam bilet. Pasz-

port. Wszystko przygotowane. Ja... ja już niedługo będę bezpieczna.

- A dlaczego do mnie dzwoniisz, Mario?

Milczenie. Po czym w słuchawce rozległo się głębokie i jęklive dyszenie, jakby Maria z trudem oddychała. Było bardzo dziwne, niepokojące. Przeróżające.

- Bo mam coś dla pani. Tylko niech pani nie zadaje zbyt wielu pytań, dobrze? Z powodu mojej siostry Arabelli nie mogę ot tak po prostu wyjechać. I dać mu się wymknąć...

- Komu? O kim mówisz? Powiedz jego nazwisko.

Westchnięcie; głęboki wdech.

- Carlos Gal vez.

- Kim on jest? Powiedz mi, teraz.

- On nie jest jakimś nic nie znaczącym łącznikiem, kimś trochę tylko ważniejszym niż ten skurwiel Mera. To nasz kuzyn, tak. Ale... nie jest tym, za kogo go pani bierze - następnym w hierarchii. Jest jednym z tych na samej górze. Osiadł w Forest Hills, żeby przygotować coś na wielką skalę razem z jakimiś ważnymi osobistościami Stanów Zjednoczonych. Ara popełniła błąd. Zadzwoniła do niego, kiedy Mera zabił tę dziewczynę. Nie dzwoni się do kogoś takiego jak Carlos... w żadnej sprawie. Czegóż takiego się nie robi.

- Czy to on kazał zabić Arę i Christine Valapo?

- Dla niego to betka. Niech pani słucha, spotkajmy się. Chcę coś pani dać.

- Co to takiego? Powiedz.

- Mam pewne papiery. Pewne dokumenty. Mam również nagrania. Mirando, jest tego tyle, że muszę panią poprosić, żeby je pani zachowała dla siebie, póki nie wyjadę z kraju.

- A skąd to wszystko masz, Mario?

Zapadło milczenie, po czym dało się słyszeć powolny, długi wydech. Głos Marii drżał.

- Od mojej siostry. Arabella była, była bardziej zamieszana, niż pani mówiłam. Ona i Carlos byli... wszyscy

272

mężczyźni mają swoje słabostki, nie? Starła się jakoś zabezpieczyć. Od czasu do czasu widywała różne rzeczy i miała możliwość kopiowania tych rzeczy, co... Nie, nie powiem pani już nic więcej. Nie teraz. Kiedy się spotkamy. Bo widzi pani, Mirando, kiedy pani zobaczy, co pani daję, będzie pani... To są poważne sprawy. Bardzo poważne.

- Czy jest pani sama na lotnisku?

- Nie. Jest tu ze mną mój chłopak. Zostanie ze mną, dopóki nie wsiądę do samolotu.

- Musi tu pani przyjść sama, Mirando. Jeśli zobaczę, że przyprowadziła pani ze sobą jeszcze kogoś, jeśli będzie pani chciała mnie oddać w ręce policji, zniszczę to, co mam. Będę siedzieć w

zaparkowanym samochodzie i obserwować, jak pani krąży po parkingu, aż się pani zniechęci. Nie znajdzie mnie pani. Tym razem to ja dyktuję warunki, Miranda. Albo je pani przyjmuje, albo nie. Miranda zawahała się. Maria zaproponowała spotkanie w odległym zakątku lotniska, w miejscu przeznaczonym na dłuższe parkowanie. Zgodnie z instrukcjami, Miranda miała jeździć w kółko, dopóki nie podjedzie do niej samochód Marii, ciemnoniebieska furgonetka volvo. Wówczas ma jechać za volvo, zaparkować tuż za nim i wysiąść z samochodu.

- Mario, nie podoba mi się to miejsce. Wolalabym, żebyśmy się spotkały w miejscu oświetlonym, wśród ludzi. Możemy się umówić w poczekalni. Wybierz jedną z nich. Albo, kiedy już się spotkamy na parkingu, ty mnie zaprowadzisz w jakieś miejsce na lotnisku. Wsiądziemy z samochodów i wejdziemy do środka, tam gdzie jest...

Głos Marii stał się mocny i gniewny.

- Więc niech pani nie przyjeżdża. I tyle. Zapomnijmy o wszystkim. Nie ma to już dla mnie znaczenia. Próbowałam. I koniec!

- Nie, zaraz. Nie odwieszaj słuchawki. - Cisza. Miranda zaczęła mówić prędko, miękkim głosem: - Mario, powinnaś zrozumieć moje obawy, że...

- Nic mnie nie obchodzą pani obawy. Nic mnie to nie

obchodzi, że pani się boi. Rozumie pani? Daję pani szansę. Robię to, o co mnie pani. prosiła. Dla mnie to już nie ma znaczenia. Ani tak, ani siak. Nic nie mam do wygrania, nic do stracenia. Już mnie to nie dotyczy. Chce pani dostać Carlosa Galveza, czy nie? Na moich warunkach? Teraz, niech pani mówi.

- Tak, chcę go dostać.

- Dobra. Więc się spotykamy tak, jak zostało ustalone, albo zapominamy o wszystkim.

- Tak, spotkam się z tobą. Na twoich warunkach.

Miranda siedziała wpatrując się w telefon. Miała ponad godzinę do wyjścia. Robiła wszystko, żeby panika nie przejęła kontroli nad jej myślami. Chciała do kogoś zadzwonić, powiadomić o wszystkim. Żeby ktoś wiedział, w co ona się pcha.

Mike Stein? Nie będzie zainteresowany. Dostał już, co chciał. Nie rozmawiali ze sobą od tamtego popołudnia w domu nad morzem. Już dla niej nie istniał.

Dunphy? Jej kolega nie miał z tym nic wspólnego. Ma rodzinę; był zajęty swoją pracą. Poświęcił już tej sprawie czas. Nie ma to z nim nic wspólnego.

Kapitan? O'Connor dobrze wiedział, co jest grane. Poinformował także o tym brygadę. Pytania, komentarze, uwagi, co? Nie? Dobra. Sprawa zamknięta. Nie chciałby nawet o tym słyszeć.

Senator. Miranda ciągle obracała jego wizytówkę leżącą dotychczas na blacie stolika z telefonem. Tak, rzeczywiście „przyjrzał się” tej sprawie. Przedstawił jej swoją wersję wydarzeń. W oparciu o informacje, które otrzymał. Możliwe, że wprowadzono go w błąd, źle poinformowano. Spróbował jednak odpowiedzieć na wszystkie jej pytania.

I miał rację co do Marii Vidales. Miranda poczuła przyływ podniecenia. Sądziła, że Maria nie żyje albo że jest w straszliwym niebezpieczeństwie. A senator mówił, że przebywa gdzieś na północy stanu ze swym chłopakiem, i miał rację.

274

Miranda zaczęła widzieć wszystko w innym świetle. Może myliła się co do niego; może była wówczas za bardzo zdenerwowana, nazbyt prędko w wydawaniu sądów. Może źle odczytała jego intencje.

Tak naprawdę nie prosiła go jeszcze o prawdziwą przysługę. O przysługę decydującą o życiu lub śmierci, jedyną przysługę w życiu, którą ma się na myśli mówiąc słowo „umowa”. Poprosiła jedynie, żeby coś zbadał; to nie była jeszcze aż tak poważna sprawa. Nie tak należy rozumieć słowo „przysługa”.

A więc teraz poprosi go o przysługę, którą jest jej winien: o tę jego „pomoc bliskim mu ludziom”. Opowie mu o telefonie Marii. Poprosi go, żeby stanął po jej stronie, kiedy będzie miała w ręku niewyobrażalne wprost dowody korupcji, mocne dowody. O ile wróci z tym, co Maria obiecała jej dostarczyć. O ile wróci.

Miranda spojrzała na zegarek. Zostało niewiele czasu.

Wykręciła numer zapisany na odwrocie wizytówki senatora, numer specjalny, zastrzeżony, do którego od śmierci jego brata Miranda miała dostęp jako jedyna osoba na świecie.

Wsluchiwała się w kolejne dźwięki, trzaski, zgrzyty zmienianych przekładni i w ciszę trwającą ułamek sekundy, zanim pozbawiony życia, automatyczny, metaliczny głos przekazał informację:

- Numer został odłączony. Nie ma już takiego numeru.

*,

XXVII

Dwie myśli przemknęły w świadomości Mirandy z prędkością i trzaskiem wyładowania elektrycznego:

To nie mnie się przytrafia.

To się przytrafia właśnie mnie.

W najgłębszych zakamarkach jej świadomości, poniżej okazywanego strachu, w oddaleniu od reakcji fizycznych,

Miranda zaczęła widzieć wszystko w innym świetle. Może myliła się co do niego; może była wówczas za bardzo zdenerwowana, nazbyt prędką w wydawaniu sądów. Może źle odczytała jego intencje.

Tak naprawdę nie prosiła go jeszcze o prawdziwą przysługę. O przysługę decydującą o życiu lub śmierci, jedyną przysługę w życiu, którą ma się na myśli mówiąc słowo „umowa”. Poprosiła jedynie, żeby coś zbadał; to nie była jeszcze aż tak poważna sprawa. Nie tak należy rozumieć słowo „przysługa”.

A więc teraz poprosi go o przysługę, którą jest jej winien: o tę jego „pomoc bliskim mu ludziom”. Opowie mu o telefonie Marii. Poprosi go, żeby stanął po jej stronie, kiedy będzie miała w ręku niewyobrażalne wprost dowody korupcji, mocne dowody. O ile wróci z tym, co Maria obiecała jej dostarczyć. O ile wróci.

Miranda spojrzała na zegarek. Zostało niewiele czasu.

Wykręciła numer zapisany na odwrocie wizytówki senatora, numer specjalny, zastrzeżony, do którego od śmierci jego brata Miranda miała dostęp jako jedyna osoba na świecie.

Wsluchiwała się w kolejne dźwięki, trzaski, zgrzyty zmienianych przekładni i w ciszę trwającą ułamek sekundy, zanim pozbawiony życia, automatyczny, metaliczny głos przekazał informację:

- Numer został odłączony. Nie ma już takiego numeru.

XXVII

Dwie myśli przemknęły w świadomości Mirandy z prędkością i trzaskiem wyładowania elektrycznego: To nie mnie się przytrafia. To się przytrafia właśnie mnie.

W najgłębszych zakamarkach jej świadomości, poniżej okazywanego strachu, w oddaleniu od reakcji fizycznych,

tuż pod krótkim oddechem, mocnymi uderzeniami serca, popmowaniem adrenaliny przez nadnercze, odruchami walki i ucieczki, i całkiem automatyczną, nieświadomą potrzebą wstrzymania tych odruchów, Miranda była w stanie śledzić to, co się z nią dzieje, zachowując spokojny, racjonalny, niemal bezosobowy dystans. Podziwiając zarazem, w tym kontrolowanym szaleństwie, swój niezawodny profesjonalizm.

Zrobiła, co tylko mogła, by zapewnić sobie bezpieczeństwo, biorąc pod uwagę okoliczności.

Dokładnie przyjrzała się temu miejscu, sprawdziła samochody znajdujące się w najbliższym otoczeniu. Maria siedziała na tylnym siedzeniu volvo combi; jej „chłopak” za kierownicą. Miranda zatrzymała samochód pęza miejscem do parkowania, w odległości co najmniej dwóch szerokości volva. Trzymała w dłoni pistolet. Rozejrzała się wokoło, wodząc wzrokiem po żółtawych wilgotnych kręgach światła, kładących się na maskach, dachach i bagażnikach pojazdów zaparkowanych tutaj na dłużej. Wsiadła z samochodu po stronie pasażera i podeszła prosto do kierowcy volva. Maria zawołała do niej:

- Tak. Tutaj! Proszę. Jestem tu! Proszę do środka.

- Wychodzić. Oboje. - Miranda trzymała luźno w dłoni swoją specjalną trzydziestkę ósemkę. Spokojnie, bez słowa protestu wysiedli i poddali się szybkiej i dość dokładnej rewizji, stojąc z rękoma opartymi na dachu samochodu, tak jakby wszyscy się w coś bawili.

- Proszę - błagała Maria. - Niech pani wsiądzie ze mną do samochodu, Mirando. Chcę pani coś pokazać, co...

Miranda rozejrzała się wokoło i pokręciła głową.

- Nie. To ty chodź do mojego samochodu. Twój chłopak zostanie tutaj, na widoku.

Maria wyciągnęła rękę w stronę tylnych drzwi volva.

- Mam tu dla pani taśmy, odbitki, dowody. Nie wiem, kto jest w pani samochodzie, jakich policjantów tam pani ukryła.

Niechętnie, zdając sobie instynktownie sprawę, że nie powinna zgadzać się na przebywanie w zamkniętym samochodzie, Miranda usiadła razem z Marią na tylnym siedzeniu volva i kiedy dziewczyna mówiła, nie spuszczała oka z chłopaka, który stał dokładnie tam, gdzie mu kazała, przed maską, w pełni widoczny.

Skąd się zjawili, ilu ich było, z której strony przyjechali: nie miało to już znaczenia. Znaczenie miało tylko jedno - że wszystko to stało się w ciągu paru minut, które wystarczyły zaledwie na zaczerpnięcie kilku uspokajających oddechów. Podjechało kilka samochodów, trzy? cztery?

Ciemne, ciche wozy zatrzymały się obok volva, przed i za nim. Miranda wypuściła z rąk torbę, którą dostała od Marii, pudełka z taśmami upadły jej pod nogi. Zaciskając prawą dłoń na pistolecie, wyciągnęła rękę w stronę ramienia Marii, ale wokół było już tyle -zamieszania. Kiedy otworzyły się drzwi, poczuła uderzenie ciepłego powietrza. Starła się uwolnić od ciężaru ciała Marii, które nagle opadło na nią, przez ułamek sekundy zakrywając jej twarz. Czyjeś dłonie przytrzymały jej nadgrastki, naciskając na odpowiedni nerw, tak by nie mogła pociągnąć za spust i oddać strzału, siłą rozchylając jej palce. Nie usłyszała, jak pistolet upada na podłogę; zabrano go jej.

Przez ułamek sekundy widziała twarz Marii, która zaraz znikła, kiedy ktoś popchnął Mirandę, aż upadła na podłogę. Usłyszała głos Marii, głęboki szloch:

- Przepraszam, ja...

Dwaj mężczyźni z obu stron trzymali jej ręce, a po chwili zarzucono i wciągnięto jej na głowę jakiś ciężki, pachnący wełną kaptur. Przygnietli ją mocno do podłogi, aż poczuła, że coś przeskoczyło jej w karku. Na przednich fotelach siedzieli jacyś mężczyźni. Usłyszała, jak Maria, gdzieś tam na zewnątrz, woła:

- Nie róbcie mi krzywdy! Zrobiłam, co mi kazał. Proszę...

W samochodzie nie padło ani jedno słowo; słychać było tylko ciężkie oddechy, pochrząkiwania i szloch, wydoby-

277

wający się z głębi jej gardła. Z zewnątrz dobiegały też inne odgłosy: trzask zamykanych drzwi, warkot uruchamianych silników, zgrzyt opon na zakręcie. Miranda poczuła, że jej ciało przetacza się po podłodze. Przytrzymały ją czyjeś silne dłonie, a obuta noga przycisnęła do podłogi.

To nie mnie się przytrafia.

To się przytrafia właśnie mnie.

Kiedy samochód nagle zahamował, znowu przytrzymała ją czyjaś stopa, by nie potoczyła się po podłodze.

Starają się nie zrobić jej krzywdy. To dobrze. Kurczowo trzymała się tej myśli.

Nasłuchiwała, ale nie usłyszała innych samochodów. Otworzyły się drzwi i czyjeś ręce wywlokły ją na zewnątrz. Wiedziała, że powinna odczuwać ból. Popychano ją, ciągnięto i objmano, a mimo to nic nie czuła, nawet śladu niewygody. Jej ciało pozbawione było czucia, reagowało automatycznie, jakby nie kontrolowane przez mózg. Ale jej mózg działał, więc reszta wydawała się nieważna. Zapanuje nad swoimi myślami, a potem będzie mogła kontrolować własne reakcje, jeśli nie ich. Było to miejsce przesiąknięte wilgocią od zrzucanych ścieków, śmieci, przesycone odorem zgnilizny i rozkładu: zapachem opuszczenia. Brutalne dłonie na jej ramionach, na jej dłoniach związanych z tyłu, sterowały nią i podtrzymywały, kiedy się potykała, zupełnie nic nie widząc w

środku wełnianego worka; stopień w górę, kilka kroków po prostej, potem znowu stopień, jej ramię obija się o coś najpierw z jednej strony, potem z drugiej - framuga drzwi.

Znajomy głęboki głos, zaskakujący, ale nie całkiem niespodziewany.

- Zdejmijcie jej to z głowy. I sznury z rąk. To niepotrzebne - polecił Carlos Galvez.

Jakaś dłoń chwyciła za czubek kaptura, pociągnęła; włosy Mirandy strzeliły naelektryzowane.

Kiedy uwolniono jej dłonie, odruchowo poprawiła włosy przyglądając je

zdecydowanym ruchem; przez chwilę trzymała dłoń na głowie, czując dobrze znany kształt swojej własnej czaszki.

Galvez powiedział coś głębokim, rozgniewanym głosem, nie do niej, lecz do swoich ludzi.

Pstryknął palcami -władczy rozkaz cesarza wydającego polecenia. Przez chwilę panował hałas: to wychodzili jego ludzie, trzask drzwi, metaliczny, ciężki - ze stali? w jakiejś szopie? -otwieranych z wysiłkiem i znowu zamykanych, już bardziej ostrożnie.

Zaczęła kontrolować własny oddech, by znowu świadomie nawiązać kontakt ze swym ciałem, by poczuć fizyczne oznaki najczystszygo przerażenia, nie dopuszczając jednak, by to uczucie całkowicie nią owładnęło.

Przytrzymał ją siłą swej osobowości i okazało się, że łatwo i wygodnie jest poruszać się w orbicie jego oddziaływania. Na dnie jego ogromnych, magnetycznych oczu Miranda spostrzegła błysk okrucieństwa hipnotyzera. Roztacza nad nią swą moc, a jej nie wolno stracić panowania nad sobą.

Wyciągnął ręce ku jej ramionom, przyciągnął ją delikatnie do siebie i cofnął się, aż znaleźli się w samym środku tego małego, ciemnego, nieokreślonego pomieszczenia. Jakiejś szopy, komórki ociekającej wilgocią, ciemnej, śmierdzącej odpadkami.

- Mirando - powiedział Galvez łagodnym, smutnym głosem. Naprawdę smutnym. Pokiwał głową. - Taka piękna, młoda kobieta. Naprawdę piękna. Cóż to za straszny świat, skoro nie ma w nim miejsca dla tak wyjątkowej osoby. Jesteś za dobra na tak niedoskonały świat, Mirando. Świat to nie jest dobre miejsce i trzeba tu robić uniki, wykręcać się i odwracać wzrok. Ty patrzysz ludziom prosto w oczy. Zaglądasz światu prosto w serce, a potem mówisz, co tam ujrzałaś. Czyż nikt cię nie uczył sztuki przetrwania, niña?

Czuła, jak drętwieje od ramion aż po łokcie. Jej ręce stały się zimne i nieprzydatne. Galvez naciskał je kciukami tak umiejętnie, że stawała się bezwolna. Ugięły się

279

pod nią kolana. Jej ciało zdradziło ją. Gwałtownie mrugała oczyma, by pozbyć się wzbierających w nich łez, by dobrze go widzieć.

Wyciągnął łagodnie dłoń i wytarł łzę z jej policzka.

- Powiedz, co czujesz, Mirando. Powiedz mi. Właśnie teraz, powiedz, co czujesz.

- Czuję strach - odpowiedziała.

Usłyszała swój dawno zapomniany głos, głos dziecka, głos z pierwszego dnia w szkole, kiedy wysoka matka przełożona o zapadniętych policzkach zapytała ją, co się stało:

„Czy boisz się, Mirando, że nie podołasz czekającej cię tutaj pracy? Że jesteś w szkole, do której chodzą tylko najzdolniejsze dziewczęta, a ty jesteś tu pierwszą czarną dziewczynką? Czy boisz się, że nie pasujesz do tego miejsca, że nie dasz sobie rady, czy właśnie tego się boisz?”

„Tak” - odpowiedziała Mirando dziecko. „Nie” - odpowiedziało serce w jej wnętrzu. „To ciebie się boję”.

Po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich lat opadła twarda maska. Przez cały ten czas kryło się w niej to dziecko, czekając. Przez cały czas - bojąc się.

- Czuję strach - powiedziała Carlosowi Galvezowi.

Słyszała, jak inni ludzie rozmawiają tam na zewnątrz,

chodzą tu i tam. W pomieszczeniu nie było nikogo poza nimi dwojgiem. Galvez przysunął dwa krzesła do starego, odrapanego stołu kuchennego z emaliowanym blatem. Jedno wskazał jej ręką. Pokiwał nad nią głową, kiedy tak siedziała, przyglądając się jej z niepokojem i smutkiem.

- Pozwól, że cię o coś spytam, Mirando Torres. Czy wiesz, co to jest milion dolarów?

- Dużo pieniędzy - wyszeptwała.
- Nie, jeszcze nie. Dziesięć milionów dolarów. Sto milionów dolarów. To jest dużo pieniędzy.
- Po czym pochylony do przodu, oparty łokciami na stole, z twarzą dziko skupioną na jej twarzy, powoli rozciągając wargi, gdy wymawiał słowa, powiedział: - Tysiąc milionów dolarów. Ty-

pod nią kolana. Jej ciało zdradziło ją. Gwałtownie mrugała oczyma, by pozbyć się wzbierających w nich łez, by dobrze go widzieć.

Wyciągnął łagodnie dłoń i wytarł łzę z jej policzka.

- Powiedz, co czujesz, Mirando. Powiedz mi. Właśnie teraz, powiedz, co czujesz.
- Czuję strach - odpowiedziała.

Usłyszała swój dawno zapomniany głos, głos dziecka, głos z pierwszego dnia w szkole, kiedy wysoka matka przełożona o zapadniętych policzkach zapytała ją, co się stało:

„Czy boisz się, Mirando, że nie podołasz czekającej cię tutaj pracy? Że jesteś w szkole, do której chodzą tylko najzdolniejsze dziewczęta, a ty jesteś tu pierwszą czarną dziewczynką? Czy boisz się, że nie pasujesz do tego miejsca, że nie dasz sobie rady, czy właśnie tego się boisz?”

„Tak” - odpowiedziała Miranda dziecko. „Nie” - odpowiedziało serce w jej wnętrzu. „To ciebie się boję”.

Po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich lat opadła twarda maska. Przez cały ten czas kryło się w niej to dziecko, czekając. Przez cały czas - bojąc się.

- Czuję strach - powiedziała Carlosowi Galvezowi.

Słyszała, jak inni ludzie rozmawiają tam na zewnątrz,

chodzą tu i tam. W pomieszczeniu nie było nikogo poza nimi dwojgiem. Galvez przysunął dwa krzesła do starego, odrapanego stołu kuchennego z emaliowanym blatem. Jedno wskazał jej ręką.

Pokiwał nad nią głową, kiedy tak siedziała, przyglądając się jej z niepokojem i smutkiem.

- Pozwól, że cię o coś spytam, Mirando Torres. Czy wiesz, co to jest milion dolarów?
- Dużo pieniędzy - wyszeptwała.
- Nie, jeszcze nie. Dziesięć milionów dolarów. Sto milionów dolarów. To jest dużo pieniędzy.
- Po czym pochylony do przodu, oparty łokciami na stole, z twarzą dziko skupioną na jej twarzy, powoli rozciągając wargi, gdy wymawiał słowa, powiedział: - Tysiąc milionów dolarów. Ty-

siąc milionów dolarów. To jest miliard dolarów, Mirando. Nikt, nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić, ile to jest. A trzydzieści, czterdzieści miliardów dolarów rocznie, wolnych od podatków, przez nikogo nie księgowanych. Nic nie jest w stanie konkurować z tego rodzaju pieniędzmi, tego rodzaju władzą, nigdzie na świecie. I to właśnie temu próbujesz stawić czoło. Ty, Mirando.

Ciągle patrzyli na siebie. Mówił głosem bardzo niskim, miękkim, prawie pocieszającym.

- Czy wiesz, co można kupić choćby za jeden tylko z tych miliardów dolarów?

Zaprzeczyła ruchem głowy, zmieszana, zastanawiając się, skąd u niego ta potrzeba mówienia jej o tych sprawach. Dobrze. Świetnie. Mów do mnie dalej. Dobrze.

- Można kupić drugiego człowieka. - Pstryknął palcami. To betka. - Społeczność, miasteczko, duże miasto, stan, rząd. Za wszystkie te miliardy, państwo. Można kupić cały świat. Można go posiadać. Kontrolować. Został już kupiony. I nadal będzie kupowany. - Przyglądał się jej w napięciu, po czym opadł do tyłu na swoim krześle, nie spuszczać z niej wzroku. - Trudno to sobie wyobrazić. Zrozumieć. A ile trzeba pieniędzy, jak sądzisz, żeby kupić dziennikarza znanego ze swej uczciwości? A, nie masz odpowiedzi. To ci powiem. Pięćset tysięcy dolarów.

Powoli pokręciła głową.

- Nie rozumiem. Kupić go? Z jakiego powodu? W jakim celu?
- Żeby go trzymać z dala, żeby nie badał tego, czego nie chcemy. Żeby pozostał przy temacie, który zainteresował go na początku: obojętność „porządnych obywateli” z Forest Hills wobec umierającej, niewinnej młodej kobiety.

Carlos Galvez wiedział wszystko. Nie miała pojęcia, skąd, ale przyjęła to za fakt; że on wie, że Mike Stein poznał całą prawdę o śmierci Anny Grace i w jakiś tam sposób to zatuszował, ponieważ nie chciał stracić swojej ostatniej szansy na osiągnięcie tego, czego pragnął najbardziej na świecie.

- To wszystko zostało przeprowadzone z zachowaniem ostrożności, Mirando. Zawsze jesteśmy ostrożni. Zwłaszcza kiedy mamy do czynienia z ludźmi „znanymi ze swej uczciwości”, takimi jak twój pan Stein. - Galvez uśmiechnął się gorzko. - Zanim zdążyłaś go nakłonić, by przyjął twoją prawdę, pan Stein otrzymał propozycję od pewnego młodego niezależnego producenta o nieposzlakowanym życiorysie i odpowiednich funduszach. Propozycję kupna praw do jego książki i jego usług jako scenarzysty. Mike Stein został kupiony za pięćset tysięcy dolarów. Naturalnie, scenariusz musi odzwierciedlać wściekłość zawartą w jego książce, wywołaną nieprzyzwoitym wprost zachowaniem porządnych obywateli, którzy pozwolili tej dziewczynie wykrwawić się na śmierć, a sami się temu przyglądali. Prawda w sposób oczywisty zniszczyłaby wielki powrót pana Steina. Tak więc został kupiony. Za jedne pół miliona. Dla niego jest to bardzo dobry punkt wyjścia do osiągnięcia pozycji, do której w życiu dąży. - Galvez pokiwał głową i roześmiał się z pogardą. Znow pstryknął palcami. - Pół miliona dolarów, i gotowe!

Jego głos zmienił się, jak zawsze kiedy mówił do niej o niej samej.

- A ty, Mirando. Piękna, młoda kobieto, o oczach tak przejrzystych, o głowie tak wysoko uniesionej, o sercu tak czystym. Czy naprawdę sądziłaś, że ty, ty możesz cokolwiek zmienić? Nie odpowiedziała mu. Nie było bowiem na to żadnej odpowiedzi.

- Nie jesteś wcale taka mądra, moja mała. Wcale nie taka mądra. Byłoby lepiej, gdybyś przyjęła złożoną ci ofertę. Powinnaś była pójść na studia prawnicze. Oferowano ci wspaniałe perspektywy. To była dobra propozycja.

Miranda poczuła ból, ostry jak koniec gwoździa, biegnący od podstawy czaszki, wzdłuż szyi, w dół kręgosłupa. Jej ciało drgnęło, usta się rozchyliły. Potrząsnęła głową.

- To niemożliwe, żeby pan o tym wiedział.

282

- Nie bądź taka zaskoczona. Nie bądź takim niedowiarkiem. Wiem wszystko. Czy ty, nawet teraz, nie jesteś w stanie sobie tego uświadomić?

- To niemożliwe, żeby pan to wiedział.

- Jest tylko jeden sposób, prawda? Tylko jedna osoba mogła mi powiedzieć o tej ofercie, o tym, że ją odrzuciłaś, i że nie ma już dla ciebie alternatywy. Tylko jeden człowiek.

- Nie wierzę panu.

- Ależ tak, wierzysz. Jesteś tu dlatego, że odrzuciłaś to, co on ci zaproponował. Ponieważ w tym momencie on się zwrócił z tym do mnie.

- Nie!

Carlos wstał i odwrócił się od niej rozdrażniony. Zależało mu, żeby mu uwierzyła. Może wtedy uzna, że nie jest człowiekiem pozbawionym serca. Chodzi przecież o to, że ona nie ma już wyboru. Tak, Miranda rozumiała jego zachowanie. Sama nie wiedziała dlaczego, ale w jakiś dziwny sposób zdawała sobie sprawę, że on pragnie, by ona zaakceptowała i zrozumiała jego postępowanie.

. Galvez rozłożył swe ogromne dłonie na stole i pochylił się ku niej. Jego wąsy, duże i czarne, drżały, kiedy do niej mówił.

- Pracowałaś z jego bratem Kevinem. Od czasu do czasu przykładał rękę do tego, żeby jego brat aresztował kogo trzeba za narkotyki. Nie były to zbyt ważne aresztowania, nic istotnego, ale zawsze trafiało na właściwe osoby. Tak więc udało się wam dwojgu nieźle wykazać. To był taki prezent od jego brata. - Uniósł rękę, jakby ubiegając jej pytanie. - Och nie, brat policjant nic o tym nie wiedział. Nic a nic, naprawdę. Kevin Collins był bardzo do ciebie podobny, Mirando.

Prawdziwie zaangażowany. Prawo, porządek, sprawiedliwość i dawać z siebie wszystko. A ponieważ byłaś dobra, miła i lojalna, ponieważ pomagałaś jego bratu i osłaniałaś go, kiedy był chory, za twoją lojalność zostałaś wynagrodzona. Mężczyzna potrafi docenić coś takiego.

Zaopiekował się tobą. Pomógł ci w

awansach i przeniósł w bezpieczniejsze miejsce, gdzie byłaś jak najdalej od tego wszystkiego: narkotyków, brudu. I popatrz, co się stało! Znowu tam jesteś, w samym środku. Następnie otworzył przed tobą wspaniałe możliwości osiągnięcia w życiu tego, czego pragniesz, ale ty odrzuciłaś jego

ofertę. I dlatego jesteś tu, ze mną, w tym pomieszczeniu. Niewinność, Mirando, inaczej niż uczyły cię te twoje dobre siostrzyczki, nie ochroni cię w prawdziwym świecie.

Zacisnęła pięści.

- Siostrzyczki nauczyły mnie wielu rzeczy.

Stała za jej plecami. Poczwała, jak jego dłonie delikatnie i rytmicznie uciskają jej ramiona.

- Gdzie jest Maria? - zapytała łagodnie.

Dłonie zacisnęły się; nagle poczuła bolesny skurcz mięśni. Natychmiast ją puścił, po czym nachylając się, wyszeptał jej do ucha:

- Nie. Ani słowa. Ani jednej łzy za Marię. Nie ty, Mirando.

Obróciła głowę, patrząc mu prosto w twarz.

- Ale to jeszcze młoda dziewczyna. Ona jest...

Odsunął się gwałtownie, tak jakby powiedzenie jej, w

sposób rozważny, tego, co wiedział, wymagało od niego wielkiego opanowania.

- To łajdaczka! Tak jak jej siostra - rzekł twardo, z obojętnością w głosie. - I jeszcze ta jedna, ta dziewczyna z linii lotniczych. Łajdaczaki. Córci mojego kuzyna, i ja wziąłem je pod swój dach, zaopiekowałem się nimi. Wiedziały bardzo dobrze, w co się pakują. Kochały pieniądze, zabawę, podniety, i w końcu, co tragiczne, również i narkotyki. Ta dziewczyna. Ta Maria. Okłamywała cię za każdym razem, kiedy z nią rozmawiałeś. Za każdym razem. Ona i te inne, i ten... Paul Mera.

Facet, który udaje, że jest gwałcicielem. - Wypluł to słowo z obrzydzeniem, jakby otrząsając się na samą myśl. - Najnędnniejszy z nędzników. Wykorzystywał je tak długo, aż się na niego w końcu wypięły. Żerowali na sobie wzajemnie, ci... ci lu-

284

\

dzie. Ona cię wydała, ta piękna dziewczyna, ta młoda dziewczyna. Zwabiła cię tutaj, bo myślała, że nastąpi wymiana. Twoje życie za jej. - Roześmiał się sarkastycznie. - Brudy za czystość.

- Ale to jeszcze młoda dziewczyna - powiedziała miękko Miranda.

Galvez pokręcił głową.

- Łajdacy nie mają wieku, Mirando. Narkotyk to ich wiek i wówczas wychodzi na jaw ich prawdziwa natura. Kłamią, oszukują, zdradzają i kradną, za jedną chwilę na haju. Palą wszystko, czego się dotkną, zanim sami się nie wypalą. Lub nie zgasną.

- Ale to pan jest głównym dostawcą...

Przerwał jej, ledwie podnosząc w górę rękę, celując w nią wskazującym palcem. Jego sylwetka, postawa, zmrużenie oczu, jego skupiony, przenikliwy wzrok spowodowały, że zabrakło jej tchu.

Miranda poczuła się wydrążona, pusta i krucha. Podatna na stłuczenie.

Minęła chwila i wydawało się, że znowu się pozbierał, odprężył; patrzył na nią z zainteresowaniem, ale zupełnie innego rodzaju. Jego głos ponownie złagodniał, jak u kochanka. Bo było w nim i to także: jego erotyzm, ciągle obecny, ujawniający się niekiedy z większą siłą. Czwała, jak na niego reaguje, jakby jej ciało było niezależne i nie poddawało się kontroli umysłu. Jakby otaczało go pole magnetyczne, które zdawało się przyciągać ją coraz bliżej i bliżej, wzbudzając w niej nie tylko strach, ale także, w dużym stopniu, ciekawość.

- Ale ty, Mirando? Ach, ty. Miranda Torres. Kim ty jesteś? Jak to się stało, że znalazłaś się na tym zdeprawowanym świecie? Poruszałaś się lata całe w najbrudniejszych rejonach, na ulicy, wśród śmieci, i wyszłaś z tego wszystkiego nie zdeprawowana, z jakąś przedziwną czystością, zupełnie nienaruszoną. Jak to się stało? Czy to ty masz nam przypominać w jakiś specjalny sposób o tym, co było, co jeszcze może się stać, gdzieś tam? O jakimś czasie i miejscu bez grzechu? Miejscu odpoczynku, spoko-

ju, piękna i wiary w siebie i innych? - Delikatnie przechylił jej twarz, tak by patrzyła mu prosto w oczy. - Powiedz mi, Mirando. Kim jesteś? Muszę to wiedzieć.

- Jestem po prostu sobą. Jestem tylko tym, kim mogę być. - Wzruszyła ramionami i dodała cicho: - Dokładnie taka, jak pan widzi.

- Jest w tobie jakaś tajemnica. Wszyscy, kogo tylko znałem, a szczególnie kobiety... każda z

nich ma tyle twarzy, tyle w nich kłamstwa, tyle oszukaństwa i tyle podstępu. Zawsze mają pod ręką kłamstwo, .by się przypodobać, by pozyskać czyjeś względy, by oszukać, zniekształcić prawdę. By zdobyć to, co każda z nich postrzega jako nagrodę. A jaka nagroda mogłaby ciebie skusić, Mirando?

- Żadna, señor. Nagroda to coś, co jest dane: jak w loterii. Coś przypadkowego.

- A więc nie przyjąłabyś niczego przypadkowego? Czegoś ci danego? Twojego życia w nagrodę?

Zamarła. Jej twarz nie wyrażała niczego poza śmiertelnym skupieniem. Nie miała pojęcia, jaką powinna dać odpowiedź, czego się po niej spodziewał. Delikatnie potarł jej policzek grzbietem dłoni, tylko raz, i dalej nalegał:

- Powiedz mi. Chcę wiedzieć. Odpowiedz. Prosto z serca, Mirando. Dokładnie tak, jak dyktuje ci serce. To ważne. - A potem, złowieszczo: - Tak dla ciebie, jak i dla mnie.

To nie miało znaczenia. To była jedynie gra, którą prowadził, żeby się rozerwać. Zauważyła, że co kilka minut Galvez spogląda na zegarek; wykorzystywał czas w taki sposób, jaki sprawiał mu przyjemność. Niech więc tak będzie.

r i

Odpowiedziała mu wprost, nie wając słów. Było to i tak bez znaczenia.

- Moje życie to nie nagroda, którą się daje. Jest moje.

Carlos Galvez roześmiał się. Był to śmiech pełen najszczęśliwszego rozbawienia, niespodziewanej przyjemności. Uśmiechnął się szeroko, wielkie wąsy rozciągnęły się, a białe zęby przydały jego twarzy niespodziewanej niewinno-

286

»

f

ści. Ten uśmiech sprawił, że przez ułamek sekundy wy- . glądał młodziej, wyglądał jak ktoś nie zdeprawowany. Ale po chwili na jego twarz wrócił poprzedni wyraz. Galvez pokręcił głową.

- No, będę miał z tobą problemy, moja mała. Czy teraz, w tej właśnie chwili, nie stać cię na choćby trochę luzu? Czy musisz być w tym właśnie momencie tym, kim jesteś przez całe swoje życie, Mirando? Wiadomo, że nawet największe drzewa...

Z zewnątrz, a może z innego pomieszczenia, dobiegł przytłumiony krzyk, głos młodej kobiety pełen bólu, strachu i błagania. Następnie rozległ się inny dźwięk, wyraźny i ostry, nie dający się z niczym pomylić: strzał z pistoletu. I jeszcze jeden. Potem cisza.

Miranda wstrzymała oddech, spojrzała w stronę, skąd dobiegały te odgłosy,-ale Galvez objął ją i obrócił w swoją stronę. Zaczął do niej coś mówić głosem cichym i uspokajającym. Starał się ją pocieszyć. Słyszała niektóre słowa, chwytając ich sens. Było to niezwykle, dziwne, jakby oderwane od tego, gdzie się znajdowali, od tego, co się działo, od tego, kim i czym było każde z nich.

Wydawało się to całkowicie nierealne, a jednak tak absolutnie obezwładniające: dźwięk jego głosu, kiedy ją obejmował. Czowała, jak jego dłonie wędrują od jej gardła, w stronę karku, ale cały czas jego dotyk był delikatny, i w jakiś dziwny i straszny sposób upragniony, tak jakby czekała na niego od dawna. Był to dotyk pełen miłości i Miranda już nie czuła strachu: czuła, że się poddaje, odpływa gdzieś. Jego tkliwy głos wypełnił ją dziwnym spokojem. Przytulona do niego, czuła fakturę jego koszuli, z dobrego i drogiego płótna, czuła zapach potu wydzielanego przez jego ciało, a także lekki, egzotyczny i męski zapach wody kolońskiej. Z trudem przęłykała ślinę przepelnioną metalicznym smakiem strachu i przerażenia, ignorując ostatnie ostrzeżenia wysyłane przez mózg, posłuszna jedynie uniesieniom swego ciała. I jego słowom.

Zachodziła między nimi szczególna wymiana, ale za-

287

nim zaczęła ją pojmować, poczuła, że odpływa. Ostatnie, co świadomie odczuła i świadomie usłyszała, to jak Carlos Galvez pochyla się nad nią i delikatnie całuje ją w kark, szepcząc jej do ucha:

- Pamiętaj o mnie, Mirando. Zapamiętaj to. Po czym odpłynęła daleko w bezdźwięczną, niewidzialną i pozbawioną smaku ciemność. Nicość. Nada.

XXXVIII

Nada. Nicość.

Pokłady ciszy; odcienie ciemności. A potem nic nie ważące, wzbierające uczucie, dziwne i delikatne, łatwego wypływania ku powierzchni odległej i nieokreślonej rzeczywistości.

Odzyskiwaniu przytomności towarzyszyło powolnie narastające uczucie paniki. Cisza nie była już tak głęboka. Od czasu do czasu dobiegały ją przytłumione pomruki, niskie i nieznajome, które nasilały się, stając się coraz bardziej wyraźne i rozpoznawalne. W pobliżu stali ludzie, szepcząc i przyglądając się jej.

Wyobraziała sobie tę scenę: ona leży tam, nieruchoma i zimna. Oni, z twarzami pełnymi smutku, ubolewania, żalości, przyglądają się jej i swym wspomnieniom.

O Boże. Czy to tak właśnie wygląda? Za każdym razem, czy oni wiedzieli jak to jest, tak jak ona teraz wie. Czy byli tego świadomi, jej ojciec, brat, dziadek, przyjaciele, i wszyscy pozostali? Ci ludzie, którym Mannie i jego rodzina poświęcają tyle zachodu? Czy to tak właśnie wygląda: słyszę i wiem, ale nie mogę ich dosięgnąć. Choćbym nie wiem, jak się starała, choćbym nie wiem, jak chciała dać im znać, że nadal jestem wszystkiego świadoma. Czy to już kres mojej świadomości? Czy to tak właśnie ma wyglądać?

- Spokojnie, Mirando. Spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

Poczuła mocny uścisk na przegubie dłoni, ludzkie dotknięcie, potwierdzające, że jest przytomna. I wówczas wydała z siebie lekkie westchnienie, które wewnątrz niej rozbrzmiewało jak ryk rozpaczny. Z niebywałym wysiłkiem i koncentracją Miranda zmusiła się, by otworzyć oczy, tylko trochę, wystarczająco jednak, by zobaczyć zamazany zarys pochylającej się nad nią twarzy.

- Jestem doktor O'Brien - powiedział. - Jest pani w szpitalu. Wszystko będzie dobrze. Jest pani bezpieczna i wszystko będzie dobrze.

Ponownie odpłynęła, teraz już jednak bezpieczna: w dół i do tyłu, lekko, coraz szybciej ześlizgując się w jakieś pozbawione formy, bezpieczne, ciemne miejsce.

Po jakimś czasie zaczęli ją odwiedzać, kiedy lekarze orzekli, że już można. By porozmawiać, pocieszyć ją i zadawać pytania. Opowiedzieli jej, jak potoczyły się dalej wydarzenia; kapitan wszystko wyjaśniał, podczas gdy koledzy z brygady kiwali głowami, czekając na jej wersję.

W komendzie policji otrzymano informację telefoniczną; jej treść gwarantowała natychmiastową reakcję: oficer policji jest w potrzebie. Wozy brygady wysłano we wskazane miejsce: do opuszczonej szopy, oddalonej o sto metrów od miejsca, w którym znaleziono ciała zamordowanych stewardes.

Oczom ich ukazało się miejsce rzezi. Teraz starali się uporządkować fakty; opisywali ciała, a Miranda pomagała im wyjaśniając, co tam odkryli.

Maria Vidales, zastrzelona dwoma pociskami w głowę. Jej „chłopak” uduszony; dwaj bandyci, którzy uprowadzili Mirandę, otrzymali każdy po dwa strzały za uchem.

A Mirandę, nieprzytomną, pozostawiono najprawdopodobniej na pewną śmierć.

Powoli Miranda wyjaśniła, co się wydarzyło, w jaki sposób się tam znalazła, w szopie, razem z Marią Vidales.

Nie wspomniała o swojej rozmowie z Carlosem Galvezem: nie opowiedziała o miliardach dolarów i o senatorze Stanów Zjednoczonych ani o zniewolonym rządzie i roztaczanej nad wszystkim kontroli, o absolutnej władzy osiągananej poprzez akumulację pieniądza. Powiedziała im jedynie, że w szopie była sama z Carlosem Galvezem i że potem zapadła w głęboki sen. Sądziła, że nie żyje. Najwyraźniej jednak przez cały ten czas żyła.

- Poza ludźmi pracującymi w tym szpitalu, Mirando, wszyscy inni sądzą, że pani nie istnieje. On jest przekonany, że panią zabił. - Kapitan O'Connor mówił do niej bardzo łagodnie, pochylając się nad nią, a nawet ujął i uściśnął jej dłoń, żeby dodać otuchy. - Prasa podała, że w szopie znaleziono ciała trzech nie zidentyfikowanych mężczyzn i dwóch nie zidentyfikowanych kobiet. Jeste pani kryta. Proszę się o nic nie martwić. Zaopiekujemy się pa-rriią.

Skinęła głową i poczuła, jak kapitan rozluźnia swój krzepiący uścisk dłoni.

- Wie pani co, Mirando - powiedział - trochę ze zdziwieniem, trochę z niepokojem, marszcząc

przy tym twarz - jest pani wśród policjantów jedyną osobą, która kiedykolwiek widziała tego faceta, tego Carlosa Galveza.

Nie było w tych słowach oskarżenia, a jedynie stwierdzenie faktu. A mimo to brzmiało jak oskarżenie.

- Tak. To prawda.

O'Connor uciekł wzrokiem w bok, nie mogąc dłużej znieść jej nieporuszonego spojrzenia.

- Wszędzie aż po szczebel federalny uważano, że ktoś taki nie istnieje. Wygląda na to, że w ogóle go nie ma. Chodzi mi o to, że ten facet po prostu... zniknął.

- Tak. Rozumiem.

O'Connor umieścił papierosa w kąciku ust, ale zmienił zamiar. Pochylił się nad Mirandą, a ją zastanowiło, czy zawsze był taki stary. Uważała go za mężczyznę w pełni sił. Wydawał jej się teraz mniejszy, zmęczony i zużyty. Przeszedł na mniej oficjalny ton. Czuł się z tym o wiele lepiej.

Nie wspomniała o swojej rozmowie z Carlosem Galvezem: nie opowiedziała o miliardach dolarów i o senatorze Stanów Zjednoczonych ani o zniewolonym rządzie i roztaczanej nad wszystkim kontroli, o absolutnej władzy osiągananej poprzez akumulację pieniądza. Powiedziała im jedynie, że w szopie była sama z Carlosem Galvezem i że potem zapadła w głęboki sen. Sądziła, że nie żyje. Najwyraźniej jednak przez cały ten czas żyła.

- Poza ludźmi pracującymi w tym szpitalu, Mirando, wszyscy inni sądzą, że pani nie istnieje. On jest przekonany, że panią zabił. - Kapitan O'Connor mówił do niej bardzo łagodnie, pochylając się nad nią, a nawet ujął i uścisnął jej dłoń, żeby dodać otuchy. - Prasa podała, że w szopie znaleziono ciała trzech nie zidentyfikowanych mężczyzn i dwóch nie zidentyfikowanych kobiet. Jeste pani kryta. Proszę się o nic nie martwić. Zaopiekujemy się pa-rrią.

Skinęła głową i poczuła, jak kapitan rozluźnia swój krzepiący uścisk dłoni.

- Wie pani co, Mirando - powiedział- trochę ze zdziwieniem, trochę z niepokojem, marszcząc przy tym twarz - jest pani wśród policjantów jedyną osobą, która kiedykolwiek widziała tego faceta, tego Carlosa Galveza.

Nie było w tych słowach oskarżenia, a jedynie stwierdzenie faktu. A mimo to brzmiało jak oskarżenie.

- Tak. To prawda.

O'Connor uciekł wzrokiem w bok, nie mogąc dłużej znieść jej nieporuszonego spojrzenia.

- Wszędzie aż po szczebel federalny uważano, że ktoś taki nie istnieje. Wygląda na to, że w ogóle go nie ma. Chodzi mi o to, że ten facet po prostu... zniknął.

- Tak. Rozumiem.

O'Connor umieścił papierosa w kąciku ust, ale zmienił zamiar. Pochylił się nad Mirandą, a ją zastanowiło, czy zawsze był taki stary. Uważała go za mężczyznę w pełni sił. Wydawał jej się teraz mniejszy, zmęczony i zużyty. Przeszedł na mniej oficjalny ton. Czuł się z tym o wiele lepiej.

290

- Coś pani powiem, moje dziecko. Przeraziłem się nie na żarty widząc panią nieprzytomną, kiedy się dowiedziałem, że próbował panią udusić. No, ale żyła pani, w stanie jakiejś śpiączki, i wszyscy dokoła mówili, że możliwe jest uszkodzenie mózgu. Jezu. To byłoby... Muszę to pani powiedzieć, Mirando. Cieszę się, że wszystko z panią dobrze.

Pieszczotliwie dotknął dłonią jej twarzy, lecz zrobił to bardzo niezgrabnie - szorstka czułość mężczyzny. Miranda skinęła głową i poczuła, jak z wyczerpania zamykają jej się oczy. Z żalu, na widok twarzy kapitana O'Connora. Był przyzwoitym człowiekiem, przywykłym do odkrywania różnych rzeczy, do znajdowania odpowiedzi na pytania. Do szukania prawdy w samym centrum wydarzeń. W tej sprawie jednak nie stawiał żadnych pytań ani nie oczekiwał żadnych odpowiedzi, jakich może gotowa byłaby mu udzielić. Była to sprawa, która prowadziła donikąd.

- Będziemy panią wszyscy odwiedzać, Mirando. Nie chcemy pani teraz zakłócać spokoju.

Odpoczywaj sobie, moje dziecko. Szkoda, że nie możemy o tym powiadomić nikogo z pani rodziny ani przyjaciół. Na razie musimy trzymać panią w ukryciu.

- Rozumiem - odpowiedziała. - Rozumiem.

- To dobrze. Niech pani odpoczywa, Mirando - powiedział kapitan i wyszedł z pokoju.

I nie sprawiaj kłopotów, Mirando.

Tak to się właśnie odbywa, myślała. To druga strona operacji Galveza: milczenie. Oficjalne milczenie. Nie ma gdzie się udać z informacjami lub dowodami, albo też zeznaniami świadków. Nie ma nic, co by można przedstawić prokuratorowi okręgowemu. Najbardziej nawet kryształowy, nie skorumpowany, gorliwy, oddany swojej pracy prokurator okręgowy popatrzy tylko i zapyta:

- Co? Co mam powiedzieć sądowi przysięgłych? Proszę mi przedstawić coś konkretnego, coś pokazać! Dokumenty,

291

taśmy z nagranyimi rozmowami, które coś by wnosiły do sprawy. Proszę mi dostarczyć jakieś dowody, dowody rzeczowe, coś, co mógłbym wziąć do ręki i powiedzieć: „Proszę, to ma związek z tym i prowadzi to tego, a wszystko zaczyna się i kończy na władzy, jaką mają niewyobrażalne wprost sumy pieniędzy, pochodzące ze sprzedaży narkotyków”.

Ona nie miała nic, poza tym, co wiedziała, a to nie przedstawiało żadnej wartości.

Mike Stein ubił interes: był zadowolony z przyszłości, na jaką przystał.

Kapitan O'Connor, ze swymi smutnymi, wiele wiedzzącymi oczyma wiedział, co chciał wiedzieć.

Nie miał jakichś wielkich i wspaniałych znajomości wśród przedstawicieli najwyższych władz; podobnie jak ona.

Wszystkie komisje do walki z przestępczością, wszystkich szczebli - lokalne, miejskie, stanowe i ogólnokrajowe - miały wszelkie informacje i dowody, i wiedziały o wszystkich krzyżujących się powiązaniach, wiedziały o zamieszanych w ten interes członkach rządu, przedstawicielach wielkiego biznesu, wiedzieli o tym wszyscy, aż po zwykłego handlarza narkotykami w bocznej uliczce. I wszyscy oni wskazywali palcem w stronę tej bocznej uliczki: zgarnąć tego skurwiela z ulicy, tego gnoja, który sprzedaje narkotyki naszym niewinnym dzieciakom.

Wszyscy o tym wiedzieli. Oni wszyscy. I nikt nie mógł albo nie chciał nic zrobić.

Czuła, jak pogrąża się w rozpacz: grzech. Wiedziała, że to grzech, i wówczas doznała nagłego przebłysku świadomości. To wcale nie przypadek, że żyje. Carlos Galvez nie popełnia takich błędów: nie może sobie na to pozwolić. Nawet jeden raz.

Pozostała przy życiu dlatego, że on tak zdecydował, ponieważ w niczym mu nie zagrażała.

Wiedział równie dobrze jak ona, że nie może zaszkodzić ani jemu, ani jego operacjom.

Wysiłek, jaki włożyła w zrozumienie tego wszystkiego,

292

wyczerpał ją, ponieważ pod jej w pełni świadomym myśleniem kryło się coś jeszcze. Coś nieuchwytnego, coś szalenie ważnego, o czym zapomniała i co powinna sobie teraz przypomnieć.

Coś, co łączy się z nim, co musi wyjaśnić.

Miranda nie miała pojęcia, jak długo spała, czy jest już późne popołudnie, ranek czy wieczór.

Obudziła się natychmiast i całkowicie, kiedy usłyszała odgłos otwieranych i-zamykanych drzwi.

Kapitan O'Connor przysunął krzesło do jej łóżka. Jego głos był monotony i suchy: typowy głos gliniarza.

- Mirando, czy kontaktowała się pani ze swoją rodziną? Bezpośrednio albo też przesyłając przez kogoś wiadomość?

- Z moją rodziną?

- Czy ktoś, pani inatka, syn, pani były mąż, ktokolwiek, wie, że pani odniosła... urazy? Że jest pani tutaj, w szpitalu?

Zesztywniała.

- Nie. Nikt o tym nie wie.

O'Connor spoglądał na nią twardo, badawczym wzrokiem, szukając jakiegoś potwierdzenia. Po czym, usatysfakcjonowany, powiedział:

- Otrzymaliśmy w biurze telefon, mniej więcej godzinę temu. Jeden z chłopaków go odebrał.

Taki nowy, który nic o tym wszystkim nie wie, ani o pani, ani o pani sprawie. Dzwonił jakiś inężczyzna mówiący z „miękkim hiszpańskim akcentem”, jak określił go nasz młody detektyw.

Staramy się go zidentyfikować. - Wzruszył ramionami. - Ten mężczyzna, który zadzwonił,

powiedział, że jest przyjacielem pani rodziny i prosi o przekazanie pani wiadomości. Do szpitala. Miranda uniosła się nieco, odruchowo dotykając dłonią czoła pulsującego bólem i czując lodowate uklucie w podbrzuszu.

- Jakiej wiadomości?

O'Connor założył swoje poobijanie okulary i trzymając kartkę w pewnej odległości, przeczytał:
293

- POWIEDZCIE MIRANDZIE ŻEBY SIĘ NIE NIEPOKOIŁA. JEJ MATKA I SYN LECAĆ PIERWSZĄ KLASĄ I WYLĄDUJĄ NA LOTNISKU KENNEDYEGO JUTRO RANO PAN AM LOT NR 611, PRZYLOT O 11:15 RANO. ZAJMIEMY SIĘ WSZYSTKIM.

Tym razem także kapitan O'Connor unikał jej wzroku.

- Mirando, zapewnimy im ochronę. Przyrzekam pani. Będą bezpieczni. A ja wykryję, skąd ten przeciek, dowiem się, kto, do cholery, puścił farbę, że pani żyje i jest tutaj. Ja... obiecuję to pani. Ten człowiek zostawił panią, żeby pani umarła. Nikt, zupełnie nikt, poza niewielkim gronem osób, za które dają swoją głowę, nie wie, że pani jest tutaj.

Był tak zdenerwowany, że starała się go pocieszyć: Wszystko będzie dobrze. Niech się pan nie martwi. Moja rodzina będzie bezpieczna. Tak, będziecie ochraniać ich i mnie. Tak. Tak. A teraz chce mi się spać. Niech się pan nie martwi, kapitanie.

Nie ma o co się martwić. Carlos Galvez nie zrobi krzywdy ani jej, ani jej rodzinie. Nie ma powodu. Kapitan O'Connor nigdy tego nie zrozumie. Nie była wcale pewna, czy ona sama to rozumie, ale wiedziała, że tak właśnie jest.

Kiedy znowu została sama, leżała nieruchomo, starając się szczelnie odgradzić od wszystkich dźwięków i doznań. Przymykając lekko oczy i rozluźniając coraz bardziej mięśnie szczęki, zwolniła oddech, aż stał się głębokim, miarowym, świadomym ruchem wymagającym wielkiej koncentracji. W ciągu kilku minut poczuła, jak pozbywa się swej cielesności, uwalnia od poranionego i obolałego ciała i narastającej rozpacz. Popłynęła w dół, w kierunku cichego, znajomego miejsca, jej kryjówki, w samym centrum jej jestestwa, najbardziej osobistego i nienaruszalnego miejsca zamieszkanego przez jej istotę, gdzie pomieścić się mogła jedynie jej uczciwość. To tu właśnie znajdowała się pamięć, wyczekując.

To tutaj powróciła do Carlosa Galveza i usłyszała to, co

zostało przytłumione, przybierając formę nic nie znaczącego, łagodnego strumienia dźwięków, słów, które zagubiły się przytłoczone przez jego ciało, zostały zatarte przez dziwne, prawie przyjemne ruchy, jakimi oddziaływał na jej nerwy wprawnymi czubkami palców. Nie miał zamiaru jej zabijać, bo inaczej byłaby teraz martwa. Nie chciał zniszczyć jej mózgu, bo nie byłaby teraz w stanie myśleć.

Chciał ją zostawić przy życiu: zachować. Dla siebie i z siebie tylko wiadomych powodów. „Żadne pieniądze, żadne dary ci ofiarowane, nic cię nie skusi, niech więc tak będzie. To ze względu na mnie, dla mojej przyjemności przyjmiesz ten dar życia. Nie masz wyboru, Mirando, nie masz nic do powiedzenia, jeśli chodzi o ten dar.

Ale widzisz, teraz jesteś moja. Dając ci życie, posiadam ciebie. Nie masz żadnego innego życia, bo to życie już się skończyło. I można je zakończyć raz na zawsze za pomocą jednego naciśnięcia, q tutaj, ale zamiast tego, dotykam cię z miłością. Bo mnie fascynujesz: to, kim jesteś, jest dla mnie czymś nowym, ekscytującym, doprowadzającym mnie do szaleństwa. Nie targowałaś się ze mną o swoje życie, pozostałaś taka, jaka jesteś i jaką chcę, żebyś nadal była. Mirando, szepczę te słowa, chociaż może już mnie nie słyszysz, ale wiedz jedno: jestem zaintrygowany i zafascynowany tobą, masz w sobie coś, co muszę poznać, zrozumieć i posiadać. Nie mogę cię kupić: to jest właśnie to. Ale twoje życie na twoich warunkach już się skończyło, ponieważ zależy od czubków moich palców, od jednego naciśnięcia, o, tak, ostrożnie, tak bardzo ostrożnie, i z miłością.

Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy, Mirando. Są takie sprawy mnie dotyczące, o których nie wiesz, ale którymi muszę się z tobą podzielić. Przyjdzie na to czas. Sam tego dopatrzę. Przyjdę po ciebie, a ty musisz pozostać sobą, choć pragnę cię nauczyć rzeczy, których jeszcze nie wiesz. Wiesz tak wiele i zarazem tak niewiele. Jesteś kobietą i dzieckiem, i teraz już należysz do mnie. Jesteś moją

własnością, Mirando. Jesteś moja".

zostało przytłumione, przybierając formę nic nie znaczącego, łagodnego strumienia dźwięków, słów, które zagubiły się przytłoczone przez jego ciało, zostały zatarte przez dziwne, prawie przyjemne ruchy, jakimi oddziaływał na jej nerwy wprawnymi czubkami palców. Nie miał zamiaru jej zabijać, bo inaczej byłaby teraz martwa. Nie chciał zniszczyć jej mózgu, bo nie byłaby teraz w stanie myśleć.

Chciał ją zostawić przy życiu: zachować. Dla siebie i z siebie tylko wiadomych powodów. „Żadne pieniądze, żadne dary ci ofiarowane, nic cię nie skusi, niech więc tak będzie. To ze względu na mnie, dla mojej przyjemności przyjmiesz ten dar życia. Nie masz wyboru, Mirando, nie masz nic do powiedzenia, jeśli chodzi o ten dar.

Ale widzisz, teraz jesteś moja. Dając ci życie, posiadam ciebie. Nie masz żadnego innego życia, bo to życie już się skończyło. I można je zakończyć raz na zawsze za pomocą jednego naciśnięcia, o tutaj, ale zamiast tego, dotykam cię z miłością. Bo mnie fascynujesz: to, kim jesteś, jest dla mnie czymś nowym, ekscytującym, doprowadzającym mnie do szaleństwa. Nie targowałeś się ze mną o swoje życie, pozostałaś taka, jaka jesteś i jaką chcę, żebyś nadal była. Mirando, szepczę te słowa, chociaż może już mnie nie słyszysz, ale wiedz jedno: jestem zaintrygowany i zafascynowany tobą, masz w sobie coś, co muszę poznać, zrozumieć i osiąść. Nie mogę cię kupić: to jest właśnie to. Ale twoje życie na twoich warunkach już się skończyło, ponieważ zależy od czubków moich palców, od jednego naciśnięcia, o, tak, ostrożnie, tak bardzo ostrożnie, i z miłością.

Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy, Mirando. Są takie sprawy mnie dotyczące, o których nie wiesz, ale którymi muszę się z tobą podzielić. Przyjdzie na to czas. Sam tego dopatrzę. Przyjdę po ciebie, a ty musisz pozostać sobą, choć pragnę cię nauczyć rzeczy, których jeszcze nie wiesz. Wiesz tak wiele i zarazem tak niewiele. Jesteś kobietą i dzieckiem, i teraz już należysz do mnie. Jesteś moją własnością, Mirando. Jesteś moja".

A potem ucisk na karku - jego usta, pocałunek i słowa: „Pamiętaj o mnie, Mirando. Zapamiętaj to sobie".

Potem znowu odpływanie, ześlizgiwanie się w dół, w ciemność, nicość i...

Miranda poczuła, jak zaciskają się jej pięści; jej ciało natychmiast powróciło do rzeczywistości. Ból przywołał ją stamtąd, gdzie właśnie była, tam, gdzie teraz jest.

Rzeczywiście wypowiedział do niej te słowa: „Jesteś moją własnością, Mirando. Jesteś moja".

Oddychała teraz prędko, czując obolałe zębra, w miejscu gdzie przytrzymała ją wtedy obuta stopa; czując ból szyi i gardła, które posiniaczył uchwytym swoich mocnych, choć opiekuńczych dłoni. ..

Życie zawdzięczała absolutnej arogancji Carlosa Galveza. Było hołdem złożonym jego niewzruszonemu przekonaniu o własnej omnipotencji.

Gniew Mirandy był twardy i zimny. Jak śmiało uzurpować sobie prawo do decydowania o jej życiu? Poczuła przypływ sił i determinacji, rozpraszających resztki rozpacz. Wróciła do rzeczywistości z taką radością, jaką wywołuje przypływ adrenaliny.

Myli się ten Carlos Galvez. To on popełnił błąd i to on pewnego dnia zda sobie z tego sprawę. Będzie coraz silniejsza, w każdy możliwy sposób. Cierpliwość była jednym z jej największych atutów. Teraz jest to sprawa między nimi dwójkiem. Nie mająca nic wspólnego z amorficzną, nietykalaną strukturą władzy, która kontrolowała, wchłaniała, kupowała, sprzedawała i niszczyła tych, co próbowali coś zmienić.

Bo mimo swej znajomości świata, mimo swej dziwnej i strasznej wiedzy, Carlos Galvez popełnił błąd, który przed nim popełniło wielu innych.

Nie docenił jej.

Odprężyła się teraz. Łagodnie zanurzyła się w miękkim, beztroskim śnie bez snów. To tylko sprawa między nimi dwójkiem, tak jak powinno być, w końcu i on odkryje, jak wielki popełnił błąd.

Ponieważ życie Mirandy Torres należy do niej samej i do nikogo więcej.

epilog *

Odwiedzał Barclay Street wiele razy. Wiele osób to robiło: przejeżdżało tamtędy, szło na spacer rozglądając się, przypatrując się ludziom, którzy wchodzili i wychodzili z domów.

Ci, co tam mieszkali, złościł się: Na co się tak gapicie? Zmykać stąd, wynocha.

Telewizja pokazała idiotyczną ceremonię. Gubernator, pewien senator i wiele ważnych osobistości, wszyscy mówili o tej dziewczynie, którą zabito w zeszłym roku, kiedy to wszyscy ci ludzie się temu przyglądali. Ustawa Anny Grace, jak ją nazwali, miała spowodować, że ludzie staną się bardziej zaangażowani i chętni do niesienia innym pomocy. Już ja to widzę.

Minął już rok i ludzie przestali przychodzić, żeby sobie popatrzeć. Było mu więc przyjemnie po prostu siedzieć sobie w samochodzie zaparkowanym w jednej linii z innymi samochodami naprzeciwko kortów tenisowych, obok toru kolejowego ciągnącego się po prawej stronie. Mógł tak patrzeć przed siebie na boczne ściany kamienic, w których mieszkali ludzie z Barclay Street. Całe boczne ściany narożnych budynków po obu stronach ulicy: światła, cienie, szare migotanie telewizorów, szum urządzeń klimatyzacyjnych, dźwięki muzyki. Czasami nawet słyszał czyjś śmiech. Lub odgłosy kłótni. Sprawdził czas. Wiedział, że się pojawi za kilka minut. Była dokładna jdk zegarek. Ten jej mały tłusty piesek musi nieźle nią rządzić. Nie obchodziły go psy, duże czy małe, żadne. Wcale go nie obchodziły.

Śmieszne, kiedy tak przez cały czas gadała do tego psa, czy akurat srał, czy sikał, czy też sobie koło niej tru-

297

chtał. Tłusty, mały piesek. Sama wyglądała jak jej pies, ta paniusia.

- No chodźże, Pudding, kończmy już z tym, na górze czekają na ciebie smaczne ciasteczka i... Ta damulka musi mieć dom pełen ciasteczek. Nie dziwota, że pies taki tłusty!

Obserwował. Obserwował. Dziś w nocy. Tym razem. To uczucie, to dziwne podniecające, gniewne i radosne uczucie stawania się niewidzialnym, rozplywania się w ciemnościach...

Wysiadł z samochodu bezszelestnie i przyczał się za nim; ten głupi mały pies cały czas powarkiwał, a w końcu zaczął na niego szczekać. Nie miało to znaczenia. Nie przejmował się tym.

Paniusia zaczęła nawoływać:

- Pudding, wracaj no tu, kochanie i...

Był niezręczny, za dużo ważył i miał wiele innych wad, o których bardzo dobrze wiedział, ale był także szybki i silny, i eksplodował tą siłą wobec jej bezradności. Poczul psa przy swojej kostce i nie namyślając się wiele, wymierzył mu kopniaka; usłyszał warknięcie.

Początkowo kobieta bardziej bała się o psa, po czym zdała sobie sprawę, że boi się także o siebie.

Zacząła się znana litania: słowa, prośby. Dlaczego one, psiakrew, zawsze muszą używać tych samych słów tym samym zawodzącym, żebrzącym, cholernie dokuczliwym tonem? Dlaczego po prostu się nie zamknie? Dzięki swej wewnętrznej sile dźwignął ją i zaniósł, tłustą i ciężką, na tylne siedzenie samochodu; jej nogi zwisały w stronę nasypu kolejowego. Waśnie przejeżdżał pociąg, ludzie w oknach gapili się obojętnie, czytali, czy co tam jeszcze. Widzieli? Widzieli go i to, co robi? Co mógł robić, kiedy tylko miał na to ochotę.

Wydarzyło się jednak coś nowego. Myślał już kiedyś o takiej możliwości, kiedy tak siedział noc w noc, obserwując okna i światła w kamienicach przy Barclay Street, obserwując ich, zastanawiając się, jak by to było, gdyby to

oni go obserwowali, i co mógłby wtedy zrobić. Nie mogli go zobaczyć wewnątrz samochodu.

Wywłócił kobietę na zewnątrz, zwałił ją na skrawek brudnej trawy i wlaż na nią. Wrzeszczała. Pies próbował go ugryźć, więc odsunął go na bok jedną ręką, a ona nadal robiła dużo hałasu. Spoglądał w stronę okien na Barclay Street. Nigdy dotąd, w całym swoim życiu nie czuł takiej siły, takiego podniecenia. Tym razem było inaczej, lepiej. Nie w ukryciu: niech widzą, niech słyszą, jak ta paniusia wrzeszczy!

Przyłożył jej nóż do gardła, w odpowiednim miejscu, i kiedy dał upust swej energii życiowej, zanurzył czubek noża i na jego twarz trysnęła czerwona fontanna, ciepła i gęsta.

Kiedy już skończył, kiedy było po wszystkim, kiedy już nie żyła, pochylił się nad nią, wsunął jej w

dłoń ładny mały klucz w kolorze srebra i zacisnął jej palce w pięść, żeby go nie wypuściła. Uniósł jej głowę nieco w górę, by móc do niej mówić bez schylania się przez cały czas, co było przecież niewygodne - ważył za dużo, wiedział o tym - i wyszeptał z ironicznym uśmiechem:

- Słuchaj, no, sam nie wiem, po co ten klucz, więc jak mam ci to, do cholery, wytłumaczyć?

Dobroduszenie wzruszył ramionami, obrócił się, cofnął dłoń, kiedy pies na niego zawarczał, pokazując zęby. Ponownie wzruszył ramionami. Biedny głupi pies. Nie będzie dziś ciasteczka.

Zostawi go w spokoju. Nie interesowało go zabijanie psów.

Wsiadł do samochodu i pojechał w dół Barclay Street, spoglądając na rzędy okien, które wychodziły na parking naprzeciwko kortów tenisowych. Wiedział, że patrzyli. Wiedział, że widzieli i słyszeli.

Nikt z mieszkańców Barclay Street nic nie zrobił, jakby nic nie słyszeli i nie widzieli, jakby o niczym nie mieli pojęcia. Czemuś wydało mu się to zabawne i kiedy tak sobie jechał wzdłuż Barclay Street, patrzył na światła we wszystkich mieszkaniach po obu stronach ulicy.

Pomyślał sobie o tym drugim facecie: „Taa, to ja jestem Bestia z Queens”. Co za palant z tamtego! Dlaczego coś takiego powiedział? Dlaczego wziął na swoje konto te wszystkie kobiety? Bez sensu. Zastanawiał się, jak go nazwą teraz ci faceci z gazet: Syn Bestii z Queens? Czuł lekki zawrót głowy, czuł się trochę na haju, trochę w uniesieniu.

Czuł się tak, jakby ostatecznie i na zawsze coś rozstrzygnął. Ale za cholerę nie wiedział co.

i

W ostatnim czasie nakładem nowej ukazały się:

- Alain Finkielkraut Porażka myślenia
- Zbigniew Batko Oko
- Maria Nurowska Panny i wdowy. Piołun
- Maria Nurowska Hiszpańskie oczy
- Andrzej Wróblewski Być Żydem...
- Proces o uprowadzenie i zabójstwo księdza Jerzego Popiełuszki
- Roman Kowalczyk Łódzki strajk studencki
- Marian Berland Dni długie jak wieki
- Maria Nurowska Panny i wdowy. Czyściec

W przygotowaniu:

- Tadeusz Konwicki Czytało
- Artur Międzyrzęcki Wiersze dawne i nowe
- Konrad Tatarowski Światło w ciemności
- Tomasz Tabako Stocznia Gdańska '88
- Maria Nurowska Po tamtej stronie śmierć
- Maria Nurowska Listy miłości
- Hannah Arendt Korzenie totalitaryzmu
- Andriej Płatonow Juwenilne morze
- Amos Oz Na ziemi Izraela
- Amos Oz Czarna skrzynka
- Istvan Bibó Kwestia żydowska
- Patrick Michel Kościół a totalitaryzm
- Ernest Skalski Błąd
- Istvan Kovacs Polski legion
- Muriel Spark Sympozjon
- Maria Nurowska Innego życia nie będzie
- Włodzimierz Kalicki Samotnia

Dotychczas nakładem SuperNOWEJ ukazały się:

- Dorothy Uhnak Śledztwo
- Dorothy Uhnak Fałszywy świadek

- Jeffrey Archer Kołczan pełen strzał
- Andrzej Sapkowski Miecz przeznaczenia

W przygotowaniu:

- Stephen Gregory Kormoran
- John Le Carre Wojna w pieczarze
- John Le Carre Mała doboszka '
- Jeffrey Archer Sprawa honoru
- Ralph Blumenthal Ostatnie dni Sycylińczyków

Zamówienia: Fundacja NOWEJ

02-929 Warszawa, ul. Truskawiecka 1 tel. 42 30 73